

WIELKIE SERIE SF

GWIEZDNE WOJNY

PAKT NA BAKURZE



KATHY TYERS



GWIEZDNE WOJNY

PAKT NA BAKURZE

KATHY TYERS

WIELKIE SERIE SF

cykl Gwiezdne Wojny

Dziedzic Imperium
Ciemna Strona Mocy
Ostatni rozkaz
Pakt na Bakurze

w przygotowaniu

Ślub księżniczki Leii
Kryształowa Gwiazda
Han Solo na krańcu gwiazd
Zemsta Hana Solo
Han Solo i utracona fortuna
Spotkanie na Mimban

GWIEZDNE WOJNY

PAKT NA BAKURZE

KATHY TYRES

Przekład
Radosław Kot



Tytuł oryginału
THE TRUCE AT BAKURA

Ilustracja na okładce
TOM JUNG

Redakcja merytoryczna
DOROTA LESZCZYŃSKA

Redakcja techniczna
WIESŁAWA ZIELIŃSKA

Korekta
RADOSŁAW KUBACKI

Copyright © 1995 by Lucasfilm Ltd.
All rights reserved

Published originally under the title
The Truce at Bakura by Bantam Books.

For the Polish edition
Copyright © 1995 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83 - 7082 - 917 - 1

Dedykacja

Ilekoć przypomnę sobie „Gwiezdne wojny”, powracają otwierające muzyczną oprawę dzieła fanfary. Wielki imperialny niszczyciel gwiazdny płynący ponad głowami widzów kojarzy się nierozzerwalnie z rytmiczną triolą. A czy ktoś potrafi wyobrazić sobie kantinę w MOS Eisley bez niezrównanego, owadziego jazzbandu?

Skutkiem owych zachwyków dedykuję niniejszą powieść temu, kto skomponował muzykę do filmowej trylogii „Gwiezdných wojen”:

Johnowi Williamsowi

ROZDZIAŁ 1

Jedyny zamieszkały księżyc zwieszał się niczym zasnuty chmurami turkus ponad martwym światem. Dla prawiecznych sił, które ustanowiły niegdyś jego orbitę i rozpały błyszczący w tle gwiazdny pył, całe zamieszanie związane z wojnami pomiędzy Imperium i sprzymierzonymi rebeliantami było epizodem tak drobnym, że nie wartym nawet odnotowania.

Jednak w skali ludzkiej czasu sprawa przedstawiała się nieco inaczej. Burty kilku spośród okrążających obecnie macierzystą planetę księżyców statków, poznaczone były smolistymi śladami trafień, wokół kręciły się zatrudnione przy wymianie fragmentów poszycia androidy, widać było odziane w kombinezony postacie, zarówno ludzi jak i obcych. Zakończona zniszczeniem drugiej Gwiazdy Śmierci bitwa dotkliwie wykrwawiła siły rebeliantów.

Luke Skywalker podążał przez pokład ładowniczy jednego z krążowników. Wciąż zmęczony, z zaczerwienionymi oczami, cieszył się jednak zwycięstwem, dopiero co świętowanym wraz z Ewokami. Kiedy mijał gromadkę androidów, doleciała go woń płynów chłodzących i smarów. Czuł ból, poobijane kości dawały o sobie znać. To był najdłuższy dzień w jego życiu. Dziś... nie, to było wczoraj... spotkał osobiście Imperatora i omal nie przypłacił życiem wiary w trwałość więzów krwi. Plotki rozchodziły się szybko, pasażer dzielący z Luke'em miejsce w wahadłowcu, którym wracali z wioski Ewoków, zdążył wypytać młodzieńca, czy to naprawdę on zabił własnoręcznie i Imperatora, i Darth Yadera.

Luke nie czuł się jednak jeszcze gotowy ogłosić wszem i wobec, że słynny Darth Vader nie był nikim innym, jak Anakinem Skywalkerem, jego rodzonym ojcem. Na wszelkie pytania w tej sprawie odpowiadał zdecydowanie, że to Vader zgładził Imperatora Palpatine'a, wrzucając go do rdzenia siłowni drugiej Gwiazdy Śmierci. W myślach dodawał, że za kilka tygodni wyjaśni najpewniej całą kwestię, na razie jednak chciał przede wszystkim sprawdzić swój czteroskrzydłowy myśliwiec typu X.

Ku swemu zdumieniu zastał maszynę obleżoną przez obsługę techniczną. Dźwign opuszczał R2 - D2 do cylindrycznej wnęki znajdującej się za kabiną pilota.

- I co tam? - spytał Luke przystając, by złapać oddech.

- Och, komandorze - odparł technik w mundurze koloru khaki, odłączając przewód paliwowy. - Pana boczny ma kłopoty. Kapitan Antilles zjawił się tu pierwszym wahadłowcem, ale od razu poleciał na patrol. Przechwycił jeden z tych antycznych stateczków, których Imperium używało w celach kurierskich jeszcze przed wojnami klonów. Szedł kursem z głębi kosmosu.

Z głębi kosmosu. A zatem niósł wiadomość dla Imperatora. Luke uśmiechnął się.

- Pewnie jeszcze nowiny tam nie dotarły. A może Wedge potrzebuje pomocy? Nie jestem aż tak zmęczony, żeby nie móc się ruszyć.

Technik spojrział na niego bez uśmiechu.

- Niestety, próbując wydobyć zakodowaną wiadomość, kapitan Antilles uaktywnił obwód destrukcji i teraz ścisną bombę w dłoniach, żeby nie wybuchła...

- Lecę bez bocznego - rzucił Luke i nie czekając na dalszy ciąg opowieści, ruszył do sali odpraw.

Wedge Antilles był jego przyjacielem jeszcze z czasów wspólnego ataku na pierwszą Gwiazdę Śmierci. Chwilę później Skywalker pojawił się z powrotem, wciągając w biegu pomarańczowy skafander ciśnieniowy.

Luke wspiął się po drabince do kabiny, wcisnął hełm na głowę i włączył generatory stateczku. Rozległ się znajomy pomruk wprawianej w ruch maszynierii.

Technik wspiął się za nim.

- Ależ komandorze, myślę, że admirał Ackbar chciałby najpierw z panem porozmawiać...

- Niedługo wracam. - Luke zamknął osłonę kabiny i przeprowadził przyspieszoną kontrolę systemów. Wszystko w normie.

Pstryknął dźwigniką łączności.

- Dowódca Hultajów, gotowy do startu.

- Otwieram luk.

Maszyna ruszyła i po chwili pulsujący ból się nasilił, przyspieszenie bezlitośnie wcisnęło Luke'a w fotel. Gwiazdy zatańczyły mu przed oczami, odgłosy w słuchawkach zły się w jeden bełkot. Skywalker zmobilizował się, by zgodnie z naukami Yody opanować zbuntowany organizm...

Trzeba dotknąć... O, tutaj.

Westchnął głęboko, gdy udało mu się zwalczyć ból. Gwiazdy przestały wirować... Cokolwiek spowodowało ową niedyspozycję, później będzie pora, by się nad tym zastanowić. Wykorzystując wspierającą jego zmysły Moc, odszukał w przestrzeni obraz, w którym znajdował się Wedge, i lekkimi poruszeniami sterów skierował maszynę ku tylnym formacjom floty.

Po raz pierwszy miał okazję przyjrzeć się zniszczeniom, które poczyniła bitwa. Mijał po drodze rojące się androidy i liczne holowniki. Zauważył, że brakuje kilku gwiazdnych krążowników Mon Calamari, a przecież te niezgrabne statki były dość silnie opancerzone, by wytrzymać niejedno bezpośrednie trafienie. Podczas zmagania w sali tronowej Imperatora, kiedy walczył o życie swoje, swego ojca i zachowanie własnej godności, ani przez chwilę nie było mu dane odczuć potężnych zafalowań Mocy, które musiały przecież towarzyszyć śmierci tak wielu istot. Teraz mógł jedynie żywić nadzieję, że nie był to skutek zubożenia.

- Jak sobie radzisz, Wedge? - spytał przez radio, oddalając się od głównego trzonu floty.

Skanery informowały, że jeden z wielkich transportowców odsuwa się ostrożnie od czegoś o wiele mniejszego. Za plecami Luke'a śmignęły cztery myśliwce typu A.

- Jesteś tam, Wedge?

- Przepraszam - zabrzmiało słabo w słuchawkach. - Jesteś na granicy zasięgu mojego radia. Na dodatek, mam tu paskudną fuchę... - Głos Wedge'a zaniknął na chwilę

i dało się słyszeć odchrząkiwanie. - Muszę pilnować, by te dwa kryształy pozostawały z dala od siebie. To jakaś piekielna machina...

- Kryształy? - spytał Luke, by nie tracić kontaktu z Wedge'em. W jego głosie wyraźnie czuło się ból.

- Coś jakby elektrody izolowane blachą ołowianą. Prawdziwy zabytek z epoki podboju kosmosu, ale jakaś podejrzana sprężyna usiłuje je zepchnąć. Jak się stukną, to... bum. Dojdzie do wybuchu.

Przesuwając się z wolna nad lśniącą błękitem kulą Endoru, Luke dostrzegł myśliwiec Wedge'a. Obok unosił się dziewięciometrowy cylinder z oznaczeniami Imperium na bokach. W zasadzie był to tylko potężny, obudowany silnik mający zapewnić przesyłce bezpieczne dotarcie na miejsce.

Rebelianci wciąż nie dysponowali podobnym sprzętem, chociaż dla Imperium ten typ statku kurierskiego był już tylko szacownym antykiem. Ciekawe, czemu nadawca wiadomości nie posłużył się standardowymi kanałami łączności?

- Nie, z całą pewnością żaden wybuch nas nie interesuje - mruknął Luke. Nic dziwnego, że ci z transportowca pragnęli znaleźć się jak najdalej.

- Masz rację - odparł Wedge, wczepiony w koniec cylindra. Ubrany był w skafander ciśnieniowy, z myśliwcem łączył go przewód systemów podtrzymania życia. Musiał chyba odstrzelić osłonę kabiny i znurkować w kierunku kuriera, gdy tylko zdał sobie sprawę, że podlatując tak blisko uzbroił, niechcący zapalnik. Lekki skafander i hełm dawały mu tylko kilkuminutową osłonę przed próżnią.

- Jak długo już tu wisisz, Wedge?

- Nie mam pojęcia. Kto by zresztą liczył czas, podziwiając takie wspaniałe krajobrazy.

Luke dał ostrożnie wsteczny ciąg. Dłoń Wedge'a tkwiła wewnątrz panelu cylindra, głowa śledziła nadlatujący myśliwiec. Krótkimi impulsami silników Luke zrównał się z kurierem.

- Chyba dobrze byłoby zmienić rękę - powiedział Wedge pewny siebie, jednak ton jego głosu świadczył o całkowitym wyczerpaniu. Palce musiał mieć już chyba na wpół wylamane. - A co ty robisz w tej okolicy?

- Wpadłem popodziwiać widoki - mruknął Luke, rozważając możliwości działania. Podążający za nim klucz myśliwców zatrzymał się. Widocznie piloci zdecydowali, że Luk sam najlepiej wie, co robić.

- Artoo, jaki jest zasięg twojego manipulatora? Czy jeśli przysunę się dostatecznie blisko, będziesz w stanie mu pomóc

NIE. 2.76 METRA W NAJLEPSZYM POŁOŻENIU - pojawiło się na wyświetlaczu hełmu.

Luke zmarszczył brwi, krople potu wystąpiły mu na czoło. Gdyby tak mieć pod ręką coś niedużego a solidnego... I to szybko, bo jeśli się nie pospieszy, jego przyjaciel zginie. Już teraz Moc falowała pod wpływem stresu Wedge'a.

Luke spojrzął na swój miecz świetlny. Nie, to oręż nie do tych celów...

Naprawdę? Nawet, jeśli chodzi o życie Wedge'a? Przecież broń da się odzyskać. Ostrożnie wsunął miecz do wbudowanej w burtę myśliwca wyrzutni flar i wystrzelił w

próżnię. Potem, z odległości dziesięciu metrów skierował go myślą w poblizę Wedge'a, a gdy obiekt sięgnął celu, Luke ścisnął rękę.

Zielono - białe ostrze zapłonęło jasno na tle ciemnej przestrzeni. Wedge aż zamrugał oczami.

- Na mój znak odskoczysz jak najdalej - powiedział Luke.

- Stracę palce.

- Mówi się trudno. Jeśli tam zostaniesz, stracisz znacznie więcej.

- A nie dałoby się założyć mi blokady metodą Jedi? Boli jak cholera.

Głos Wedge'a brzmiał coraz słabiej. Postać w skafandrze skuliła się i zaparła kolanami o burtę cylindra, by móc odepchnąć się jak najmocniej.

W podobnych chwilach Luke żałował, że nie dane mu było wieść spokojnego życia rolnika na farmie stryja Owena na planecie Tatooine. Tam miałby do czynienia jedynie z urządzeniami nawadniającymi.

- Spróbuję - powiedział. - Pokaż mi te kryształy. Przyjrzyj im się dokładnie.

- W porządku - wymamrotał Wedge, obracając się w kierunku włazu.

Luke odłożył miecz i próbował wniknąć w zmysły przyjaciela. Wierzył, że Wedge nie będzie stawiał oporu i pozwoli mu...

Walcząc z nieznośnym bólem przeszywającym dłoń Wedge, Luke spojrział oczami przyjaciela do wnętrza cylindra. Ujrzał dwa okrągłe, wielościenne kryształy: jeden, trzymany w zaciśniętych palcach, drugi, wciskany mocą sprężyny w grzbiet dłoni. Nieduże, lśniły złotawo w blasku świetlnego miecza. Wyglądało na to, że sama rękawica nie będzie tu wystarczającą przeszkodą, chociaż takie rozwiązanie byłoby najprostsze. Krótki kontakt ciała z próżnią nie oznaczał jeszcze nieodwracalnych zniszczeń.

Gdy Wedge odskoczy, Luke będzie miał nie więcej, niż sekundę na odcięcie jednego z kryształów i niewiele więcej czasu na uratowanie przyjaciela, który prawdopodobnie zemdleje. Sama utrata przytomności nie powinna być groźna, mógł jednak stracić zbyt dużo krwi. Już teraz miał mętne spojrzenie.

Luke osłabił zdolność Wedge'a do odczuwania bólu.

Za dużo na raz. Własne dolegliwości Luke'a zaczęły wymykać się spod kontroli.

- Już wiem - mruknął.

- Miałeś widzenie? - spytał rozmarzonym głosem Wedge.

- Wiem, co robić. Będę liczył, na trzy odskakujesz. Ale mocno. Raz. - Wedge nie protestował. Zaciskając zęby, Luke zajął się ponownie mieczem. - Dwa. - Spokojnie, trzeba skupić uwagę jednocześnie na mieczu, na kryształach i na tej odrobinie wolnego miejsca, która jest do dyspozycji. To cały wszechświat.

- Trzy. I nic.

- Dalej, Wedge! - krzyknął Luke.

Tamten szarpnął się ospale i Luke uderzył błyskawicznie, odrąbując jeden z kryształów, który popłynął, lśniąc zielenią, ku górnemu skrzydłu myśliwca.

- Ooch - jęknął Wedge. - Pięknie.

Wirował wokół własnej osi, przyciskając do siebie prawą rękę.

- Wciągnij się do środka!

Bez reakcji. Luke przygryzł wargę. Unieruchomił krążący miecz i wyłączył ostrze. Wedge dryfował bezwładnie, wysoko ponad myśliwcem.

Luke przycisnął włącznik częstotliwości alarmowej.

- Hultaj Jeden do Dom Jeden. Bomba rozbrojona. Pilnie potrzebna pomoc medyczna!

Zza wiszących w tyle myśliwców wyłonił się czekający w strefie bezpieczeństwa kuter - ambulans.

Ciało Wedge'a unosiło się i opadało w rytm oddechu, pływając swobodnie w przezroczystym zbiorniku wypełnionym płynem regenerującym. Palce, ku wielkiej uldze Luke'a, udało się uratować. Android chirurgiczny, 2 - 1B, zostawił panel kontrolny i odwrócił się do młodzieńca.

- Teraz kolej na pana, komandorze - maszyna zamachała smukłymi, lśnięcymi ramionami. - Proszę podejść do skanera.

- Ze mną wszystko w porządku - odparł Luke, opierając wygodnie swój stołek o przepierzenie.

A2 - D2 pisnął coś, co nie było chyba wyrazem aprobaty dla takiej postawy.

- Bardzo pana proszę. To zajmie tylko chwilę.

Luke westchnął i poczłapał w kierunku wysokiego modułu mniej więcej wzrostu człowieka.

- Wystarczy? - zawołał z drugiej strony. - Czy mogę już iść?

- Jeszcze moment - rozległ się mechaniczny głos, a potem dało się słyszeć jakieś stuki i brzęki - Chwileczkę - powtórzył android - czy zdarzyło się panu ostatnio widzieć podwójnie?

- Cóż... - Luke podrapał się po głowie. - Owszem. Ale tylko przez minutę. - Uznał to za drobiazg bez znaczenia.

Moduł diagnostyczny schował się w ścianie i zamiast niego pojawiło się podtrzymywane antygravitatorami łóżko. Luke aż się cofnął.

- A to po co?

- Kiepsko z panem, komandorze.

- Jestem tylko zmęczony.

- Diagnostyk informuje o nagłym i ponadnormatywnym zwapnieniu struktury szkieletu. Jest to rzadki typ schorzenia, który może być wynikiem pozostawiania pod wpływem silnego pola energetycznego.

Pole energetyczne. No tak, wczoraj. Imperator Palpatine miotający błękitnobiałe błyskawice na wijącego się po pokładzie Luke'a. Młodzieniec oblał się potem, przypomniawszy sobie to zdarzenie. Myślał wtedy, że koniec z nim. Faktycznie był bliski śmierci...

- Wzrost poziomu mineralnych składników krwi powoduje odkładanie się szkodliwych substancji we wszystkich tkankach pańskiego organizmu.

Stąd ten ból. Jeszcze godzinę temu nie wysiedziałyby ani chwili spokojnie. Pora spuścić z tonu.

- Czy uszkodzenia są nieodwracalne? Nie trzeba będzie wymieniać mi kości? - Zadrzał na samą myśl o tym zabiegu.

- Stan chorobowy przejdzie w stadium chroniczne, o ile nie Położy się pan i nie pozwoli mi działać - odparł 2 - 1B. - Inaczej konieczna będzie kuracja w zbiorniku.

Luke spojrział na moduł regeneracyjny. Nie, jeden raz wystarczy. Spędził już kiedyś w czymś takim cały tydzień. Z wahaniem zdjął buty i wyciągnął się na łożu boleści.

Obudził się jakiś czas później. Cierpiał nieopisanie.

- Coś na uśmierzanie bólu, komandorze? - spytał android.

Luke czytał kiedyś, że w każdym uchu człowiek ma po trzy kości, ale dopiero teraz przekonał się o tym na własnej skórze. Spokojnie mógł je wszystkie policzyć.

- Czuję się o wiele gorzej zamiast lepiej - jęknął. - Co to za kuracja?

- Leczenie zostało zakończone. Teraz musi pan odpocząć. Czy mogę podać panu środek przeciwbólowy? - spytał ponownie 2 - 1 B.

- Obejdzie się - mruknął Luke. Jako rycerz Jedi powinien nieustannie trenować umiejętność kontrolowania doznań zmysłowych. Nigdy nie wiadomo, kiedy może się to przydać.

R2 pisał coś pytająco.

- Wszystko w porządku, Artoo - odparł Luke, domyślając się, o co chodzi. - Zostań na straży, a ja zdrzemnę się trochę. - Obrócił się na drugi bok, a materac przyległ powoli do kształtu jego ciała. Oto są ciemne strony bycia bohaterem. Chociaż, gdyby stracił dłoń, było o wiele gorzej.

Pocieszał go fakt, że zregenerowana ręka nie bolała.

Najwyższa pora by przywrócić światu pradawną sztukę samoleczenia, opracowaną przez Jedi. Ale wskazówki udzielone przez Yodę były tak fragmentaryczne, że chętny musiałby domyślać się większości niuansów.

- Zostawiam pana, komandorze - android odsunął się od i łóżka. - Proszę spróbować zasnąć. W razie potrzeby proszę wezwać pomoc.

- A co z Wedge'em? - spytał Luke.

- Wraca do zdrowia. Jeszcze dzień i będziemy mogli go wypuścić.

Luke zamknął oczy i próbował przypomnieć sobie nauki Yody. Nagle za otwartym włazem załomotały ciężkie żołnierskie buty. Luke był już myślami przy Mocy, kiedy stwierdził, że biegnący korytarzem osobnik bardzo się spieszy. Nie udało mu się jednak zidentyfikować intruza. Yoda mówił, że umiejętność rozpoznawania obcych pojawi się z czasem, gdy Luke nabędzie zdolność dostatecznego wyciszenia samego siebie.

Ponownie obrócił się na bok. Chciał zasnąć. Nakazał to sobie.

Ale niespokojny duch, który czaił się gdzieś w głębi, nie słuchał go i wciąż natarczywie domagał się informacji. Co mogło zaalarmować żołnierza? Luke usiadł ostrożnie, po czym próbował stanąć. Gdyby ból zechciał umiejscowić się jedynie w kończynach, wówczas można by wmówić sobie, że ich po prostu nie ma... czy coś w tym rodzaju. Było to bardzo skomplikowane, Moc nie jest czymś co można sobie wytłumaczyć, używasz jej... jeżeli ci na to pozwoli. Nawet Yoda nie wiedział wszystkiego.

R2 gwizdnął zaniepokojony i 2 - 1B pojawił się w progu, załamując ręce.

- Proszę się położyć, komandorze.

- Zaraz. - Luke wysunął głowę na korytarz. - Stać! - krzyknął.

Żołnierz zatrzymał się.

- Czy odczytano już wiadomość ze statku kurierskiego?

- Pracują nad tym, proszę pana.

A zatem miejsce Luke'a było w centrali bojowej. Młodzieniec oparł się o R2 i położył dłoń na jego niebieskiej kopułce. Bardzo proszę - nalegał android medyczny - niech pan się położy. Pana stan pogorszy się znacznie, jeśli nie będzie pan odpoczywał.

Perspektywa ataków bólu doskwierających mu przez resztę życia oraz alternatywa dłuższego pobytu w zbiorniku, spowodowały, że Luke przysiadł niespokojnie na skraju łóżka.

Nagle coś przyszło mu do głowy.

- Too-Onebee, załóżę się, że masz tu...

Centrala bojowa jednostki flagowej była dość obszerna, by pomieścić setkę ludzi, obecnie jednak świeciła pustkami. Tylko eden android z obsługi przemykał się wzdłuż krzywizny Małych ścian w stronę rzędu ław. Wokół zajmującego centralne miejsce okrągłego stołu nakresowego stało kilka osób. Oprócz oficera na służbie, była tam Mon Mothma, kobieta która stworzyła niegdyś przymierze rebeliantów, a teraz dowodziła ich siłami, obok stał generał Crix Madine. Odziana na biało Mcm Mothma widoczna była wyraźnie nie tylko w realnej Przestrzeni, roztaczała również silną aureolę Mocy. Brodaty Madine bez wątpienia nabrał po ostatnim zwycięstwie pewności siebie.

Oboje spojrzeli na zbliżającego się Luke'a i równocześnie zmarszczyli brwi. Młodzieniec uśmiechnął się serdecznie i moc niej zacisnął dłonie na poręczach samobieżnego wózka wypożyczonego z kliniki, powoli pokonywał stopnie znajdujące się na drodze do centrum sali.

- Czy ty już nigdy nie zmądrzejesz? - spytał generał, ale zmarszczki zniknęły z jego czoła. - Twoje miejsce jest w izbie chorych. Czy mam kazać Too-Onebee przykuć cię do pryczy"!

Luke aż się skrzywił.

- Co z przekazem? Jakiś dowódca Imperium wydał chybi ćwierć miliona kredytów, by wyprawić ten antyk w drogę.

Mon Mothma przytaknęła, ograniczając się do milczące reprimendy. Wystarczyło samo tylko spojrzenie. Na konsoli stołu błysnęło światelko, a ponad nim pojawił się miniaturowy hologram admirała Ackbara z wylupiastymi oczami, osadzonymi po obu stronach wysoko sklepionej, rudej głowy. Na czas bitwy komandor przeniósł się do centrali, jednak o wiele bezpieczniej czuł się na własnym krążowniku, którego systemy były lepiej dostosowane do potrzeb Calamarian.

- Komandorze Skywalker - syknął, poruszając długimi osadzonymi pod szczęką czułkami. - Dobrze byłoby chyba gdybyś... nieco rozważniej podchodził do sprawy, kiedy przychodzi ci podejmować ryzykowne przedsięwzięcia...

- Pomyślę o tym, admirale. Jak tylko będę mógł.

Luke ustawił fotel obok stołu nakresowego. Zza pleców dobiegł go sygnał otwieranego luku. R2 - D2, niechętny do spuszczenia Luke'a z fotoreceptorów na czas dłuższy niż trzydzieści sekund, dotarł okrężną drogą na miejsce i zatrzyma. się obok młodzieńca. Przekazał mu przy tym około tuzina dobrych rad i upomnień, prawdopodobnie od 2 - 1B. Generał Madine uśmiechnął się znacząco pod osłoną brody.

Luke nie zrozumiał, rzecz jasna, ani jednego gwizdu, ale treści łatwo się było domyślić.

- Dobra, Artoo. Spokojna kopułka. Stawaj tu, popatrzymy sobie. To powinno być ciekawe.

- Mamy przekaz - odezwał się młody porucznik Matthews znad bocznej konsoli.

Madine i Mothma pochylili się nad ekranem, a Luka wyciągnął szyję, żeby lepiej widzieć.

GUBERNATOR IMPERIALNY WILEK NEREUS Z SYSTEMU BAKURY PRZESYŁA POSPIESZNE POZDROWIENIA JEGO EKSCELENCJI IMPERATOROWI PALPATINE.

Oczywiście, że o niczym jeszcze nie słyszeli. Miną miesiące, a może lata, zanim galaktyka dowie się o kresie panowania Imperatora. A i wtedy zapewne nie od razu uwierzą.

BAKURA ZOSTAŁA ZAATAKOWANA PRZEZ OBCE SIŁY INWAZYJNE PRZYBYŁE SPOZA OBSZARU PANOWANIA JEGO EKSCELENCJI. FLOTĘ WROGA OCENIAMY W PRZYBLIŻENIU NA PIĘĆ KRAŻOWNIKÓW, KILKA TUZINÓW STATKÓW WSPARCIA I PONAD TYSIĄC MAŁYCH MYŚLIWCÓW. TECHNOLOGIA NIEZNANA. STRACILIŚMY POŁOWĘ POTENCJAŁU OBRONNEGO I WSZYSTKIE WYSUNIĘTE POSTERUNKI. TRANSMISJE RUTYNOWĄ SIECIĄ ŁĄCZNOŚCI DO (1) CENTRUM IMPERIALNEGO I (2) DRUGIEJ GWIAZDY ŚMIERCI POZOSTAŁY BEZ ODPOWIEDZI. PILNIE, POWTARZAM, PILNIE POTRZEBNA POMOC. PRZYŚLIJCIE SIŁY SZYBKIEGO REAGOWANIA.

Madine wyminął porucznika Matthews'a i przycisnął sensor na konsoli.

- Potrzebujemy więcej danych - zażądał. - Wszystko, co da się wyciągnąć.

- Są jeszcze dane wizualne, które może pan zanalizować, generale - odparł mechaniczny głos - a także zakodowane pliki z danymi numerycznymi.

- To może poczekać. - Madine trącił porucznika w ramię. - Daj wizję.

Pośrodku stołu wysunął się moduł projekcyjny. Scena, która ukazała się oczom zebranych, nie należała z pewnością do uspokajających. I co ten Yoda mi nagadał - pomyślał Luke. Przygody, mocne przeżycia... Jedi pozostaje z dala od takich rzeczy... Przydałoby się teraz trochę spokoju Jedi. Prerażony świat potrzebuje go nade wszystko.

Ponad stołem pojawiła się osadzona w szkarłatno - pomarańczowej, trójwymiarowej sieci sylwetka imperialnego patrolowca. Luke znał ten typ, chociaż osobiście nigdy się z nim nie spotkał. Chciał przyjrzeć mu się bliżej, sprawdzić

laserowe uzbrojenie, ale zanim zdołał cokolwiek dostrzec, statek wybuchnął żółtym błyskiem eksplozji. W pole widzenia wpłynął większy kształt o pomarańczowej barwie, bardziej masywny niż patrolowiec i nie tak smukły jak krążowniki rebeliantów, niemal ovoid, z pęcherzowatymi wypustkami.

- Sprawdzić typ jednostki w rejestrach - rozkazą! Madine.

- Statki tego typu nie są używane ani przez Sojusz, ani przez Imperium - odparł mechaniczny głos po niecałych trzech sekundach.

Luke wstrzymał oddech. Jednostka uderzeniowa zawisła nad stołem. Widać było około pół setki dział... a może to tylko anteny? Napastnik wstrzymał ogień, sześć karmazynowych myśliwców TIE podeszło bliżej i zwolniło, by nagle przyspieszyć w kierunku statku. Podobnie zachowywały się kapsuły ratunkowe ze zniszczonego patrolowca, wszystkie złapane najwyraźniej w promień wiodący. Scena zapadła się nagle w głąb kosmosu. Ktokolwiek rejestrował ten obraz, postanowi w pośpiechu uciekać.

- Biorą więźniów - mruknął zaafekowany Madine. Mon Mothma odwróciła się do niewysokiego androida który pojawił się obok.

- Włamać się do zakodowanych plików. Wykorzystać wszystkie posiadane kody Imperium. Ustalić lokalizację tego świata Bakury.

Luke poczuł irracjonalną ulgę, gdy usłyszał, że nawet przywódczyni rebeliantów nie ma pojęcia, gdzie leży ów system.

Android podłączył się do stołu nakresowego i scena bitwy zbladła, ustępując miejsca mapie gwiazdnej przedstawiające koniec regionu znanego jako Rim.

- Tutaj, proszę pani - odezwał się android, a jeden z punktów rozbłysnął czerwienią. - Według naszych danych gospodarka Bakury opiera się na eksporcie podzespołów do platform antygravitacyjnych i przetworów z egzotycznych owoców, w tym także alkoholi. Skolonizowana została przez specjalizującą się w spekulacjach gruntami kompanię wydobywczą w ostatnich latach wojen klonów i przejęta przez Imperium około trzech lat temu ze względu na produkcję antygravitacyjną.

- Było to na tyle niedawno, by mieszkańcy Bakury pamiętali czasy niepodległości.

- Mon Mothma oparła dłoń na krawędzi stołu. - A teraz pokaż położenie planety względem Endoru.

Inny punkt zapalił się błękitem, a skryty wciąż za ramieniem Luke'a R2 gwizdnął cicho. Jeżeli Endor znajdował się na granicy gęsto zamieszkanego rejonu galaktyki, to Bakurę należało nazwać kompletną prowincją.

- Dosłownie na skraju światów regionu Rim - zauważył Luke. - Kilka dni drogi w nadprzestrzeni. Imperium nie jest w stanie im pomóc. - Poczul się dziwnie, mówiąc o Imperium jako o stronie udzielającej komukolwiek pomocy. Wyglądało na to, że zwycięstwo rebeliantów na Endorze przypieczętowało również i los garnizonu na Bakurze, jako że najbliższa temu systemowi grupa bojowa Imperium przestała istnieć.

- Jak liczne są siły Imperium w tym systemie? - rozległ się nagle z głośnika głos Lei.

Księżniczka przebywała na powierzchni Endoru, w wiosce Ewoków i Luke nie miał pojęcia, że przysłuchuje się naradzie, mógł się tego jednak spodziewać.

Wykorzystując możliwości Mocy musnął myślą umysł siostry, wyczuwając lekkie napięcie. Leia przychodziła jeszcze do siebie po postrzale w ramię i pomocy, której udzielała Ewocom przy chowaniu poległych. Han Solo nie opuszczał jej najpewniej ani na krok, toteż nowe kłopoty były ostatnią rzeczą, której się mogła spodziewać. Luke zacisnął usta. Wciąż kochał Leię i pragnąłby... Ale to już przeszłość.

- Bakura obsadzona została przez standardowy garnizon - odparł android. - Wysłannik tej wiadomości dodał jeszcze notę skierowaną do Imperatora Palpatine, a informującą o potrzebach uzupełnień, zgodnie z wymaganiami obronnymi systemu.

- Imperator nie oczekiwał widocznie, że ktokolwiek jeszcze wyciągnie rękę po Bakurę - mruknęła lekceważąco Leia. - A teraz nie ma im kto pomóc. Miną tygodnie, nim imperiami jakoś się pozbiorają, a do tego czasu Bakura padnie... albo przyłączy się do naszego Sojuszu - dodała pogodniejszym tonem. - Jeśli oni nie mogą pomóc Bakurze, zadanie to spada na nasze barki.

Admirał Ackbar aż unióśł drobne dłonie w geście zdziwienia. - Co to ma znaczyć, Wasza Wysokość?

Leia oparła się o obrzuconą gliną, wtkową ścianę nadrzewnego domu Ewoków i uniosła oczy ku powale. Han Solo leżał obok niej, trzymając głowę na ramieniu i obracał w palcach patyk.

- Jeśli udzielimy pomocy Bakurze - wyjaśniła do mikrofonu - to może się zdarzyć, że system przejdzie na naszą stronę. Uwolnimy ich od Imperium.

- I zdobędziemy dostęp do technologii antigrav - dodał szeptem Han.

Leia zastanowiła się przez chwilę.

- Mam wrażenie, że jest to możliwość na tyle kusząca, by wysłać niewielki oddział. Potrzebny też będzie stosowny rangą negocjator.

Han wyciągnął się wygodnie i skrzyżował ręce pod głową.

- Spróbuj tylko wytknąć stąd nos i znaleźć się w strefie wpływów Imperium, Han. Wyznaczono tam kiedyś niezłą cenę na twoją głowę i ktoś na pewno zechce się wzbogacić o parę kredytów.

Leia zmarszczyła brwi.

- A nie dało by się tego jakoś zamaskować? Naszej obecności, to znaczy...

- Straciliśmy dwadzieścia procent sił w walce z zaledwie częścią Floty Imperium - syknął z głośnika głos Ackbara. - Dowolna formacja sił imperialnych mogłaby spisać się o wiele lepiej na Bakurze.

- Wówczas Imperium odzyska kontrolę nad tym systemem, a Bakura jest nam potrzebna nie mniej niż Endor. Potrzebujemy każdego świata, który da się włączyć do Sojuszu. Nagle Han wyrwał radio z rąk Lei.

- Admirale - powiedział - wątpię, czy stać nas na zrezygnowanie z tej wyprawy. Obce siły inwazyjne to spory j problem dla całej tej części galaktyki. Leia ma rację, musimy działać. Najlepiej byloby wysłać statek dostatecznie szybki, by móc bezpiecznie urwać się stamtąd, gdyby imperialnym strzeliło nagle do głowy coś nieprzyjemnego.

- A co z nagrodą wyznaczoną za twoją bezcenną głowę? - szepnęła Leia.

Han przykrył dłonią mikrofon.

- Chyba nie sądzisz, że uda ci się polecieć gdziekolwiek beze mnie, Wasza, a raczej moja, Wysokość.

Luke śledził zarówno wyraz twarzy Mon Mothmy jak otaczającą ją aurę Mocy.

- To będzie musiał być naprawdę mały oddział - powiedziała cicho Mon Mothma - ale jeden statek to za mało. Admirale Ackbar, proszę wybrać kilka myśliwców. Wesprą generała Solo i księżniczkę Leię.

- Ale co ci obcy tam robią? - zdumiał się głośno Luke. - Dlaczego biorą tak wielu jeńców?

- Nie ma o tym w przekazie ani słowa - odparł Madine.

- Dobrze więc będzie wysłać też kogoś, kto przeprowadzi śledztwo w tej sprawie. To może być istotne.

- Owszem, ale na pewno nie ciebie, komandorze. Nie wglądasz na kogoś, kto mógłby w najbliższym czasie dokądkolwiek się wybierać. - Madine postukał w otaczającą stół nakresowy obręcz. - A zgrupowanie będzie musiało wyruszyć nie później, niż za jeden standardowy dzień.

Luke za żadną cenę nie miał ochoty pozostawać w cieniu wydarzeń... Nawet wiedząc, że Han i Leia świetnie dadzą sobie radę i nie opuszczą się wzajemnie w potrzebie.

Kuracja jednak była niezbędna, przyznał w duchu, patrząc na generała Madine'a, a dokładnie, na dwóch generałów o tym samym imieniu i wyglądzie. Stan, w jakim był jego nerw wzroku, sugerował konieczność jak najszybszego przybrania pozycji horyzontalnej. Alternatywą była zapewne nie przynosząca wielkiej chluby utrata przytomności w trakcie narady. Ale czy samobieżny fotel pokona te wszystkie stopnie i bariery?

Wyczuwający sytuację R2 zagadał niczym nadopiekuńcza kwoka.

- Na razie wracam do mojej kabiny, ale i tak proszę włączyć mnie do załogi - powiedział Luke, muskając kontrolki fotela.

Generał Madine skrzyżował ramiona na piersi odzianej w mundur koloru khaki.

- Wątpię, byśmy byli skłonili wysłać cię na Bakurę - stwierdziła Mon Mothma, prostując się i szeleszcząc cicho powłóczytą szatą. - Jesteś dla nas zbyt cenny.

- Co racja, to racja, komandorze - przytaknęła miniaturowa podobizna admirała Ackbara.

- Na nic nikomu się nie przydam, leżąc tu plackiem - odparował Luke, ale przyznał im w duchu rację.

Ostatecznie Yoda nauczył go wystarczająco wiele, by uczynić zeń swego następcę. Zadaniem Luke'a było odrodzenie zakonu rycerzy Jedi... tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. Myśliwiec może prowadzić do walki byle pilot, ale w rekrutacji i treningu nowych Jedi nikt nie zastąpi Luke'a Skywalkera.

Marszcząc brwi, skierował fotel do windy.

- Pomogę wam chociaż w kompletowaniu zespołu uderzeniowego - rzucił jeszcze na odchodnym.

ROZDZIAŁ 2

Zostawiwszy naradzające się wciąż dowództwo, Luke ruszył w drogę powrotną do kliniki. Spotkany po drodze szary i futrzasty strażnik z rasy Gotal zasalutował, krzywiąc się jednak przy tym niemilośnie. Luke przypomniał sobie, że Gotalowie odbierają przepływ Mocy jako szczypanie i łaskotanie w koniuszkach ich rogów receptywnych i przyspieszył, by nie przypawić pocziwca o ból głowy.

R2 zaświergotał i Luke zwolnił, by robocik mógł do niego dołączyć i przejąć kontrolę nad przemieszczaniem się fotela po korytarzu.

- Tak, Artoo. - Luke oparł dłoń na kopułce androida i bez sprzeciwów pozwolił się odprowadzić do izby chorych, chociaż w myślach widział wciąż setkę obcych statków osaczających świat, którego nie potrafił sobie jeszcze nawet wyobrazić.

Nie miał też pojęcia, po co byli obcym więźniowie.

Nareszcie mógł ściągnąć buty i położyć się na kojąco miękkim materacu. Spojrzał jeszcze na zbiornik, w którym znajdował się Wedge, i przymknął oczy. W głowie mu łomotało i żałował, że nie poprzestał na fonicznym kontakcie z centralą.

Teraz niech oni się martwią. Był wykończony.

R2 zapiszczał pytająco.

- Co mówisz? - spytał Luke.

Android podjechał do wjazdu i sięgnął manipulatorem do płytki kontrolnej. Drzwi zasunęły się cicho.

- A tak, dziękuję. - R2 uważał najwidoczniej, że Luke będzie potrzebował odrobiny prywatności, by zrzucić ubranie.

Młodzieniec był jednak zbyt zmęczony, żeby się rozbierać. Wciągnął tylko nogi na łóżko.

- Artoo - powiedział - wydostań od Too-Onebee przenośny ekran i zdobądź wszystkie dane, które udało się uzyskać z kuriera. Chciałbym na nie zerknąć.

R2 zapiszczał z dezaprobatą, ale zniknął za drzwiami, wracając po minucie z małym wózkiem na holu. Ustawił go przy łóżku i podłączył się do gniazda wejściowego.

- Wszystkie dane o Bakurze - zadysonował Luke.

Komputer zajął się identyfikacją głosu Luke'a, by ustalić jego kod dostępności, chłopak wyciągnął się tymczasem wygodnie na materacu. Nigdy nie sądził, że utrata zdolności pojedynczego widzenia może być tak dokuczliwa.

Na ekranie pojawiła się spowita chmurami kula odległego świata.

- Bakura - odezwał się dojrzały, kobiecy głos. - Imperialny numer indeksu sześć - zero - siedem - siedem - cztery.

Chmury przybliżyły się i zniknęły, ukazując długie pasmo pokrytych zielenią gór. W głębokiej dolinie dwie rzeki złożyły równoległe koryta, by spłynąć następnie do

wspólnej, kipiącej życiem delty. Luke wyobraził sobie bogactwo unoszących się w wilgotnym powietrzu woni. Zupełnie jak na Endorze.

- Stolica to Salis D'aar, obecnie siedziba gubernatora. Wkład Bakury w bezpieczeństwo Imperium to przekazywane tytułem kontrybucji niewielkie ilości metali strategicznych...

Tak zielona i parna... Luke zamknął oczy i odpłynął w sen.

... Leżał na pokładzie obcego statku. Wielki, przypominający gada obcy, cały pokryty brunatną łuską, z nieproporcjonalnie wielką głową zbliżał się doń, wymachując bronią. Luke uruchomił swój miecz świetlny, ale ten wyśliznął się z dziwnie gładkiej dłoni. Nagle rozpoznał „broń” obcego. To był zwykły bat na androidy, prosta maszynka blokująca ich funkcje. Ze śmiechem przyjął postawę do walki. Obcy włączył bat i Luke zamarł w miejscu.

- Co? - Z niedowierzaniem spojrzął na swoje ciało. Był androidem. Obcy znów uniósł urządzenie...

Luke z trudem powracał do rzeczywistości. Odbierał przepiękną emanację Mocy. Usiadł zbyt szybko i od razu poczuł, jak niewidzialne młoty zaczęły łomotać mu w skroniach.

Ekran był pusty i czarny, ale w nogach łóżka siedział... Ben Kenobi, w swym zwykłym, tkanym ręcznie stroju, błyszczał w mdłym oświetleniu kabiny.

- *Obi-wan?* - mruknął Luke. - Co się dzieje na Bakurze! Zjonizowane powietrze wirowało wokół postaci. Postać jakby falowała.

- *Wybierasz się na Bakurę* - odparł Ben.

- *To jest aż tak źle!* - spytał Luke, nie licząc specjalnie na odpowiedź.

Kenobi rzadko ich udzielał, wołał rolę nauczyciela, skłonny dawać reprimendy nawet tym, którzy dawno pobrali nauki (choć, prawdę mówiąc, Luke nie zdążył dokończyć szkolenia).

Obi-wan poprawił się na łóżku, ale materac nie zareagował na poruszenie tej całkiem niematerialnej postaci.

- *Imperator Palpatine zdołał poprzez Moc nawiązać kontakt z atakującymi Bakurę obcymi* - powiedziała zjawą. - *Zaproponował im porozumienie, właściwie transakcję, ale teraz, rzecz jasna, nie jest w stanie wywiązać się z umowy.*

- *Jaką transakcję!* - spytał pospiesznie Luke. - *Co grozi Bakurianom?*

- *Musisz ruszać Luke.* - Ben zachowywał się tak, jakby w ogóle nie słyszał jego pytań. - *Jeśli nie weźmiesz spraw w swoje ręce, wówczas i Bakura, i wszystkie światy, zarówno te, opanowane przez Imperium jak należące do Sojuszu, znajdą się w opresji większej, niż potrafisz to sobie wyobrazić.*

A zatem sprawa rzeczywiście wyglądała poważnie.

- *Ale muszę wiedzieć coś więcej.* - Luke potrząsnął głową. - *Nie mogę pakować się w cały ten bałagan na ślepo, a poza tym jestem...*

Jasna postać zapadła się w sobie i zniknęła wraz z podmuchem ciepłego powietrza.

Luke jęknął. Będzie teraz musiał przekonać medyków, żeby go puścili, i przekonać admirała Ackbara, by wpisał go na listę załogi. Może nawet obiecać, że będzie odpoczywać przez całą drogę w nadprzestrzeni (o ile uda mu się wymyślić jakiś sposób wypoczynku podczas takiej podróży). Sama perspektywa bitwy dziwnie go już nie nęciła.

Zamknął oczy i westchnął. Mistrz Yoda byłby zadowolony.

- Artoo, wezwij admirała Ackbara. R2 pisnął z oburzeniem.

- Wiem, że jest późno. Przepraszam, że go budzisz i powiedz... - Luke rozejrzał się. - Powiedz mu, że jeśli nie ma ochoty fatygować się do kliniki, to możemy zorganizować spotkanie w centrali bojowej.

- Tak zatem, sami widzicie... - Luke popatrzył na zebranych. Drzwi kabiny otworzyły się, Han i Leia przystanęli na chwilę w progu, po czym wcisnęli się pomiędzy stojącego przy łóżku generała Madine'a a siedzącą na kontenerze hibernacyjnym Mon Mothmę.

- Przepraszamy za spóźnienie - mruknął Han.

2-1B zgodził się na zorganizowanie spotkania w nieskazatelnie białej kabynie, służącej obecnie jako przechowalnia modułów hibernacyjnych. Ten, który służył Mon Mothmie za „krzesło”, zawierał śmiertelnie ранego Ewoka, oczekującego w stazie na chwilę, gdy będzie można przetransportować go do w pełni wyposażonej kliniki.

Han usiadł pod ścianą, a Leia przycupnęła przy Mon Mothmie.

- Kontynuuj - odezwała się z ekranu miniaturowa podobizna popiersia admirała Ackbar a, jaśniejąca na podłodze obok podtrzymującego projekcję R2. - Zatem generał Obi-wan Kenobi pojawił się, by wydać ci rozkazy?

- Dokładnie tak, panie admirale. - Luke nie był zadowolony z tego, że Leia i Han przerwali mu wyjaśnienia w najistotniejszym momencie.

Admirał Ackbar musnął pajączką dłonią brodę.

- Studiowałem rozwiązania strategiczne Kenobiego. Był świetny w ofensywie. Prawdziwy mistrz. Na ogół nie jestem skłonny wierzyć duchom i zjawom, ale generał Kenobi był jednym z najpotężniejszych rycerzy Jedi, a słowom komandora Skywalkera ufaliśmy dotąd bez zastrzeżeń.

Generał Madine zmarszczył brwi.

- Dobrze byłoby, żeby kapitan Wedge Antilles wrócił do zdrowia, zanim jakkolwiek grupa bojowa zdąży dotrzeć do Bakury. Bez obrazy, generale - dodał, uśmiechając się blado do Hana Solo.

- Żadne takie - warknął Han. - Jeśli spróbuje oddzielić mnie od pani ambasador, wycofuję się z interesu.

Luke przykrył usta dłonią, by ukryć uśmiech. Mon Mothma wyznaczyła już Leię jako oficjalną ambasadorkę Sojuszu na Bakurze i osobę odpowiedzialną zarówno za negocjacje z Imperialnymi jak i za ewentualny kontakt z obcymi. „Wyobraźcie sobie, jakim zagrożeniem stałyby się dla Imperium siły Sojuszu, gdyby obcy zechcieli wesprzeć nasze szeregi” - podsunęła Mon Mothma z niejaką ostrożnością.

- Ależ komandor Skywalker jest w zdecydowanie gorszej kondycji - stwierdził Ackbar.

- W chwili dotarcia na Bakurę będą już w formie.

- Nie wolno nam o niczym zapomnieć. - Ackbar pokiwał głową. - Musimy zadbać o obronę Endoru, ponadto obiecaliśmy też generałowi Carlissianowi pomoc przy wyzwoleniu Miasta w Chmurach...

- Rozmawiałem już z Landem - przerwał mu Han. - Powiedział, że ma własne plany i bardzo dziękuje za dobre serce.

Siły Imperium zajęły Miasto w Chmurach, gdy Lando Carlissian, baron - zarządca, ruszył wraz z Leia i Chewitem w pościg za łowcą nagród uwożącym zamrożonego Hana Solo. Do czasu ukończenia bitwy o Endor Lando musiał zapomnieć o swym mieście. W rzeczy samej, obiecali mu udostępnienie, jeśli będzie w potrzebie, wszystkich, zbędnych gdzieś indziej myśliwców. Lando jednak był urodzonym hazardzistą i często zmieniał plany.

- Zatem postanowione. Wysyłamy na Bakurę niewielki, ale dobrze uzbrojony oddział uderzeniowy - podsumował Ackbar. - Jego obecność powinna ułatwić księżniczce Lei prowadzenie negocjacji. Czekaj, was zapewne głównie walka w przestrzeni, a nie na powierzchni. Jeden mały krążownik z pokładem dla myśliwców w eskorcie pięciu koreliańskich statków artyleryjskich i jednej korwety chyba wystarczy. Co ty na to, komandorze Skywalker?

Luke nagle się ocknął.

- Powierza mi pan dowództwo, admirale?

- Wygląda na to, że nie mamy wyboru - powiedziała cicho Mon Mothma. - Skoro sam Kenobi tak nakazał... Masz niezrównane doświadczenie w walce. Pozyskaj dla nas Bakurę i jak najszybciej dołącz z powrotem do floty.

Uhonorowany w ten sposób, Luke zsalutował w odpowiedzi.

Rankiem następnego dnia Skywalker przeprowadził inspekcję świeżo wprowadzonego do służby krążownika - nosiciela myśliwców „Szkwał”.

- Statek gotowy jest do skoku nadprzestrzennego - podsumował wyniki.

- Gotowy i chętny, komandorze - dodała kapitan Tessa Manchisco, trącąc łokieć Luke'a. Kapitan Manchisco, z czarnymi włosami spływającymi w postaci sześciu grubych warkoczy na kremowy mundur, była świeżym nabytkiem kadry oficerskiej. Pojawiła się w szeregach rebeliantów w wyniku zakończenia wojny domowej na jej rodzinnej Yirgilli. Przydzielona do floty odlatującej na Bakurę przyjęła z dużym zadowoleniem. Jej „Szkwał”, jednostka niekonwencjonalnie mała jak na reprezentowaną klasę, została przez obecnych właścicieli zmodernizowana do granic możliwości poprzez umieszczenie na jej pokładach wszelkich imperialnych nowinek technicznych. Obsada mostka rekrutowała się z trzech Yergilliańczyków i beznosego, czerwonoookiego Duro jako nawigatora. W hangarach „Szkwału” admirał Ackbar umieścił dwadzieścia myśliwców typu X, trzy typu A i cztery szturmowce typu B, czyli wszystko to, co Sojusz mógł obecnie oddelegować na tę wyprawę.

Spoglądając przez trójkątny iluminator, Luke dojrzał dwa spośród pozostających obecnie pod jego komendą statków artyleryjskich. Ponad krążownikiem unosił się

najniezwyklejszy w tej części galaktyki frachtowiec, czyli „Tysiącletni Sokół” (nawet przy braku grawitacji zwykło się arbitralnie wyznaczać „górze” i „dół” formacji). Han, Chewbacca, Leia i C - 3PO stawili się na jego pokładzie niecałą godzinę temu.

Emocje spowodowane mianowaniem Luke'a na stanowisko dowódcy zaczęły powoli ustępować. Sterowanie myśliwcem pod kierunkiem napływających nieustannie rozkazów, mając na dodatek za plecami sprzymierzoną flotę, to nie to samo, co samodzielne prowadzenie walki. Teraz wyłącznie na nim spoczywała odpowiedzialność za wszystkie statki i życie każdej istoty na pokładzie.

Owszem, nie raz studiował prace dotyczące strategii i tak tyki. Wypatrywał nawet z pewną niecierpliwością okazji, by sprawdzić ową wiedzę w praktyce...

W głowie rozbrzmiał mu lekko szyderczy śmiech Yody, który przywołał młodzieńca do rzeczywistości...

Luke przymknął oczy i spróbował wyciszyć myśli. Wciąż był obolały, ale obiecał 2-1B, że będzie odpoczywał i zajmie się uzdrawianiem swojej osoby. Z całego serca pragnął mieć już te wszystkie dolegliwości z głowy.

- Przygotowanie do skoku - zawołała Manchisco. - Komandorze, może zechce pan zapiąć pasy.

Luke rozejrzał się po skromnie urządzonej, sześciokątnej mostku. Oprócz fotela komandora, były tu jeszcze trzy stanowiska oraz miejsce przeznaczone dla R2, obsadzone teraz przez maszynkę Yirgillian. Światła na pulpitych zostały już przyciemnione przed skokiem w nadprzestrzeń. Zapiął pasy, zastanawiając się, jakie też niespodzianki czekają na nich w systemie Bakury.

Stojący na zewnętrznym pokładzie ogromnego krążownika liniowego „Shriwirr”, Dev Sibwarra położył smukłą, brunatną dłoń na lewym ramieniu więźnia.

- Wszystko będzie w porządku - powiedział łagodnie. Czuł pulsujący rytmicznie strach, jaki ogarniał tego człowieka. - Nie będzie bolało. Czekaj cię wspaniała niespodzianka. - Zaiste wspaniała, życie bez głodu, chłodu i samolubnych pragnień.

Więzień, niedawny żołnierz Imperium, mężczyzna o cerze znacznie jaśniejszej, niż Deva, skulił się na siedzisku. Przestał już protestować, słychać było tylko jego ciężki oddech. Ręce, kark i kolana spowijała mu elastyczna taśma, której zadaniem było jedynie utrzymanie delikwenta w stosownej pozycji, wszelkie szamotanie uniemożliwiała skutecznie dejonizacyjna blokada układu nerwowego założona wcześniej w okolicy ramion. Poprzez cienkie igły bladobłękitny płyn sączył się z kroplówek do tętnic szyjnych, buczały miniaturowe serwopompy. Wystarczyło kilka mililitrów roztworu z magnetytem, by dostroić słabe promieniowanie mózgowego pola elektromagnetycznego do aparatury Ssiruuvi.

- Czy jest już spokojny? - spytał w języku Ssiruuvi stojący za Devem mistrz Firwirrung.

- W wystarczającym stopniu - odparł, przechodząc na tę samą mowę, Dev. - Prawie gotowy.

Całe, dwumetrowe cielsko Firwirrunga, od rogatego pyska PO koniuszek muskularnego ogona, pokryte było rdzawą łuską, na czole zaś widniało wspaniałe

czarne V. Nie był duży, Jak na Ssiruu, ale rósł jeszcze i tylko w kilku miejscach, na jego szerokiej piersi, widoczne były świadczące o wieku szczeliny pomiędzy łuskami. Obcy opuścił srebrzyste półkole, które zakryło mężczyznę od połowy klatki piersiowej po koniuszek nosa. Dev patrzył, jak tęczęwki oczu więźnia rozszerzają się z wolna. Zaraz przyjdzie pora, by...

- Teraz - obwieścił Dev.

Ogon Firwirunga aż zafalował, zdradzając narastające zadowolenie, kiedy mistrz nacisnął przełącznik. Flota miała dziś dobry połów, pracy starczy do późnej nocy. Z początku, jeszcze przed „wstępną obróbką”, więźniowie byli zwykle hałaśliwi, a czasem nawet niebezpieczni, potem jednak stawali się nader ulegli i bardzo przydatni, używając swej energii życiowej wybranym przez Ssiruuvi androidom.

Pomruk maszynierii przeszedł w wysoki pisk, więc Dev odsunął się nieco. Przesycony roztworem mózg więźnia z wól na przestawał funkcjonować. Co prawda mistrz Firwirrun zapewniał, że transfer płynu przebiega bezboleśnie, ale wszy; więźniowie krzyczeli bardzo głośno podczas zabiegu.

Ten nie był inny. Kiedy półkole wpadło w wibracje, przekazując energię mózgu elektromagnetycznym obwodom, wrzeszczał wniebogłosy. Podobne do krzyku fale rozeszły się równi w polu Mocy.

Dev powtarzał sobie bez końca to, co usłyszał wcześniej o swego pana: więźniom zdawało się tylko, że czują ból. Mimo to ulegał wrażeniu, że odbiera sygnały ich cierpienia. To tylko ciało protestowało przeciwko utracie kierującej nim siły. I po chwili to ciało było już martwe.

- Transfer dokonany - gwizdnął ze skrywanym rozbawieniem Firwirung.

Dev czuł się niezręcznie przy swym mistrzu. Ostatecznie był tylko człowiekiem, istotą kruchą i podatną na ciosy niczyi biała larwa, która nie przeszła jeszcze metamorfozy. Wolałbym przekazać wreszcie swą duszę potężnemu androidowi bojowemu. Przeklął po cichu talenty, które skazały go na tak długi oczekiwanie.

Półkole zahuczalo głośniejsz, w pełni naładowane, o wiele bardziej ożywione niż bezwładne ciało wiszące na fotelu Firwirung zwrócił oblicze w kierunku pokrytej sześciokątnymi płytami ścianki.

- Gotowi tam, na dole? - zakończył kwestię kłapanięci zębatego dzioba i dwoma krótkimi gwizdnięciami.

Dev potrzebował długich lat na opanowanie tego języka, nawet z pomocą niezliczonych sesji hipnotycznego warunkowania, podczas których wpajano mu przemożne pragnienie zaspokojenia swego pana.

Praca przy transferze umysłów jeńców nie miała końca. Energię życiową, jak każdą inną energię, można przechowywać w szczególnego rodzaju akumulatorze, jednak funkcje mózgu ulegały z czasem degeneracji, pojawiały się zakłócenia częstotliwości fal mózgowych, co prowadziło do obumarcia żywotnych obwodów androida. Poddane transferowi osobowości ulegały psychozom uniemożliwiającym normalne funkcjonowanie.

Tak czy inaczej, ludzka energia była wciąż najbardziej wydajna i starczała na dłużej niż energia jakichkolwiek innych, znanych stworzeń, niezależnie od tego, czy

wykorzystywana była w obwodach statków, czy do zawiadywania androidami bojowymi.

W końcu nadeszła odpowiedź z pokładu szesnastego olbrzymiego krążownika liniowego i Firwirrung przycisnął trój - palczastą dłońią stosowny sensor. Półkole umilkło, a umysł szczęściarza popłynął do zwojów jednego z niewielkich, stożkowatych androidów bojowych, który potrafił wyczuwać nie tylko światło widzialne, ale także wszelkie długości fal, nie potrzebował tlenu, stałej temperatury, pożywienia ani snu. Zwolniony z konieczności podejmowania decyzji i ciężaru wolnej woli, wykonywać miał jedynie rozkazy Ssi-ruuvi.

Idealne posłuszeństwo. Dev zazdrościł mu. Pragnął znaleźć się na jego miejscu, zapomnieć o smutku i cierpieniu. Cudowna zaiste metamorfoza, błogi stan, mający trwać do dnia, gdy ogień laserowy zniszczy zwoje... ogień laserowy albo osobliwe, psychotyczne zaburzenia...

Firwirrung odsunął metalowe półkole, odłożył kroplówkę i zwolnił zapięcia siedziska, a Dev ściągnął zwłoki na podłogę i cisnął je do sześciokątnego otworu zsyphu. Ciało zniknęło w ciemnościach.

Z opuszczonym swobodnie ogonem, Firwirrung odsunął się od stołu, by nalać sobie kubek czerwonego ksaa, Dev tymczasem sięgnął po końcówkę rozpylacza i spryskał kilkakrotnie siedzisko, usuwając wszelkie biologiczne odpady procesu produkcyjnego. Spłynęły przez otwór pośrodku siedzenia.

Odwiesiwszy zraszacz, włączył dmuchawę mającą osuszyć siedzisko.

- Gotowe - gwizdnął, ochoczo kierując się do wjazdu. Dwóch niewielkich, młodych P'w'ecków przyprowadziło następnego więźnia. Osiem blisko osadzonych, czerwonych i niebieskich trójkątów znaczyło jego imperialną szatę. Wyrwał się pazurzastym łapom strażników, cienka tunika była jednak marną osłoną i biała tkanina obficie nasiąkała krwią. Gdyby tylko wiedział, jak daremny jest jego opór.

- W porządku - powiedział Dev, biorąc do ręki miotacz jonowy, podręczną broń, nadającą się akurat do użytku na pokładzie statku. - To nie tak. To zupełnie co innego, niż myślisz.

Oczy mężczyzny rozszerzyły się, biel zajaśniała wkoło tęczówek. Był to paskudny widok.

- A skąd wiesz, co ja myślę? - spytał więzień, wyraźnie siejąc panikę w polu Mocy. - Kim jesteś? Co tu robisz? Czeka, jesteś jednym z tych...

- Jestem twoim przyjacielem. - Przymykając oczy, by ukryć swą odmiennność; miał przecież tylko dwie powieki, a nie trzy, jak jego pan i władca, Dev położył dłoń na ramieniu mężczyzny. - Jestem tu po to, by ci pomóc. Nie bój się. Proszę - dodał w myślach. - Twój strach mnie rani. To boli. A przecież jesteś blisko wielkiego szczęścia. Szybko się uwinie.

Przycisnął promiennik do karku więźnia i naciskając spust, przejechał lufą po kręgosłupie.

Mięśnie oficera zwiotczały i więzień, wysuwając się strażnikom z łap, upadł na wyłożoną kafelkami podłogę.

- Nedorajdy! - Z uniesionym ogonem, Firwirrung skoczył na masywnych łapach ku mniejszemu ze strażników, który różnił się od niego w zasadzie tylko wzrostem.

- Uważać na więźniów - zagwizdał śpiewnie obcy, kto: chociaż był młody jak na dowódcę, oczekiwał traktowani z pełnym szacunkiem i poważaniem.

Dev pomógł całej trójce podnieść ciężko oddychającego i zięjącego niemłą wonią mężczyznę. Więzień był w per przytomny, blokada oddziaływała tylko na ośrodki ruchu. W końcu został usadzony na miejscu.

- Odpręż się. - Dev z wysiłkiem skłonił się nad nim: chwytając go za ramiona. - Wszystko będzie dobrze.

- Nie róbcie tego! - krzyknął więzień. - Mam potężny przyjaciół. Dobrze zapłacą za moje uwolnienie.

- Z przyjemnością ich spotkamy, gdy przyjdzie pora, ale to nie powód, by odmawiać tobie prawa do zaznania najwyższej radości. - Dev skoncentrował się, by osłabić strach mężczyzny, niewielki strażnik przypasał go tymczasem do siedziska. Dev zwolnił uchwyt i rozmasował własny grzbiet. Firwirrung podłączył kropłówkę. Nie sterylizował igieł, nie było to potrzebne.

W końcu obiekt był gotowy. Przezroczyta ciecz kapiała mu z jednego oka i z kącika ust. Pompka zaczęła tłoczyć roztwór do tętnicy szyjnej.

Jeszcze jedna wyzwolona dusza, jeszcze jeden androidalny statek gotów do walki z ludzkim Imperium.

Dev próbował po raz kolejny pozostać obojętnym na pot ściekający po twarzy mężczyzny i jego narastające przerażenie. Położył ciemną dłoń na lewym ramieniu więźnia.

- Nie będzie bolało. Czeka cię wspaniała niespodzianka.

W końcu udało się załatwić szczęśliwie wszystkich pojmanych tego dnia. Wszystkich, prócz jednej kobiety, która zdołała wyrwać się strażnikom i roztrzaskała sobie głowę o przepierzenie, zanim Dev zdążył ją złapać. Zabrał się od razu do reanimacji, ale Firwirrung kazał mu zaprzestać po kilku minutach bezowocnych starań.

- Nic z niej nie będzie - gwizdnał z zalem. - Odpad produkcyjny. Do wtórnego przetworzenia.

Dev posprzątał pomieszczenie. Praca przy transferze była szczytnym zajęciem, nawet jeśli przypadła mu w udziale jedynie rola sługi i pomocnika, który potrafił wykorzystać Moc do uspokajania więźniów. Wsunął promiennik na dolną półkę wysoko zawieszanej szafki, jak należy, płaskim bokiem do góry, wypychając lufę do pochwy tak długo, aż usłyszał stosowne kliknięcie. Dziwnie osobliwa, bo zaprojektowana specjalnie dla jego pięciopalczastej dłoni rękojeść, wystawała z gniazda.

Firwirrung poprowadził go przestronnymi korytarzami do kwatery, gdzie nalał obu po kubku kojącego ksa. Dev przyjął dar z wdzięcznością i zasiadł w jedynym znajdującym się w kabinie fotelu. Ssi-ruukowie nie potrzebowali mebli. Sycząc z zadowolenia, Firwirrung oparł się na potężnym ogonie i przysiadł na ciepłym pokładzie krążownika.

- Jesteś szczęśliwy, Dev? - spytał, spoglądając czarnymi oczami znad czerwieni ksa.

Kryła się za tym pytaniem propozycja pocieszenia. Ilekroć zdarzało się, że coś Deva zasmuciło lub wracały wspomnienia utraconej jedności z Mocą, wówczas Firwirrung brał go do okrytego błękitną łuską, starego Sh'tk'ith na stosowną terapię.

- Bardzo szczęśliwy - odparł szczerze Dev. - To był dobry dzień. Bardzo miły.

Firwirrung przytaknął z rozwagą.

- Bardzo miły - powtórzył, wysuwając z nozdrzy wypustki zapachowe i sprawdzając woń Deva. - Połóż się, Dev. Ciekawe, co widzisz dziś w ukrytym wszechświecie?

Dev uśmiechnął się blade. Jego pan powiedział mu prawdziwy komplement. Ssi-ruukowie byli ślepi na Moc. Dev wiedział, że jest jedyną wrażliwą na pole Mocy istotą, którą obcy kiedykolwiek spotkali.

To od niego Ssi-ruukowie dowiedzieli się o śmierci Imperatora, i to tuż po fakcie, bo tylko tyle było potrzeba, aby fale wstrząsu przebyły bezmiar wszechświata. Moc istniała tak długo, jak istniało życie. Dave potrafił je wyczuć nawet poprzez bezmiar przestrzeni kosmicznej.

Kilka miesięcy wcześniej Jego Potęga Shreeftut, gdy Imperator Palpatine zaproponował wymianę: odpowiedział be ogródek więźniowie za małe, dwumetrowe myśliwce z androidalnym modułem sterującym. Palpatine nie mógł wiedzieć ile dziesiątków milionów Ssi-ruuków zamieszkuje Lwhek w odległym systemie gwiazdnym obcych, ale admirał Ivpikkis schwytał i przesłuchiwał kilku obywateli Imperium, ustalając, że ludzkie domeny ciągną się całymi parsekami. Imperium miało systemów gwiazdnych jak piasku, a wszystkie żywe i czekające na posiew życia Ssi-ruuvi.

Potem jednak Imperator zginął i nic nie wyszło z umowy. Zdradzieccy ludzie zostawili sojuszników i wyciskając całą moc ze statków, ruszyli w drogę powrotną. Wówczas admirał Ivpikkis wysunął się na prowadzenie z zespołem krążownika] liniowego „Shriwirr” i pół tuzinem jednostek szturmowych] (plus wsparcie logistyczne). Główne siły floty czekały w oddali na informacje o zwycięstwie lub porażce.

Gdyby udało im się podbić jakiś większy ludzki świat wówczas urządzenia transferowe, nad którymi pieczę sprawował Firwirrung, otworzyłyby dla nich całe Imperium. Upadek samej Bakury pozwoliłby zwiększyć ilość stanowisk transferowych, a każdy mieszkaniec planety ożywiłby jeden myśliwiec lub zespół tarczy obronnej czy też jakiś istotny moduł któregoś z wielkich okrętów. Mając kilkadziesiąt zespołów dokonujących transferów, flota Ssi-ruuvi mogłaby ruszyć na podbój ludzkich światów, gdzie wiele tysięcy planet czeka na miłe oswobodzenie. Doprawdy upojne zadanie.

Dev gotów był podziwiać odwagę swego pana, który dokonał już tak wiele dla Imperium Ssi-ruuvi, wyzwalając niejedną istotę. Jeśli zdarzało się, że Ssi-ruuk umierał z dala od swego ojczystego świata, jego duch błąkał się samotnie po wsze czasy po galaktyce.

Dev potrzęsnał głową.

- Wyczuwam tylko delikatny powiew życia - odpowiedział. - To na zewnątrz, bo na pokładzie okrętu czuję silne rozżalenie i strapienie twych nowych dzieci.

Firwirrung poklepał Deva po ramieniu, a ten uśmiechnął się, współczując swemu panu, który nie miał partnerki na pokładzie, a przecież wojskowy tryb życia i nieustanne narażanie się na ryzyko potęgowało poczucie samotności.

- Panie - odezwał się Dev. - Może jednak któregoś dnia wrócimy na Lwhekk?

- Może być i tak, że nigdy nie ujrzymy domu, Dev. Niedługo jednak założymy nowy dom w twojej galaktyce. Poślesz wtedy po swoją rodzinę...

Firwirrung spojrział na wnękę sypialną, owiewając przy tym twarz służi swoim oddechem.

Dev nawet się nie skrzywił. Przywykł do tej woni. Za to odór ludzkiego ciała przyprowadził Ssi-ruuków o mdłości, toteż Dev musiał kąpać się często i pić cztery razy dziennie specjalne mikstury. Na szczególne okazje zwykł golić wszystkie włosy z ciała.

- Rozmnożycie się...

Firwirrung przechylił głowę i spojrział na Deva jednym okiem.

- Twoja praca przyczyni się do tego. Teraz jednak jestem zmęczony.

- Przepraszam, nie daję ci spać. - Dev zerwał się na nogi. - Już wychodzę. Zaraz też udam się na spoczynek.

Firwirrung skulił się w ogrzewanej, wysłanej poduszkami niszy i opuścił trzy powieki na piękne, czarne oczy, a Dev poszedł wziąć kąpiel i wypić dawkę odwadniających napojów.

Czekając, aż miną towarzyszące zażywaniu leku nieprzyjemne skurcze żołądka, przysunął fotel do półkolistego stołu z terminalem i przywołał z biblioteki książkę, której jeszcze nie skończył.

Od paru miesięcy pracował nad projektem, który mógłby przyczynić się do szczęścia ludzkości o wiele bardziej, niż to, co czynił obecnie (obawiał się zresztą, że w pewnej chwili Ssi-ruukowie wprowadzą go raczej w obwody techniczne, by dokończył tam swą robotę, a on wolałby znaleźć się w androidzie bojowym).

Czytać i pisać potrafił, zanim jeszcze Ssi-ruukowie adoptowali go, znał nawet zapis muzyczny, dzięki czemu udało mu się stworzyć specjalny system notacji, pozwalający człowiekowi j pisać w języku Ssi-ruuvi. Na pięciolinii zaznaczał wysokość głosu, odpowiednimi symbolami wyróżniając gwizdy gardłowe oraz przednio i tylnojęzykowe. Litery oddawały samogłoski i spółgłoskowe kłaskanie. Sam zapis słowa Ssi-ruuk nie był prosty: zaczynał się tylnojęzykowym gwizdem, narastającym do czystej kwinty przy ułożeniu warg w sposób wymagany, aby wypowiedzieć głoskę i, potem następował modulowany gwizd wargowy obniżający się do małej tercji. Ssi-ruu oznaczało liczbę pojedynczą, forma mnoga, Ssi-ruuk, kończyła się gardłowym kliknięciem. Przypominało to śpiew ptaka, który Dev słyszał w młodości spędzonej na prowincjonalnej planecie G'rho.

Dev miał dobry słuch, ale i tak ta niełatwa praca zajmowała mu sporo wolnego czasu. Gdy tylko skurcze i mdłości minęły, wyłączył czytnik i przekradł się w mroku do silnie pachnącego legowiska Firwirrunga. Był istotą ciepłokrwistą, musiał się więc

izolować poduszkami od podgrzewanego podłoża. Ostatecznie ułożył się w pewnej odległości od swego pana.

Pomyślał o domu. Mieszkali wtedy na Chandrili. Matka bardzo wcześniej zwróciła uwagę na niezwykle zdolności syna,' a ponieważ przeszła niegdyś wstępne szkolenie jako adept Jedi, przekazała mu nieco wiadomości o Mocy, więc potrafili nawet porozumiewać się na odległość.

Potem jednak pojawiło się Imperium. Kandydaci na Jedi, byli prześladowani, ścigani... Cała rodzina uciekła na odcięta od świata G'rho.

Ledwie się osiedlili, nadciągnęli Ssi-ruukowie. Zdolności matki zniknęły nagle, kontakt urwał się, zostawiła chłopca z dala od domu, samego i przestraszonego widokiem spływających z nieba statków obcych. Firwirrung powtarzał przy każdej okazji, że rodzice najpewniej zabiliby Deva, gdyby tylko mogli, by nie wpadł w ręce obcych. Zabić własne dziecko, co za straszny pomysł!

Dev jednak uniknął śmierci grożącej mu z obu stron. Zwiadowcy Ssi-ruuvi znaleźli go skulonego w zwietrzałym parowie. Zafascynowany olbrzymimi jaszczurami o dużych, czarnych oczach, chłopiec zdobył sympatię obcych. Zabrali go ze sobą. Zawieźli na Lwhekk, gdzie spędził pięć lat. Potem dowiedział się, dlaczego nie poddali go transferowi: uznali, że niezwykle zdolności psychiczne, jakie posiadał, pozwolą uczynić zeń pośrednika w kontaktach z innymi ludźmi. To dlatego pozwalali mu uczestniczyć w zabiegach. Za nic jednak nie potrafił przypomnieć sobie, co takiego uczynił lub powiedział, że obcy zorientowali się w jego talentach.

Przekazał Ssi-ruukom całą swą wiedzę o rodzaju ludzkim, od sposobów myślenia i zwyczajów, po sposób ubierania (szczególnie rozbawił ich pomysł noszenia butów). Pomógł im też uporać się z kilkoma wysuniętymi posterunkami Imperium. Ale dopiero Bakura będzie prawdziwym sprawdzianem... A jak dotąd wygrywają! Niedługo Imperium straci wszystkie jednostki w tym rejonie i Ssi-ruukowie będą mogli zająć się samą planetą. Tuzin statków wyposażonych w rozpylacze gazów paralizujących czekał tylko na rozkaz.

Dev przekazał oczywiście mieszkańcom Bakury pozdrowienie na standardowej częstotliwości. Ogłosił dobrą nowinę, zapowiedział rychłe wyzwolenie z ograniczeń, jakie narzucała wegetacja w ludzkiej postaci. Ludzie zareagowali wrogo, ale Firwirrung wyjaśnił, że to całkiem normalne, bo ludzie zawsze opierają się wszelkim nowościom. Ssi-ruukowie są inni. Niestety, proces transformacji jest nieodwracalny i nikt nie może wrócić stamtąd i powiedzieć, jakie to wspaniałe.

Dev ziewnął potężnie. Jego pan obroni go przed Imperium i pewnego dnia wynagrodzi sownie. Obiecał, że osobiście będzie obsługiwał maszynę...

W półśnie Dev dotknął szyi. Jedna kroplówka wejdzie tutaj, druga tutaj... Pewnego dnia...

Zakrył głowę ramieniem i zasnął.

ROZDZIAŁ 3

Strumienie gwiazd zbladły na przednich ekranach i zgrupowanie „Szkwału” wyszło z nadprzestrzeni. Sprawdziwszy tarcze obronne, Luke przesunął się z krzesłem do głównego komputera, by odczytać raport o stanie systemów wewnętrznych, oficer łączności zaś wziął się za nasłuch na standardowych częstotliwościach wykorzystywanych przez flotę Imperium. Luke czuł się już o wiele lepiej, przynajmniej jeśli nie próbował wykonywać zbyt gwałtownych ruchów.

Skanery obwieściły obecność ośmiu planet, żadna jednak nie znajdowała się w miejscu przewidzianym przez nawigatorów! Sojuszu. Luke z uznaniem pomyślał o kapitan Manchisco, która puściła mimo uszu niecierpliwie sugestie młodzieńca, zarządzając zwolnienie poniżej szybkości światła, kiedy byli j jeszcze na obrzeżach systemu. Teraz rzuciła mu znacząc spojrzenie, na co Luke uniósł brew, uznając jej triumf, po czym skinął na nawigatora Duro, który mrugał czerwonymi oczami i bełkotał coś po swojemu.

- Mówi, że cię lubi - przetłumaczyła Manchisco.

Wokół trzeciej planety systemu manewrowało sześć pękatych ovoidów w otoczeniu całego roju małych myśliwców. Wszystkie jednostki zostały oznaczone na ekranie jako „wrogie” i kluczyły jak szalone, co chwilę zmieniając kurs i formacją w zażartej walce.

Luke spojrział na wypieszczone „dziecko” generała Dodonna, czyli na Bojowo - Analityczny Komputer. Zgodził się wziąć prototypową wersję BAK-a na pokład i teraz nadeszła chwila by ożywić urządzenie stosownymi danymi.

- Wygląda na to, że dobrze się tu bawią, kolego - zabrzmiał w słuchawkach głos Hana.

- Też mi się tak wydaje - mruknął Luke. - Wywołujemy Imperialnych, ale na razie bez skutku...

- Komandorze - wtrącił się łącznościowiec.

- Poczekaj. - Luke podniósł głowę, doliczając do listy swych dolegliwości skurcz w nodze. Był prawie zdrowy. Prawie... - Złapałeś coś?

Młody, szeroki w ramionach Virgilliańczyk wskazał na mrugające, zielone światełko na swej konsoli. Ktoś odpowiedział na transmisję. Luke odchrząknął. Jeszcze przed opuszczeniem Endoru Leia przygotowała mu stosowne przemówienie, ale Luke jakoś nie mógł się przekonać do tej propozycji.

Miał przecież rozmawiać nie z politykiem czy dyplomatą, tylko uwikłanym w walkę oficerem, mającym zaledwie sekundę na każdą decyzję.

- Do floty Imperium - odezwał się - tu zgrupowanie bojowe Sojuszu. Przybywamy z białą flagą. Wygląda na to, że potrzebujecie wsparcia. Czy przyjmiecie naszą pomoc? Ostatecznie wszyscy jesteśmy ludźmi.

Oczywiście, w Sojuszu też byli obcy, jak Chewbacca czy nawigator Duro, a jeden ze statków artyleryjskich obsadzony został przez siedemnaścioro Mon Calamari. Tego jednak, szowinistycznie nastawieni oficerowie Imperium nie musieli wiedzieć. Przynajmniej na razie.

Głośnik zatrzeszczał. Luke wyobraził sobie jakiegoś starego, imperialnego wiarusa wertującego gorączkowo zakurzone pliki z instrukcjami na wypadek kontaktów z rebeliantami. Przeszedł na częstotliwość Sojuszu.

- Uwaga, wszystkie myśliwce, stan gotowości. Tarcze włączone. Nie wiemy, co wymyślą.

Na mostku „Szkwału” rozległy się jakieś strzępki muzyki, urwane głosy, potem wreszcie ktoś się odezwał.

- Tu grupa bojowa Sojuszu. Mówi komandor Peter Thanas z floty Imperium. Przedstawić cel przybycia. - Dostojny głos miał sugerować, że z nie byle pionkiem ma się tutaj do czynienia.

Przez trzy dni spędzone w nadprzestrzeni Luke zastanawiał się, czy lepiej udać kompletną ignorancję, czy też nie owijać niczego w bawełnę. Kapitan Manchisco spoglądała na niego wyczekująco.

- Przechwyciliśmy wiadomość wysłaną przez gubernator; Nereusa do dowództwa floty. No cóż, w większości flota jest obecnie unieruchomiona. Pomyśleliśmy, że szykują się niezłe tarapaty, więc przylecieliśmy, by wam pomóc, jeśli taka będzie wasza wola.

Luke przerwał transmisję, poruszony do żywego bólem promieniującym z łydek. Zupełnie nieświadomie wstał z fotela lecz czym prędzej usiadł.

Na wewnętrznym kanale zgłaszały się jednostki artyleryjskie, widać było na ekranie, jak naznaczone niebieskimi znacznikami czarne sylwetki łączą się w pary.

- Trochę więcej subtelnosci, Luke - odezwał się w słuchawkach głos Lei. - Ostatecznie rozmawiasz z Imperialnymi którzy lubią nas jedynie w charakterze zwierzyny łownej.

- Chwilowo nas nie ścigają - zaznaczył Luke. - Jeszcze trochę, a zostaną całkowicie zlikwidowani...

- Nie dziwi nas już, czemu nikt nie odebrał naszego standardowych wezwań - odezwał się nagle suchy, szeleszczący głos komandora Imperium. - Z wdzięcznością przyjmij naszą pomoc. Przekazuję kod dostępności. Kanał dwadzieścia cykli poniżej tej częstotliwości.

- No i bardzo dobrze - mruknął Han.

Muszą naprawdę znajdować się w opałach, skoro zgodzili się przyjąć naszą pomoc - pomyślał Luke, spoglądając na oficera łączności Delckisa przyjmującego przekaz kodu. W ciągu paru sekund część wirujących punktów zmieniła na ekranie barwę na złotożółtą. To były jednostki Imperium. Luke gwizdnął cicho. Olbrzymie owoidy i większość myśliwców wciąż jarzyła się na czerwono.

BAK zaczął wypluwać informacje. Komandor Thanas dysponował o wiele mniejszą siłą ognia niż napastnicy, którzy skupili się głównie wokół samotnego

krążownika klasy Carrack, niedużego okrętu, z załogą pięciokrotnie mniejszą niż wielkie niszczyciele, ale i tak kilka razy lepiej uzbrojonego niż „Szkwał”.

- Jesteś pewien, że o to właśnie nam chodziło? – mruknęła Manchisco.

Luke musnął sensor służący do ogłaszania alarmu startowego. Myśliwce czekały zatankowane w katapultach, piloci byli gotowi wsiadać do kabin.

- Analizuję waszą formację - przekazał Luke swemu imperialnemu odpowiednikowi, wciąż jeszcze niezbyt pewny, co właściwie powinien uczynić. Spróbował skoncentrować się przy pomocy metod Jedi.

- Czy możecie... - odezwał się Thanas i głos jego zginął w gwizdach.

Luke stuknął palcami po konsoli, głos Thanasa zabrzmiał ponownie.

- Przepraszam, zakłócają nas. Jeśli moglibyście rzucić kilka jednostek w lukę pomiędzy trzema centralnymi krążownikami Ssi-ruuków, to może zachęciłoby ich to do odwrotu. I dało nam nieco czasu.

Ssi-ruukowie. Luke zapamiętał sobie nazwę rasy obcych. Nagle decyzja przyszła, jakby gdzieś z podświadomości.

- Komandorze Thanas, zamierzamy ruszyć w stronę tych trzech krążowników z umownej, pomocnej strony układu, zgodnie z kierunkiem obrotu. Przyjąć kurs bojowy - rzucił na boku.

Nawigator sięgnął do komputera.

- Osiem - siedem N, obrót sześć - wykrztusił w standardowym języku Duro.

Pilot wprowadził sprawnymi ruchami palców poprawki do komputera. Luke poczuł, jak „Szkwał” wyrwał się z odretwienia, siłownia ożyła, wpadła w wibracje, które przeniosły się aż na fotel dowódcy. Otwarty wcześniej dla poprawy wentylacji właz, zatrzasnął się automatycznie.

Thanas odezwał się dopiero po minucie.

- To najbardziej zagrożona strefa. Wchodźcie... i dzięki. Trzymajcie się tylko z dala od studni grawitacyjnej.

- Co o tym sądzisz, młody? - spytał Han. - Paskudnie to wygląda.

- Muszę dostać się na Bakurę - odezwała się Leia. - Muszę oficjalnie złożyć gubernatorowi propozycję zawarcia przymierza. W przeciwnym razie na dłuższą metę nic nie wskóramy. Nie ze wszystkimi da się dojść tak gładko do porozumienia.

- Han - spytał Luke - domyślasz się, co chcę zrobić?

- O tak - odparł Solo z rozbawieniem. - Powodzenia, bohaterze. Myślę, że nasz jedyny zawodowy dyplomata powinien przeczekać to zamieszanie gdzieś na boku.

- Dobry pomysł.

- Co? - spytała z oburzeniem Leia. - Co wy knujecie?

- Przepraszam na chwilę. - Luke wyobraził sobie Hana, który odwraca się ku dziewczynie, by możliwie spokojnie wyłożyć swe stanowisko upartej jak oślica siostrze Skywalker] Może powinien się w to włączyć...

- Leia - powiedział - popatrz tylko na ekran. Bakura jest zablokowana. Łączność radiowa jest bez wątpienia zagłuszana, nie usłyszeliśmy dotąd niczego, prócz zwykłego jazgotu niskich pasm komercyjnych. A ty jesteś dla nas cenna, nie możemy pchać się z tobą w sam środek bitwy.

- A wy to co? - odparowała. - Muszę porozmawiać z gubernatorem. Naszą jedyną nadzieją jest przekonanie go, nie przybywamy jako wrogowie.

- Zgadzam się - powiedział Luke. - „Sokół” nadaje się do walki, ale nie z tobą na pokładzie. W ogóle ciesz się, że masz własny kawałek pokładu pod nogami. I to uzbrojony.

Zapadła grobowa cisza. Luke zajął się wydawaniem rozkazów. Chciał ustawić swą grupę do krótkiego skoku wewnątrzsystemowego.

- Dobra - wymamrotała w końcu Leia. - Najbliżej mamy do szóstej planety. Kierujemy się tam. Jeśli będzie można, wylądujemy i poczekamy na was.

- To dobry pomysł, Leia. - Luke wyczuwał w jej głosie oburzenie i to skierowane nie tylko przeciwko niemu... Leia i Han będą musieli nauczyć się zażegnawać podobne konflikty.

Luke stłumił niezbyt przyjemne wrażenie odebrane od siostry.

- Bądź w kontakcie z nami, Han. Korzystaj ze standardowych częstotliwości Sojuszu, ale prowadź też nasłuch na imperialnych.

- Potwierdzam, młody.

Luke odprowadził wzrokiem uzbrojony frachtowiec, który! oddalał się z wolna od formacji. Błękitnoniebieski łuk dysz J widoczny był nawet z dużej odległości.

Piloci myśliwców stali w gotowości przy swoich maszynach. Wedge Antilles sprawdzał po raz ostatni przydziały do po - j szczególnych dywizjonów. Miejsce Luke'a było jednak dzisiaj gdzie indziej. Jego statek typu X pozostanie w hangarze, a R2 przeczeka tę walkę w kabinie, połączony ze „Szkwałem” za pomocą BAK-a. Może następnym razem uda się zorganizować wszystko w ten sposób, by Luke dowodził z pokładu myśliwca razem z operującym z mostka R2? Tylko gdzie tu zainstalować dodatkowe stanowiska kontrolne?

- Dane wprowadzone - zapowiedział. - Przygotować się do skoku.

Niebieskie oznaczenia jednostek nagle pozieleniały. Luke ścisnął mocniej poręcze fotela. - Teraz.

Han Solo nie spuszczał oka z tablicy przyrządów „Sokoła”, wprowadzając legendarny statek w łagodny zakręt. Był zbyt doświadczonym pilotem, by dać się porwać fali, która towarzyszyła wejściu formacji w nadprzestrzeń, ale nie mógł powstrzymać się od rzucenia okiem na znikający krążownik. Cała grupa bojowa pod dowództwem tego dzieciaka... Leia skrzywiła się.

Na pokładzie „Sokoła” Han czuł się jak u siebie. Technicy Sojuszu napracowali się solidnie, naprawiając uszkodzenia powstałe w trakcie ucieczki Landa z wnętrza drugiej Gwiazdy Śmierci (... ależ nie mam żalu, Lando. Zmasakrowałeś mojego grata, ale uczyniłeś to w dobrej sprawie...). To był jego fotel, a obok siedział Chewie, jego drugi pilot.

Nie wszystko jednak wyglądało tak samo jak dawniej. Za Wookiem siedziała Leia w szarym, bojowym kombinezonie z szerokim pasem. Pochyliła się nad ramieniem futrzaka, jakby chciała go zastąpić przy sterach.

Niech tam. Chętnie ofiarowałby Lei wszystko, co posiada, i jeszcze całą galaktykę na dokładkę, ale nie wyprosi Chewie'ego z fotela. Owszem, w razie potrzeby potrafiła całkiem niezle pilotować, ale nawet wytrzymałość przemytnika ma swój kres.

Drugie miejsce z tyłu lśniło obecnością C - 3PO, który kołysał się z boku na bok.

- Cieszę się niezmiernie, pani Leio, że dała się pani przekonać. Mogę się pogodzić z perspektywą, że moje rozległe doświadczenie i kwalifikacje nie zdadzą się na wiele w tym prowincjonalnym systemie, ale nasze bezpieczeństwo jest sprawą nadrzędną. Jeśli mogę coś zasugerować...

Han wzniosł oczy ku sufitowi.

- Leia? - powiedział błagalnym tonem. Dziewczyna sprawnie przekręciła wyłącznik na karku androida i ten zastygł w teatralnej pozie.

Han westchnął głośno z wyraźną ulgą. Chewbacca zaszczeakał, wyrażając mniej więcej to samo i potrząsnął cynamonową sierścią.

- Siedem minut do wejścia na orbitę - zapowiedział Han.

Leia odpięła pasy i przysunęła się do tablicy przyrządów przyciskając nogę do uda Hana.

- Imperialni mogą się tu kręcić. Gdzie są skanery?

Han włączył je i obraz szóstej planety wypełnił ekran] Chewbacca szczeknął kilkakrotnie i warknął gardłowo.

- Nic, tylko śmieci i lód - przetłumaczył Han. - W systemie Bakury jest tylko jeden gazowy gigant i pozbawiona dozoru komety szwendają się po wszystkich zakamarkach. - Przerwał na chwilę. - Jak siądziemy na tym lodzie, tej rozgrzany „Sokół” wtopi się w niego aż po dach.

- Patrzenie - wskazała Leia. - Jakież osiedle w pobliżu! równika.

- Widzę. - Han Solo skierował statek ku skupisku regularnych brył. - Ani śladu satelitów obronnych, brak sygnałów! radiowych. - Chewie mruknął przytakująco.

Domy były coraz bliżej. Han zwiększył skalę powiększenia! po czym zatrzymał obraz na kilku, wyraźnie świeżych kraterach i zburzonych murach.

- Ale ruina - stwierdziła Leia.

- Dziesięć do jednego, że ci tajemniczy obcy złożyli tu wcześniej wizytę.

- To może i lepiej. - Leia zdmuchnęła pyłek kurzu z włosów Hana, który aż odwrócił się, zaskoczony. - Ta znaczy, że najpewniej już nie powrócą.

- Odfajkowali i skreślili z listy - zgodził się.

- Mają teraz większe zmartwienia. Byle tylko Luke uważaj na siebie.

- Tyle, to on potrafi. Dobra, Chewie, to wygląda na całkiem miły zakątek. Będziemy mogli nawet ukryć się tu po wylądowaniu. Obłożymy grata kamieniami. Zwolnij, schodzimy. Na zimnym ciągu, tyle tylko, by wyzerować tutejsze przyciąganie.

Wszystko to brzmiało prosto, w realizacji było jednak nieco] trudniejsze. Grawitacja tej kuli lodowej wynosiła nie więcej niż 0,2 G. brak było atmosfery rozgrzewającej zwykle kadłub, alej siłownia pozostała wciąż ciepła na skutek niedawnego skoku nadprzestrzennego. Zresztą w tak zaśmieconej przestrzeni niezliczone drobiny co chwilę uderzały o pancierz. Pozostałej włączyć dziobowe tarcze i

wyrazić szczerzy żal, że statek nią dysponuje zewnętrzną instalacją chłodzącą. Ale sam żal w niczym niestety nie poprawiał ich sytuacji.

Niedaleko za linią równika natrafili na krater dość obszerny, by pomieścić całego „Sokoła”. Han zawiesił statek nad zagłębieniem.

Już miał opuścić go niżej, gdy dostrzegł lśniąca powierzchnię cieczy rozlewającej się na samym dnie krateru.

Nie mogła to być woda ze zwykłego lodu, już prędzej amoniak, tak czy inaczej stopniał szybko, nawet w chłodnym podmuchu dysz ładowniczych.

I co teraz?

Chewie mruknął coś tytułem propozycji.

- Tak - odparł Han. - Orbita synchroniczna. Dobry pomysł.

- To nie będziemy lądować? - Leia wróciła na swój fotel, gdy „Sokół” śmignął nad ruinami i poszedł w górę.

Chewbacca warknął, informując o swych wątpliwościach.

- Nie, działa całkiem dobrze - odpowiedział Solo.

- Co nie działa? - spytała Leia.

Han spojrział krzywo na Chewie'ego. Serdeczne dzięki, przyjacielu - pomyślał.

- Skanotraser „Sokół”. Do programowania orbit dla autopilota. Włączony do modułu, który zwykle nie zawiera takich wynalazków.

- A to dlaczego? Han zachichotał.

- Tak małego statku nie da się skutecznie zmodyfikować konwencjonalnymi metodami. Zawsze zostają jakieś części... Skanotraser działa całkiem poprawnie, Chewie tylko chce mieć pewność, że nie zejdziemy z kursu. Na tym kursie, nikt nas nie dostrzeże. - Han nacisnął palcem sensor. - Twój braciszek włączył się już pewnie do walki za sprawę Imperium. Może chciałabyś zerknąć?

Leia zmarszczyła brwi.

- Na tym skanerze nie sposób odróżnić kto jest kto. Tak czy inaczej, wcale nie podoba mi się rola, którą mi tym razem wyznaczycieście.

- Joj! - Czyżby jeszcze jej nie przeszło? - Joj! - powtórzył Han wesoło.

Może w końcu będą mieli chwilę wytchnienia. Wakacje na Endorze były do bani, dużo roboty, a Leia wyczerpana i chora. Podczas skoku też ciągle było coś do wykonania, na dodatek 3PO płatał się nieustannie pod nogami i wlaził wszędzie bez pukania, niemniej Hanowi udało się uprosić Chewie'ego, by cichcem przebudował nieco ładownię „Sokoła”. Była to modyfikacja stojąca w jawnej sprzeczności z wymaganiami certyfikacyjnymi dla małych frachtowców.

Han nie oglądał jeszcze rezultatów pracy Chewie'ego pozostawało mu zatem żywić nadzieję, że da się na to popatrzeć bez bólu. Wookie był geniuszem techniki, ale jego zmysł estetyczny siłą rzeczy daleko odbiegał od ludzkich standardów.

Co tu dużo mówić, zagrożenie działaniami wojennymi nią było wcale najważniejszym powodem, dla którego Han Solo tak nalegał na ten piknik.

Leia włączyła z powrotem C - 3PO i podążyła za Hanem. Od czasu bitwy o Endor przegadali wiele godzin i dziewczyna przekonała się, że pod cyniczną maską

przemycnika Han kryją wiarę w podobne co ona ideały. Głęboko je taił, a ponadto obawiał się utracić Leię, szczególnie od chwili, gdy Luki ujawnił przed nią okrutną prawdę, że Darth Vader był jej...

Nie.

Odepchnęła tę myśl. Kiedy widziała eksplodującą kulę planety Alderaan, wydało się jej, że patrzy na śmierć własnej rodziny. A tymczasem jej ojciec stał tuż...

Nie! Nigdy nie uzna go za ojca. Nawet, jeśli Luke to uczynił!

Pochyliła się, by ominąć zwisający przewód. Jeśli miała pozbierać się nieco psychicznie po ostatnich przejściach, ta przydałoby się przynajmniej parę godzin oddechu. I tali zmarnowała już szereg dni na rekonwalescencję. Potarła prawe ramię. Swędziało lekko pod plastrem z syntetycznej skóry! ale można było wytrzymać. Byłe nie myśleć o tym przez cały czas.

Zatrzymała się przy rampie wejściowej, oparła o przepierze! nie i spojrzała na Hana.

- Zostało coś do naprawienia? - spytała, pamiętając, że „Sokół” jest pierwszą miłością Hana i im szybciej to zaakceptuje, tym rzadziej będzie dochodzić między nimi na tym tle do konfliktów. Poza tym głupio być zazdrosną o statek.

Han opuścił swobodnie ręce wzdłuż lampasów spodni.

- Przez parę godzin będzie teraz pewnie spokój. Zresztą Chewie czuwa nad wszystkim.

Nagle Leia spostrzegła, że żarząca się od dłuższego czasu oczach Hana gorączka bitewna nagle zgasła.

- Sądziłam, że jest coś do naprawienia. - Podjęła wyzwanie. - No, co to za modyfikacja, którą koniecznie chcesz przetestować w warunkach polowych?

- No, jest jedna. Tam, w luku towarowym.

Ruszył zakręcającym korytarzem, stuknął w płytkę kontrolną i zszedł do rufowej ładowni. Otwartą dłońią odsunął właz do pomieszczenia na prawej burcie.

- Tutaj są generatory tarczy.

Leia dołączyła do niego. Dziwnie pachniało w tej ładowni.

- Co szmuglujesz tym razem?

- Coś, co zabrałem z Endoru.

- Chyba razem to zabraliśmy - poprawiła go.

Tyłną część pomieszczenia oddzielało kilka gęstych kratownic. Han otworzył zamek, dziwnie przypominający Lei zamki stosowane w lodówkach, sięgnął do wnęki i wydobyl butelkę.

Dziewczyna wzięła ją do ręki i obejrzała ze zdumieniem. Prymitywne, szklane naczynie z zatyczką z kory. Wynalazek pochodzący z mocno niehigienicznych czasów.

- Co to jest?

- Prezent od znachora Ewoków. Pamiętasz go. To ten, który mianował nas honorowymi członkami plemienia.

- Tak. - Leia oparła się o kratownicę i oddała mu butelkę. - Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Han pociągnął zatyczkę.

- To wino... owocowe... - mruknął. Korek puścił. - Coś na ośmielenie, czy też, jak powiedział kiedyś pewien poeta: „trunek na rozpalenie żywym płomieniem serca, w którym tli się już zaproszony ogień”, czy coś w tym stylu.

A zatem o to mu chodziło.

- Ale teraz jesteśmy na wojnie.

- A kiedy nie jesteśmy na wojnie? Życie przeleci, a na starość okaże się, że na nic innego nie mieliśmy czasu.

Leia poczuła, że lekko się rumieni. Wolałaby pogadać z Hanem, pokłócić się albo nawet pomocować, ale chować się tak, by po kryjomu pić wino... owocowe? I to w czasie, gdy w pobliżu wrze walka. Bail Organa powiedziałby, że Han nie jest w najmniejszym stopniu godny jej osoby i że żadna z niego Partia. Rozwiązywanie wszystkich problemów za pomocą blastera, to nie metoda na... Ostatecznie była księżniczką, jeśli nawet nie z urodzenia, to z adopcji i wychowania.

Nagle cień padł na jej myśli: Vader. Tak go nienawdziła.

Wino zachlupotało w kamionkowym kielichu. Bez wątpienia nie był to najlepszy rocznik.

- A może byśmy raczej... - urwała.

Przecież Luke i tak nie będzie miał teraz głowy, by ucinaj sobie pogawędki przez radio.

- Hej! - Han wręczył jej kielich. - O czym myślisz! Boisz się?

- Za wiele dzieje się naraz. - Stuknęła się z nim i pucharki zadzwoniły cicho.

- Ty się boisz?

Leia uśmiechnęła się. Nie było sensu udawać odważnej! Upiła łyk, potem powąchała zawartość kamionki i zmarszczyła nos.

- Za słodkie.

- Podejrzewam, że innego tam nie robią. - Han postawił swój kielich na jednej z paczek, wziął dziewczynę za rękę i pociągnął do odgradzonej kratownicami części ładowni. Leia też odstawiła naczynie. - Ja... - urwał.

Spojrzała tam, gdzie on, i zamarła, widząc całkiem zgrabne gniazdko uwite z... nadmuchiwanym poduszkiem.

- Chewie... - jęknął Han, opuszczając ręce w gestia rozpacz. - Chewie i jego genialne pomysły. Za grosz gustuj. Nie powinienem ufać Wookie'emu w takich sprawach...

Leia roześmiała się.

- Chewie to zorganizował?

- Niech no tylko dostanę tego futrzaka w swoje ręce... Wciąż chichocząc, pchnęła go mocno. Han zdążył złapać jej rękę i runęli razem na stos poduch.

ROZDZIAŁ 4

Chewbacca miał nadzieję, że dobrze się sprawił. Wprawdzie Hanowi brakowało poczucia smaku i wyrobienia estetycznego, by docenić takie starania, ale intencje miał szlachetne i Leia powinna to zauważyć. Ostatecznie wyglądała na dość rozumną i wrażliwą kobietę.

3PO plótł coś od rzeczy na tylnym siedzeniu, a Chewbacca zajął się modulem łączności, usiłując odgadnąć przebieg bitwy. Stracił kompletnie orientację i nie wiedział, która z tych rojących się, jasnych plamek była krążownikiem „Szkwał”.

- To niezbyt dobre schronienie - dodał 3PO. - Szósta planeta ledwie zasługuje na swoją nazwę. Toż to wielki gład pokryty lodem. Nawet nie ma tu żadnej bazy, jedynie ruinka posterunku Imperium. - Przerwał nagle. - Co to było, Chewbacco? Uraż mnie kilkoma kilobajtami danych.

Chewie wzruszył ramionami i złożył androidowi propozycję nie do odrzucenia.

- Ani myślę pieprzyć, jak mi to wmawiasz, ty źle wychowany karmicielu pcheł - pisnął 3PO. - Co za bezczelność! I to wobec takiej wcielonej doskonałości jak ja. Z pewnością słyszałem coś dziwnego.

Tutaj, na skraju systemu? Chewie rozważył możliwość wyrwania androidowi ręki z metalowego stawu. To byłaby nauzka... No tak, ale potem trzeba by pracowicie łączyć na nowo wszystkie te druciki.

- Wykryłem coś, co bez wątpienia nie było naturalnego Pochodzenia. Zrób coś.

Może zresztą... Przyciskając słuchawkę do ucha, Chewie Przełączył skaner na pasma niskich częstotliwości i polecił przeszukanie najbliższego otoczenia statku. Faktycznie, coś było. Pomruk był jednak zbyt słaby. Przy silnym wzmacnieniu przerywany sygnał stał się wreszcie słyszalny.

3PO uniósł dumnie głowę, jakby właśnie wymyślił coś niezwykłego.

- To osobliwe, Chewbacco. Przypomina mi kod używany! przez androidy do przekazywania pilnych poleceń służbowych! Ale skąd wziąłby się na tym pustkowiu aktywny android? Może ocalał w ruinach posterunku? Lub jakaś maszyna wciąż tam działa? Proponuję zawiadomić generała Solo i księżniczkę Leię.

Han zaznaczył wyraźnie, by mu nie przeszkadzać, chyba żeby supernowa wybuchła nagle gdzieś w pobliżu. Chewie przekazał to androidowi.

- Nie zaznam spokoju, dopóki nie ustalę pochodzenia tych sygnałów. W końcu znajdujemy się w strefie działań wojennych. To może być niebezpieczne. Chwilę... To nie jest ani koń Sojuszu, ani Imperium...

Ślad najeźdźców? Chewie nie wahał się dłużej.

- Generale Solo! - zapiszczało nagle w kieszeni koszuli Hana. - Generale Solo! - 3PO nie ustawał w wysiłkach.

- Wiedziałem - mruknął Han, a Leia wywinęła mu się z ramion. A było już tak blisko! - Co jest? - warknął.

- Panie generale, odbieram transmisję, której źródłem jest chyba jakiś android. Nie mam pewności, ale chyba się zbliżał

- No, no - mruknęła Leia i wstała, opierając się o ramię swego generała.

- Dobra, Chewie, zaraz tam będziemy - rzucił Han groźnym tonem.

Rozbawiona całą sytuacją Leia przelała swoje wino z powrotem do butelki i wetknęła korek na miejsce.

- To naprawdę nie moja wina - powiedziała, rozkładając bezradnie ramiona, po czym pobiegła korytarzem.

Han wsunął się już do kabiny, gdy główna tablica kontrolna zapłonęła alarmem.

- Co to? - spytała Leia.

Wspaniale, naprawdę wspaniale. Chewie uruchamiał już kolejne systemy.

- Kiepsko, kochanie. Zostaliśmy namierzeni.

- Przez kogo? - Leia opadła na tylne siedzenie.

- No? - zwrócił się Han do 3PO.

- Panie generale - zaczął android. - Nie mam jeszcze całkowitej pewności...

- To się zamknij - przerwała mu Leia. - Tam! - wskazała na środek ekranu. -

Patrzcie! Co to jest?

Zza krzywizny martwej lodowej kuli szóstej planety wypłynęło nagle osiem lub dziewięć niewielkich obiektów kierujących się prosto na „Sokoła”.

- Nie zamierzam czekać potulnie, aż się przedstawią - mruknął Han. - Chewie, działka.

Wookie wyraził głośno pełną aprobatę dla pomysłu generała.

- Wiemy, że obcy biorą więźniów - dodała Leia. - Byłaby to kiepska pozycja, jak na początek negocjacji...

- Nie grozi nam. Dalej, Chewie, idziemy do wieżyczek. Zobaczymy, z czego robią teraz te maszynki. Leia, zabierz nas, jak najdalej stąd. Jakoś nagle straciłem zaufanie do tej planety.

Leia przesunęła się na miejsce pilota. Uroczyste postanowienia Hana, że nigdy nie odda jej sterów, właśnie trafił szlag. No ale to była wyjątkowa sytuacja...

- Głównym atutem „Tysiącletniego Sokola” jest możliwość szybkiego umknięcia przeciwnikowi bez podejmowania walki z myśliwcami, do czego jest o wiele gorzej przygotowany.

Han ponaglany słowami androida, pobiegł do wieżyczki i usadowił się na stanowisku.

- Szybko się zbliżają - powiedziała przez interkom Leia. - Czy nasz komputer kojarzy cokolwiek? Kto to jest?

- Tak, generale Solo... - odezwał się android, ale Leia i tak udzieliła za niego odpowiedzi.

- Androidy bojowe dalekiego zasięgu. Tyle tylko zdołał wypluć, nie wie nic więcej.

Obiekty rozdzieliły się. Trzy zawisły nad asymetryczną sylwetką frachtowca i otworzyły ogień, celując w siłownię.

- Niech komputer sprawdzi, co to za broń - krzyknął Han, odpowiadając z działek.

- Lasery czy co?

Chewbacca zaklął głośno.

- Całkiem niezłe - odparł Han. - Jak na tak małe Jednostki!

- Co? - spytała Leia. - Co na tak małe...

- Potężne tarcze. - Han skupił ogień na jednym z androidów, trzymając go pod ciosami tak długo, jakby chodziło o potężny myśliwiec klasy TIE. W końcu jednostka eksplodowała.

„Sokół” zadrżał, gdy kolejny android wziął go na celownik. Han poprawił się w fotelu. Tę zabawę znał aż za dobrze. Jeden ze stateczków przemknął tuż obok burty frachtowca.

- Spryciarze. Szybko się uczą.

Statek drgnął nagle, skrzył i android znalazł się w ogniu całej wiązki pocisków, eksplodując płomieniem.

- Tak lepiej? - spytała Leia.

- O wiele.

Dwa kolejne pociski przymierzyły się do siłowni, dziwnym trafem ominęły wieżyczki strzelnicze i kabinę. No tak, chcą nas wziąć żywcem - pomyślał Han. Ale gdzie jest ich statek macierzysty? A może zostały tak zaprogramowane, by działać samodzielnie?

- Założę się, że obcy zostawili ich tu po zniszczeniu posterunku - powiedziała Leia, jakby czytając myśli Hana, który zdołał właśnie udowodnić wyższość skoncentrowanego ognia nad tarczą. Kolejna fala szczątków szybko zniknęła z pola widzenia.

- Przyjmuję zakład - wykrztusił przez zęby. Cisza.

- To już wszyscy, Chewie? Rozległ się potwierdzający ryk. Dysząc ciężko, Han wrócił do kabiny.

- Dokąd lecimy? - spytał Leię.

- W głąb systemu. Tutaj może być więcej tego draństwa i nie wiem jak ty, ale ja poczuje się bezpieczniej, gdy dołączymy do reszty naszej grupy. - Gdy wstawała z fotela kapitańskiego, jęk silników nagle umilkł, a światła w kabinie przygasły. - A to co znowu? Nigdy nie wiem, czego oczekiwać po tym ultranowoczesnym złomie.

Albo po jego zarozumiałym kapitanie - pomyślał Han. Światła znów rozbłyły, silniki ożyły.

- Znikamy stąd. - Solo wrócił na swoje miejsce. Leia założyła wyzywająco ręce na piersi.

- Biorąc pod uwagę, jak wyglądała ochrona mojej osoby, równie dobrze moglibyśmy postrzelać sobie, wspierając Luke'a.

- Lepiej zapnij pasy, kochanie. Ruszamy.

Luke śledził wzrokiem bieg wydarzeń ukazywanych na ekranie BAK-a. Jednostki Imperium znajdowały się w odwrocie.

Pojawienie się grupy Sojuszu nie miało nic wspólnego z tym manewrem. Wyjście Luke'a z nadprzestrzeni zbiegło się ze pasowanym atakiem sił obcych na ostatnie jednostki strzegące dostępu do powierzchni Bakury. Tym samym wroga flota musiała osłabić swój zewnętrzny pierścień osłony. Jeden z lekkich krążowników został praktycznie bez eskorty, stwarzając skromnej flotylli Luke'a wspaniałą okazję do odniesienia szybkiego sukcesu.

- Delckis, daj mi dowódców dywizjonów.

W słuchawkach coś syknęło i Luke poprawił je na głowie.

- Dobra, niech wiedzą, z kim mają do czynienia. - Podświetlił na ekranie sylwetkę samotnego krążownika. - Tu dowódca Żłocistych, Hultaj Jeden jest wasz.

- Załatwimy go, „Szkwał” - odezwał się Wedge Antilles tonem zawodowca, dla którego takie zadanie było chlebem powszednim. - Hultaje, konfiguracja bojowa.

Luke czuł się dziwnie nieswojo, pozostając podczas walki na pokładzie mało odporne na trafienia krążownika - nosiciela myśliwców.

- Dowódca Czerwonych, podziel swój dywizjon. Pierwsza czwórka obstawia drogę ucieczki za grupami Hultai i Żłocistych. Odepchniemy ich od planety. - Luke miał nadzieję, że BAK zbierze przy tej okazji dość danych, by ustalić możliwości bojowe jednostek obcych.

Ponownie uprzytomnił sobie, że te żółtozłote kreseczki na ekranie to imperialne myśliwce. Oto przyszło mu stanąć w obronie wroga...

- Reszta grupy Czerwonych zostaje w osłonie „Szkwału” - rozkazał.

Siedząca obok niego na wysokim kapitańskim fotelu Manchisco, odwróciła się od głównego komputera. Po trzy czarne warkoczyki kołysały się po obu stronach jej głowy.

- Dziękuję, komandorze.

Luke wyczuł jej zapach do walki, jak również pełne zaufanie wobec statku, jego załogi, a także własnych umiejętności.

Dywizjony oznaczone jako Żłociści i Hultaje zaatakowały ariergardę obcych. Luke odczuwał emocje pilotów własnych Myśliwców, jednak nie odbierał żadnej emanacji z wrogich statków. Ale rozpoznawanie umysłów obcych nigdy nie było łatwe.

Wedge podszedł do myśliwca obcych. Była to jednostka o ledwie dwumetrowym przekroju. Coś tak małego musi być automatem - pomyślał Luke. - Chyba, że obcy są niewiele więksi od mrówki...

Wedge otworzył ogień. We wnętrzu obcego myśliwca coś pisnęło, syknęło i... umarło. Luke przełknął ślinę. Czyżby wyczuł właśnie śmierć jednej, a może dwóch istot? Tak czy inaczej, nie były to automaty, miały pilota na pokładzie. Jakiegoś pilota. Coś, co umiera.

Zanim jeszcze dokończył tę myśl, następna formacja wrogich myśliwców błysnęła, lecąc tuż za dowódcą dywizjonu Żłocistych. Tym razem Luke otworzył się na wszelkie doznania. Rozpacz, smutek, żal... bardzo słabe, dziwnie stłumione... ale ludzkie.

Luke nie potrafił wyobrazić sobie, jak człowiek mógłby zmieścić się w takiej skorupce, a wszystko wskazywało na to, że w myśliwcu znajdowały się dwie ludzkie istoty.

BAK pisnął i podświetlił na czerwono sylwetkę lekkiego krążownika, oznajmiając, że okręt jest całkowicie pozbawiony eskorty.

- „Szkwał” do Hultaja Jeden. Bez zwłoki zająć się krążownikiem.

- Jestem już przy nim - zachrypiał Wedge, ledwie słyszalny poprzez rozlegające się w eterze gwizdy. Na ekranie pojawiła się sylwetka myśliwca typu X.

Z luku hangarowego wysypało się nagle jeszcze kilka formacji miniaturowych myśliwców obcych.

- Zaprzestać. Wedge, nadchodzi następna fala! - krzyknął Luke.

- Zauważyłem. - Gwizd był coraz głośniejszy, bez wątpienia celowe zagłuszanie. - Jak tam BAK? Połapał się już w sytuacji? - Myśliwce Sojuszu podzieliły się na pary i zaatakowały obcych.

Miejsce Luke'a było z nimi. Najlepszy pilot marnował się na mostku...

BAK znów pisnął, zmieniając nieco układ symboli na ekranie. Komputer analizował nieustannie liczbę i szybkość jednostek, ich uzbrojenie i moc tarcz... Imperialni przeformowali szyki i zebraли się do kontrataku. Pter Thanas był niewątpliwie dobrym strategiem. Nagłe poruszenie w polu Mocy zjeżyło Luke'owi włosy na głowie.

Pochylił się bliżej ekranu. Wedge nie ustawał w torowaniu sobie drogi do lekkiego krążownika i radził sobie całkiem dobrze. Imperialni też szli do przodu. Tylko tak dalej.

Ale jednak...

Niewielka jednostka obcych, mniejsza niż krążownik, ale bez wątpienia silnie uzbrojona, odłączyła od głównych sił i skryta za sylwetką lekkiego krążownika zbliżała się do dywizjonu Wedge'a. Wedge nie mógł jej dojrzeć na czas. Bez wątpienia obcy dowódca zamierzał poczekać na okazję, aż będzie mógł zaatakować myśliwce Sojuszu z tylnej pół - sfery.

- Hultaj Jeden - rzucił Luke. - Wedge, uważaj, za tobą! Gruba sztuka. Grupa osłony, zdejmijcie go Wedge'owi z ogona - dodał po chwili.

- Co mówisz? - Wedge był ledwie słyszalny. Dwa smukłe myśliwce weszły w strefę rażenia obcego statku i ekran rozbłysnął eksplozjami.

Luke poczuł dobrze znany ból, który pojawiał się zawsze, ilekroć ginął któryś z pilotów Sojuszu. Nie, to nie Wedge, upewnił się. Zginęło dwóch innych ludzi. Też byli czyimiś przyjaciółmi. Odeszli.

Nie było jednak czasu na opłakiwanie poległych. Obcy statek wciąż trzymał się ogona myśliwca Wedge'a.

Kapitan Manchisco chrząknęła znacząco.

- Przepraszam, komandorze, ale zostawia pan „Szkwał” zupełnie bez eskorty...

Już miał odwrócić się do niej, gdy BAK zakomunikował nagle, że krążownik stał się obiektem ataku. Wrogie myśliwce przemknęły przez ekran.

- Nic dziwnego. W końcu go zauważyli. „Szkwał” to twoja działka, Manchisco.

W czarnych oczach Manchisco pojawił się dziwny błysk. Szybko wydała rozkazy swoim oficerom. Duro zagulgotał coś z dłońmi uniesionymi nad konsolą i kapitan mu odpowiedziała. W równie niezrozumiały sposób.

Krażownik był ostatecznie samodzielną jednostką bojową niosącą na pokładzie stosowne uzbrojenie i potężne generatory pola. Luke przestał myśleć o sobie i ponownie zajął się Wedge'em.

Miniaturowe myśliwce otoczyły już cały dywizjon, tarczami i ogniem z działek zamykając drogę ucieczki. Luke starał się nie wpadać w panikę i wniknął w pole Mocy.

Sięgnął myślą do miniaturowego stateczka, który rozpadł się na kawałki tuż przed myśliwcem Wedge'a. Sondując ostrożnie, wyczuł obecność dwóch niemal ludzkich umysłów. Walcząc z mdłościami, musnął te umysły po kolei. Pierwszy zawiadywał tarczami, drugi wszystkimi pozostałymi urządzeniami. Luke skupił się na tym drugim, przekazując mu energię Mocy. Jak na coś tak drobnego i słabego, stawał niespodziewany opór. Nagle wyłoniła się osobliwa myśl: nikt nie zasługuje na wolność. Wobec takiej postawy Luke był bezradny, nie mógł pomóc ani Wedge'owi, ani sobie, ani żadnej z tych nieszczęsnych istot zamkniętych w myśliwcach obcych. Wszyscy byli skazani na zagładę.

Wciąż jednak walczył, by odpędzić nękającą umysł obsesję. Ujrzał całe pole zdarzeń i musiał zawęzić spojrzenie, by uniknąć zalewu zbyt wielu informacji. Skupił się na myśliwcu Wedge'a i stateczku obcych. Dojrzał trójkątne oblicze, skaner i czujniki niby sztuczne oko, działko laserowe w każdym rogu.

Strach, gniew, agresja... ciemna strona Mocy. Yoda uczył go, że żaden cel nie usprawiedliwia użycia takich środków. Przyzwanie ciemnej strony Mocy, nawet w samoobronie, zwykle kosztuje przyzywającego zbyt wiele.

Odrpęził się. Wzmacniając kontrolę nad samym sobą, wzmocnił impuls współczucia. Wiedział już, że źródłem determinacji uwięzionych umysłów jest ich cierpienie. Niegdyś istniały jako wolne jednostki... Znając swoje przeznaczenie, mimo wszystko pragnęły podtrzymać egzystencję...

Luke spróbował sformułować odpowiedź.

Czasem śmierć w dobrej sprawie lepsza jest niż życie w niewoli. Spokój lepszy jest niż gniew i nienawiść.

Obcy statek zmienił nagle kurs. Przyspieszył i skierował się na bliźniaczą jednostkę i staranował ją. Kontakt urwał się i ciężko dyszący Luke odgarnął kosmyki opadające na zroszone potem czoło.

Trzask w słuchawkach przywrócił go do rzeczywistości. Minęła chwila, zanim zdołał skupić wzrok na mostku krażownika.

Myśliwiec Wedge'a wymknął się z pułapki przez lukę pozostałą po dwóch zniszczonych jednostkach obcych.

- Komandorze - odezwała się kapitan Manchisco i Luke całkowicie otrząsnął się z transu. - Wszystko w porządku?

- Tak. Zaraz dojdę do siebie. Proszę mi dać jedynie minutę.

- Wtedy już może być za późno.

BAK mruga alarmami, a „Szkwał” drży pod ciężkim ogniem. Strzelcy pokładowi zdolali rozproszyc pierwsze zgrupowanie myśliwców, natychmiast jednak nadciągnęło następne, wzmocnione przez trzy większe jednostki. Na skraju ekranu pojawiła się informacja, że tarcze dysponują już resztkami energii. Luke uspokoił się już niemal całkowicie. Pora była zająć się bliższym zagrożeniem.

- Siłownia daje już z siebie wszystko - powiedziała Manchisco. - Nie przychodzi panu do głowy żaden pomysł?

Inaczej mówiąc, może by tak sławny Jedi wyciągnął ich z tej bryndzy? Pani kapitan wciąż była opanowana, ale i u niej poziom adrenaliny wyraźnie się podniósł.

Nawigator coś zagulgotał.

- Nie - rozkazała, wyraźnie zaniepokojona. - Zostań na stanowisku. - Duro przesunął dłonią po szarej skórce głowy.

- Wszystkie dywizjony - zawołał Luke. - „Szkwał” potrzebuje wsparcia.

Okręt znów zadrzżał i światła na mostku zamigotały.

- Mieliszmy tarcze - oznajmił ktoś z załogi. - Teraz dowiemy się, jak solidny jest kadłub.

Dwumetrowa piramidka przemknęła przez ekran. Luke zacisnął pięść. Pomysły roily mu się w głowie, ale wszystkie bezużyteczne.

Nagle na ekranie pojawił się oślepiający błysk i to w samym środku walczących. Niesymetryczny dysk frachtowca wyszedł z nadprzestrzeni pomiędzy wrogimi myśliwcami, dokładnie za rufą jednej z większych jednostek eskortowych, szybko zamieniając ją jedynie we wspomnienie.

- Sądziłem, że może potrzebujecie pomocy - odezwał się znajomy głos w słuchawkach.

- Dzięki, Han - mruknął Luke. - Miło, że wpadłeś.

Myśliwiec za myśliwcem, obcy wymykali się obok „Szkwału” w otwartą przestrzeń, czerwień alarmów gasła na ekranie, zastępowana bursztynowym blaskiem.

- Ilu takich zdjąłem ci już z ogona, młody?

- Kilku - mruknął Luke.

Może to Leia skłoniła ich do powrotu. Ostatecznie potrafiła już całkiem dobrze orientować się w subtelnosciach Mocy.

Bitwa z wolna wygasła. BAK dalej częstował obecnych na mostku liczbami i symbolami, ale Luke nie zwracał na nie uwagi. Przydadzą się później, gdy będzie ze swoimi pilotami analizował możliwości jednostek obcych. Na razie rozważał sytuację, w której się znalazł.

- Czerwoni - rozkazał w końcu. - Zająć pozycję przed dziobem wrogiego krążownika. Wziąć go w kleszcze pól.

Nie minęła chwila, a spora jednostka zapaliła się na ekranie czerwienią, wciąż ślepa na obecność myśliwców Sojuszu. Jeszcze trochę...

- Dowódca Czerwonych?

- Już się nim zajmujemy.

Luke zacisnął dłoń na krawędzi pulpitu. Następnym razem poprosi Ackbara, by kogo innego wyznaczył na dowódcę. Dość tego. Paskudne zadanie, z którego trzeba będzie zrezygnować przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Poczuł rozchodzące się w polu Mocy fale, które zwiastowały zagładę krążownika. Parę milisekund później jaskrawy błysk zalał ekran.

- Mamy go! - zacharczał głos Wedge'a. - Dobra robota, dowódco Czerwonych!

Luke wyobraził sobie, jak najmłodszy z dowódców dywizjonów uśmiecha się pod osłoną hełmu.

- Dobra robota - powtórzył za Wedge'em. - Ale nie usypiajcie tam jeszcze. Bandyci kręcą się w dalszym ciągu po okolicy.

- W porządku, „Szkwał”. - Formacja myśliwców przemknęła przez rejon zniszczenia, by zebrać jeszcze trochę danych dla BAK-a. Taka sobie inauguracja, Dodonna - Luke zwrócił się w myślach do twórcy komputera bojowego. BAK był niewiele sprawniejszy i mniej użyteczny niż moduły celownicze myśliwców.

- Komandorze - odezwał się gdzieś obok porucznik Delckis. - Może wody?

- Dzięki. - Luke przyjął pękaty pojemnik i spojrzął na ekran, na którym ponownie zaszyły zmiany. Ktoś po drugiej stronie musiał zacząć wreszcie wydawać konkretne rozkazy, wszędzie bowiem czerwone kreseczki wycofywały się z walki. - Dowódcy dywizjonów. Bandyci przygotowują się do skoku. Nie wchodzić im w drogę, ale reagować na każdą próbę ataku.

Kojący wpływ Mocy... Ale przecież nie przybyli tu, by zabijać... Mieli tylko wystraszyć wroga. Ich prawdziwym zadaniem są rokowania. A zamiary obcych nie były dotąd znane. A nuż uda się posterować nimi przeciwko Imperium?

Luke zmienił kanał.

- Widział pan to, komandorze Thanas?

Odpowiedź nie nadeszła, ale komandor Thanas miał zapewne pełne ręce roboty. Luke patrzył z ulgą, jak oddalające się formacje znikają z ekranu.

- I to by było na tyle - powiedział. - Jak na razie dobrze się sprawiamy. Objąć cały system skanowaniem, Delckis. Podejrzewam, że nie odlecieli daleko.

- Tak, komandorze.

Luke upił łyk pozbawionej smaku wody pochodzącej z zamkniętego obiegu. Wciąż oddychał z wysiłkiem. Więcej samokontroli następnym razem - obiecał sobie w duchu.

- Komandorze - odezwał się Delckis. - Miał pan rację. Wychodzą z nadprzestrzeni. Znajdują się na skraju systemu.

- Hmm - mruknął Luke. Prawdę mówiąc pragnął, by obcy po prostu zawrócili tam, skąd przyszli.

Przeciągnął się. I co dalej? Postawił naczynie na obudowie BAK-a. Może by tak od razu przerobić go na stolik?

- Delckis wyślij wiadomość admirałowi Ackbarowi. Potrzebujemy więcej jednostek. Do raportu dołącz zapis bitwy. Niech sami zobaczą, co tu się działo. Da się to zrobić w pół godziny?

- Bez trudu, komandorze.

Jakie szczęście, że udało się w swoim czasie wykraść Imperium nowoczesne moduły łączności.

- Wykonać. - Trzeba będzie uzupełnić paliwo i amunicję na myśliwcach, a piloci powinni odpocząć. - Dowódca dywizjonów, mówi „Szkwał”. Dobra robota. Wracajcie do domu.

Manchisco westchnęła, potrząsnęła warkoczykami i poklepała nawigatora po ramieniu.

Błękitne sylwetki myśliwców zaroily się na ekranie wokół krążownika.

- Do dowódcy sił Sojuszu - odezwał się nagle głos w słuchawkach. - Mówi komandor Thanas. Czy macie odbiornik holo?

- Tak, ale nie najnowszy model. Prosimy o pięć minut. Porucznik Delckis pracował wytrwale, by skompletować improwizowany moduł łączności holowizyjnej.

- Daj mi znać, gdy będziesz gotowy - rozkazał Luke.

- Już jest gotowe. Działa w obie strony.

Na ekranie pojawił się obraz mężczyzny w wieku około pięćdziesięciu lat, o wąskiej głowie z krótko przyciętymi, lekko kędzierzawymi, ciemnymi włosami.

- Dziękuję - odezwał się komandor Thanas. - I gratuluję zwycięstwa.

- Nie uciekli daleko.

- Wiem. Będziemy ich mieli na oku. Może chcecie przesunąć się gdzieś dalej od obszaru bitwy. Obcy zostawili tu wiele gorących szczątków.

- Gorących? - Luke spojrzał na odczyt temperatury zewnętrznej powłoki kadłuba.

- Myśliwce Ssi-ruuvi strzelają ciężkimi pierwiastkami. Jeszcze jedno określenie: Ssi-ruuvi. Ciekawe, skoro obcy mieli zamiar podbić Bakurę, to czemu zaśmiecali ten system radioaktywnymi odpadami?

I dlaczego Thanas zadał sobie aż tyle kłopotu, by uruchomić łączność holo podczas mało istotnej w końcu rozmowy?

Tak, ciekawe - pomyślał Luke, gdy Thanas zniknął. Może chciał mieć pewność, że rozmawia z człowiekiem? Albo zamierzał sprawdzić, czym właściwie dysponują rebelianci? Bo jeśli mają holo, to trudno wykluczyć, że dysponują także i innymi imperialnymi wynalazkami...

Luke spojrzał na żółte punkty oznaczające statki „sprzymierzeńców”.

- Podać analizę obrazu - rzucił BAK - owi.

Odczyt pojawił się po sekundzie. Poważnie uszkodzony krążownik Imperium dryfował bez mocy. Reszta sił Thanasa ustawiła się w szyku obronnym wokół jednostki... i Bakury.

Luke pomyślał, że on także nie uwierzyłby do końca Imperialnym, gdyby stwierdzili, że przychodzą z pomocą. Wykorzenie tej nieufności będzie zadaniem Lei.

- Dzięki „Sokół” - powiedział na prywatnym kanale łączności. - Jak tam sprawy na szóstej planecie, Han?

- Może kiedyś ci o tym opowiem - wyrwała się z odpowiedzią Leia.

ROZDZIAŁ 5

Gaeriela Captison, pani Senator Imperialnej Izby Bakury, siedziała, zsunawszy buty i gimnastykowała palce stóp. W sali zalegała cisza, słychać było tylko deszczówkę sączącą się wewnątrz czterech, wysokich na dwa piętra filarów, podtrzymujących wyłożone ceramiką, ostro zwieńczone sklepienie pomieszczenia. Specjalnie zaprojektowane rynny na dachu odprowadzały wodę do podświetlonych, przezroczystych kolumn, co miało urozmaicić wystrój dostojnej senackiej izby.

Rankiem tego dnia Gaeriela przystanąła na deszczu, pozwalając, by krople padały na jej skórę, włosy, wsiąkały w ubranie, słuchała przez chwilę szemrzącego rytmu wybijanego na targanych lekkim wietrzykiem liściach pokkty. Teraz wciągnęła głęboko wonne i wilgotne powietrze Bakury i złożyła dłonie na stole. Miała za sobą rok spędzony w Imperialnym Centrum, jedynym miejscu, gdzie mógł obecnie odbyć praktykę student zagadnień politycznych. Stosowna dawka indoktrynacji miała upewnić władze, że absolwenci zajmą się krzewieniem jedynej słusznej ideologii na podległych Imperium światach. Na rodzinną planetę wróciła zaledwie miesiąc temu, a ponieważ jeszcze jako dziecko wyznaczona została do sprawowania funkcji senatorskiej, otrzymawszy wieczorem telefoniczne wezwanie, po raz pierwszy stawiała się dziś oficjalnie w siedzibie najwyższej lokalnej władzy.

Poziom wyżej, po jej lewej stronie, stał fotel gubernatora Nereusa. Masywny, wyłożony purpurowymi poduchami, na razie świecił pustką. Słabszy z roku na rok senat oczekiwał cierpliwie przybycia swego imperialnego przełożonego.

Na jej poziomie znajdowały się dwa długie stoły, na trzecim, f najniższym, dwa inne, w kształcie półkola, ograniczały pusty środek sali. Orn Belden, senior izby, perorował właśnie, stukając palcem w blat.

- Nie rozumiecie? - syczał do senator Govi. - Jeżeli wziąć pod uwagę obszar, który Imperator pragnie utrzymać pod swoją kontrolą, przydzielone do tego zadania siły są żałośnie słabe... Statki mają więcej lat niż ja, a ich możliwości plasują się grubo poniżej średniej... O załogach już nie wspomnę, bo ich kwalifikacje...

- Wszyscy wstać - rozległ się donośny głos przy drzwiach.

Strażnik, odziany według antycznej mody w fioletowy kubrak, stuknął halabardą w podłogę. Gaeriela włożyła szybko buty i wstała. Trzydziestu dziewięciu pozostałych senatorów zrobiło to samo. Imperialni strażnicy zasalutowali. Należało żywić nadzieję, że dzisiejsze posiedzenie nie oznacza kolejnego podniesienia podatków. Ostatecznie mieli obecnie większe zmartwienia...

Imperialny gubernator Wilek Nereus wkroczył w otoczeniu czterech doborowych żołnierzy floty. Wystrojeni w czarne hełmy, dziwnie przypominali długonogie karakany. Sam gubernator miał na sobie specjalnie dla niego zaprojektowany mundur, kapiący od złota i wymyślnych obszyć, do tego dopasowane czarne rękawiczki

(świadczące wymownie o jego niecodziennych gustach). Rysy miał toporne, wargi wąskie i jak wszyscy urzędnicy Imperium, żywił głęboką pogardę dla wszelkiej nauki.

- Siadać - polecił.

Gaeriela rozprostowała swoją długą, błękitną spódnicę i usiadła. Gubernator stał ciągle w pobliżu wejścia. Był wyższy niż ktokolwiek z tubylców, często wykorzystywał wzrost, by zmanifestować swą przewagę. Gaeri nie lubiła go, ale rok spędzony w centrum nauczył ją tolerancji wobec podobnych „zjawisk społecznych” jak gubernatorzy.

- Nie zamierzam zatrzymywać was zbyt długo - odezwał się gubernator, wpatrzony w koniec własnego nosa. - Rozumiem, że utrzymanie spokoju w podległych wam sektorach wymaga czasu. Niektórzy z was radzą sobie z tym całkiem dobrze, inni nieco gorzej.

Gaeriela zmarszczyła brwi. Jej podopieczni porzucili normalne zajęcia i skupili się na kopaniu schronów, ale budowania bunkrów nie można przecież uznać za czynność bezproduktywną. Spojrzała na swego wujka, pierwszego ministra Yeorga Captisona. Zarządzał w Salis D'aar, gdzie ostatnio zdarzały się zamieszki. Tłumił je jednak skutecznie, z użyciem bakuriańskiej policji, co odsuwało groźbę interwencji ze strony imperialnego garnizonu.

Nereus uniósł dłoń, by uciszyć szmery. Spojrzał na zebranych i odchrząknął.

- Do systemu Bakury przybyło zgrupowanie statków Sojuszu.

To był szok. Rebelianci? Od czasu, gdy trzy lata temu Imperium inkorporowało Bakurę, zdarzyły się tu dwa pomniejsze bunty, skutecznie spacyfikowane. Gaeriela pamiętała te wydarzenia aż nazbyt dobrze. Wówczas zginęli jej rodzice. Przez głupi przypadek znaleźli się akurat w pobliżu walczących oddziałów. Teraz zmuszona była zamieszkać u wujostwa. Miała nadzieję, że nie będzie jej dane ujrzeć więcej żadnych powstań i dalszego rozlewu krwi.

Może ci wichrzyciele chcieli jedynie dostać w swe ręce zakłady przemysłu antigrav. To był dystrykt Beldena... Czy siły Imperium zdołają obronić Bakurę przed dwoma wrogami jednocześnie?

Nereus odchrząknął ponownie.

- „Dominator”, nasz jedyny ocalały krążownik, został ciężko uszkodzony. Za radą sztabu, postanowiłem wycofać główne siły i skupić się na osłonie samej Bakury. Oczekuję od was potwierdzenia tego rozkazu.

Belden wyprostował się i podkreślił zawieszony na piersi wzmacniacz.

- Panujemy nad nimi, gubernatorze? Niech coś pójdzie źle, będziesz mógł wskazać winnych? A kto powstrzyma Ssi-ruuków?

Użycie takiego tonu w rozmowie z imperialnym gubernatorem nie było czynem zbyt rozważnym, ale Belden zdawał się nie znać strachu. Miał sto sześćdziesiąt cztery lata i był jedną nogą w grobie, z drugim syntetycznym sercem w piersi. Może więc faktycznie nie miał się czego bać...

Gaeriela sprawdziła czas. Obiecała senatorowi Beldenowi, że zajrzy dziś wieczorem do jego żony. Pielęgniarz wychodził o dwudziestej trzydzięści i dziewczyna miała posiedzieć ze starszą panią do powrotu senatora z zebrania komisji. Eppie miała

zaledwie sto trzydzieści dwa lata, ale jej umysł zaczynał Już szwankować (tak naprawdę, to został dosłownie starty na proch trzy lata temu). Tylko poświęcenie Orna Beldena i szczerze oddanie kilku przyjaciół rodziny utrzymywały ją przy życiu. Dla Gaerieli była pierwszą „dorosłą” przyjaciółką.

Gubernator przesunął dłonią po ciemnych włosach. Zazwyczaj usiłował przybierać maskę dobrego republikanina i rzadko sięgał do grózb czy dyktatu. Bez zbędnego rozlewu krwi miał uczynić prowincję przydatną dla Imperium. Wszyscy dobrze pamiętali krwawe masakry, które miały miejsce trzy lata wcześniej.

Nereus uśmiechnął się blade.

- Podjęte przeze mnie działania mają na celu uchronienie Bakury przed atakiem rebeliantów.

- Czy to rebelianci uszkodzili „Dominatora”, czy Ssi-ruukowie?

- Nie dostarczono mi jeszcze pełnych raportów, senatorze Belden. Wydaje się, że przynajmniej na razie, twoje zakłady są bezpieczne. Przydzielę tam jeszcze trzy oddziały z garnizonu dla ochrony.

Ta uwaga z pewnością nie spodobała się Beldenowi. Pierwszy minister znów podniósł się z miejsca. Zielona tunika zakolysała się na idealnie prostych plecach.

Wróciwszy ze studiów, Gaeriela stwierdziła ze zdumieniem, że Captison posiwił, wciąż jednak prezentował się tak dumnie i dostojnie, że swą postawą onieśmiała nawet Nereusa.

Minister przesunął znacząco dwoma palcami po szwie spodni, co w tutejszym języku gestów oznaczało dążenie do pojednania. Belden też musiał to zauważyć, usiadł bowiem powoli, zostawiając pole pierwszemu ministrowi.

- Dziękuję, senatorze Belden. Według wszelkich znaków na niebie i ziemi, rebelianci zajęli obecnie pozycje pomiędzy nami a Ssi-ruukami. Może tak zresztą jest najlepiej.

Rozejrzał się po senatorach, spośród których wszyscy byli ludźmi, wyjątek stanowiło jedynie dwóch bladych Kurtzenów z dystryktu Kishh. Każda próba sprzeciwu wobec życzeń Imperium zmniejszała realną władzę senatu i pierwszego ministra.

- Proponuję poprzeć gubernatora Nereusa - powiedział Captison bez śladu entuzjazmu - a także jego rozkaz dotyczący wycofania grup bojowych.

Zarządził głosowanie. Gaeriela podniosła otwartą dłoń. Tylko Belden i jeszcze dwóch senatorów sprzeciwiło się większości.

Dziewczyna westchnęła. Belden nie potrafił pojąć, że pokój jest najważniejszy. Wyroki losu nic dla niego nie znaczyły. Nie chciał wierzyć w to, że ci, którzy teraz cierpliwie znoszą upokorzenia, zostaną docenieni w przyszłości, że czeka ich sowita nagroda.

- Dziękuję za poparcie - mruknął Nereus i wyszedł wraz ze swą eskortą.

Gaeriela popatrzyła za nim. Przed pojawieniem się Imperium najwyższą władzę na Bakurze stanowił senat pod przewodnictwem pierwszego ministra, ale skutki tego były opłakane. Nie zdarzyło się jeszcze, by trzy osoby w rządzie miały to samo zdanie na jakikolwiek temat. Gdy zaczynała naukę, rok szkolny dzielił się na dwa semestry,

potem zmieniono system na przemienny, czyli dwa miesiące nauki, miesiąc wakacji, ostatecznie zagmatwano rzecz w stopniu niesłychanym. Skoro rząd nie potrafił osiągnąć porozumienia w kwestii tak prostej jak kalendarium nauki w szkołach, to cóż dopiero można było mówić o sprawach bardziej skomplikowanych. Jako córka senatora i siostrzenica pierwszego ministra, Gaeriela nie raz słyszała pogłoski o różnych ciemnych machinacjach dotyczących przestrzegania prawa, eksportu urządzeń antigrav czy ustanawiania podatków.

Co gorsza, nawet w obliczu inwazji, nie udało się senatorom wybrać jednomyślnie strategii obronnej, Bakura szybko więc dostała się pod panowanie Imperium.

To ostatnie wyjaśniało, dlaczego gubernator Nereus nie dokonał prawie żadnych zmian w pierwotnym składzie rządu. Cóż, doświadczenie uczyło, że lepiej nie wypowiadać się głośno na temat senatu, nie ciesząc się zresztą szczególną sympatią mieszkańców systemu.

Imperialny pokój wynagradzał w pewien sposób Bakurze utraconą niepodległość, a w każdym razie Gaeriela skłonna była tak sądzić. Położył kres chaosowi i konfliktom wewnętrznym, a na dodatek otworzył przed bakuriańskimi wyrobami wiele nowych rynków zbytu.

Jednak wielu starszych senatorów miało inne zdanie, które czasem po cichu wypowiadali. Gaeriela słuchała ich, nie komentując.

Właśnie, skoro o dysydentach mowa, pora udać się do domu Beldenów. Włożyła buty i skierowała się do lądowiska na dachu.

Dev przeczekiwał zwykle bitwy w kabinie Firwirunga, pracując pilnie nad zasadami tłumaczenia, gdyż nie chciał odczuwać strachu, jaki ogarniał pilotów myśliwców schwytych w więzkę przyciągającą. Dziś jednak jego pan zażyczył sobie, aby Dev przyniósł na pokład dowodzenia tace z posiłkami i kontener z napojami.

Zmuszony koniecznością silniejszej niż zwykle obrony, admirał Ivpikkis zarządził zwiększenie ilości androidów bojowych, co odbiło się znacząco na stanie androidów pokładowych - na swoich stanowiskach pozostała jedynie straż na mostku. Devowi przypadła więc w udziale rola służącego. „Shriwirr” trzymał się z dala od pola walki, jego zadaniem była j osłona tyłów i utrzymywanie - łączności pomiędzy wysuniętą flotyllą a głównym tronem floty.

Ilekróć ludzcy więźniowie trafiali na pokład, Dev czerpał j skrywaną radość z ich obecności... chwilowej obecności, bo oczekiwanie na transfer nigdy nie trwało długo. Dev nie potrafiłby odmówić komukolwiek szczęścia przemiany, nawet w imię własnych, egoistycznych pobudek, ale czasem odczuwał niewytłumaczalny smutek. Wiele razy zdarzało się, że sięgał w trakcie walki daleko w przestrzeń, by musnąć chociaż ludzką obecność. Wzbudzało to w nim poczucie winy, ale było tak miłe...

Tym razem uczynił to samo i wyczuł... prawdziwą potęgę. ! Stanął nieruchomo, trzymając dłonie na poręczy wózka z prowiantem. Gdzieś poza krążownikiem pojawiła się osobliwa siła... siła kojarząca mu się z matką... Oczy zaszyły mu łzami. Ale przecież to nie ona? Nie wróciła po niego? Czy to możliwe? Przecież by go o tym uprzedzono...

Nie. Jeśli nawet był to umysł człowieka, to nie znajdował się on na Bakurze, ale gdzieś o wiele bliżej, a tym samym musiał to być umysł wroga. Poza tym emanacja okazała się o wiele silniejsza, niż w przypadku jego matki. Słyszał, jak admirał wspominał coś lekceważąco o nowej grupie bojowej nadciągającej ku planecie, ale, dziwna sprawa... ten przeciwnik kojarzył się Devowi z domem. Owszem, były też myśli o walce, ale nie tak zawzięte, jakieś osobiście jasne... Dev sięgnął dalej, zauroczony kontaktem. Przybysz zdawał się nie zauważać jego obecności.

Wózek potoczył się dalej. Nie należy o tym myśleć. Oby tylko nie wróciło...

Dev dotarł już niemal do mostka, gdy rozległ się gwizd Alarmu: zapiąć pasy na czas manewrów.

Zaskoczony Dev puścił wózek i przez otwarty luk rzucił się do hamaków awaryjnych. W najbliższym szamotał się już wielki, rdzawy Ssi-ruu, trochę dalej szukał sobie miejsca mały P'w'eck. W końcu Dev znalazł pusty hamak. Wsunął się do środka, zapiął pasy i zaczął się owijać materia. Bardziej niż kiedykolwiek, żałował teraz, że nie jest wielkim Ssi-ruu, bowiem musiał wykonać ponad dwanaście obrotów, nim się zacisnęła się bezpiecznie.

Przez kilka sekund nic się nie działo. Próbował sobie przypomnieć, czy zabezpieczył rano poduszki na legowisku, czy też będzie musiał zbierać je po całej kabinie. No tak, zostawił wózek na korytarzu.

Było gorzej, niż się spodziewał. Oto niezwyknięty „Shriwirr” przyspieszał gwałtownie przed skokiem w nadprzestrzeń. Ale przecież nie uciekał... Zwycięstwo było tak blisko... Już...

Pobliska ściana stała się na chwilę pokładem, następnie sufitem i żołądek Deva zaprotestował gwałtownie. Przyspieszenie wgniotło mu twarz w sześć warstw sieci. Pozostało wczepić palce w sploty, zamknąć oczy i mieć nadzieję, że wszystko to zaraz się skończy.

Gdy ciężenie wróciło do normy i gwizdki alarmowe ucichły, Dev zaczął szamotać się ponownie, tym razem by wyplątać się z sieci.

- Co się dzieje? - spytał go sąsiad. - Nie pamiętam, by od czasu Cattamascar zdarzyło się coś podobnego.

- Straciliśmy krążownik - odpowiedział znajomy głos. - I niemal wszystkie nowe androidy bojowe. Będziemy musieli marnować ludzi dla ochrony pozostałych jednostek. Zanim znów zaatakujemy, musimy dobrze przeanalizować taktykę nowo przybyłych. To była inna formacja. Inne typy statków, inny styl dowodzenia.

Inny styl dowodzenia? Czyżby pojawił się ktoś obdarzony Mocą? Może... może to jakiś genialny Jedi... Wyszkolony według metod, które jego matka ledwie zaczynała poznawać?

Ale podobno Imperium wymordowało wszystkich Jedi. Owszem, jednak Imperator nie żyje i może jakiś ocalały rycerz odważył się ujawnić swe istnienie.

To wszystko przypuszczenia. Dev, cały i zdrowy, wyplątał się wreszcie z hamaka. Przed nim stał Ssi-ruu odpowiedzialny za okresowe seanse terapeutyczne, wiekowy Sh'tk'ith zwany Błękitnołuskim. Pochodził z innej rasy Ssi-ruuvi, niż Firwirrung, łuskę miał cienką i jasną, smuklejszą twarz, dłuższy ogon. Podobni mu dominowali w

macierzystym świecie obcych, chociaż flota opanowana była głównie przez pobratymców Firwirrunga.

Dev powinien powiedzieć Błękitnołuskiemu, co wyczuł zaledwie kilka chwil temu... ale to oznaczałoby wyznanie winy, bo przecież nie powinien sięgać myślą tak daleko. Młodzieniec spojrział na pokład.

- Pozdrawiam cię, dostojny...

- Co cię gnębi? - spytał Błękitnołuski, wysuwając czarny, ruchliwy język. Spośród wszystkich Ssi-ruuków, on najlepiej wyczuwał ludzkie nastroje i stesy.

- Taka... tragedia - odparł ostrożnie Dev. - Tyle androidów zginęło. Tak nagle ucięto nić ich nowego żywota, pozbawiono szczęścia... Przystoi mi żaloba po nich... po tych ludziach, dostojny. To takie smutne, takie smutne...

Dev sam był zdumiony śmiałością swego kłamstwa.

Błękitnołuski mrugnął oczami i chrząknął gardłowo. W języku Ssi-ruuvi znaczyło to tyle, co „hmm”. Postukał pazurami o pokład.

- Potem porozmawiamy. Gdy opłaczysz już ich śmierć, przyjdź do mnie. Przywrócę ci pogodę ducha.

- Dziękuję, dostojny. - Dev wycofał się z wolna. - Na razie muszę posprzątać korytarz. Praca nie przeszkadza w rozmyślaniach.

Błękitnołuski machnął łapą, odprawiając sługę.

Dev wymknął się przez luk. Poczucie winy doskwierało mu bardziej niż kiedykolwiek. Czyżby naraził na szwank przednie siły systemu? Z pewnością nie. Gdyby tylko to było możliwe, admirał Ivpikkis z pewnością by zwyciężył. Na razie głównym problemem Deva było skryć wspomnienie o kontakcie z obcym przybyszem na tyle głęboko, by nie ujawnić niczego podczas najbliższego seansu u Błękitnołuskiego.

Ostygłe już jedzenie rozmasało się po ścianach, pojemniki z napojami leżały rozsypane na podłodze. Dev pospieszył po coś do sprzątanía. Normalnie był to obowiązek P'w'wcków, ale tym razem to on czuł się odpowiedzialny za ten bałagan

Nigdy dotąd nie próbował okłamać Błękitnołuskiego. Czy i skrywanie myśli przed zbawcą było rzeczą godziwą? W końcu

Ssi-ruu ocalił go od śmierci głodowej. Dev wiele mu zawdzięczał.

Ale tak naprawdę, to nigdy nie miał powodu, by kłamać, dopiero teraz, gdy zaznał kontaktu z umysłem tak jasnym i łagodnym... Ten umysł nie zasługiwał na zdradę. Jeszcze nie...

Otworzył pakamerę, chwycił odkurzaczy i ruszył z powrotem korytarzem.

ROZDZIAŁ 6

- Macie wolną drogę do Salis D'aar. Kontrolerzy sprowadzą was na lądowisko - zrezygnowany głos zakończył radiowy raport.

- Dziękuję - odparł Han Solo, wyłączył moduł łączności i oparł się wygodnie w fotelu.

- No to bierzemy się do roboty - mruknęła Leia.

Han uniósł brew. Wydawało mu się, że pracuje pilnie już od dłuższego czasu.

Leia nie zauważyła jego gestu.

- Musimy postanowić, co najpierw robić - stwierdziła, poprawiając jeden ze splotów na głowie.

- Jak najbardziej - zauważył Han ucieszony, że dziewczyna wreszcie zaczyna mówić do rzeczy. - Korzystamy z ich ścieżki schodzenia czy dajemy sobie spokój? Mogą być teraz nieco bardziej pewni siebie. Może najlepszym wyjściem byłoby zebrać flotyllę i wynieść się stąd jak najdalej.

- Nie o to dokładnie mi chodziło, ale rozumiem, co chcesz powiedzieć. Sama nie do końca wierzę w możliwość układów z Imperialnymi.

- Podejrzewasz coś? - odezwał się nagle Luke z pokładu „Szkwała”.

- Jestem trochę niespokojna. Może zaczynam już myśleć podobnie jak Han. Dziwnie to wszystko wygląda.

Han spojrzął na Chewie'ego, który mruknął cicho. Tak, Leia zaczynał chyba kierować instynkt samozachowawczy, którego jej brat wydawał się być zupełnie pozbawiony.

- Wszyscy jesteśmy zdenerwowani - odparł Luke. - Sam nie rozumiem do końca, co tu się właściwie dzieje. Mam dziwne przecucia, ale będę musiał to jeszcze sprawdzić.

Han zerknął przez iluminator na „Szkwał” unoszący się obok „Sokoła” na orbicie stacjonarnej ponad strefą obronną Imperium.

- Pewien jesteś? - spytał. - Bo według mnie najlepiej byłoby teraz zawrócić do domu.

- Jestem pewien. Pora na negocjacje. Leia, czy chcesz się przesiąść i wylądować „Szkwałem”?

- Chwilę, chwilę - ożywił się Han. - W grę wchodzi tylko lądowanie „Sokołem”. Wolę go mieć pod ręką, gdyby znów trzeba było szybko pryskać.

- Znów? - spytał Luke. - Czemu znów?

- Potem ci opowiem. - Leia splótła palce. - A pomyślałeś, jakie wrażenie zrobimy, lądując tym... no sam powiedz, czym. Przecież wiesz, jak patrzą na „Sokoła” ci, którzy nie znają możliwości tego statku.

Serdeczne dzięki, Wasza Wysokość - pomyślał Han.

- To tylko kamuflaż.

Leia rozłożyła bezradnie ręce.

- Już widzę, jakie będą pierwsze komentarze Imperialnych po naszym wylądowaniu. Spójrz na to z nieco szerszej perspektywy. Chcemy zrobić z nich naszych sprzymierzeńców.

- Wolę patrzeć na to z perspektywy przetrwania.

- „Sokół” nie zmieści się w hangarach „Szkwału”. I tak są przepelnione.

Leia zerknęła na tablicę przyrządów, potem na oblepioną różnymi przewodami ściankę, w końcu na Hana.

- Dobra, Luke. Niech tam... - powiedziała w końcu. - Lądujemy „Sokołem”. Ale dopiero wtedy, gdy wszyscy ubiorą się jak należy. Pełen ceremoniał i etykieta.

Han, aż poklepał się po udzie.

- No nie...

- Próż kapitana, rzecz jasna - dodała słodkim głosem, chociaż coś dziwnie błysnęło jej w oku. - To twój złom. Pilnuj, by się nie rozsypał.

Nieco później Leia spoglądała przez iluminator na chmury Płynące ponad lazurową planetą. Chewie sprawdził stan mocowań na pokładzie i usatysfakcjonowany oddalił się korytarzem, a zamiast niego pojawił się Luke z mokrymi jeszcze włosami.

Brat spokojnie wysłuchał jej relacji z wypadków na szóstej planecie, potem mruknął coś o zbawiennych skutkach kąpieli.

- Lepiej się już czujesz? - spytała.

- A jak myślisz? - Luke zasiadł w nazbyt obszernym, jak dla niego, fotelu drugiego pilota. - Może uda się złapać komandora Thanasa.

- Wyczuwam w tym jakąś pułapkę - stwierdził Han, wracając na swoje miejsce. - Thanas może nawet jest miłym gościem, skoro pozwolił nam włączyć się w ich system obronny, ale rozdzielamy w ten sposób siły i jakiś imperialny goguś może uznać to za podarunek losu.

- Ich statki są w jeszcze gorszym stanie niż nasze. Solidnie oberwali w bitwie. Sami to widzieliśmy. - Luke postukał w konsolę.

- Na dodatek wciąż nie wiemy, do czego zdolni są ci obcy i co tu właściwie robią - dodała Leia, spoglądając na Luke'a. Gotowa była przysiąc, że coś przed nią ukrywa. - Bardzo mi się to nie podoba.

- W ten sposób sami nakładamy sobie pętlę na szyję - mruknął Han. - Razem z Bakurianami.

- To akurat był dobry pomysł - stwierdziła Leia. - Włączyć się do walki i nadstawiając karku, pokazać, że przybywamy jako sprzymierzeńcy.

- Grupa Sojuszu? - odezwał się w kabinie głos komandora Thanasa.

Leia pochyliła się nad ramieniem Luke'a. Jego prawie już suche włosy wciąż parowały w ciepłym powietrzu.

- Jesteśmy, komandorze.

- Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, pozwoliłem, by jednostki Sojuszu włączyły się w nasz system obronny, bez względu na rozpoczęcie negocjacji w Salis D'aar. Oczekuję z niecierpliwością spotkania z wami.

- My także. Wyłączamy się. - Odczekawszy chwilę, Luke zmienił częstotliwość. -
Macie wszystkie informacje?

- Zapakowane w BAK-u - odparła kapitan Manchisco. - Bawcie się dobrze.

Luke westchnął głęboko.

- Wcześniej czy później będziesz musiał powiedzieć Imperialnym, kim jesteś,
Luke - skrzywił się Han.

. - W żadnym wypadku! - przeraziła się Leia.

- Jeśli już, to w bezpośredniej rozmowie - powiedział cicho Luke.

- Przecież chodzi jedynie o wyjawienie imienia, a nie całej genealogii -
pospieszyła mu na pomoc Leia.

- On ma rację, Han. W bezpośredniej rozmowie lepiej panuje nad sytuacją. Będzie
w stanie wyczuć, jak przyjmą tę informację i ile z niej zrozumieją.

- Wciąż uważam, że to pułapka - mruknął Han. - I wcale mi się to nie podoba. -
Usiadł jednak do sterów. Luke ustąpił miejsca Chewie'emu.

- Przede wszystkim, Luke jest rycerzem Jedi - przypomiała mu Leia.

- Musimy mieć po prostu oczy szeroko otwarte - przytaknął jej brat.

„Sokół” zszedł z orbity parkingowej, kierując się ku stolicy planety. Mijając strefę
obronną, Leia dostrzegła stację naprawczą w kształcie dysku. Wyraźnie Imperium
miało dość eksperymentów ze stacjami sferycznymi, które przypominały Gwiazdę
Śmierci. Han zaprogramował ciasną drogę zejścia i w ostrym nurkowaniu nie dało się
podziwiać żadnych widoków. Leia zerknęła pomiędzy Hanem i Chewie'em na ekran
skanera.

Pomiędzy bliźniaczymi rzekami wyrastała olbrzymia, czysto biała skała. Jarzyła
się błado w padających pod ostrym kątem promieniach macierzystej gwiazdy. Obraz aż
raził oczy.

Han zamrugał i włączył filtr.

- Tak lepiej?

- Patrzcie... - wyszeptała Leia.

Na południowo - wschodniej odnodze skalnej góry leżało miasto. Na jego
południowych krańcach dał się zauważyć podwójny pierścień sporych kraterów
otaczający wysoką, metalową wieżę. Najpewniej cywilny kosmodrom.

Leia spojrzała ku północy. Miasto zbudowane zostało w układzie radialno -
koncentrycznym niczym pajęczyna. Widać było spory ruch napowietrzny, w centrum
wyrastało kilka wysokich wież.

- Jaki jest czas lokalny? - spytała.

- Wczesny ranek. - Han potarł brodę. - To będzie bardzo ciężki dzień.

Nieregularne plamy zieleni sugerowały wykorzystanie resztek gleby, która
uchowała się na skalnym podłożu.

- Spójrzcie tam. - Luke wskazał na odległe o kilometr od kosmodromu stanowiska
laserów strzegących sześciokątnego kompleksu budynków.

- Standardowe koszary Imperium - podsumowała Leia.

- Na miejscu będzie się pewnie roić od białych szturmowców - mruknął Han.

- Co? - zawołał 3PO ze swojego zwykłego miejsca przy stole gier. - Czy ktoś powiedział coś o szturmowcach?

- Nie przeciążaj sobie obwodów - warknął Han. - I tak nic na to nie poradzisz.

- Wielkie nieba, wielkie nieba - zaczął zawodzić android. Luke odpiął pasy i wymknął się z kabiny.

Chewbacca zawył chrapliwie.

- Luke oczekuje od nas gładkiego lądowania - przetłumaczył Han. - Dlaczego nie.

Leia wolała pozostać na miejscu i wygładzić fałdy białej spódnicy. Na tą okazję zamówiła dla siebie kopię białej szaty senatora. Miała nadzieję, że podniesie tym nieco i tak już mocno nadwreżoną reputację chodzących zwykle w byle łachmanach rebeliantów, jeżeli w ogóle było to możliwe po wylądowaniu „Sokołem”.

Han dwukrotnie zatoczył krąg nad miastem, zahaczając z obu stron o podzielone białą skały rzeki.

- Na razie do nas nie strzelają - mruknął. - To chyba ma oznaczać zaproszenie do lądowania.

Kontrola lotów skierowała Hana ku pustemu kraterowi na zachodnim skraju lądowiska. Poranne cienie kilku ruchomych urządzeń naprawczych kładły się na białym podłożu.

- Co to jest? - spytała Leia, gdy Han przymierzył się do posadzenia maszyny.

- Skaner twierdzi, że to niemal czysty kwarc - odczytał Han. - Krater wygląda tak, jakby tworzyły go z grubsza wygładzone, szkliste skały.

„Sokół” wylądował.

- Widzicie? Tam? - spytał Han. - Nie ma się czym przejmować.

Chewie szczechnął krótko. Leia spojrzała na gromadkę około dwudziestu osób skupionych obok długiego wahadłowca zaparkowanego przy okalającym krater pomoście.

- Pospiesz się, Luke - krzyknął Han.

- Już idę - dobiegł z korytarza głos zdyszanego Luke'a. Leia ruszyła w jego kierunku.

3PO stał obok młodzieńca odzianego w biały skafander bez dystynkcji i kiwał potakująco głową. Leia obejrzała brata od stóp do głów, Luke tymczasem przypiął jeszcze do pasa blaster, trzy małe mieszki i miecz świetlny.

- Starczy? - spytał, patrząc Lei w oczy. Wciąż potrafił spoglądać naiwnie i niewinnie.

- Rozumiem, że tak właśnie powinni ubierać się rycerze Jedi - powiedziała niepewnie Leia, sugerując, że Luke wciąż jednak wygląda nieprzyzwoicie dziecinnie.

Chłopak spojrział pytająco na Hana, ale ten tylko wzruszył ramionami.

- Co nas obchodzi jego zdanie - roześmiała się Leia.

- Wygląda pan wspaniale, mistrzu Luke - wtrącił się 3PO. - A pan, generale Solo, prezentuje się nader nieporządnie. Czy nie sądzi pan, że nasze szansę wzrosłyby, gdyby zechciał pan...

- Chewie? - spytał Han. - Zostajesz na pokładzie?

Była to istotna kwestia, bowiem w razie czego Chewie mógł równie dobrze jak inni reprezentować rebeliantów. Imperialni ponad wszystko pogardzali obcymi, co dodatkowo spajało wszystkie rasy tworzące Sojusz. Chewie ryknął.

- Dobra, przyda nam się jeszcze jeden obserwator. Trzeba mieć oczy naokoło głowy.

Leia zastanowiła się przez chwilę, czy 3PO nie potraktuje tego poważnie. Obok niej R2 pisnął coś głośno.

- Starczy tych przygotowań. - Luke przejął inicjatywę. - Wychodzimy.

Leia ustawiła się pośrodku grupy, z prawej miała Luke'a, z lewej Hana, a Chewie'ego z androidami za sobą. Powoli zeszała na ląd, smakując przy tym wilgotne, lecz ciężkie od woni egzotycznych roślin powietrze. Pierwszy oddech na nowej planecie zawsze był dla niej jedną wielką niewiadomą.

Powierzchnia planety zachrząściła jej pod stopami. Leia obejrzała się na statek, wciąż stał pewnie na pylistym podłożu białej skały.

Dość podziwiania widoków, czas zabrać się do dzieła. Ruszyła ku oczekującej przy wahadłowcu grupce oficjeli.

- Och - mruknął z sarkazmem Han. - Jakie piękne, białe mundurki.

- Zamknij się - warknęła cicho Leia. - Ja też jestem ubrana na białą.

Przypomniała sobie czasy, gdy jako imperialna senatorka lawirowała w politycznym bagnie pomiędzy koteriami Imperatora i cichymi stronnikami rodzącego się dopiero Sojuszu. Sojuszu, za który jej ojciec oddał życie...

Jej prawdziwy ojciec, Bail Organa, który wychował ją i nauczył wszystkiego, co dobre. Nigdy nie nazwie ojcem nikogo innego, nawet wbrew prawom natury. To wszystko na ten temat.

Ten pośrodku musi być imperialnym gubernatorem, Wilekiem Nereusem. Wysoki, z ciemnymi włosami i topornymi rysami, w mundurze koloru khaki i czarnych rękawiczkach... Identycznie ubierał się Wielki Moff Tarkin... Pozostali członkowie grupki stali nieco z boku, obserwując przywódcę. Przywódcę, szarą eminencję, wodza i kacyka i kogo tam jeszcze...

Spokojnie - powiedziała sobie Leia. - Jesteś silna, wiesz co masz zrobić i potrafisz to uczynić. Pisana ci inna droga, niż Luke'owi...

- To zaszczyt cię gościć, księżniczko Leio z Alderaanu. - Skłonił się gubernator.

- I zaszczyt dla mnie być twoim gościem, gubernatorze Nereusie - odparła Leia, oddając ukłon i pilnując, by nie był on ani o milimetr niższy, niż gest gospodarza.

- W imieniu Imperatora, witam na Bakurze.

Nie mogła liczyć na nic lepszego, niż to zgodne z protokołem powitanie.

- Dziękuję za dobre słowa i proszę o wybaczenie, jeśli nieuprzejmie zabrzmie skorygowanie nieco twoich słów, ale z przyczyn obiektywnych nie da się już witać nikogo w imieniu Imperatora Palpatine'a. Zginął on bowiem kilka dni temu.

Nereus spojrział uważnie na Leię i założył ręce na plecach.

- Szanowna księżniczko, czyżbyś przybyła na Bakurę szerzyć plotki i kłamstwa?

- Nie jest aż tak źle, Wasza Ekscelencjo. Imperator został zabity przez swego podwładnego, Dartha Yadera.

- Vader - mruknął Nereus, prostując kark. Wyraźnie nie darzył Czarnego Lorda sympatią. - Vader. Jego Wysokość nie powinien być ufać lordowi Sith. Gotów byłbym nie dać wiary twoim słowom, ale nietrudno mi wyobrazić sobie Vadera w roli zabójcy.

- Darth Vader także nie żyje, Wasza Ekscelencjo.

Luke poruszył się niespokojnie. Leia wiedziała świetnie, co brat chciałby dodać. Owszem, może Vader zginął bohaterską śmiercią, ale kwadrans nawrócenia na słuszną drogę nie wymaże lat podłości.

Świta gubernatora poszeptywała coś poruszona. Leia postanowiła przejąć inicjatywę.

- Gubernatorze, niech mi wolno będzie przedstawić osoby towarzyszące. Oto generał Solo.

W zasadzie Han powinien uklonić się lub przynajmniej podać rękę, ale ponieważ obca mu była wszelka dyplomacja, stał nieruchomo z naburmuszoną miną.

- Drugi pilot, Chewbacca z Kashyyyk.

Chewie ryknął cicho i skłonił się. Imperium potraktowało kiedyś Wookiech jak najgorzej i pozostawało tylko mieć nadzieję, że futrzak nie zacznie w ramach zemsty wyrwać rąk wszystkim członkom komisji powitalnej.

Przyszła pora na pokazanie najsilniejszej karty.

- A oto komandor Skywalker z Tatooine, rycerz Jedi. Luke skłonił się niczym dobrze wyszkolony paź, a Nereus jakby zmałał. Dopiero po chwili oddał ukłon.

- Jedi - mruknął z wyraźnym grymasem. - Będziemy musieli uważać.

Luke stał spokojnie, złączywszy dłonie przed sobą.

Dobrze! - pochwaliła go w myślach Leia. Ta chwila wynagradzała jej odsuniecie od głównej sceny wydarzeń podczas bitwy. Wyprawa zaczynała dla niej nabierać sensu.

- Tak, Ekscelencjo. - Gubernator ponownie odwrócił się do księżniczki. - Naszym zamiarem jest wskrzeszenie Starej Republiki, a Jedi są jej częścią. Komandor Skywalker przewodniczy zakonowi. - Nie dodała, rzecz jasna, że zakon ten jest wciąż jeszcze jednoosobowy. Trochę więcej pewności siebie, Luke!

- Komandor Skywalker - powtórzył za nią Nereus Podejrzanie przymilnym tonem.

- Ach tak, przypominam sobie. Macie szczęście, że Bakura ma dodatni bilans handlowy. Parę lat temu wyznaczono astronomiczną wręcz sumę za Pojmanie pana. Nagrodę oferowano wyłącznie za żywego Skywalkera... Musi być pan kimś zaiste znacznym pośród rebeliantów, komandorze.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparł cicho Luke, bo i nie usłyszał niczego nowego. Cała gromadka dawno już znalazła się na listach najpilniej poszukiwanych wrogów Imperium.

- Widzę jeszcze dwa androidy - powiedział gubernator. - Na czas pobytu na Bakurze będą musiały zostać i wyposażone w ograniczniki.

To ostatnie było akurat standardową procedurą obowiązującą na większości planet, szczególnie tych, które pozostawały pod wpływem Imperium.

- Dopilnujemy tego - obiecała Leia. Przekonana, że zrobiła dobre wrażenie na Nereusie, zdecydowała się oddalić o parę kroków od eskorty. - Gubernatorze, siły Sojuszu przechwyciły pańskie wezwanie o pomoc. Ponieważ flota Imperium przestała

praktycznie istnieć w tej części galaktyki, zdecydowaliśmy się przybyć i pomóc ci uporać się z inwazją. Potem odlecimy, pozwalając Bakurze samodzielnie podjąć decyzję co do dalszych losów tego świata. Nie zamierzamy wywierać żadnej presji politycznej na was... na mieszkańcach Bakury - poprawiła się błyskawicznie.

Gubernator uśmiechnął się półgębkiem, dziwnie mało życzliwie.

Luke rozglądał się pilnie. Podobnie podejrzliwy jak Nereus, dobrze wiedział, że gubernatorowi niełatwo przyjdzie uznać rebeliantów za sojuszników.

Aura wokół Nereusa wyraźnie wskazywała na nieciekawą charakter gubernatora, człowieka obdarzonego osobowością dominującą, skłonnego do narzucania swojej woli i gotowego zmiażdżyć każdego, kto miałby odmienne zdanie. Wręcz modelowy imperialny gubernator.

Luke otworzył się na wszelkie, dobiegające z okolicy bodźce. Było ich sporo, w większości wskazywały na nerwowe reakcje obecnych. Jemu samemu trudno było utrzymać maskę obojętności, nie chciał jednak, by jakiś nazbyt skory do zabaw broni? Bakurianin popsuł wszystko, zanim Leia ustanowi warunki porozumienia.

Leia i gubernator zajęci byli tymczasem rozmową. Luke sięgnął w ich kierunku. Leia była opanowana i daleka od znalezienia się pod wpływem Nereusa, gubernator zaś pod pozorami spokoju i dobrych manier krył niewygasające pragnienie dominacji oraz... strach. Ale nie był to lęk przed Sojuszem. Luke przypomniał sobie te dziwne umysły uwięzione w statkach obcych. Czyżby byli to porwani Bakurianie?

Gubernator gotów był oczywiście przyjąć każdą pomoc, skądkolwiek by nie nadeszła. Pomimo że w obecności swych podwładnych zachowywał wrogi dystans, bez żadnych skrupułów przeskoczyłby w jednej chwili do obozu Sojuszu.

Tymczasowo, oczywiście.

Do miasta udali się cywilnym statkiem. Po drodze Luke podzielił się z Hanem swoimi spostrzeżeniami.

- No tak - mruknął Han. - Przeszedłby do nas za friko. Lub równie dobrze by nas załatwił. Chcesz się założyć?

Ubranie Luke'a przesiąknęło już wilgocią planety, nogawki przywierały do łydek. Leia siedziała przed nim, prezentując się wyjątkowo pięknie w senatorskiej szacie. Wyglądała przez okno przekonana, że miejscowy senat zażąda ich obecności podczas najbliższej, nadzwyczajnej sesji.

Nagle wyprostowała się.

- Threepio, czy jest jeszcze coś, co powinnam wiedzieć o wymogach tutejszego protokołu?

- Obawiam się, że w moim programie nie ma nic na ten temat - odparł android tonem o wiele bardziej piskliwym niż zwykle; był to skutek działania założonego już ogranicznika.

R2 przerwał im, gwizdząc uciążliwie.

- Co tam gadasz? Mistrz Luke załadował to wszystko do twojej pamięci? To dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałeś? Nadajesz się tylko na odkurzacz.

R2 odpowiedział dłuższą tyradą.

- Wszystko, co wiemy na pewno - przetłumaczył 3PO - to tyle, że najwyższe rządy stanowili niegdyś na Bakurze wspólnie pierwszy minister i senat, ale prawdziwa władza spoczywa obecnie w rękach imperialnego gubernatora.

- Czyli nic nowego - rzucił Han.

Pilot, który był jednocześnie ich przewodnikiem, zwolnił, kiedy przelatywali ponad wielkim budynkiem w kształcie klina, otoczonym z dwu stron rozłożystymi żywołotami.

- To zespół zwany Bakur - powiedziała druga pilotka, przesuając dźwignię stabilizatora i zerkając na Chewbaccę.

Chyba nigdy jeszcze nie widziała Wookie'ego.

Położony pomiędzy wstęgami autostrad zespół zajmował kilkanaście hektarów, południowo - zachodnim łukiem przylegał do parku w centrum miasta.

- Obejmuje rezydencje władz, a także pawilony gościnne, biura imperialne, główne centrum medyczne i wielki stary kompleks parkowy, w którym za czasów „Korporacji Bakury” mieściła się siedziba rządu.

Przez dach zespołu parkowego strzelały ku niebu potężne, okryte winoroślą pnie drzew. Leia przyglądała się im pilnie, j w duchu odtwarzając szczegóły imperialnego protokołu. Wolność Bakury zależała teraz od jej talentów dyplomatycznych. Siedzący z przodu Han bawił się od niechcenia blasterem.

Po wylądowaniu na dachu, przesiedli się do pociągu antigrav, który obwiozł ich wokół całego zespołu.

- Należące do korporacji skrzydło Gmachu Pamięci Bakury zostało zbudowane ponad sto lat temu w pobliżu Parku Rzeźb w centrum miasta. Proszę pozostać na miejscach do momentu całkowitego wyłączenia silników. - Pojazd prze - j mknął pod oplecionym zielenią łukiem bramy i zwolnił.

- Poczekaj, Leia. - Han wyskoczył pierwszy. Luke wysiadł z drugiej strony i rozejrzał się.

- Mam wrażenie, że jest dość bezpiecznie - odezwał się ze środka 3PO. - Niemniej należy zachować wszelkie możliwe środki ostrożności.

Leia wyjrzała przez właz w poszukiwaniu Luke'a.

- Słuchaj no, jeśli mają zamiar nas uszkodzić, to i tak to zrobią i wszystko szlag trafi.

Han spojrział na pojazd.

- Co prawda, to prawda. Dobra, Luke, chodźcie na tę stronę.

Młodzieniec obszedł pojazd i odczepił R2, który gwizdnął buńczucznie i ruszył na trzypunktowym podwoziu. Han i Chewie szli przed Leia i 3PO, Luke z R2 zamykali pochód. Odźwierni w obszytych złotem, fioletowych kubrakach i podobnych pończochach wprowadzili ich do przestronnego, wyłożonego czarnym dywanem holu. Strop wspierany był przez krzyżujące się w połowie wysokości klinowate kolumny o powierzchni żyłkowanej, jakby oplecionej złotymi nitkami.

- Czerwony marmur - mruknęła Leia.

- Warte majątek - Han rzucił jej z cicha przez ramię. - Gdyby tak przeszmygłować to stąd... - Złapawszy rytm kroku na dywanie, Solo zaczął pilnie lustrować okolice, zaglądając za każdą kolumnę i sprawdzając każde otwarte drzwi.

Luke czynił to samo za pośrednictwem Mocy, ale nie wyczuł żadnych impulsów zapowiadających agresję. Leia szła spokojnie obok androida protokolarnego.

Odźwierny zatrzymał się przed łukiem wyciosanym w lśniącym, białym kamieniu. Drogę blokowała prosta, drewniana ściana ze skanerami strzegącymi wind antigrav i czterema imperialnymi szturmowcami w białych zbrojach. Spotkania tego typu, kiedy musiał wybierać pomiędzy ucieczką a walką, zawsze powodowały u Luke'a nagły przypływ adrenaliny.

- Są tu bezprawnie - szepnęła Leia. - Jesteśmy oficjalnymi wysłannikami władz galaktyki na Bakurze.

- To im to powiedz - mruknął Han, a Luke spojrział w zimne oko sensora.

R2 nieustannie obracał kopułką, lustrując całe wnętrze.

- Kontrola broni - szczerząc metalicznym głosem jeden ze strażników. - Całe uzbrojenie należy zostawić w podręcznym sejfie. - Wskazał na rząd szafek pod ścianą.

Leia rozpostarła ręce, po czym założyła je na piersi w drwiącym geście. Luke wybrał jedną z szafek i przycisnął dłoń do stosownej płytki, kodując zamek papilarny. Wyjął blaster z pochwy i schował go do sejfu.

- Dalej, Han.

Solo niechętnie poszedł za jego przykładem, wybierając osobną szafkę.

Leia chrząknęła głośno.

Han posłał jej groźne spojrzenie, wyjął nóż zza cholewy i miniblaster z rękawa. Pozbył się też ulubionego wibronoża. Chewie ściągał już ładownicę i zmodyfikowany luk. Zaniepokojony Luke, postanowił ustawić przy sejfach straż.

- Chewie - szepnął. - Zostań tutaj. Ty także R2. Chewie aż zmarszczył nos z zadowolenia. Wielki Wookie nie gustował w polityce, a poza tym nie dowierzał Imperialnym. Uwielbiał za to służbę wartowniczą. Leia poprowadziła resztę grupy do bramy.

- Stać - odezwał się ten sam szturmowiec, który za - trzymał ich wcześniej. Wskazał na miecz świetlny Luke'a. - To też jest broń.

Luke posłał w jego kierunku niewielką wiązkę Mocy.

- To nie jest broń ofensywna, tylko oznaka piastowanej godności. Przepuścić.

- Przepuścić - powtórzył szturmowiec tym samym tonem, a przychodząc nieco do siebie, dodał: - Androidy zostawiłbym przy wejściu. Awarie podobnych urządzeń omal nie stały się przyczyną zagłady pierwszych kolonistów na

Bakurze.

- Proszę pana - zaprotestował 3PO - moim zadaniem jest...

- Dziękujemy - przerwała mu Leia, pamiętając o bolcach zabezpieczających. - Threepio poczeka za drzwiami.

- Księżniczka Leia Organa z Alderaanu - zapowiedział odźwierny. - Wraz z eskortą.

ROZDZIAŁ 7

Leia pierwsza przeszła pod łukiem bramy i po czterech szerokich stopniach wkroczyła do wielkiej, kwadratowej sali. Luke i Han wmaszerowali za nią jak na paradzie. Młodzieniec zastanawiał się, czy słusznie uczynił zatrzymując miecz świetlny. A jeśli uznają to za kamień obrazy? Tylko tego nam trzeba... Nie, gdyby istniało takie ryzyko, Leia szepnęłaby choć słówko. Może zresztą nie zdają sobie sprawy, jak groźna jest ta broń.

W rogach sali stały wysokie, szklane kolumny, sufit wyłożono ceramiką. Większość senatorów była ludźmi, wyjątek stanowiły dwie wysokie, białe istoty, których łyse głowy pokryte były pofałdowaną skórą. Luke wsłuchał się w pole Mocy. Z miejsca otoczył go bełkot kilkudziesięciu spiętych umysłów. Zawężając odbiór, zwrócił uwagę na złoto - purpurowy, samobieżny fotel pod przeciwległą ścianą, masywne urządzenie z dwoma rzędami kontrolki na oparciach. Wilek Nereus musiał złapać jakiś szybszy środek transportu. Promieniał wręcz dwulicowością i obłudą.

Luke przesunął wiązkę energii w lewo. Interesowała go reakcja seniorów na Leię. Wyczuł ciekawość zmieszaną z wrogością, pod tymi uczuciami krył się jednak strach. Strach dominował też w pomieszczeniu. Ostatecznie trwała wojna.

- Zostań tutaj, Threepio. - Leia zatrzymała się u szczytu schodów i zmierzyła spojrzeniem Nereusa. - Witam ponownie, gubernatorze.

- Proszę - powiedział, marszcząc brwi. - Zbliście się. Zeszli na środek sali. Szczeliny w podłodze sugerowały, że

Jest to element ruchomy, a Luke'owi przypomniała się pewna zapadnia i wielki Rancor, który omal go nie pożarł. Odsunąwszy niemiłe skojarzenia, rozejrzał się. Senatorzy Bakury reprezentowali wszelkie możliwe odcienie ludzkiej skóry, był to wynik wieloletniego stapiania się poszczególnych szczepów ludzkości.

Schludny, atletycznie zbudowany mężczyzna o gęstych, siwych włosach siedzący poniżej gubernatora, wyciągnął ku nim rękę.

- Witamy na Bakurze - powiedział. - Jestem premierem, nazywam się Yeorg Captison. Przepraszam za pośpiech, z jakim zorganizowaliśmy to spotkanie. W normalnych okolicznościach protokół przewiduje wstępną odprawę, ale chyba sami rozumiecie powagę sytuacji.

Ostentacyjnie ignorując gubernatora, Leia dygnęła dwornie przed starszym panem. Luke przyjrzał mu się. W polu Mocy otaczająca premiera charyzmatyczna poświata była tylko o ton ciemniejsza od blasku Mon Mothmy. Luke spojrzał na gubernatora i zastanowił się przez chwilę, dlaczego Nereus nie pozbył się do tej pory tej postaci. Captison musiał być bardzo ostrożnym człowiekiem. A może miał jakieś własne powiązania z Imperium?

- Przeprosiny są zbyteczne - odparła Leia. - To stan wyższej konieczności.

Zza stołu podniosła się kolejna postać.

- Blai Harris, minister obrony. Nie wyobrażacie sobie nawet, jak rozpacзлиwa jest nasza sytuacja. Straciliśmy wszystkie posterunki na innych planetach systemu. Wysłaliśmy statki ratownicze. Część zaginęła. Te, które wróciły, meldowały, że nikt nie przeżył. Nie znalazły też ciał poległych.

Luke poczuł ciarki przebiegające mu wzdłuż kręgosłupa. W słowach Harrisa czaił się strach. Skywalker przesunął spojrzeniem w lewo. To samo: strach, nadzieja, wrogość. Dotarł do końca i zabrał się za przegląd osób siedzących przy drugim, wyżej ustawionym stole.

Młoda kobieta o wyraźnie zarysowanym podbródku siedziała jako trzecia z lewej. Zatrzymał się przy niej zdumiony jej rezonansem wyczuwanym w polu Mocy. Coś jakby niskie, powolne pobrząkiwanie, silnie wzmocnione echo jego własnej energii. Nie sądził, by dziewczyna sama potrafiła modulować pole Mocy, ale ten dziwny efekt przykuł jego uwagę. Luke spotkał się z czymś takim po raz pierwszy. Szybko ograniczył percepcję do pięciu zmysłów. Lepiej, żeby go nie rozpraszała.

- Księżniczko Leio - zabrzmiał donośnie ostry głos Nereusa. Widać ustawienie tronu uzgodnione zostało ze specjalistami od akustyki. - Czy wiesz, kto właściwie jest naszym wrogiem?

- Nie - stwierdziła Leia, kładąc dłoń na blacie centralnego stołu. - Odebraliśmy wezwanie o pomoc i postanowiliśmy udzielić owej pomocy i okazać, że Sojusz nie występuje przeciwko narodom Imperium, a tylko przeciwko Imperium jako instytucji.

Nereus skrzywił się szyderczo.

- Nie sądzę. Ellsworth - rzucił przed siebie - puść nagranie Sibwarry. Wasza Wysokość, proszę podejść do mnie. I eskortę też poproszę.

Wchodząc za Leią po okrytych dywanem stopniach, Luke ponownie zerknął w lewo. Młoda kobieta odwzajemniła spojrzenie. Brodę wsparła na dłoni, jasnobrązowe włosy zatańczyły wokół jej twarzy, podkreślając kremową karnację. Choć pochyliła się, smukłe ramiona nadal trzymała prosto, dumnie. Luke nie śmiał musnąć jej ponownie polem Mocy, jeszcze nie teraz, jednak widok dziewczyny go poruszył. Nie była olśniewająco piękna, ale zrobiła na nim wrażenie. Opanuj się! - pomyślał z wyrzutem. - Jesteś tu, by pilnować Lei!

Gdzieś z tyłu zawyły serwowatorki. Leia przysunęła się bliżej fotela gubernatora i zerknęła do tyłu. Luke tkwił o stopień niżej. Po przeciwnej stronie sali pobłyskiwał korpus 3PO. Nad miejscem, w którym dopiero co stali, pojawił się holograficzny obraz młodego mężczyzny o skórze koloru kawy z mlekiem, krótkich, czarnych włosach i miłym obliczu. Miał na sobie białą szatę w poprzeczne, niebiesko - zielone paski.

- Cieszcie się, mieszkańcy Bakury - zawołał... chłopak? mężczyzna? - Jestem Dev Sibwarra z G'rgo. Przynoszę serdeczne pozdrowienia z Imperium Ssi-ruuvi, wspólnoty wielu światów. Ta dawna kultura wyciąga ku wam pomocną dłoń. Nasz statek flagowy to potężny „Shriwirr”, co w języku Ssi-ruuvi znaczy „gotowy do zniesienia jaj”. Z rozkazu Imperatora zbliżamy się do waszej galaktyki.

Luke spojrział na młodą członkinię senatu. Gdy tylko pojawił się obraz najeźdźcy, cofnęła się na fotelu, zaciskając dłonie na krawędzi stołu. Musnął ją ponownie, wyczuwając strach i obrzydzenie, pod spodem jednak rozmaite emocje iskrzyły się

wielokolorową głębią. Luke potrząsnął w zdumieniu głową. To nie miało sensu, a jednak...

Wybadanie dziewczyny trwało ułamek sekundy, obraz zaś przemawiał dalej.

- Radujcie się, Bakurianie! Nowa radość, którą wam przynosimy to coś o wiele piękniejszego od zwykłych doznań zmysłowych. Spotka was zaszczyt asystowania Ssi-ruukorn w wyzwaniu innych światów. - Przy tej okazji chłopak wykonał gest, który bardziej kojarzył się z zagarnianiem, niż wyzwaniem. - Wy jesteście pierwsi, stanowicie czołówkę! To wielki honor!

Jesteście bezcenni. Moi panowie bardzo sobie cenią ludzi. Darowane zostanie wam życie bez cierpienia, życie bez potrzeb, bez strachu.

- Patrzcie teraz! - mruknął Nereus.

Obraz się zmienił. Kilkanaście brunatnych obcych o wyglądzie jaszczurek otaczało metalową piramidę. Luke rozpoznał ją błyskawicznie. Z czterech rogów sterczały działka laserowe i anteny, po bokach widniały ruchome dysze napędu, każda otoczona pierścieniem skanerów i czujników. Całość leżała na czymś w rodzaju stanowiska przeglądownego.

Nagle Luke przypomniał sobie resztę zdarzeń. Te istoty... widział je już w trakcie owego niespokojnego snu, jeszcze na Endorze.

Chłopak przemawiał nieustannie.

- Oto widzicie najpiękniejszą bojową jednostkę kosmiczną, jaka istnieje w galaktyce. Nawet ktoś, kto nigdy nie śmiał marzyć o podróżach do gwiazd, teraz może dostać taki myśliwiec dla siebie. Wasza energia życiowa przejdzie w takie oto androidy bojowe. Będziecie krążyć między planetami...

Energia życiowa. Ta ludzka obecność wyczuwalna w statkach obcych podczas bitwy. Rozpacz i wściekłość... Młodzieniec znów pojawił się na wizji.

- Pozwólcie, że pokażę wam jeszcze fragment procedury przeniesienia i niech to uspokoi wasze lęki. Gdy przyjdzie pora, przywitacie operację z radością. - Obok pojawił się mniejszy wycinek obrazu. Przedstawiał mężczyznę siedzącego na krześle i przymocowanego doń pasami. Bezwładna głowa. Rurki podłączone do gardła. Biały, metalowy łuk zaciskający się wokół czaszki. Mężczyzna sztywnieje... Luke'owi zrobiło się niedobrze.

- To prawdziwa radość - skomentował chłopak. - To spokój. I wolność. Oto nasz dar dla was. - Wyciągnął ku obecnym bladą dłoń.

Zatem rzeczywiście, to z ludźmi przyszło im walczyć. Luke zacisnął pięści. Ssi-ruukowie nie byli zwykłymi łowcami niewolników, oni kradli dusze...

Senator Gaeriela Captison wzdrygnęła się i ciasniej otuliła ramiona ciepłym, błękitnym szalem.

- Myśli, że damy się nabrać? - wyszeptwała.

- Dostali go, gdy był dzieckiem - odparł senator siedzący po prawej. - Przyjrzyj mu się tylko. Zachowuje się jak jeden z nich. Pewnie nawet myśli jak obcy.

Gaeri odwróciła wzrok. Widziała już to nagranie dziesięć razy. Od popołudnia wszystkie kanały nadawały je na okrągło. Senat przestudiował całość, starając się

wycisnąć z transmisji coś więcej ponad zamierzony przekaz, coś, co dawałoby nadzieję... Wszyscy doszli zgodnie do wniosku, że za wszelką cenę trzeba odeprzeć obcych, alternatywa wydawała się zbyt upiorna.

Zatem rebelianci twierdzą, że chcą nam pomóc? Może. Zresztą, jeśli przybyli wyłącznie po zwoje antigrav, to wpadli w pułapkę i teraz pomogą Bakurze choćby po to, aby uciec.

Gaeri przyjrzała się delegacji. Senator księżniczka Leia Organa. W tym samym wieku co Gaeri, znana powszechnie w całym Imperium jako jedna z przywódczyń rebelii. Może była podobna do młodej Eppie Belden, którą złudzenia pchały wciąż do beznadziejnej walki. Może. Ale bez wątplenia uchodziła obecnie za osobę ważną, kogoś z kim każdy się liczył. Gaeri chętnie zamieniłaby z nią kilka zdań.

Natomiast ciemnowłosa przyboczny, który nie odstępował księżniczki ani na krok, nie wyglądał na idealistę. Rozglądał się pilnie, nieustannie szukając drogi ewentualnej ucieczki. Według danych, które wujek Yeorg przygotował pospiesznie dla gubernatora, Han Solo był przemytnikiem o niejasnej przeszłości. Sądzony za czyny kryminalne, w tym zabójstwa.

Nie znalazła jednak w aktach żadnych informacji o trzecim z tej kompanii. Jasnowłosa i spokojny, roztaczał wkoło jakąś dziwną łagodność. Z wyraźną uwagą chłonał przemowę Deva Sibwarry, jednak trudno było powiedzieć, jakie robi to na nim wrażenie.

Z obrazu dobiegło kilka cierpkich pisków i Gaeri znów spojrzała na holo. Oto ukazał się wróg: masywny jaszczur na dwóch nogach, z czarnym V na twarzy. Stał przed kamerą i czarnym, zimnym okiem spojrzał w obiektyw.

- Mój pan, Firwirrung, zawsze traktuje mnie z wielką serdecznością, przyjaciele.

- Cholerny fleciak - mruknął senator po prawej.

- Żegnani na razie i mam nadzieję, że spotkam się z każdym z was osobiście. Im szybciej, tym lepiej.

Obraz zniknął.

Dowiedziawszy się, po co Ssi-ruukowie biorą więźniów, Leia zrobiła się równie biała jak jej senatorska szata. Trąciła łokieć przemytnika, a gdy ten się pochylił, szepnęła mu coś do ucha. Gaeri przyszło do głowy, że ten mężczyzna jest jej towarzyszem również prywatnie. Młodszy powoli lustrował siedzących za stołami.

- Przyjrzeł się? - zawołała Gaeri, nie wstając z miejsca. - Tak wygląda zagrożenie, którego nie pojmujemy, i nie wiemy, jak się przed nim bronić.

Młodszy przytaknął. Wyraźnie rozumiał ich kłopotliwe położenie.

- Jeśli mogę coś powiedzieć - odezwał się złocisty android spod przeciwległej ściany - to chciałbym zauważyć, że był to nader pouczający pokaz. Wszystkie mechaniczne istoty będą wstrząśnięte tym przykładem perwersyjnej...

Kilka brzęczyków wyłączyło go jednocześnie i android umilkł. Maszynaria holo zjechała z powrotem pod podłogę, a Leia zeszła po stopniach ku środkowi sali.

- Bakurianie! - krzyknęła. - Cokolwiek sądzicie o androidach, zastanówcie się i posłuchajcie mnie. Opowiem wam moją historię.

Gaeri oparła brodę na dłoni, zaś księżniczka wyciągnęła rękę w teatralnym geście.

- Gdy senator Palpatine ogłosił się Imperatorem, mój ojciec rozpoczął walkę o wprowadzenie zmian, ale okazało się to niemożliwe. Imperium nie było zainteresowane reformami. Pragnęło jedynie władzy i bogactwa.

Gaeri skrzywiła się. Może to była prawda, ale połowiczna Imperialny system ekonomiczny zapobiegał raptownym kryzysom i stabilizował gospodarkę.

- Gdy tylko przestałam być dzieckiem, zaczęłam pomagać ojcu jako kurier dyplomatyczny. Nieco później zostałam wybrana do imperialnego senatu. - Spojrzała z ukosa na gubernatora Nereusa. - Rebelianci dawali już znać o sobie Imperator trafnie się domyślił, że nie ja jedna spośród młodszych senatorów zaangażowałam się w sprawę. Mój ojciec omal nie wypowiedział tego głośno, gdy zostałam uwięziona przez sługusa Imperatora - lorda Dartha Vadera i dostarczona na pokład pierwszej Gwiazdy Śmierci.

Imperator ogłosił, że Alderaan został zniszczony, by pokazać pozostałym zbuntowanym światom, co je czeka. To nie jest cała prawda. Stałam wówczas obok tych, którzy wydali rozkaz. Uczynili to, aby przerazić mnie i skłonić do ujawnienia istotnych informacji.

Gubernator aż pochylił się w fotelu.

- Dość tego, księżniczko. W przeciwnym razie każę cię aresztować za twe rozliczne wykroczenia.

Leia uniosła wyzywająco głowę.

- Gubernatorze, przecież ja jedynie umacniam twą pozycję. Imperium rządzi strachem, a ja właśnie mówię Bakurianom, czemu tym bardziej powinni się ciebie bać.

Bać, nie znaczy szanować. Gaeri splotła nogi w kostkach. Nawet, jeśli nie akceptowała postawy rebeliantów, chciała wysłuchać tego do końca. Ostatecznie Bakurę mógł spotkać ten sam los co Alderaan. Gdyby rebelianci nie zniszczyli Gwiazdy Śmierci... Dwóch senatorów w pobliżu zerknęło trwożnie na gubernatora.

- Po zniszczeniu Alderaanu - podjęła mowę księżniczka - udało mi się uciec do głównej siedziby Sojuszu. Mieszkałam tam, przeprowadzając się często, jako że Imperium nieustannie usiłowało nas zniszczyć. Teraz zamierzamy wam pomóc. Sojusz wysłał tu jednego ze swych najzdolniejszych dowódców, komandora Skywalkera z zakonu Jedi.

Jedi? Zaskoczona Gaeri błyskawicznie sięgnęła dłonią do wisiora na szyi. Pomalowany na biało i czarno pierścień symbolizował Kosmiczną Równowagę. Według jej religii Jedi naruszali porządek wszechświata samym swym istnieniem. Skoro istnieje niebotyczna góra, istnieć też musi bezdenne przepaść. Wierzyła, że ilekroć ktoś opanowuje zdolność władania tak wielką potęgą, wywołuje mimowolnie cały szereg nieszczęść w jakiejś odległej części galaktyki. Żądni władzy Jedi sięgnęli szczytów ludzkich możliwości, nie troszcząc się zupełnie o to, że niszczą w ten sposób wiele istnień. Zniknięcie rycerzy zdawało się być aktem dziejowej sprawiedliwości, słusznym morałem całej historii. Śmierć obojga rodziców Gaeri tylko umocniła jej wiarę. W tym kontekście Bakura uchodzić mogła za spokojną przystań.

Ale czy to ma znaczyć, że Jedi jednak przetrwali? Komandor Skywalker wygląda tak młodo, zupełnie nie pasuje do znanego powszechnie wizerunku rycerza tego

zakonu. Chociaż jego koncentracja... Patrzył na Leię z takim skupieniem, że spokojnie można by sądzić, iż potrafi odczytać myśli każdego człowieka.

Czy jeden Jedi wystarczy, by ściągnąć na nich nieszczęście? Czy to zaburzenia w porządku wszechświata przywiodły Ssi-ruuków? Czy zniewolenie tych wszystkich ludzkich istot miało zrównoważyć wzrost potęgi tego oto młodzieńca?

Luke spojrział na nią przenikliwie.

Zamrugała oczami, ale wytrzymała jego piorunujący wzrok. Zauważyła z satysfakcją, że zmieszał się nieco. Znow zerknął, ale tylko na moment. Uspokojona Gaeri, bliżej przyjrzała się młodzieńcowi. W dziwny sposób przypominał jej wujka Yeorga.

Chewbacca stał oparty o sejfy z depozytami i bez skrępowania przyglądał się strażnikom. Uznał, że o niczym tak nie marzą, jak o skonfiskowaniu broni całej delegacji. Jeden z nich nawet ruszył parę minut wcześniej w tę stronę, ale jedno warkniecie Chewie'ego połączone z pokazaniem kłów osadziło go w miejscu i skłoniło do zawrócenia. Ale na jak długo wystarczy samo warczenie? Stojący obok R2 niezbyt się przyda na wypadek walki.

Chewbacca jednak nie zamierzał martwić się na zapas. Jeden uzbrojony Wookie to dość na sześciu imperialnych.

Usłyszał czyjeś kroki. Nadszedł jeszcze jeden żołnierz, tym razem oficer w służbowym mundurze khaki. Strażnicy zgromadzili się wokół niego i coś tam poszeptywali.

Chewie sprawdził, czy broń jest na miejscu.

Szepty senatorów i wymierzone w Luke'a spojrzenia nie umknęły uwadze Lei. Bez wątpienia wrażenie byłoby jeszcze większe, gdyby to ona należała do zakonu Jedi. Luke proponował, że nauczy ją wszystkiego, co niezbędne, ale dziewczyna uznała, że to kiepski pomysł. Nie chciała mieć nic wspólnego ze spadkiem po biologicznym ojcu. Poza tym nawet Luke, chociaż wspierał dobrą sprawę, budził w ludziach lęk.

Musiała teraz z powrotem przyciągnąć uwagę zebranych. Zbliżyła się do siedziska Nereusa.

- Czyżbyś nie pojmował sytuacji, gubernatorze? Pozostaje albo przyjąć pomoc Sojuszu, albo skazać wszystkich mieszkańców Bakury na los gorszy od śmierci. Tylko na nas możesz liczyć. Pozwól, byśmy razem odparli atak Ssi-ruuków. Nie przybywamy z wielką siłą, ale jesteśmy dobrze zorganizowani i wyposażeni w statki lepsze niż te, które przydzieliło ci Imperium.

Luke pokazał jej wcześniej stosowne odczyty BAK-a. Nereus zacisnął wargi, w końcu odpowiedział.

- W podzięce za udzieloną pomoc pozwolimy wam bez przeszkód opuścić system Bakury i wrócić na Endor.

- Jeśli Sojusz tak bardzo chce nam pomóc, to czemu nie przysłał liczniejszej floty? - spytał kpiąco ktoś z wyższego rzędu.

Luke rozłożył bezradnie ręce.

- Robimy co możemy, ale skoro...

- To proste - przerwała mu Leia, pragnąc uspokoić atmosferę. - Po bitwie nad Endorem większość naszych sił przygotowywała się do powrotu na macierzyste planety. Niektórzy zdążyli już odlecieć. Pozostali nieliczni.

Nereus objął dłońmi poręczę fotela i uśmiechnął się z przymusem.

- Wysłaliśmy na Endor prośbę o posiłki - wtrącił Luke. Gubernator zmarszczył czoło. Lei nie podobał się ten gest.

- Muszę jednak przyznać, że nasze siły na Endorze są wyczerpane. Posiłki nie przybędą wcześniej niż za kilka dni. O ile w ogóle przybędą. Me włącz mi w paradę, Luke - ostrzegła brata.

- Rzecz w tym, że jesteśmy tu, aby wam pomóc - nie wytrzymał Han. - Myślę, że powinniście przyjąć tę propozycję, póki jest aktualna.

- Czy udostępnicie nam swoje dane? - spytała pospiesznie Leia. - Te związane z Ssi-ruukami, rzecz jasna. Oraz dane na temat Bakury. Z uwzględnieniem, oczywiście, waszych wymogów bezpieczeństwa.

Gubernator zakrył usta mięsistą dłonią. Leia czuła się bezradna niczym mrówka na dnie wanny. Ze wszystkich sił starała się nakłonić tego człowieka do współpracy. Jeśli spotkanie nie doprowadzi do porozumienia, to cała jej praca pójdzie na marne.

Od jednego z niżej stojących stołów podniósł się wysoki, starszy pan.

- Nereusie - zaczął - przyjmij pomoc, skoro nam ją oferują. Wszyscy, na całej planecie, wiedzą już o rebeliantach i celu ich przybycia. Jeśli odrzucisz ich propozycję, sprowokujesz w ten sposób wybuch powstania.

- Dziękuję, senatorze Belden - powiedział gubernator, mrużąc pomarszczone powieki. - Dobrze, księżniczko. Otrzymasz dane, których potrzebujesz. Zostaną przesłane do komputera znajdującego się w twoich apartamentach. Czy masz jeszcze jakieś żądania, zanim poproszę cię o udanie się do tymczasowej kwatery?

- Czy nie zamierzasz formalnie zatwierdzić rozejmu? - spytała zaniepokojona.

- Powiedziałaś już swoje. Pozwól nam rozważyć sprawę.

- Niech będzie i tak. Premierze... - Leia podeszła do stołu i podała rękę starszemu panu, który bez namysłu odwzajemnił gest. - Mam nadzieję, że znów się spotkamy.

Leia poprowadziła delegację ku wyjściu.

- Idziemy, proszę złotego złomu - wyszeptał Han, mijając 3PO. - I nie gadaj po drodze.

Pospiesznie podeszedł do szafki z bronią. Chewbacca przywitał go pomrukiem i ostrzegł, że strażnicy zachowują się od pewnego czasu mało przyjaźnie.

- Aż tak źle? - Han sięgnął po swój blaster.

Luke odsunął się nieco na bok i wziął wyłączony miecz świetlny. Ten dwuznaczny gest nie oznaczał jeszcze ataku. Han spojrzał na młodzieńca.

- W porządku - uspokoił go. - Ten oficer ma ich pod kontrolą.

- Kto taki? - Leia zerknęła na pogrążonych w rozmowie Imperialnych. - On jest z Alderaanu - wyszeptała. - Poznaję po akcencie.

- Może - mruknął Han, pakując nóż z powrotem do buta i chowając miniblaster do kieszeni. - Ale czy to ma oznaczać, że pod imperialnym mundurem kryje się szlachetne serce?

- Nie - odparła. Słowa te wyraźnie skierowane były do Luke'a.

Han wyprostował się i rozejrzał uważnie. Czarnowłosy oficer nie różnił się niczym od reszty imperialnych. Na mundurze naszyty miał czerwono - niebieski kwadrat, przypominający tarczę strzelniczą. Nagle obrócił się i ruszył w ich stronę. Han odruchowo położył dłoń na blasterze.

Luke przyczepił miecz z powrotem do pasa i wyszedł oficerowi na spotkanie. Leia podażyła za nim. Chewie został z androidami.

- Jakby co, to kryj nas, Chewie - mruknął Han i dołączył do grupy.

- Wasza Wysokość - wycedził oficer - cieszę się wielce z tego spotkania. Kapitan Conn Doruggan, do dyspozycji.

Han chętnie wydałby mu z miejsca stosowne dyspozycje, ale biegła w dyplomacji Leia nie pozwoliła mu dojść do głosu.

- Kapitanie Doruggan - odparła, wdzięcznie skłaniając głowę - oto komandor Skywalker, rycerz Jedi. - Raczyła też zauważyć Hana. - I generał Solo - dodała.

Luke ścisnął dłoń oficera. Han, który wciąż trzymał ręce nisko opuszczone, spojrzął przez ramię na Chewie'ego. Wookie pilnie śledził bieg wypadków. Leia mogłaby wziąć u niego kilka lekcji czujności.

- Musimy już iść - powiedziała. - Dziękuję za prezentację. Imperialny kapitan wyciągnął rękę. Han błyskawicznie ujął blaster, nie dotykając jednak spustu. Leia pożegnała się ceremonialnie z oficerem i pozwoliła, by musnął jej dłoń ustami. Luke tymczasem zerknął na kompana i Han poczuł nagle, jak coś szarpnęło jego ręką. Sztuczka z Mocą. Solo nie cierpiał podobnych manewrów. Wprawdzie przyzwyczaił się już nieco do istnienia Mocy, ale nadal jej nie akceptował. Ponadto ciągle był zazdrosny.

Idąc za Leia ku lądowisku na dachu, Han spojrzął z wściekłością na Luke'a.

- Nigdy więcej - syknął. - Nawet nie próbuj. - W takich chwilach przypominał sobie dawne nieporozumienia i zazdrość. Niepotrzebnie, podobnie jak zbyteczna była jego obecna reakcja.

- Przepraszam - mruknął Luke, nie patrząc na kompana. - Musiałem. Nie możemy sobie pozwolić na żadne awantury.

- Dziękuję, ale panuję nad sobą. Lei a obróciła się ku nim.

- Co się stało, Luke? - spytała.

- Nic takiego. - Luke potrząsnął głową. - Chciałbym porozmawiać... z kilkoma senatorami. I jeszcze komandor Thanas ma się dzisiaj z nami skontaktować. Chodźmy przejrzeć nowe dane.

ROZDZIAŁ 8

Przewodnik i strażnik w jednej osobie przewiózł delegację kolejką przez cały kompleks mieszkalny, po czym ulokował przybyłych w apartamentach na piętrze hotelu. Ledwo drzwi zamknęły się za Chewie'em, Han obrócił się i groźnie popatrzył na Leię. Nietrudno było się domyślić, co chce powiedzieć. Mleko bantha mogło by się zważyć od jednego takiego spojrzenia.

- Za dużo im powiedziałaś - krzyknął, wymachując ręką. - I po co było gadać o stanie naszych jednostek na Endorze? Nie muszą wiedzieć, że gonimy resztką sił. Teraz zbiorą cały swój złom w promieniu wielu parseków i załatwią naszą flotę.

- Nie zrobią tego. Nie mają z nikim łączności, a sami są zbyt wyczerpani.

Z ulgą położyła dłonie na jego piersi i spojrzała mu głęboko w ciemne oczy. Przed wszystkim chciała dowiedzieć się czegoś o tym renegacie z Alderaanu. Przez chwilę nie istniejący już świat ożył we wspomnieniach. Błogie i gorzkie jednocześnie doświadczenie. Imperialna polityka nie cieszyła się nigdy Popularnością na jej macierzystej planecie, więc tym bardziej podejrzany był ktoś, kto wstąpił ochotniczo do służby Imperatora.

- Ty też jesteś wyczerpana - mruknął Han. - Ale nie mów im zbyt dużo.

- I tak się domyśla... - zaczęła Leia.

- Chwilę - przerwał jej Luke. - Słyszeliście, co powiedział ten ludzki obcy? Że przybywają na polecenie Imperatora? Bakurianie zupełnie to zignorowali.

- Owszem, zwróciłam uwagę. - Leia odsunęła się od Hana. - Myślę, jak by to wykorzystać.

- To dobrze.

- Ale czy wy... - zaczęła znów Leia.

- Oszczędź sobie. - Han okrążył główny pokój apartamentu, zerkając pod wszystkie meble i lustrując kąty. Ściany pokryte były boazerią z jasnego drewna, jedyne okno wychodziło na ogród. W centrum stała sześciokątna, pokryta zieloną tapicerką kanapa, na której piętrzyły się małe, niebieskie poduszki. Han odwrócił każdą, jakby spodziewał się znaleźć tam granat, po czym zaczął ostukiwać ściany. - Chyba nie muszę wspominać, że wołałbym nocować na pokładzie „Sokoła”.

- Ja zostaję tutaj - westchnęła Leia.

3PO stał przy drzwiach, jedną dłonią zasłaniając bolec ogranicznika. Zupełnie jakby się wstydził. Leię śmieszyły czasem skutki posiadania przez androida programu pseudoemocji.

- Komandorze, androidy nie potrzebują odpoczynku. Czy mogę zaproponować zatem, żebyście zdrzemnęli się trochę? Artoo będzie trzymać straż...

Stojący pod żyrandolem R2 przerwał mu ironicznym gwizdnięciem.

Han zastygł przed półkolistym fragmentem ściany, na której umieszczony był ruchomy obraz przedstawiający puszczę. Gałęzie kołysały się na wietrze jak żywe.

Leia potrząsnęła głową. Imperialni musieli mieć ich na podsłuchu, to oczywiste. Na pewno ściągnęli dla nas czujniki i pluskwy z całego kompleksu.

- Nereus dysponuje na Bakurze realną władzą. Nie chce jednak, by tubylcy zaczęli się buntować, dlatego pozwala na to całą zabawę z rządem i senatem.

Han odwrócił się i oparł o obraz.

- To jasne - stwierdził. - I pewnie wolałby znaleźć w łóżku szurzego karalucha, niż pozwolić, żeby uzbrojone statki rebeliantów szwędały mu się po całym systemie.

- Ludzie sądzą inaczej - zaznaczyła Leia.

- Niezupełnie - stwierdził Luke. - Oni po prostu chcą przetrwać. Nereus zresztą też.

- Zatem kiedy będzie już po wszystkim, zajmie się nami troskliwie - powiedział Han. - Będziemy musieli na niego uważać.

- Będziemy uważać. - Luke przyjrzał się komputerowi - Jest przesyłka - powiedział lekko zdumiony i przycisnął sensor.

Han zajął mu przez ramię, Leia wcisnęła się pomiędzy nich. Na ekraniku holograficznym pojawiła się głowa imperialnego oficera. Pociągnęła twarz z kręconymi włosami.

- Komandorze Skywalker, zgodnie z umową powinniśmy porozmawiać. Jak szybko może pan zjawić się w moim biurze?

Ekran pociemniał.

- Komandor Thanas - mruknął Luke.

- A gdzie jest jego biuro? - zainteresował się Han.

- Pewnie gdzieś niedaleko. Zaraz sprawdzę.

Leia cofnęła się na bezpieczną odległość. Dość miała Imperialnych i wolała już ich dzisiaj nie oglądać. Wciąż mimowolnie oglądała się za siebie, jakby oczekując, że zza rogu wychynie obszerny, czarny hełm. Vader nie żyje! Został pokonany! Ponure wspomnienia nie powinny zatruwać jej reszty życia.

Luke obrócił się do ekranu na ścianie.

- Odebrałem wiadomość pozostawioną przez komandora Thanasa... - Chwila ciszy. - Tak, wszystko w porządku. Zjawię się u pana za jakąś godzinę.

- I co? - spytała go Leia, gdy wrócił na centralną kanapę. Luke założył ręce do tyłu.

- Ci z Ssi-ruuvi wrócili. Thanas twierdzi, że wygląda to na planową blokadę. Krążą na granicy skutecznego zasięgu naszych sił, w pobliżu orbity drugiego księżycy Bakury. Mam zaproszenie do koszar garnizonu Imperium.

- Sam? - spytała Leia. Luke przytaknął.

- Nie idź - warknął Han. - Zażąda spotkania na neutralnym gruncie.

Luke wzruszył ramionami.

- Tutaj nie ma ani skrawka neutralnego gruntu. Cała Bakura należy do nich. Jeśli mamy rozmawiać o taktyce, to lepiej już u niego, niż gdziekolwiek indziej. Pewnie ma stosowne wyposażenie...

- Weź ze sobą Chewie'ego. Thanas może cię zaaresztować. Pod byle pretekstem. Chociażby za to, że jesteś Jedi. To, że Operator usmażył się jak frytka, nie oznacza jeszcze...

- Ale przecież...

- Oni wciąż nie wierzą, iż Palpatine nie żyje - wtrąciła się Leia. - Ale rzeczywiście dobrze będzie wziąć Chewie'ego. Nawet bez broni robi wrażenie.

Han muskał palcami celownik blastera.

- W razie czego, jak szybko możesz wezwać pomoc?

- Mam tu nadajnik. Dywizjon myśliwców typu X ze „Szkwału” byłby tu w ciągu... godziny.

- To może być za późno - stwierdziła Leia, a Wookie ryknął, że się z nią zgadza.

- Sądzę, że ja powinienem raczej pozostać tutaj - powiedział 3PO, jak zwykle pomocny.

- Słuchajcie, potrafię zadbać o siebie. - Luke padł na kanapę w rogu tak gwałtownie, że poduszki aż rozleciały się na boki. - Im sugestywniej będziemy udawać, że im ufamy, tym więcej zdołamy od nich uzyskać. Leia już sporo zwojowała w senacie.

- Ale to nie wystarczy. - Księżniczka zacisnęła wargi. - Jedyna uczciwa wymiana, to nasza pomoc w zamian za trwałą rozejm, który natchnie nowym duchem wiele tysięcy pozbawionych złudzeń Imperialnych.

- No dalej - rzucił Han. - Powiedzcie jeszcze, że miło wam się z nimi pracuje. Ale patrzcie mi przy tym w oczy.

- No... - Leia spojrzała na Luke'a, jakby szukała u niego pomocy. Brat uniósł brew.

- Nie przyznasz mi racji? - spytała w końcu.

- No... chyba nie - odparł Luke. - Dobrze się z nimi nie czuję. Ich obecność napelnia mnie niepokojem.

- Właśnie - powiedziała Leia. - Ale to nie może przeszkodzić nam w negocjacjach. Trzeba od czegoś zacząć, a Ba - kura to idealne po temu miejsce.

Luke odchrząknął.

- Może jednak zabiorę chociaż Artoo.

Milczący od dłuższej chwili android odezwał się całą serią piśnięć i skrzeków.

- Dla łatwiejszej wymiany danych.

Leia westchnęła tylko, wiedząc, że jeśli Luke sobie coś postanowi, to przepadło.

- Opowiedz mi teraz o senatorach - poprosiła. - Co wyczułeś? - Usiadła obok Luke'a i podkuliła pod siebie nogi. Pole antygravitacyjne oddzielające ich od kanapy, sprawiał, że wisieli w powietrzu, tuż nad meblem.

- Nastawieni byli raczej wrogo. Zastanawiali się wciąż, kim jesteś, co tu robisz i czego właściwie od nich oczekujesz. To przede wszystkim. Ale ten starszy pan, Belden, naprawdę cieszył się na nasz widok. I nie tylko on. Inni... - Spojrzał na Hana, który krążył niespokojnie pod oknem. - Opowieść Lei uczyniła pewien wyłom. Zaczęli zmieniać nastawienie.

- Tak się cieszę - odezwał się 3PO z miejsca przy Drzwiach. - Pragnąłbym wrócić jak najszybciej do swoich.

R2 wyskrzeczwał coś w rodzaju poparcia.

- A ty tam, co sądzisz? - zwróciła się do Hana, oczekując, że raczy powiedzieć chociaż jedno dobre słowo na temat jej wystąpienia. Coś popsuło się między nimi w chwili, gdy renegat z Alderaanu okazał księżniczce szczególne względy. - Przyznaję, że nie jest łatwo działać otwarcie, gdy tyle lat pozostawało się w ukryciu.

Han odwrócił się wreszcie i zatknął kciuki za pas.

- Sądzę, że za wcześnie odkryłaś karty. To może się zemścić. Poza tym nie podoba mi się to wszystko. Ci ludzie mi się nie podobają, a Nereus najbardziej.

Leia skinęła głową.

- Zwykły imperialny biurokrata. Ale Luke, czy wyczułeś jak zareagowali na ciebie?

- Tak jak można było oczekiwać, biorąc pod uwagę, że wiadomość ich zaskoczyła. Ale czemu pytasz?

Leia szukała przez chwilę właściwych słów, ale to Luke odezwał się pierwszy.

- Znów pomyślałaś o Vaderze?

- Nie chcę mieć nic wspólnego ani z Vaderem, ani z niczym, co od niego pochodzi. - Dotknięta do żywego wycelowała oskarżycielsko palce w brata.

- Ja pochodzę od Vadera...

- No to daj mi spokój.

Leia zacisnęła pięści. Luke nic nie odpowiedział. I ty też - pomyślał. Mógł to powiedzieć głośno, ale nie zamierzał jej robić przykrości. Leia zdążyła zresztą już pożałować swego wybuchu. Zwykle bywała bardziej opanowana.

- Ejże - krzyknął Han. - Głowa do góry, księżniczko. On tylko chce ci pomóc.

- Czego wy właściwie oczekujecie ode mnie? - zerwała się z miejsca i podeszła do Hana. - Że z tym pogodzę się? I radośnie zamelduję wszystko Mon Mothmie?

- O Boże, znowu się zaczyna - mruknął Han.

Leia wsparła pięści na biodrach. Albo pokocha tego typu albo pewnego dnia go zabije.

- Znowu? - spytał nieśmiało Luke.

- Chwileczkę - powiedział Han. - Nikt nie zamierza wyjawić twego sekretu. Nawet Luke. Czy mam rację?

- No dobrze. - Luke wzruszył ramionami. - Nikt się nie dowie, z kim jesteś spokrewniona. Przynajmniej na razie. - Wyciągnął rękę na zgodę.

Leia przyjęła jego gest. Nieoczekiwanie Han podszedł do nich i objął oboje.

Po chwili ktoś ryknął za plecami Lei i futrzasta łapa wylądowała na jej ramieniu. Pomrukując, Chewie wepchnął się pomiędzy nich.

- Co on mówi? - spytała. Druga łapa Wookie'ego spoczęła na głowie Hana.

- Mówi, że jesteśmy jego rodziną - odparł Solo, usiłując uchylić się od pieszczot. - To podstawowa instytucja w ich społeczeństwie. Możesz czuć się zaszczycona, Leio, bo to oznacza bezgraniczną lojalność.

Wreszcie zwrócił się do niej po imieniu, bez zbędnych, pełnych ironii określeń. W jego wykonaniu oznaczało to przywiązanie nie mniejsze niż w przypadku Chewie'ego.

- No dobrze - powiedziała cicho. - Mamy robotę do wykonania. Wykorzystajmy każdą chwilę, jaka nam pozostała do wyjścia Luke'a. Potem pewnie znów zaproszą nas na obrady.

Chewbacca jęknął. Luke podszedł do komputera.

- Trzeba też sprawdzić, jak idą naprawy - powiedział Han, wyplątując się z kudłów Wookie'ego. - Nasza grupa dostała do tymczasowej dyspozycji swój kąt na lądowisku. Stanowisko dwunaste. Ale to należy do Chewie'ego.

- Znalazłem to, o co prosiliśmy. Przejrzyj dane, Artoo. Zobacz, czy jest tam coś nowego.

R2 gwizdnął wesoło.

- Uważaj, chłopaczku - doradził Han.

- I sugeruję daleko posuniętą ostrożność - wtrącił 3PO.

Statek Sojuszu zabrał Luke'a z lądowiska znajdującego się na dachu kompleksu. R2 został zapakowany do tylnego przedziału. Podczas lotu komandor podziwiał przesuwające się W dole miasto.

Obawiał się, że jego własne zdenerwowanie będzie miało niekorzystny wpływ na Leię, i nie ośmielił się dotąd wspomnieć ani słowem o cierpieniu odczuwanym przez uwięzione w obwodach osobowości. A przecież zwiększało to jeszcze niebezpieczeństwo, które zawisło nad Bakurą. Jeśli obcy wygrają, wówczas mieszkańcy podbitego świata (jak i wszystkie zgromadzone tu surowce i potencjał przemysłowy) pomogą w opanowaniu nowych planet. Każde zwycięstwo doda sił najeźdźcy. Reakcja łańcuchowa, która może objąć nawet Światy Centralne.

Może naprawdę zamierzali zniszczyć całą ludzkość albo też utrzymać jedynie kilka światów, planet więziennych, jako źródła surowca. Nie byłoby wcale dziwne, gdyby obcy potrzebowali ludzi do sterowania innymi jeszcze maszynami. Na dodatek nikt nie wiedział, jak wielka była flota Ssi-ruuvi.

W tej sytuacji nie należało raczej oczekiwać, by senator Gaerielą Captison była wrogo nastawiona w stosunku do Luke'a.

Jednak to, co wyczuł, charakter jej reakcji na sondowanie, skłaniały do rozmyślań. Nigdy dotąd nie spotkał się z tak gwałtowną zmianą uczuć, najpierw zaciekawienie, zaraz potem obrzydzenie. Nie miał wyboru, musiał z nią porozmawiać. Jeśli Jedi budzili w niej aż tyle oporów, to istniała groźba, że dziewczyna spróbuje zniweczyć starania Lei. Nie dopuści do zawarcia porozumienia. Lepiej otwarcie uznać w niej przeciwnika, niż pozostawić sprawę swojemu biegowi.

Wcześniej, niż Luke się tego spodziewał, wahadłowiec wylądował na skraju ciemnego obszaru pokrytego sztuczną nawierzchnią, w pobliżu koszar. Zdenerwowany pilot czym prędzej pomógł Luke'owi wystawić R2, po czym odleciał na pomoc, do portu lotniczego. Ogrodzenie koszar zwieńczone było drutami pod napięciem, między wysokimi wieżami wartowniczymi rozciągnięto kładki, po których przechadzali się strażnicy. Wjazd blokowało roziskrzone pole siłowe. Patrole androidów zauważyły już obcego i ruszyły ku niemu z trzech stron.

Normalna procedura wojsk imperialnych, nie ma się czym Przejmować. Luke ruszył do bramy.

- Za mną, Artoo.

Zza wartowni wyszło dwóch strażników w czarnych hel. mach. Pole siłowe zniknęło.

- Komandor Skywalker? - spytał jeden z nich, jego dłoń spoczywała na blasterze.

Przybywam w pokoju. Luke wysunął ręce przed siebie i ze. tknął je nadgarstkami.

- Chcę rozmawiać z komandorem Thanasem.

- A android?

- To mój bank pamięci.

- Szpiegostwo - zaśmiał się krótko strażnik.

- Prawdopodobnie zostawię tu więcej informacji, niż uda mi się wynieść.

- Poczekać. - Strażnik zniknął w wartowni.

Luke spojrzął poprzez ogrodzenie. W pobliżu dostrzegł przesuwającą się z trudem maszyną bojową typu AT-ST, która przypominała swoim wyglądem wielką, umieszczoną na nogach, metalową głowę. Koszary zajmowały spory obszar. Może były to standardowe zabudowania, ale z bliska robiły wrażenie. Miały co najmniej siedem piętér. Wieżyczki z laserowymi działkami na górze przypominały blanki zamku. Widać też było dwie skierowane w niebo wyrzutnie. Trudno powiedzieć, ile kryło się pod nimi myśliwców, ale z pewnością ściąganie tu całego dywizjonu własnych maszyn nie byłoby najlepszym pomysłem. W pojedynkę Luke czuł się znacznie bezpieczniej. A przynajmniej wmawiał sobie, że tak jest.

Strażnik wrócił ze sterownikiem ogranicznika. Przeprowadził też platformę antygravitacyjną.

- Android pojedzie na platformie - poinformował. - Wyłączony. Możesz zachować swój wyłącznik, ale nieuzasadniona reaktywacja zostanie uznana za wrogie działanie.

R2 pisał niespokojnie.

- W porządku - powiedział Luke. - Nie martw się. Począł, aż strażnik odłączy główny konwerter R2, potem razem umieścili androida na platformie i przymocowali pasami. Luke sprawdził jeszcze zatraski, by mieć pewność, iż metalowy przyjaciel nie spadnie. Sprawdził, że wyłącznik jest na miejscu, tuż obok miecza świetlnego, i znów przypomniał sobie nie tak dawny sen, który miał na Endorze.

Nie lubił używać tego typu wynalazków, niemniej zapewne wszyscy podwładni gubernatora dysponowali podobnymi urządzeniami. Ani R2 ani 3PO nie mogły w tej sytuacji liczyć na swobodę, w każdej chwili ktoś mógł przeszkodzić im w korzystaniu z ich własnego oprogramowania.

- Za mną - powiedział strażnik, podchodząc do otwartego ślizgacza. Luke zajął środkowe miejsce i przyczepił hol platformy, na której znajdował się R2, do burty pojazdu. Ruszyli. Z bliska ciemna powierzchnia okazała się gładką płytą permakrytu. Jeśli chodzi o ukrywanie wszystkiego, co naturalne, to na imperialnych biurokratów zawsze można liczyć - pomyślał.

Pojazd przemknął pomiędzy monstrualnymi wieżami strażniczymi i dotarł do parku maszyn. Luke poczuł znajomą woń olejów i gorącego metalu.

Zaparkowali przy stanowisku przeznaczonym dla obsługi ślizgaczy pościgowych. Luke czuł świdrujące go ze wszystkich stron ciekawskie spojrzenia. Przepraszam, że sprawiam zawód - szepnął do siebie - ale nie jestem więźniem. Jeszcze nie. Gdy odczepił platformę z androidem, ciekawość gapiów przerodziła się we wrogość. Poruszył palcem i uruchomił pole mocy. Coś jakby oderwało się od przemykającego obok ślizgacza.

Technicy spojrzeli w tamtym kierunku, Luke minął ich obojętnie i podążył za strażnikiem prowadzącym platformę. Przeszli wąskim korytarzem o nagich ścianach przechodzących łukowato w sufit i wsiedli do superszybkiej windy. Turbiny zawarczały i Luke'owi przez moment wydawało się, że jego żołądek przesuwają się coraz niżej.

Wysiedli na jednym z wyższych pięter wprost do przestronnego holu. Wszystko tu było szare: ściany, podłoga, sufit, meble, twarze... Oficer w czerni, który przemknął z jednych drzwi do drugich, wyraźnie odcinał się od tł. Przy każdym wejściu stali strażnicy w białych zbrojach. Luke mijał ich, patrząc prosto przed siebie, jednak Moc pozwalała mu omiatać czujnie całą przestrzeń. Dłoń trzymał w pobliżu miecza świetlnego.

W okrągłym holu recepcyjnym Luke dojrzał mężczyznę, który zbliżał się korytarzem z naprzeciwka. Wyprostowana sylwetka i równy krok zdradzały wojskowego, zaś szczupła twarz i kręcone włosy pozwalały zidentyfikować osobę. Luke ruszył mu na spotkanie.

- Komandorze Thanas.

- Tędy, komandorze Skywalker. - Thanas zerknął na młodzieńca sponad orlego nosa, odwrócił się na pięcie i niespiesznie poprowadził tam, skąd przyszedł. Wysoki i niezwykle chudy, emanował niespotykaną wprost pewnością siebie, co uprzytomniło Luke'owi, że ze wszystkich zakamarków śledzą ich oczy Imperialnych. Tak, jakby potrzebował jeszcze dodatkowego ostrzeżenia... Licząc widoczne na korytarzu egzemplarze broni, Luke skierował platformę za Thanasem.

Biuro komandora mieściło się w końcu korytarza. Było skąpo umeblowane i do przesady funkcjonalne, jeśli nie liczyć wykładziny podłogowej imitującej płataninę osobliwie wybuja - łych mchów. Na szarych, ponurych ścianach nie było ani jednego obrazu czy dokumentu, jak gdyby Thanas był pozbawiony przeszłości. Na gładkiej powierzchni blatu prostokątnego biurka widniał niewielki panel z sensorami, Luke nie dostrzegł niczego więcej.

- Proszę usiąść. - Thanas pokazał gestem fotel antigrav. Nie włączając na razie R2, Luke zajął miejsce. Thanas skinął na mechaniczny barek. - Napije się pan czegoś? Miejscowe alkohole są zdumiewająco dobre.

Luke zawahał się. Nawet, jeśli niczego mu nie dosypią, sama zawartość alkoholu może wystarczyć, by zmącić nieco jasność umysłu. Lepiej nie ryzykować.

- Nie, dziękuję.

Thanas też widocznie nie miał na nic ochoty, bo odszedł od barku, usiadł i założył ręce na piersiach.

- Muszę wyznać, Skywalker, iż nie sądziłem, że pan tu przyjdzie. Spodziewałem się raczej prośby, żeby zorganizować to spotkanie gdzieś indziej.

Luke wzruszył ramionami.

- Miejsce wydało mi się stosowne. Z praktycznych względów.

Spróbował wybadać nastawienie Thanasa. Czujność, ale i podziw wobec przeciwnika. Podejrzliwość, wolna jednak od oszukańczych zamiarów. Szczery, przynajmniej na razie, W głębi duszy skrywa sporo dobroci.

- Racja. - Thanas musnął panel i spod blatu wysunął się projektor holo. Pośrodku pokoju ukazał się obraz zielono - błękitnego globu. - Przyjrzymy się tej bitwie, do której tak śmiało się włączyliście?

- Z przyjemnością. Mogę? - Luke wskazał wyłącznikiem na R2.

- Proszę bardzo.

Luke uruchomił androida. R2 obrócił kopułkę, kierując fotoreceptor na hologram.

Bitwa rozpoczęła się od frontального ataku całej linii jednostek bojowych Ssi-ruuvi. Luke domyślał się, że miał on zepchnąć osłabione szybki obrońców ku planecie i otworzyć drogę dla inwazji. Siły Sojuszu zjawiły się dosłownie w ostatniej chwili -

- Czy można powtórzyć? - spytał Luke, gdy błękitne kreski, które oznaczały jednostki Imperium, przegrupowały się do kontrataku.

Thanas wzruszył ramionami i cofnął nagranie o kilka sekund.

- Czy to standardowy manewr?

- Wybacz pan, ale odmówię odpowiedzi na to pytanie. Luke przytaknął i zanotował sobie ten manewr jako „ściśle tajny”.

- Proszę mi powiedzieć - spytał Thanas - czy nasze skanery się pomyliły, czy też rzeczywiście wprowadziliście do walki zwykły frachtowiec?

Luke uśmiechnął się pod nosem. Nie zamierzał ujawniać prawdy o „Sokole”.

- Wie pan zapewne komandorze, że wielu naszych sojuszników to szemrane towarzystwo.

- Przemytnicy? - Thanas sprawiał wrażenie zaskoczonego.

Luke tylko wzruszył ramionami.

- Ale jednostka została zapewne zmodyfikowana do granic możliwości.

- Skradzione wyposażenie Imperium wciąż jest w cenie.

- Z pewnością. Nie miałem pojęcia, że wasza jednostka flagowa dysponuje łącznością holo. Dopiero gdy spytałem...

Dobrze byłoby zmienić temat - pomyślał Luke.

- Czy wie pan, o co toczy się gra? - spytał, po czym przedstawił Thanasowi swoje podejrzenia co do zamiarów Ssi-ruuków. - Po co właściwie Imperator nawiązał z nimi kontakt?

Thanas podrapał się w kark. Próbował zachować pozory obojętności, ale oczy mu pociemniały.

- Nawet, gdybym wiedział, to nie mógłbym niczego panu ujawnić.

- Ale pan nie wie.

Thanas spojrzął Luke'owi w oczy i to starczyło za całą odpowiedź. Jeśli nawet uda im się zawrzeć rozejm - pomyślał młodzieniec - niełatwo będzie go utrzymać.

- Musimy zastanowić się nad bieżącą sytuacją taktyczną - zaproponował Luke. - Według moich informacji mamy tu dwa krążowniki, siedem średnich statków

artyleryjskich i około czterdziestu jednoosobowych myśliwców. Dwie trzecie z nich czuwa na orbicie, reszta jest w przeglądach i naprawach. Zgadza się?

Thanas omal się nie uśmiechnął.

- Co za dokładność. Poza tym wy dysponujecie jeszcze mocno nieregulaminowym frachtowcem.

- To też. Czy miał pan sposobność, by oszacować siły wroga?

- W obrębie systemu dysponują trzema krążownikami. Dwie mniejsze jednostki znajdują się na tyłach, w pobliżu czwartej planety, są to zapewne jednostki desantowe. Do tego około piętnaście ciężkich myśliwców lub niedużych patrolowców. Krążą tuż przy granicy naszej strefy obronnej. Nie wiadomo, ile mają małych myśliwców, ani który krążownik je przenosi. Może wszystkie spełniają tę funkcję.

Krótko mówiąc, paskudna sytuacja.

- Skąd pan ma te informacje, komandorze? - spytał Luke, ciekaw sposobu zorganizowania sieci czujników wewnątrz systemu.

Thanas uniósł jedną brew.

- Ze zwykłych źródeł. A skąd pan czerpie swoje?

- Rozglądam się pilnie.

Rozmawiali jeszcze przez dwie godziny. Nie obeszło się bez kąśliwych uwag, zdołali jednak uzgodnić taktykę rozmieszczania jednostek sieci dozoru. R2 niezbyt się obłowił, ale kilka ciekawostek czekało w jego banku pamięci na późniejszą analizę.

- Komandorze Skywalker - powiedział spokojnie Thanas - czy byłby pan uprzejmy zademonstrować mi działanie miecza świetlnego? Wiele słyszałem o tej broni.

- Może lepiej nie - odparł Luke, siląc się na uprzejmość. - Nie chciałbym niepokoić wartowników.

- Możemy temu zapobiec.

Thanas nacisnął przełącznik na panelu i do pokoju weszło dwóch żołnierzy w białych pancerzach.

- Wolałbym, żeby zostawił pan u nas swojego androida. Wy dwaj: aresztować go!

- Jeśli można, wezmę go ze sobą.

Luke nie potraktował groźby Thanasa poważnie, jednak płynnym ruchem odpiął i uaktywnił miecz. Ostatecznie Thanas, chociaż skłonny do pertraktacji, nadal pozostawał imperialnym oficerem. Chce demonstracji, to będzie ją miał.

Strażnicy strzelili niemal równocześnie. Chociaż ładunki nadleciały w milisekundowych odstępach, Luke odbił obydwa. Wątle płomyki zgasty w zetknięciu z szarą ścianą.

- Wstrzymać ogień. - Thanas uniósł dłoń. - Odmaszerować.

Żołnierze wyszli.

- Nie rozumiem pana. - Luke był wciąż gotowy do walki, z aktywnym mieczem w dłoni. - Mógł pan stracić dwóch ludzi.

Thanas wpatrywał się w buczące, zielone ostrze.

- Skłonny byłem sądzić, że daruje im pan życie. Gdyby jednak stało się inaczej, wówczas mógłbym oczywiście pana uwięzić. Chyba nie podjąłby pan walki z całym garnizonem, aby opuścić koszary.

- Gdybym musiał, to i owszem - powiedział Luke, wyczuwając rozbawienie starszego pana. Może wrogie nastawienie Thanasa wynikało bardziej z odruchów zawodowych niż z rzeczywistej wiary w potęgę Imperium, było jednak za wcześnie, by mu zaufać. Luke wyłączył broń. - Muszę teraz odebrać raport o uszkodzeniach moich statków, komandorze.

Thanas skinął głową.

- Może pan iść. Proszę zabrać androida ze sobą. Luke zatknął kciuki za pas.

- Mój statek odleciał z powrotem do kompleksu Bakur. Wdzięczny byłbym za użyczenie jakiegoś środka transportu, który zawiózłby mnie do portu kosmicznego. Stanowisko dwunaste.

Thanas zawahał się.

- Dobrze - uśmiechnął się w końcu.

Gdyby Thanas zamierzał przeszkodzić delegacji w opuszczeniu Bakury, miał po temu wiele okazji.

Podoficer zabrał Luke'a małym statkiem antygravitacyjnym. To był naprawdę bardzo ciężki dzień. Luke znów poczuł tępy ból. W myśli sporządził listę czynności, które musiał wykonać: skontaktować się z Leią i powiedzieć, że cały i zdrowy opuścił koszary; sprawdzić, czy z „Sokołem” wszystko w porządku; upewnić się, czy myśliwce zostały zatankowane i uzbrojone i czy piloci zażywają odpoczynku...

Nagle przyłapał się na tym, że przez ostatnią godzinę ani razu nie pomyślał o pani senator, która wywarła na nim tak wielkie wrażenie. Teraz, gdy opuścił koszary, wspomnienie wróciło i chociaż próbował odsunąć od siebie jej obraz, niezbyt mu się to udawało. Ta dziwna reakcja na pole Mocy... Nie był to jednak czas ani miejsce, by folgować osobistym emocjom.

Chociaż... Pierwsza Gwiazda Śmierci też nie była odpowiednim zakątkiem na randki, a to właśnie tam pokochał Leię. Co tylko bardziej skomplikowało całą sytuację. Ale gdyby tak Gaeriela Captison potrzebowała kiedyś ratunku...

Od odlotu Luke'a minęło niewiele czasu, Pter Thanas przestał wreszcie stukać o blat biurka perłowym scyzorykiem z Alzoc. Zdążył już sprawdzić, że rzekomy frachtowiec spoczywa w doku dwunastym na cywilnym kosmodromie. Informacja była istotna, niczego jednak nie zmieniała.

Wysunął ostrze scyzoryka i sprawdził je na swoim palcu wskazującym. Za nic nie przyznałby się młodemu Skywalkerowi, jak bardzo pragnął ujrzeć miecz świetlny w akcji. To było marzenie jego życia. Kiedy Vader, wraz z Imperatorem, pozbyli się Jedi, stracił nadzieję, a jednak... To niesamowite, jak skutecznie taki miecz potrafi odbić promień lasera. Mało przydatny na polu bitwy, ale robi wrażenie. I wzbudza szacunek.

Podobnie jak młody człowiek, który przyszedł z mieczem. Komandor zrozumiał wreszcie, dlaczego nagroda za schwytanie Skywalkera była aż tak niebotycznie wysoka.

Thanas wiedziałby, co zrobić z taką górą kredytów. Przeniesienie na tę prowincjonalną placówkę zawdzięczał odmowie wykonania rozkazu. Nie chciał zetrzeć z powierzchni ziemi wioski zbuntowanych górników na planecie Alzoc III.

Nie miał zamiaru odgrywać bohatera... Po prostu zwiększy! podległym mu górnikom racje żywności. Robotnicy pochodzili z rasy Talz. Byli dość rozgarnięci i skłonni pracować tym lepiej, im obficiej ich żywiono, a magazyny i tak pozostawały pełne. W nieznanym sposobie futrzaści i czworooocy Talzowie dowiedzieli się, kto był ich dobroczyńcą. Thanas nie miał o tym najmniejszego pojęcia, ale któregoś dnia zdarzyło się, że podszedł w kopalni zbyt blisko szybu i stracił równowagę, wówczas trzech Talzów rzuciło mu się na ratunek. Zawdzięczał im życie.

Sześć standardowych miesięcy później pewien szczególnie zachłanny pułkownik ponownie obciął racje żywnościowe, przywódca Talzów doręczył ostrożnie sformułowany protest, pułkownik nakazał wówczas Thanasowi dokonać pacyfikacji wioski. Miał ukarać jej mieszkańców dla przykładu. Thanas zignorował ten rozkaz. Pułkownik sam wysłał oddział egzekucyjny, a Thanasowi kazał pakować manatki, czym prędzej wsiadać na pokład statku i czekać na kolejny przydział służbowy.

Thanas uśmiechnął się gorzko. Powiedziano mu później, że i tak powinien uważać się za szczęściarza. Gdyby zdarzyło się to w obecności lorda Vadera, zostałby po prostu uduszony. Ostatecznie wyładował na prowincjonalnej Bakurze i objął kiepsko płatną posadę bez widoków na awans i przeniesienie do Światów Centralnych.

Raz jeszcze pomyślał o nagrodzie. I o wcześniejszej emeryturze. Mógłby się znowu ożenić, może udałoby się zamieszkać na którejś ze spokojnych, niezrzeszonych planet. Zastanawiał się nad tym, obracając w palcach scyzoryk. Nagroda kusiała, ale cóż z tego. Jeśli ktokolwiek miałby tu zgarnąć jakieś kredyty, to w pierwszym rzędzie gubernator Wilek Nereus.

Thanas zmarszczył czoło i schował scyzoryk do kieszeni. Nie będzie wcześniejszej emerytury. Odparcie obcych było niemożliwe bez posiłków. A jedyna pomoc, na jaką mógł liczyć, pochodziła od Sojuszu. Nigdy już nie opuści Bakury.

Leia skasowała wiadomość od Luke'a i wróciła do analizowania plików. Fotograficzna pamięć to dobra rzecz, ale opracowanie surowych danych potrwa całe tygodnie. Dowiedziała się od R2, że Bakura osiągnęła ten poziom rozwoju technologicznego, kiedy to informacja staje się najcenniejszym dobrem. Wytwarzano tu urządzenia antygrawitacyjne i wydobywano surowce, również na eksport. Kopalnie znajdowały się w górach na północ od stolicy. Odnotowała też istnienie upraw drzew namany, tropikalnej rośliny strączkowej, wykazującej zadziwiająco małą tolerancję na warunki klimatyczne. Zgodnie ze zwyczajem tytularnym szefem rządu był zawsze potomek kapitana „Korporacji Bakury”, pierwszego statku, który wyładował na tej planecie. To była jedna nowość, drugą zaś był fakt, że to senat, a nie ogół niewielkiej społeczności, wyznaczał nowych senatorów na miejsce tych, którzy zmarli lub złożyli rezygnację.

Zaraz jednak uświadomiła sobie, że senat był obecnie i tak tylko maszynką do głosowania działającą pod dyktando imperialnego gubernatora, Wileka Nereusa. Dobrze byłoby po rozmawiać na prywatnym gruncie z kilkoma obywatelami i zorientować się, jak silne antyimperialne nastroje mogłyby wzbudzić rebelianci.

Ziewnęła szeroko i przeciągnęła się leniwie. Przez uchylone drzwi widziała stopy Hana. Apartament miał cztery sypialnie, dwie z prawdziwymi oknami i dwie z ekranami transmitującymi w czasie rzeczywistym różne obrazy. Jeśli Han zasnął na podłodze podczas przeglądania danych, to już jego sprawa.

Stała obecność Hana Solo wydatnie podnosiła jej ciśnienie krwi. Też pomyśl, po co miałyby się spoufalać z renegatem z Alderaanu, który przeszedł na służbę Imperium? Ze sprzedawczykiem. Zdrajcą.

Chewbacca nie dawał znaku życia, 3PO stał zapewne w pobliżu głównego komputera przy drzwiach, Luke zaś...

Gdy Luke wyszedł, uspokoiła się trochę. Nie powinna zareagować tak gwałtownie na przypomnienie, że to jednak Vader był jej ojcem. Nawet Han nie pozwolił sobie na żaden komentarz, gdy nie mogąc znieść ponizającej świadomości, że jest córką kogoś takiego, wyznała mu to wreszcie na Endorze. Nic nie powiedział, tylko ją przytulił. A przecież wiele wycierpiał za sprawą Yadera, który najpierw tropił go po całej galaktyce, potem używał jako królika doświadczalnego, w końcu pokiereszował jego ukochany statek Han nie żywił najmniejszej urazy do Lei ani do Luke'a. I wszystko byłoby dobrze, gdyby tylko dało się zapomnieć o Vaderze i o tej całej Mocy.

Ale nie było na to szans. Nie teraz i nie tutaj. Po prostu musi bardziej nad sobą panować.

- Proszę pani? - odezwał się 3PO. Podeszła do drzwi sypialni.

- Co jest?

- Wiadomość dla pani. Od premiera Captisona.

- Daj to na terminal w sypialni.

Wróciła pospiesznie przed ekran. Drzwi zamknęły się bezszmerowo. Wyposażone były w prowadnice antigrav zamiast łożysk. Prawdziwe cuda miniaturyzacji, nie spotykane poza tą planetą.

Nawet bez zapowiedzi androida rozpoznałyby osobę, która dzwoniła.

- Mam nadzieję, że senat zdecydował po naszej myśli, panie premierze - powiedziała, przywitawszy się jak najuprzejmiej.

Postać uśmiechnęła się smutno, z godnością, zupełnie jak niegdyś czynił to Bail Organa.

- Nie zapadły jeszcze żadne decyzje. Mam nadzieję, że wygodnie was ulokowano?

- Cieszę się, że pozwolono mi przemówić do wszystkich. Nie wiemy jednak, czy udało mi się przekonać imperialny garnizon, że przybyliśmy tu w konkretnym celu i zamierzamy wrócić do siebie zaraz po wykonaniu zadania.

- Wasza Wysokość. - Głos premiera brzmiał z lekka strofująco. - Chyba nie był to jedyny cel waszej wyprawy? Ale dobrze. - Captison uniósł dłoń. - Bakurianie potrzebują chwili oddechu. Od ponad tygodnia nie myślą o niczym innym jak tylko o Ssi-ruukach.

- Rozumiem - mruknęła Leia. - Co mogę dla pana zrobić, panie premierze?

- Pragnę zaprosić panią wraz z osobami towarzyszącymi na przyjęcie dziś wieczorem. Zaczyna się o dziewiętnastej.

A tak pragnęła położyć się wreszcie i wyspać. Niemniej...

- To wspaniale. - Oto szansa na chwilę rozrywki. A może i na prawdziwy przełom w rozmowach. - Przyjmuję zaproszenie w imieniu generała Solo i komandora Skywalkera. - Nagle przypomniała sobie o Chewie'em. Co z nim? Ci ludzie są wciąż uprzedzeni do obcych. Może uda mu się to wytłumaczyć. Pewnie zrozumie. I przynajmniej wyśpi się solidnie. - Dziękuję bardzo.

- Wyślę po was straż około osiemnastej trzydzieści - dodał. - Ach, zapomniałbym, zaprosiłem również gubernatora Nereusa. Chciałbym stworzyć warunki do nieformalnej wydany poglądów.

A więc nici z rozrywki. W obecności tego typu należy ^chować śmiertelną powagę.

- To bardzo miło z pana strony, panie premierze

Dziękuję.

Wyłączyła holo. Idealna sposobność. Najwyższa pora zapytać któregoś z Imperialnych, co sądzą o pomysle Palpatine'a by sprowadzić Ssi-ruuków w te strony.

Miała tylko nadzieję, że Luke wróci z portu kosmicznego na czas, by trochę się przygotować do tego spotkania.

Chciała, by Luke wrócił jak najszybciej.

ROZDZIAŁ 9

Minęła godzina, nim Dev zdrapał ze ścian przyprawiające o mdłości, galaretowate resztki zaschniętego jedzenia. Pora by zameldować się u Starszego Sh'th'ith - Błękitnołuskiego i to jeszcze przed kąpielą w połowie cyklu. Nie dlatego, żeby potrzebował terapii, ale jeżeli Błękitnołuski uzna, że Dev go unika, stanie się bardziej podejrzliwy. Starszy był niewiarygodnie wyczulony na wszelkie zmiany zapachu (a tym samym i nastroju) Deva. Poza tym był biegłym hipnotyzerem, brak wrażliwości na Moc nie miał więc większego znaczenia. Dev powinien być zdolny oprzeć się praktykom hipnotycznym, jako że możliwości stwarzane przez Moc znacznie je przewyższały.

Tylko w jaki sposób tego dokonać? Sam nie potrafił zbyt dobrze kontrolować Mocy, a nie miał tu nikogo, kto mógłby go tej sztuki nauczyć.

Tym razem obecność bratniej duszy była wyraźnie odczuwalna. Czyżby to był Jedi? Ssi-ruukowie wielce by się zainteresowali takim odkryciem, ale Dev nie chciał na razie mówić niczego Błękitnołuskiemu.

Chociaż... Gdyby postanowili schwytać tego młodzieńca, Dev miałby ludzkiego przyjaciela...

Nie. Przybysz był od niego o wiele silniejszy. Władał Mocą w sposób, do którego dążyła niegdyś matka Deva. Gdyby Ssi-ruukowie dostali go w swoje łapy, Dev szybko wypadłby z łask. I zostałby wreszcie poddany procesowi, o którym tak Darzył. Stałby się androidem.

Lekkim krokiem ruszył przez szeroki korytarz, mijając spieszących w obu kierunkach Ssi-ruuków. Poruszali się szybko, kołysząc masywnymi głowami. Niektórzy nosili paralizatory na wypadek, gdyby jakiś zestresowany bitwą P'w'eck zwrócił się przeciwko swoim panom.

A może... - Zwolnił nieco kroku. - Zechcą poddać tego nowego operacji. Ludzie zawsze krzyczą podczas transferu. Ktoś obdarzony tak silnym polem Mocy mógłby w czasie agonii zabić Deva.

Nie, niemożliwe. Przecież tylko ciało odczuwa ból.

A jeśli jest to w pełni wyszkolony Jedi?

Korzystając z turbowindy, dotarł do siedziby Błękitnołuskiego znajdującej się na pokładzie androidów bojowych. Ale hipnotyzera tam nie było. Kilku brunatnych P'w'ecków pochylało się nad piramidką z antenami, myśliwcem odzyskanym z pobojowiska dzięki zdalnemu sterowaniu. Młodzi, krótko - ogoniaści robotnicy o gwałtownych ruchach reperowali uszkodzone androidy i odstawiali je, by czekały na nową grupę więźniów.

Dev przyglądał się im przez minutę. Wszyscy P'w'eckowie wykonywali swoją pracę bez cienia satysfakcji. Skąpo ob - j darzona świadomością rasa niewolników tylko zewnątrznie przypominała swych masywnych, dostojnych panów. Podkrążone oczy

i obwisła skóra zdradzały, że młodzi robotnicy! nie jadali zbyt dobrze. Za to obsługiwane przez nich maszyny lśniły jak nowe.

Dev podjechał w pobliże mostka i wysłał androida strażniczego najwyższej rangi na poszukiwanie Błękitnołuskiego. Sam czekał przed drzwiami. Cały kompleks mostka otoczony był obwodami stabilizującymi o mocy wystarczającej, by dowództwo nie odczuwało żadnych wahań grawitacji podczas walki. Była to także osłona przed ogniem, jednak, jak każdy kondensator, obwody mogły ulec przeciążeniu i bezpośrednie trafienie dość silnym ładunkiem czyniło z mostka śmiertelną pułapkę. Admirał Ivikkis zawsze pilnował żeby „Shriwirr” nie wszedł w zasięg skutecznego ognia żadnej większej jednostki wroga.

Android też nie znalazł Błękitnołuskiego. Uznając, że sprawa robi się pilna, Dev skierował się do miejsca pracy Firwirunga.

Błękitnołuski stał na korytarzu, wydając polecenia grupie P'w'ecków. Dev zaczął w stosownej odległości, a gdy robotnicy pobiegli w swoją stronę, podszedł bliżej.

- Chciałeś, bym się zameldował, Starszy.

Błękitnołuski otworzył luk.

- Wejdz.

Dev przekroczył próg i rozejrzył się ostrożnie. Nie było to zwykle stanowisko pracy Błękitnołuskiego. W rogu znajdował się wpuszczony w podłogę obszar wielkości mniej więcej metra kwadratowego, oddzielony od reszty pomieszczenia barierkami - Przypominał otwartą klatkę. W podobnych trzymano czasem P'w'ecków. Uczono ich w ten sposób dyscypliny. Czegoś takiego Dev nigdy dotąd nie widział. Wystarczyło opuścić górną połowę, by uwięzić lokatora. Chłopak zaczynał wpadać w panikę.

- Tam?

- Tak. - Błękitnołuski podszedł do niedużego stolika. Niezdolny do jakiegokolwiek oporu, Dev zszedł posłusznie do klatki. Błękitnołuski przycisnął mu coś do ramienia.

- Możesz się oprzeć o pręty.

Zazwyczaj Błękitnołuski rozpoczął seans, każąc Devowi położyć się wygodnie na pokładzie. Terapia nigdy nie przypominała kary... przynajmniej jak dotąd.

- Czego pragniesz, panie? - wygwizdał nerwowo Dev. - Czym mogę cię zadowolić?

- Porozmawiaj ze mną. - Błękitnołuski ułożył swe lśniące cielsko obok klatki. - Jak postępują twoje prace?

Uradowany nagłym zainteresowaniem ze strony Starszego, Dev oparł się wygodnie na barierce dolnej części klatki.

- Wyśmienicie. Ostatnio przetłumaczyłem całe przesłanie do mieszkańców Bakury, kilka tygodni temu...

- Stop - przerwał mu Błękitnołuski, pochylając się nad Devem i spoglądając nań jednym okiem.

Dev uśmiechnął się blade.

- Jesteś człowiekiem. Pomyśl przez chwilę nad konsekwencjami wynikającymi z tego faktu.

Dev odgarnął rękaw koszuli i spojrzął na swoje miękkie, Dzierzawę przedramię.

- To oznacza... niższość.

- Pewien jesteś?

Zdezorientowany, Dev zamknął oczy. Wśród najgłębszych Pokładów emocji czaiło się coś jeszcze, poniżone i represjonowane, cuchnęło nienawiścią i...

Jaszczur zawisł tuż nad nim. Dev zawył i uderzył dłonią w przedramię.

- Mocniej - syknął Błękitnołuski. - Potrafisz zrobić to lepiej, cherlaku.

Zaciskając zęby, Dev wymierzył sobie cios pięścią.

- Unicestwiłeś mój świat. Zabiłeś moich rodziców, wszystkich. Zamordowałeś ich, okaleczyłeś, przerobiłeś... - Głos przeszedł w łkanie.

- I tylko tyle? Nie ma żadnego nowego powodu do nienawiści?

Dev przycisnął pięści do klatki piersiowej. Czego chce ode mnie ten jaszczur, wyciągając słowo po słowie? Przecież nie mam dla niego żadnych informacji.

Smród jaszczura owionął mu twarz.

- Domyślam się, że chętnie wybiłbyś mi oko.

Dev spojrzął w ślepie Błękitnołuskiego. Zdawało się rosnąć, otaczać go ze wszystkich stron, pochłaniać. Spadał w otchłań, wolność wyslizgiwała mu się pomiędzy palcami.

Przewrócił się.

Przeżaszony, skulił się na szarych kafelkach. Obraził swojego pana. Co go teraz czeka?

- Dev - powiedział spokojnie jaszczur. - Nie powinieneś tak do mnie mówić.

- Wiem - wymamrotał chłopak. Błękitnołuski zamruczał łagodnie.

- Tyle nam zawdzięczasz.

Oczywiście. Jak mógł kiedykolwiek pomyśleć inaczej?

- Dev.

Niewolnik podniósł głowę.

- Wybaczamy ci.

Chłopak odetchnął i podniósł się na kolana, obejmując dłońmi dolne przęty.

- Z drugiej strony.

Błękitnołuski trzymał w łapie strzykawkę ciśnieniową. De\ z wdzięcznością nadstawił ramię. Wstyd ustąpił jak ręki} odjął.

- Rozmyślnie wzbudziłem w tobie złość, Dev. Chciałem o pokazać, jak łatwo ulegamy emocjom, jak płytko są ukryte Nie wolno ci więcej okazywać gniewu.

- To się już nie powtórzy. Dziękuję. Przepraszam.

- Co tak cię dzisiaj wzburzyło, Dev?

Coś podpowiadało mu, że zamierzał zataić jakąś informację przed Błękitnołuskim, ale dlaczego, tego już nie pamiętał, przecież Ssi-ruukowie chronili go, żywili i darowali mu radość życia, chociaż wcale sobie na to nie zasłużył.

- Coś szczególnie - zaczął. - Wyczułem jeszcze jednego człowieka zdolnego sterować Mocą. Był bardzo blisko.

- Zdolnego sterować Mocą?

. - Kogoś takiego jak ja. Nie jestem jedyny. Chciałbym go spotkać, ale on chyba należy do załogi wrogiej floty, tej która niedawno przybyła. Napelniło mnie to smutkiem.

- On? To samiec?

Dev uniósł z wysiłkiem głowę i uśmiechnął się do Błękitnołuskiego. Zastryk musiał zawierać środek nasenny, bo chłopak ledwie mógł się ruszać.

- Może mi się przyśni - mruknął i osunął się na dno klatki.

Gaeriela odpoczywała zawieszona w powietrzu ponad łóżkiem antigrav. Puszysty koc spowiadał ją od ramion aż do kolan. Samo łóżko unosiło się tuż nad lekko wyblakłym dywanem. Słyszała, że dom Yeorga i Tiree Captisonów był niegdyś jednym z najokazalszych na Bakurze, ale od czasu, gdy podatki wzrosły niebotycznie, nawet premier musiał zacząć oszczędzać. Dochody Gaeri były w tej sytuacji liczącą się pozycją w domowym budżecie. Jej samej nie zależało na luksusie, raczej troszczyła się o wujka Yeorga i ciotkę Tiree.

Od wielu miesięcy nie zdarzyło się jej położyć po południu, ale tym razem nawet drzemka niewiele pomogła. Gaeri obudziła się zrana zimnym potem. Śniło się jej, że rycerz Jedi, Luke Skywalker, pojawił się nagle tuż nad jej głową. Unosił się na wyczarowanym z Mocy polu antygrawitacyjnym. Nim zdołała mu umknąć, cały pociemniał, zmieniając się w Deva Sibwarre. Podlatywał coraz bliżej i miał już sięgnąć przez koc, by wysączyć z niej życie...

Mocno sfrustrowana, wyplątała się z posłania i wcisnęła kontrolkę na ścianie. Wokół rozległa się łagodna muzyka w wykonaniu Imperialnej Orkiestry Symfonicznej. Podczas Pobytu w Centrum Gaeri zainteresowała się najświeższą nowinką imperialnej techniki akustycznej: hydrodynamicznym systemem odtwarzania. Wujek Yeorg nakazał wbudować urządzenie w ściany jej pokoju. Uznał to za stosowny prezent z okazji absolutorium. Ściany, a nawet szerokie okno stanowiły olbrzymie głośniki. Krążąca pomiędzy ścianą a wykładziną ciecz przenosiła i wzmacniała dźwięk. Kształt pokoju zmieniono na owalny, co poprawiło akustykę.

Niemniej jedyny pełny zestaw nagrań znajdował się w biurze gubernatora. Wilek Nereus kontrolował dane komputerowe, literaturę i wszelkie nagrania, które docierały na Bakurę. Jak dotąd współpraca z gubernatorem układała się pomyślnie, osobiście poręczał dostarczane Gaeri przesyłki. Jednak gubernator nie czynił niczego za darmo.

Sekcja dęta wysunęła się na pierwszy plan, przejmując prowadzenie melodii. Może faktycznie pomoc Sojuszu da Bakurze szansę na odparcie ataku obcych. I jeszcze ten Luke Skywalker. Zupełnie bez sensu... Przyciągnął jej uwagę, nim jeszcze dowiedziała się, kim jest. Gdyby miała dziesięć lat mniej, to pewnie zapragnęłaby, aby okazał się kimś innym, niż rycerzem Jedi. I żeby został tu na dłużej... Gdyby tak można cofnąć się w czasie i zapomnieć o wszystkim, czego nauczyli ją w Centrum.

Ale kosmiczne koło fortuny toczy się naprzód. Rodzi napięcia, po czym je łagodzi. Buduje i równoważy.

Rozległ się dzwonek. Gaeriela usiadła i spojrzała w rozsuwające się drzwi. Do pokoju weszła ciotka Tiree w eleganckiej, błękitnej tunice, złoty naszyjnik błyszczał na jej szyi.

- Lepiej się czujesz, Gaerielo? Ból głowy przeszedł? Nie wypadło kłamać ciotce.

- Tak, dziękuję, już lepiej.

- To dobrze. Zaprosiliśmy dziś gości na późny obiad. To bardzo istotne spotkanie.

Proszę, ubierz się ładnie.

- Kto przychodzi? - Gaeri wyłączyła muzykę. Ciotka rzadko pojawiała się osobiście. Zwykle używała interkomu lub wysyłała służącego.

Tiree stała nieruchomo jak manekin. Podobnie jak wujek Yeorg służyła Bakurze przez trzydzieści standardowych lat, jej bezgraniczny spokój stał się wręcz przysłowiowy.

- Delegacja Sojuszu i gubernator. Trzeba stworzyć im szansę rozmowy na neutralnym gruncie. To nasz obowiązek.

- Och.

Co? Rebelianci i Nereus? Po raz drugi w przeciągu kilku minut pożałowała, że nie jest o dziesięć lat młodsza. Wówczas mogłaby się wyłgać z tego obiadu.

- Liczymy, że pomożesz nam powstrzymać ich od kłótni, kochanie.

No tak. Przyszła sama, aby Gaeri doceniła, jak ważne jest to spotkanie. Bakura potrzebowała pomocy Sojuszu, a lekkie utarcie nosa gubernatorowi mogło, wbrew pozorom, poprawić atmosferę negocjacji.

- Rozumiem. - Pani senator opuściła stopy na dywan. Gdzie się podziały te czasy, gdy biegała boso po parku? - Przyjdę. Stosownie ubrana.

Ale ciotka nie wyszła, tylko przysiadła niespodziewanie na polu antigrav obok dziewczyny.

- Zdajemy sobie sprawę ze względów, którymi darzy cię Nereus - powiedziała tak cicho, jakby ujawniała najgłębszy sekret. - Nie zdziałał wiele do tej pory, a przynajmniej o niczym takim od ciebie nie słyszeliśmy, ale przyszła pora, żeby postawić sprawę jasno. Trzeba ukrócić jego zapędy.

- Zgadzam się - powiedziała Gaeri z ulgą. Dobrze, że ciotka myśli w ten sposób.

- Posadzę cię obok księżniczki Lei Organy, chyba że coś pokrzyżuje mi plany.

Innymi słowy, o ile wujek nie wpadnie na jakiś genialny pomysł.

- Może należałoby zaprosić senatora Beldena. - Zawsze to jeszcze jedna przyjazna dusza przy stole. I jeszcze jeden trzeźwy głos rozsądku. Bez wątpienia przydatny.

- Dobry pomysł, kochanie. Sprawdź, czy może przyjść. Zaczniij się ubierać. - Ciotka poklepała dziewczynę po ramieniu i wyszła.

Gaeri ziewnęła i położyła się znów na łóżku, jednak zerwała się po chwili. Bakura jej potrzebowała. Była dzieckiem tego społeczeństwa, miała zobowiązania wobec Imperium, Bakury i rodziny Captisonów, chociaż niekoniecznie w tej kolejności.

Czas wracać do pracy. Gaeri nie potrafiła wyobrazić sobie innego życia.

- Już przyjechali po nas, Luke.

- Nie rozerwę się! - Młodzieniec wsunął głowę pod strumień wody i zaczął energicznie tarć czuprynę. Tak gorliwie pomagał przy regulowaniu umocnień silników, aż skąpał się cały w wyciekającym smarowidle.

Powstrzymał się od komentarzy i godnych 3PO lamentów ale koniec końców, musiał pomoczyć się nieco w staromodnej wannie i poczekać, aż paskudztwo samo zejdzie. Wychowany na Tatooine, przez wiele lat nie wierzył, że naprawdę istnieje coś takiego, jak deszcz, pomyślał zaś, żeby mycie polegało na całkowitym zanurzeniu się w wodzie, uznawał za najdzikszą fantazję. Niestety, już w drzwiach dowiedział się o zaproszeniu na obiad.

- Uprzedzę ich, że się spóźnimy - powiedziała Leia podchodząc do kompa. - Wymyślę coś.

Ostatecznie Luke wbił się w biały strój i dołączył do Lei i Hana, czekających na niego w salonie. Leia wyglądała wspaniale w długiej, czerwonej sukni odsłaniającej ramiona, Han wybrał czarny, aksamitny mundur ze srebrnymi obszyciami w stylu Imperium. Ciekawe, gdzie i kiedy wyzabrował ten strój.

Leia miała na ręce masywną bransoletę z długimi, spiralnymi wisiorami. Ozdoba mieniła się, odbijając we wszystkich kierunkach promienie światła.

Księżniczka podniosła rękę i pokręciła nadgarstkiem.

- Dostałam to od wodza Ewoków. Próbowałam odmówić, przecież tak bardzo brakuje im metali. Ten skarb musiał pochodzić z innej planety. Nalegali jednak, bym przyjęła podarunek.

Luke rozumiał sytuację. Czasem trzeba przyjąć jakiś niezwykły prezent, jeśli nie chce się obrazić tego, kto go ofiarowuje.

Z sąsiedniego pomieszczenia wyszedł Chewie, cały lśniący i wyszczotkowany. Starsza pani, która czekała na nich przy wejściu, zachwiała się lekko i cofnęła o parę kroków.

- Och... - wykrztusiła. - Oczywiście... zaproszenie obejmuje też waszego... przyjaciela.

Luke spojrzał na Leię i Hana i pojął, że kwestia zabrania Wookie'ego na przyjęcie musiała być przedmiotem dłuższej sprzeczki. Han wygrał wprawdzie tę potyczkę, ale wojnę przegrywał na razie z kretesem. Leia unikała jego spojrzenia, potrząsała tylko gniewnie głową. Han pozbył się także kabury z blasterem. Widocznie zaproszenie zaznaczało, że pożądanym jest raczej strój wieczorowy.

- Chodźmy - rzuciła Leia. - Już jesteśmy spóźnieni Nagrywaj wszystkie wiadomości, Threepio.

Przewodniczka nie poprowadziła ich jednak na lądowisko na dachu, tylko przed budynek, gdzie w garażu przy wschodniej autostradzie czekał biały wehikuł antigrav. Wsiedli, kierowca wyważył pojazd i ruszył.

Luke bacznie obserwował drogę, gdy wóz sunął cicho radialną autostradą. Nad skrzyżowaniem płonęły niebiesko-białe światła i cała ulica zdawała się pogrążona w błękicie. Biała skała przybrać może dowolny kolor - pomyślał, przejechali pod brzęczącym strumieniem przypominających samochody pojazdów napowietrznych i skręcili w lewo, w jedną z obwodnic.

Przy tej alei latarnie miały kolor żółty. Ledwo Luke zdążył to odnotować, wehikuł skręcił na podjazd przed masywnym budynkiem z białego kamienia. Kolumny portyku lśniły stonowanym blaskiem. Gmach nie był wysoki, przypominał raczej prywatną rezydencję, jakie widuje się w wielu miastach, leżących na spokojnych świątach. Luke pomyślał, że dobrze byłoby wymknąć się na chwilę podczas obiadu i na własne oczy zobaczyć, jaki użytek robią ze swojej własności posiadacze aż tylu pokoi.

W wejściu pojawili się mężczyzna i kobieta ubrani w zielone przypominające mundury stroje. Z pewnością jednak nie były to uniformy Imperium, raczej wzór pozostały po czasach niepodległości Bakury. Otworzyli drzwiczki wehikułu i stanęli obok.

Luke pierwszy wyskoczył na podjazd i rozejrzał się. Nie dostrzegł niczego podejrzanego. Skinał na Hana, żeby zaczęli wysiadać, ale Leia cofnęła się nagle. Podobnie Chewie.

- Jesteście nareszcie - dobiegł ich spomiędzy kolumn kobiecy głos. - Witamy.

Wyczuwając przerażenie Lei, Luke sięgnął po miecz świetlny i spojrział uważnie, wypatrując źródła zagrożenia.

Premier Captison pojawił się w wojskowej, ciemnozielonej tunice przepasanej na krzyż złotymi szarfami i skłonił się Lei.

- Oto moja żona, Tiree - powiedział, przedstawiając kobietę w lśniącym stroju i czarnym, kopulastym nakryciu głowy.

Pani Captison podeszła bliżej, szeleszcząc długą do ziemi suknią w kolorze hebanu. Materia pokryta była łezkami Przypominającymi drobne kamienie szlachetne. Całość wieńczył obszerny kaptur, podobny odrobinę do hełmu Dartha Vadera.

- Tiree, pozwól, że przedstawię ci...

Leia dygnęła przed kobietą. Starła się uspokoić. Luke zmarszczył czoło. To nie lęk, to już obsesja.

Obecność Chewie'ego wyraźnie zaskoczyła premiera, ale pani Captison zdawała się być wręcz zachwycona. Mimo to Leia spojrzała na Hana z wyrzutem.

- Wejdźmy - poprosiła Tiree, kładąc dłoń na wielkiej łapie Wookie'ego. - Wszystko już prawie gotowe.

Ignorując Hana, Leia przyjęła ramię oferowane jej przez premiera. Solo aż się zagotował.

- Tylko spokojnie - mruknął Luke, gdy wchodzili do środka. - Lepiej pokaż im, jaki z ciebie czaruję.

Han spojrział spode łba.

- Czaruję - warknął. - Już ja im pokażę.

Wzdłuż obu ścian sieni wznosiły się kolumny podobne do tych, które widzieli już w gmachu senatu, tyle że mniejsze. Za nimi ciemniały na białym murze nieregularne plamy pnącej winorośli.

Leia przystanęła, by dotknąć jednej z kolumn, która była w rzeczywistości ozdobną, wewnętrzną rynną, i uśmiechnęła się do pana Captisona.

- Nie widziałam równie pięknego domu od czasu, gdy opuściłam Alderaan.

- Ta rezydencja została wzniesiona przez kapitana Ardena, założyciela miasta. Poczekajcie, aż ujrzycie stół, dzieło mojego dziadka.

Luke odciągnął Hana na bok.

- To wszystko sprawa polityki. Tak przewiduje protokół.

- Wiem. Ale wciąż mi się to nie podoba. Wolałbym uczciwą walkę.

Dołączyli do reszty, która czekała przed drzwiami jadalni. Sal? otaczały rosnące wewnątrz domu drzewa o nisko zwieszonych, krętych konarach. Winorośl kwitła tu jeszcze bujniej, pośrodku widniał stół o kształcie zbliżonym do trójkąta. Tępo ścięte rogi umożliwiały sadzanie biesiadników wzdłuż całego obwodu.

Pod przezroczystą podłogą płynął podświetlony dyskretnie strumień. Czasem przemknął w nim cień ryby czy węża.

Całości obrazu dopełniała miniaturowa góra piętrząca się pośrodku stołu. Wyciosana z przezroczystego minerału, lśniła łagodnym blaskiem, podobnym do światła roztaczanego przez filary. Po jej zboczach spływały kaskadami błękitne strumyki.

Luke odruchowo omiótł pokój spojrzeniem. Kto wie, co może się czaić po kątach...

Nagle... Chyba, żeby była na tej planecie jeszcze jedna kobieta o podobnej aurze roztaczanej przez Moc. Ale nie. To Ona. Siedziała przy stole, zwrócona plecami do drzwi.

- Jakie to wszystko cudowne - westchnęła Leia.

- Dziękuję, kochanie - powiedziała pani Captison, oglądając się przez ramię.

Potem weszła do pokoju i oddała nakrycie głowy służącemu. Zdawało się, że stąpa po wodzie, a gałęzie drzew ustępowały jej z drogi, unosząc się lekko i na powrót opuszczając. Luke zastanowił się, czy roślinność jest tutaj sztuczna, a może to jakieś szczególnie wrażliwe drzewa? Albo wręcz prymitywne organizmy zwierzęce?

Chcąc nie chcąc, wszedł do środka. Skupieni wokół stołu służący-ludzie rozpięchli się. Pewnie poprawiali nakrycia i siedziska z powodu nieoczekiwanej obecności Chewie'ego. Ciekawe, ale nigdzie nie było widać ani jednego androida. Pan domu poprowadził Leię do stołu, wskazał jej miejsce obok siebie przy jednej z krawędzi, pani Captison siadła u szczytu mebla. O jedno krzesło dalej siedział starszy pan z wokoderem na piersi, senator Belden, senior zgromadzenia.

- Spocznij tu, obok tego pana, kochany - powiedziała gospodyni do Chewie'ego.

Luke chociaż był zdenerwowany, uśmiechnął się. Rzadko kto mówił do Wookie'ego kochany. Sam Chewie też zachichotał z cicha. Przeznaczono mu niemal cały bok stołu. Nie było tu żadnego sprzętu antigrav, wyłącznie solidne antyki.

- To, czego dokonaliście wczoraj, to był dobry kawałek roboty - powiedział starszy pan do Luke'a. - Cieszę się, że mogę wam podziękować. Myśleliśmy już, że będziemy musieli uciekać w góry, przybyliście w samą porę.

Han usiadł obok Lei, co zostawiało Luke'owi tylko jedną możliwość - zajęcie miejsca obok tej dziewczyny. Szurnął krzesłem, zacisnął zęby i spojrział w prawo.

Gaeriela Captison odsunęła się, jak mogła najdalej. Miała na sobie suknię w kolorze głębokiej zieleni, złoty szal spowijał jej smukłe ramiona.

- Nasza bratanica, Gaeriela, komandorze - rzekł premier. - Obawiam, się, że w pośpiechu nie zdołałem przed, stawić jej w senacie.

- Wszystko w porządku, stryжку - odparła dziewczyna i zanim Luke zdążył się przywitać, spojrziała na Chewbacę. - Jeśli woli pan siedzieć wśród swoich, to chętnie zamienię się na miejsca.

Luke zasugerował bezgłośnie Chewie'emu, żeby odmówił. Ten zasapał łagodnie w odpowiedzi.

- Mówi, że bardzo mu się tam podoba - przetłumaczył Han. - Proszę mieć się na baczności, pani Captison. Jeśli Wookie się z kimś zaprzyjaźnia, to już na całe życie.

- Czuję się zaszczycona. - Starsza pani poprawiła nerwowo potrójny sznur błękitnych kamieni.

Luke postanowił, że nie spojrzy na swą sąsiadkę, dopóki sprawa miejsc nie zostanie ostatecznie rozstrzygnięta. Odwrócił się ponownie dopiero, gdy towarzystwo pogrążyło się w konwersacji.

Ze zdumieniem stwierdził, że spogląda prosto w parę różnobarwnych oczu. Jedno było zielone, drugie błękitne. Oba zaś czujne, lekko przymrużone.

- No i jak pan się miewa, komandorze Skywalker?

- To był naprawdę ciężki dzień - odparł cicho, tłumiąc jednocześnie wrażenia odbierane za jej sprawą w polu Mocy.

Lepiej, żeby nie stracił dla niej głowy już na początku przyjęcia. Zamieszanie przy drzwiach nie pozwoliło mu powiedzieć niczego więcej. Przybył gubernator Nereus w towarzystwie dwóch oficerów ubranych w czarne, galowe mundury. Podszedł do wolnego narożnika i usiadł. Żołnierze bez słowa stanęli za jego krzesłem, obaj wyprostowani niczym podczas pełnienia warty honorowej.

Wszystko to wyglądało straszliwie sztywno i oficjalnie... i wyglądałoby tak nadal, gdyby nie wspaniałe aromaty, które zaczęły dobiegać siedzących przy stole biesiadników. Żołądek Luke'a począł wyczyniać dziwne harce i młodzieniec poczuł się przez chwilę jak prosty chłopak ze wsi, którym w istocie był. Wspaniałe - pomyślał - tego tylko nam trzeba, bym ośmieszył się na oczach tych wszystkich ludzi i narobił wstydu Lei. Pożałował, że nie ma jej oglądy i nie przywykł do oficjalnych obiadów. A przecież stawka była bardzo wysoka.

- Dobry wieczór, Captison. Wasza Wysokość. Generale, komandorze. - Gubernator spojrział z dziwną uniżonością na Dziewczynę. - Dobry wieczór, Gaerielo.

Podanie zupy położyło kres wszelkim rozmowom. Zanim Luke uporał się z daniem, senator Belden wciągnął do konwersacji panią Captison, Leię i premiera (i bardzo dobrze: Leia zajmie się urabianiem Beldena i gospodarzy). Gubernator odchylił głowę i jeden z żołnierzy szeptał mu coś do ucha. Han pilnie śledził wszystkie poczynania Lei.

Tylko senator Gaeriela Captison nie była zajęta konwersacją. Luke zaczerpnął głęboko powietrza. Ostatecznie niczego nie ryzykował.

- Domyślam się, że żywi pani silne uprzedzenia do Jedi - zaczął niepewnie.

Tajemnicze oczy zamrugały, na czole pojawiły się drobne zmarszczki.

- Tak naprawdę, to jestem o tym przekonany - kontynuował. - Nie zamierzam ukrywać, że rano, w senacie, starałem się wyczuć reakcje obecnych i dowiedzieć się, kto spośród was skłonny będzie współpracować z Sojuszem.

- Jestem wykształcona w imperialnej dyplomacji, komandorze. - Otarła usta serwetką i spojrzała poprzez stół na Belden. - Ale możliwe, że są wśród nas sympatycy rebelii. Niektórzy czasem błędzą.

Trzeba będzie porozmawiać z senatorem Beldenem.

- Chcemy pomóc wam odeprzeć Ssi-ruuków - powiedział spokojnie Luke. - Rano przez dwie godziny omawiałem z komandorem Thanasem kwestię wspólnej strategii. Byłem u niego w koszarach. Przyjął do wiadomości naszą tymczasową obecność. Czy pani nie może uczynić tego samego? Nawet dla dobra swych bliskich?

- Jesteśmy wdzięczni Sojuszowi za udzieloną pomoc. Luke odłożył łyżkę. Uznał, że pora przejść do sedna sprawy.

- Zapewne sądzi pani, że potrafię czytać w myślach. Nie, wyczuwam jedynie stany emocjonalne i to dopiero wtedy, gdy się postaram. Na co dzień jestem takim samym człowiekiem jak wszyscy.

- Nie w tym rzecz... - odparła, ale jakby nieco się Uspokoila. Musnęła palcami zwisający na złotym łańcuszku medalion. - Ambiwalencja mojej oceny ma... religijne Podłoże.

Luke'a zatkano. Ben i Yoda uczyli go, że Moc zawiera w sobie pierwiastki wszystkich religii i nigdy nie jest z nimi sprzeczna

- A jak pani ocenia Sojusz?

- Na pewno nie tak ostro. Zresztą, ma pan rację, w tej chwili potrzebujemy pomocy i nic innego nie powinno się liczyć. - Zaciśnęła drobną dłoń na obrusie. - Proszę mi wybaczyć, jeśli wydałam się panu osobą z gruntu niewdzięczna, ale Ssi-ruukowie naprawdę nas przerażili. Poza tym na dłuższą metę przyjęcie waszej pomocy może doprowadzić do niemiłych dla nas reperkusji.

- Tak, jak zdarzyło się to z Alderaanem - powiedział ze smutkiem Luke. - Rozumiem. Strach to najpotężniejsza broń Imperium.

Wbiła spojrzenie w talerz z zupą. Luke wyczuł zmieszanie dziewczyny. Wyraźnie nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Przepraszam - zreflektował się. - Ale brakuje mi oglądy. Obcy jest mi świat dyplomacji.

- To miła odmiana.

Uśmiechnęła się lekko, ale bardzo wdzięcznie. Robiła wraze nie. To było coś więcej, niż tylko urok chwili. Jej obecność.. Luke przypomniał sobie przepelnione wilgocią puszcze Endoru, upalne noce na piaszczystej Tatooine, hipnotyzując; blask gwiazdznego pyłu w głębokim kosmosie...

Dość. Nie pora za wzruszenia, trzeba podtrzymywać rozmowę. Podano główne danie, drobne mięczaki i nie znane mi warzywa polaną masłem. Na stole pojawiły się też miseczki pełne bladobrunatnych ziarenek jakiegoś zboża. Luke rozejrzął się i zaczął rozmyślać nad odpowiednim w tej sytuacji komplementem. Dziewczyna pozostawała uprzejma, ale zachowywała dystans. W końcu nakrycia zniknęły ze stołu.

- Przyznaję, że senator Belden budzi moją sympatię. To przyjaciel waszej rodziny?
- Tak. Od wielu lat, chociaż czasami uznawany bywa za dziwaka.

Znaczy, naprawdę bliski przyjaciel. Nagle dziewczyna jakby zupełnie zmieniła front. Sięgnęła po karafkę i naląła Luke'owi odrobinę jasnopomarańczowego napoju.

- Proszę tego spróbować.

Wreszcie coś konkretnego. Luke ujął naczynie i zakręć kielichem. Ciecz była gęsta, powoli, jak syrop spływała f szklanych ściankach.

- Śmiało. - Gaeriela uniosła brwi. - To nie trucizna. Najlepszy miejscowy trunek. Odmawiając, obrazi pan Bakurę - Naląła sobie podobną porcję i wychyliła kielich.

Luke upił odrobinę. Trunek żywym ogniem spłynął w głąb gardła. Dopiero po chwili poczuł bukiety i smak. Woń kwiatów dżungli zmieszana z najśłodszymi owocami, jakich w życiu próbował.

Dziewczyna spojrzała na niego z uwagą. Bez wątplenia bawiło ją jego zmieszanie.

- Co to jest? - szepnął Luke, gasząc zimną wodą pożar w przetyku.

- Nektar namana. Jeden z najważniejszych produktów eksportowych planety.

- Nawet rozumiem już dlaczego.

- Jeszcze? - Sięgnęła po karafkę.

- Dziękuję, ale nie - uśmiechnął się. - Trochę za mocny jak na mój gust.

Gaeriela roześmiała się i napełniła swój kielich.

- Spodziewam się, że niedługo przyjdzie pora na toast.

- Dobrze by było - powiedział Luke, a w myślach dodał: O ile gubernator nie popsuje atmosfery.

Podąła mu krążącą wokół stołu paterę z przezroczystymi, żółtopomarańczowymi cukierkami.

- Może tak przyrządzona namana bardziej przypadnie panu do gustu.

Spróbował. Smak był niemal identyczny, całość zaś kojąco łagodna. Tropikalne kwiaty... odrobina przyprawy... Zamknął oczy, delektując się i smakiem, i jeszcze czymś...

- To nie trwa długo - powiedziała dziewczyna, gdy uniosł powieki. - Przetworzony stosownie owoc namany wywołuje ulotne wrażenie rozkoszy. Większość ludzi nie zauważa tego od razu. Po prostu zjadają namanę i jest im dobrze, chociaż nie mają pojęcia dlaczego.

- Wywołuje uzależnienie?

- Wszystko, co dobre, wywołuje uzależnienie - powiedziała, odgarniając kosmyk włosów opadający jej na czoło. - Należy uważać.

Luke dał sobie spokój z cukierkami. I tak miał już wrażenie, że policzki płoną mu, pokryte wiśniowym rumieńcem. Ale najważniejsze, że Gaeriela zaczęła zachowywać się swobodniej.

- W zasadzie nie jestem upoważniona do tego, by wypytywać o pogłoski... - zaczęła. - Ale prawdą jest, że nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi od Jego Imperialnej Wysokości, chociaż zwróciliśmy się do niego z prośbą o pomoc. To, co powiedział pan rano, poszło od razu we wszystkich mediach. Jest pan pewien, że on nie żyje?

Luke wyczuł nagle falę wrogości. Poszukał źródła. Gubernator spoglądał mało życzliwie w jego kierunku. Zazdrosny? Czyżby Nereus miał jakieś własne plany względem Gaerieli?

- Imperator biele operował Mocą. Posiadał silną aurę. Już sam ten fakt sprawił, że wyraźnie odczułem jego śmierć - wyszeptał.

Ku jego zdumieniu dziewczyna zbladła raptownie.

- Nie wiedziałam... nie wiedziałam, że Jego Wysokość... Gubernator spojrział na Chewie'ego, a Luke odetchnął z ulgą.

- Sądziła pani, że to domena Jedi? Czy pani religia potępia wszystkich, którzy są wrażliwi na Moc i wiedzą, jak ją wykorzystać?

Ciekawe jak zareagowałyby na wiadomość, że Imperator omal go nie zabił? Ale powiem jej o tym później, gdy będziemy sami - postanowił Luke. - Nie jest to najlepszy moment na wychwalanie Jedi i oskarżanie Imperatora.

- Chwilę, chwilę - głos Hana zagłuszył wszystkie rozmowy.

- Nie przywykłem zasiadać do stołu z obcymi, generale - stwierdził Nereus, wspierając ręce o blat stołu. - Wasza Wysokość, przykro mi, ale śmiem powątpiewać w wasze poczucie dobrego smaku, skoro przyprowadziliście Wookie'ego na oficjalne przyjęcie, i to w chwili, gdy egzystencja Bakury zagrożona jest przez obcych.

Luke zmartwił.

Leia spłonęła rumieńcem.

- Jeśli pan... - zaczęła.

- Czy sądzi pan, że tylko ludzie... - Han próbował coś powiedzieć, ale Chewie przerwał mu serią warknięć i pomruków.

Luke uspokoił się, widząc, że Wookie panuje nad sobą. Ostatecznie kudłaty przyjaciel mógłby bez trudu, jedynie w ramach rozgrzewki, przewrócić cały ten ciężki stół.

- Mój drugi pilot mówi - przetłumaczył Han, nie okazując cienia skruchy - że nie życzy sobie, abym go bronił zaznaczył jednak, że skoro Ssi-ruukowie polują na ludzi, ryzykuje mniej niż inni, ponieważ nie jest człowiekiem.

Han wykonał nieokreślony gest łyżką do zupy, którą trzymał w dłoni, a Chewie warknął coś pod nosem.

- Tak - kontynuował Han. - W najgorszym razie spotka go tylko śmierć, najeźdźcy bowiem nie używają Wookie'ech do zawiadywania androidami.

Chewie odezwał się raz jeszcze.

- Mówi, że jeśli jest wam potrzebny parlamentarzysta, to zgłasza się na ochotnika.

- Och, tak - zadrwił Nereus. - Wspaniały pomysł, generale Solo. Ale nie znamy mowy Ssi-ruuvi. Pewnie nigdy nie zostanie przetłumaczona. Poza tym Imperium nie zatrudnia... obcych.

Chyba że w roli niewolników - dodał w myślach Luke.

- Nigdy? - Uśmiechnął się Han, pochylając się nad stołem. - Nigdy to zbyt wielkie słowo, gubernatorze.

- W każdym razie, nic nam nie wiadomo o tym, by komuś udało się znaleźć klucz do ich mowy - wtrąciła się Gaeriela. - A nawet, gdyby dokonano tego w jakimś innym regionie, pozostaje to dla nas bez znaczenia.

- Wookie i tak nie powtórzy tych dźwięków - stwierdził triumfalnie Nereus. - Przecież oni nie opanowali nawet ludzkiej mowy. Co dopiero mówić o tych gwizdach, piskach i kłaskaniach... Ptasie gadanie. To dlatego nazwaliśmy ich fleciakami, chociaż brzmi to dziwnie.

- Gubernatorze - powiedziała Leia. - Może jednak mogłabym zaoferować usługi naszego androida, który specjalizuje się w funkcjach protokołarnych. To C - 3PO. Zna ponad sześć milionów języków.

Nereus zaśmiał się krótko.

- Android reprezentujący Imperium wobec obcych? Kiepski pomysł - warknął opryskliwie.

Leia nie odpowiedziała. Chewie ostentacyjnie rozparł się na krześle. Dawał jasno do zrozumienia, co sądzi o tym wszystkim i że nigdzie się nie ruszy.

- Jeszcze jedno - odezwał się Nereus. - Jeśli ktokolwiek Bacznie namawiać Bakurian do buntu, wszystko jedno, publicznie czy prywatnie, zostanie z miejsca aresztowany. Mam nadzieję, że dobrze się rozumiemy i nie muszę rozwijać tego wątku?

- Nie, gubernatorze - odparła lodowatym głosem Leia. - Mam jednak pewne pytanie. Jeśli wierzyć nagraniu, które przedstawił nam pan w senacie, obcy przybyli na zaproszenie zmarłego Imperatora. Czy może pan to jakoś wyjaśnić?

Nereus uniósł głowę.

- Nie zwykłem podważać decyzji Imperatora, Wasza Wysokość.

- Może miał nadzieję, że ich pokona - zaproponował

głośno Belden. Han zakolysał się na rzeźbionym krześle.

- Albo chciał sprzedać obcym zbędnych więźniów. Luke'owi przyszedł do głowy pewien pomysł.

- Właśnie - powiedział i wszyscy spojrzeli na niego. Niektórzy z zaciekawieniem, inni oburzeni. - Co robi właściciel upraw hydroponicznych z tym, co wyhoduje? Gaeriela wzruszyła ramionami.

- Przetwarza, płacąc towarem właścicielowi procesora. Oddaje mu część finalnego produktu.

Dziękuję, wujku Owen - pomyślał z wdzięcznością Luke.

- Palpatine chciał mieć własną flotę androidów bojowych - kontynuowała pani senator. - Są zwrotniejsze niż wasze myśliwce typu TIE i na tyle małe, że można chronić je tarczami o większej mocy.

- To prawda - przyznał Nereus. - Też tak słyszałem.

- Widzieliśmy je na własne oczy i to z bliska - stwierdziła stanowczo Leia.

Przez kilka sekund panowała cisza, aż obecni wznowili indywidualne rozmowy. Han pochylił się do dziewczyny.

- ... to nam nic nie da - usłyszał Luke. - Wracajmy do hotelu złapać trochę snu.

- Muszę... z premierem - padła jeszcze cichsza odpowiedź.

- Czy ten mężczyzna jest mężem księżniczki? – wyszeptała nagle Gaeriela.

Luke omal nie podskoczył, kiedy poczuł gorący oddech tuż obok swojego ucha.

- Można to tak określić.

Spojrzał na Hana. Na kilometr widać, jak się droczą - dodał w duchu.

- Jest trochę szorstki, ale to dobry człowiek. Nie znała pani nigdy nikogo takiego?

- Jak by to powiedzieć. - Poprawiła szal. - W zasadzie tak, znałam.

Byli w połowie deseru, gdy w jadalni pojawił się jeszcze jeden żołnierz. Podszedł do gubernatora i poprosił go na słowo. Odeszli pod obrośniętą winoroślą ścianę.

- Co pani o tym sądzi? - mruknął Luke do Gaerieli.

Gubernator wrócił pięć minut później. Był wyraźnie wzburzony. A nawet przerażony. Gaeriela musiała to zauważyć.

- Coś nie tak, Wasza Ekscelencjo? - spytał donośnie Luke.

Rozmowy ucichły.

Nereus wciągnął głęboko powietrze i przeszył Luke'a spojrzeniem.

- Otrzymałem poufną wiadomość od Pritticka, admirała floty, ale mogę wam ją przekazać. Potwierdza to, co usłyszeliśmy od rebeliantów. Druga Gwiazda Śmierci została zniszczona, Imperator Palpatine uznany został za zaginionego, należy przypuszczać, że nie żyje... Podobnie jak lord Vader. Flota przegrupowuje się w pobliżu systemu Annaj.

- Teraz już pan wierzy? - spytała Leia. - Komandor Skywalker był obecny przy śmierci Imperatora.

- Ale nie ja go zabiłem - dodał pospiesznie Luke, widząc, że ciałem Gaerieli wstrząsnął dreszcz. - Uczynił to lord Vader. I sam zapłacił za to życiem. Ja byłem tylko ich więźniem.

- I jak udało się panu uciec? - zainteresował się senator Belden, gotów słuchać podobnych historii choćby i do rana.

- Po śmierci Imperatora na pokładzie zapanował kompletny chaos. Trwał atak Sojuszu. Znalazłem drogę na pokład startowy...

Spojrzał na Gaerię. Dziewczyna usiłowała opanować emocje wywołane zaskakującą wiadomością.

Premier Captison zerwał się z miejsca tak gwałtownie, że aż Przewrócił krzesło.

- A zatem Imperium nie udzieli nam pomocy? Gubernator Nereus wpatrywał się w Luke'a w zamyśleniu.

Na ogół potrafił zachować zimną krew, tym razem był jednak śmiertelnie przerażony.

- Wydaje mi się - powiedział Skywalker - że flota Imperialna jest zbyt zajęta poszukiwaniem ocalałych jednostek, by organizować jakąkolwiek pomoc dla prowincjonalnego świata.

- Co było zasadniczym powodem naszej wyprawy - do, dała Leia.

- Zdrowo przetrzepaliśmy im skórę - wyrwał się Han. Zapadło kłopotliwe milczenie. Miły nastrój prysnął. Twar2

Lei pokrył rumieniec, była wściekła. Służący podniósł krzesło gospodarza i premier usiadł. Gubernator potrząsnął głową.

- Książniczko - powiedział, wstając z miejsca. - Zmuszony jestem prosić was o pomoc. Mam nadzieję, że wasza flotylla zgodzi się współdziałać z naszymi jednostkami na warunkach rozejmu.

Leia wyprostowała się.

- Oficjalnego rozejmu, Wasza Ekszelencjo?

- Na tyle oficjalnego, na ile leży to w zakresie moich kompetencji.

Dla Luke'a brzmiało to dość podejrzanie, Leia wyglądała jednak na zadowoloną. Wstała i podała Nereusowi rękę. Masywna bransoletka lśniła na jej nadgarstku. Na sali zapanował trochę swobodniejszy nastrój. Po raz pierwszy w historii rebelianci i Imperialni mieli walczyć ramię w ramię ze wspólnym wrogiem.

Gubernator ścisnął wyciągniętą rękę księżniczki. Drobną dłoń Lei zginęła w jego mięsistej, okrytej rękawiczką łapie. Nereus uniósł puchar.

- Za nietypowe porozumienie!

Leia sięgnęła po kieliszek. Belden i Captison uczynili to samo. Luke nie zwlekał dłużej.

- Odparcie Ssi-ruuków nie będzie łatwe – powiedział. Podobnie jak ponowne przełknięcie tego świństwa, dodał w duchu. - Konieczna jest pełna współpraca.

- Właśnie - ucieszył się Han. - W przeciwnym razie wszyscy skończymy jako androidy Ssi-ruuvi. Wszyscy, bez wyjątku.

Gaeriela trąciła się pucharem z Luke'em. Nawet mały tyk palił żywcem gardło.

Zbliżała się pora pożegnania, ale Luke wolałby zostać jeszcze trochę, by nacieszyć się towarzystwem pani senator. Dlaczego była taka zdenerwowana?

- Co się stało? - zapytał.

Dziewczyna wyraźnie miała dość wszystkiego i chciała czym prędzej wstać od stołu. Ale Luke nie mógł pozostawić spraw ich własnemu biegowi.

- Jeśli gubernator nie może liczyć na Gwiazdę Śmierci, będzie musiał zdać się na inne środki, bardziej bezpośrednie...

Będzie musiał poszukać innego straszaka. Luke potarł podbródek.

- Gdyby nie Ssi-ruukowie, czekałyby was czystki? Gaeriela pobrała.

- Skąd pan wie...

- Standardowa procedura. Spotkaliśmy się już z tym na wielu światach.

Dziewczyna momentalnie zmieniła temat. Po drugiej stronie stołu Han i Leia wstali jednocześnie, ale poszli w przeciwnie strony. Nie wyglądali na szczęśliwych.

- Czy naprawdę wierzy pani w Imperium? - spytał szeptem Luke.

Zmarszczyła brwi i zamrugowała oczami. Wypiwszy resztkę nektaru, wstała od stołu. Luke podniósł się również.

- To kwestia równowagi. Wszystko ma swoje ciemne i jasne strony. Nawet Jedi. Tak sądzę.

- Owszem, chyba ma pani rację - mruknął.

Gdyby tylko ten wieczór mógł trwać przynajmniej o tydzień dłużej. Poproś ją o ponowne spotkanie! ... Czy to Ben, czy też podświadomość podsunęła mu rozwiązanie?

- Czy moglibyśmy dokończyć tę rozmowę jutro? - zapytał niepewnie.

- Nie wiem, czy będę miała czas. - Z wyraźną ulgą podała mu rękę.

Luke przypomniał sobie, jak imperialny oficer pocałował dłoń Lei. Może tutaj jest taki zwyczaj?

Zaryzykował. Nie wyrwała się. Jej skóra pachniała jak owoc namany. Starając się opanować emocje, musnął jedynie jej dłoń. Na nic więcej się nie odważył.

Dziewczyna uściśniła jego rękę, po czym podeszła do senatora Beldena. Luke został sam. Usiłował wyobrazić sobie, jak by to było, gdyby w przyszłości Gaeriela...

Postanowił, że wykorzysta Moc, ale musi znaleźć sposób, by dokończyć tę rozmowę.

ROZDZIAŁ 10

Dev zerwał się na równe nogi. Obudził się nagle. Leżał na pokładzie w ciepłym pomieszczeniu, wokół migotały liczne światelka, ciszę przerywało popiskiwanie rozmaitych mechanizmów. Wkłęśła ściana łukiem przechodziła w sufit.

To musi być mostek kapitański - pomyślał Dev. Rzadko pozwalano mu zaglądać aż tutaj, mostek był terenem najpilniej strzeżonym. Obok Błękitnołuskiego stał kapitan krążownika „Shriwirr” oraz admirał Ivpickis. Wszyscy trzej wpatrywali się w Deva.

Widocznie pojawienie się drugiej istoty obdarzonej zdolnością poskramiania Mocy uznana została za sprawę najwyższej wagi.

Dlaczego? Wiedział, ale już zapomniał. Co oni z nim zrobili? Jakie sztuczki zastosowali wobec jego umysłu? Czy był teraz sobą, czy kimś zupełnie innym? Manipulacja... A może kontakt z obcym przybyszem, chociaż krótki, zamieszał mu w głowie?

- Powtórz, co powiedziałeś Starszemu - rozkazał Firwirrung. - Czy było to podobne do sposobu, w jaki odczuwałeś obecność matki, tyle że dotyczyło samca?

Dev ledwo pamiętał lekkie muśnięcia jej umysłu. Wpatrzony w metalowe płyty pokładu, zatęsknił nagle za domem. Nie zdarzyło mu się to od chwili, gdy spotkał nowych panów i uznał ich za właściwą rodzinę.

- Podobne - odparł cicho. - Ale nie identyczne.

- Pod jakim względem?

- Ten tutaj, ma swoją... postać. Ma za sobą ten sam trening, co matka, ale ona... ona była o wiele słabsza.

Admirał spojrzał lewym okiem na Deva, a potem na kapitana - Firwirrung zastukał pazurami przednich łap.

- Ten jest o wiele mocniejszy? – spytał?

- Popatrz na mnie.

Błękitnołuski przysunął łeb do twarzy chłopca i wbił w niego przenikliwy wzrok. Dev poczuł radość i podniecenie. Nareszcie doszedł do siebie. To była jego prawdziwa osobowość. Kochał ich!

- Tak, to znaczy, że jeżeli jest wytrenowany, może nawiązywać kontakt z innymi nawet na sporą odległość!

- To ciekawe - zauważył Firwirrung. - Jak wielki dystans wchodzi w grę?

Dev poczuł nagły przypływ entuzjazmu dla sprawy.

- Nie wiem - odpowiedział. - Ale śmierć Imperatora wyczułem dla was z odległości wielu lat świetlnych.

- To prawda - gwizdnął Błękitnołuski, klepiąc Firwirrunga w ramię. - Czy mając dość silny bezpośredni kontakt, byłbyś w stanie zawiadywać na odległość procesem przekazywania?

- Zapewne. - Firwirrung aż machnął ogonem z wrażenia. - Musielibyśmy zmodyfikować aparaturę... tak, aby była zdolna do utrzymania tej silnej jednostki przy życiu w stanie hipnozy, energia musiałaby napływać spoza systemu...

Admirał Ivpikkis też poruszył nerwowo ogonem.

- Linia przesyłowa służąca do kontaktu z ludźmi. W ten sposób moglibyśmy podbić nie tylko ten świat, ale cały kosmos.

Wyczuwając ich podniecenie, Dev splótł palce i zacisnął mocno dłonie.

- Uważam, że powinniśmy zmienić strategię - stwierdził admirał. - Najpierw trzeba odizolować tego silnego i przetestować nasz pomysł. Jeśli rzecz zadziała, będziemy mogli wezwać główne siły floty...

Pograżyli się w rozmowie, mówili tak szybko, że Dev prawie ich nie rozumiał. Błękitnołuski przestał zwracać na niego uwagę. Dev się zaniepokoił. Zawsze był ich ulubieńcem, ukochaną ludzką postacią. Czyżby mieli zamiar go odtrącić?

Owszem, mógłby stać się wreszcie androidem bojowym, ale za jaką cenę? Coś się tu nie zgadzało. Transfer miał być nagrodą, a nie...

Mogą zgodzić się na proces po to jedynie, żeby się go pozbyć. Owszem, pragnął metalowego ciała, ale pragnął też miłości.

Wszyscy trzej odwrócili się jednocześnie do Deva. Firwirrung pogłaskał go po ramieniu, zostawiając czerwone pręgi.

- Pomóż nam. Sięgnij Mocą jak najdalej. Powiedz, jak się nazywa ten osobnik i gdzie jest. Pomóż nam go znaleźć.

- Panie - wyszeptał Dev. - Czy zawsze będziesz mi ufał? Firwirrung wzmocnił uścisk łapy, wyciskając łzy z oczu Deva.

- Nigdy nie wątpiliśmy w twoje całkowite oddanie. Chyba nie będziesz tego kwestionował.

- Nie, nie.

Dev aż pobladł. Firwirrung był jego rodziną, jego kabina była domem Deva. Ludzkość się nie liczyła. Jeśli Firwirrung go odtrąci, cóż pozostanie?

- Devie Sibwarro - odezwał się Błękitnołuski - potrzebujemy twej pomocy jak nigdy dotąd.

Dev nie mógł oderwać spojrzenia od Firwirrunga. Technik zawsze utrzymywał, że kocha Sibwarę, ale czy powiedział to kiedykolwiek wprost? Roztrzęsiony Dev cofnął się o krok.

Jakiś P'w'eck chwycił go za ramiona i pchnął w kierunku Błękitnołuskiego. Starszy wyciągnął łapę ze strzykawką.

Nie powinni tego robić. Sam zastrzyk prawie nie boli, ale Dev pamiętał, jakie wywołuje skutki. Jak mogą być tak okrutni, po tym wszystkim, co dla nich zrobił. Przecież go kochali? Szczególnie Firwirrung. Dev nagle przypomniał sobie wszystko. Takie sytuacje już się zdarzały. Nie raz i nie dwa. Oni potrafili być okrutni.

To była właściwa pamięć. To był prawdziwy Dev Sibwarra, człowiek odrodzony poprzez kontakt z przybyszem... Ale nie potrafił przecież przezwyciężyć działania narkotyków ani oprzeć się dominacji Błękitnołuskiego. Był bezradny, zniknął, odchodził...

Zastrzyk odprężył go jak nigdy dotąd, chociaż Dev stawiał opór. Było coś, czego nie chciał zapomnieć. Firwirrung pochylił się nad chłopakiem.

- Siegnij jak najdalej, Dev. Pomóż nam. Gdzie on jest? Jak się nazywa? Jak możemy go znaleźć?

Napływające do oczu łzy zamazały obraz głowy Firwirrunga. W końcu jednak Dev stłumił żal, zacisnął powieki i uciekł

Moc. Wszechświat otworzył się i tylko mgliste aury jego panów zamigotały na chwilę tuż obok.

Przybysz był wciąż bardzo blisko, równie silny, jak przedtem, niezaprzeczalnie rodzaju męskiego. Bratnia dusza. Jednak tuż obok majaczyła druga poświata, o wiele słabsza, niemal ginąca w blasku pierwszej, jakby żeńska. Echo? Dev nie potrafił tego pojąć. Wiedział teraz tylko jedno, wszelka miłość i poczucie bezpieczeństwa wiążą się z Firwirrungiem i tylko z nim. Jak ognia unikał dotykania aury przybysza.

- Jest w stolicy - mruknął na wpół świadom swych słów. - W Salis D'aar. Nazywa się Skywalker. Chodzący Po niebie. Marzyciel - próbował przetłumaczyć swym panom obco brzmiące nazwisko.

W końcu, wyczerpany, otworzył oczy. Firwirrung promieniał szczęściem. Nie miał, rzecz jasna, pojęcia, ile zazdrości wzbudziło w Devie zainteresowanie jego pana obcym przybyszem. Dev cierpiał, ale nikogo to nie obchodziło. Może Ssi-ruukowie w ogóle nie wiedzieli, co to jest zazdrość.

- Marzyciel - powtórzył Błękitnołuski. - Pomyślna to wróżba, takie nazwisko. Dobrze się spisałeś, Dev.

Dev odprężył się, nie rezygnując z percepcji w polu Mocy. Wyczuwał radość swych panów, ale także ich chciwość. Mając nieograniczone praktycznie zasoby ludzi, a tym samym androidów bojowych, admirał Ivpikkis mógł w krótkim czasie podbić cały znany wszechświat. Dev należał do jego planu.

Mimo wszystko czuł się poniżony. Co prawda miał żal do przybysza, że się pojawił, ale mimo wszystko pragnął z nim kontaktu. To było takie miłe i łagodne... pożeganie.

Firwirrung pochylił nad nim łeb.

- Czujesz się nieszczęśliwy, Dev?

Huśtawka emocji, które odczuł w ostatnich minutach upewniła go, że jeszcze jedno takie przeżycie, a zacznie mu grozić obłąd. Zamknął oczy i pokiwał głową.

- Jestem zadowolony, panie.

Nienawidzę cię, nienawidzę cię, nienawidzę. Nie pozbawią Mnie człowieczeństwa. Dość igrania z moim umysłem - powtarzał sobie w duchu, ale nie na wiele się to zdało.

Nie mógł nienawidzić Firwirrunga, ojca i matki w jednej osobie, rodziny, jedynej, już od pięciu lat posiadanej rodziny. Emocje powoli słabły. Ośmielił się otworzyć oczy.

- Panie - szepnął - najwyższą rozkoszą jest pomaganie tym, którzy mnie kochają. - Zmusił się, by spojrzeć czule na Firwirrunga.

Szef mruknął coś w zamyśleniu, na chłodno rozważając manifestację uczuć Deva. W końcu trącił Błękitnołuskiego łapą.

- Starszy, Dev dorósł do tego, by w pełni pokochać naszą rasę. Daj mu trochę więcej swobody. Niech postanowienie, by służyć mi wiernie, będzie jego własną, w pełni przemyślaną decyzją. To uczucie wyższego rzędu.

Dev zadrżał. Firwirrung zniewolił już jego duszę, odebrał mu wolną wolę, a teraz chciał, by Dev sam narzucił sobie jeszcze ciaśniejsze pęta. To mógł być pierwszy i zasadniczy błąd Firwirrunga.

Jak umiał najlepiej, Dev powtórzył gest Ssi-ruuvi, kładąc dłoń na górnej kończynie Firwirrunga.

- To jest mój pan - zanucił, chociaż w każdej chwili mogło się zdarzyć, że Błękitnołuski spojrzy mu w oczy i wyczuje oszustwo.

- Widzicie? - powiedział Firwirrung. - Jesteśmy sobie coraz bliżsi.

- No to bierz swego ulubieńca i znikaj - rozkazał admirał Ivpikkis. - Czeka nas sporo pracy. Rób z nim, co chcesz, byle odpowiednio modyfikował aparaturę dla tego tam... Marzyciela.

Firwirrung pokiwał z powagą wielkim łbem i skierował się do włazu.

Dev ruszył za nim, a każdy krok oddalający go od Błękitnołuskiego był jednocześnie krokiem ku wolności. Wyszli na korytarz i włącz zatrzasnął się za Firwirrungiem.

Godzinę później Dev zwinął się pośrodku ciepłej wnęki sypialnej. Firwirrung zapomniał o nim, zajęty kreśleniem schematów. Chłopak usiłował przypomnieć sobie, w jaki sposób matka uczyła go nawiązywania kontaktu. Minęło już pięć lat, na dodatek ostatnie przeżycia mocno go wyczerpały. Najchętniej leżałby tak w ciepłym gnieździe, snując kojące wspomnienia.

Ale musiał spróbować i to teraz, zanim Błękitnołuski znów się za niego weźmie. Nie miał wiele czasu. W końcu Ssi-ruukowie i tak pewnie go przyłapią. Nawet jeśli nie, to czekała go jeszcze rutynowa kontrola odbywająca się co dziesięć lub piętnaście dni i to niezależnie od rzeczywistych potrzeb. Zapłaci wówczas głębszą niż zwykle ingerencją w jego umysł, ale winien był gatunkowi ludzkiemu ten jeden wysiłek.

Zamknął oczy i stłumił gorycz, żal i nadzieję. Strach nie chciał ustąpić, osłabiając odbiór wrażeń, ale i tak udało się Devowi wnikać w pole Mocy.

Niemal natychmiast ponownie wyczuł przybysza. Musnął jego aureę, by zwrócić na siebie uwagę, a potem przesłał pilne i nader istotne ostrzeżenie.

Odrącone koce odleciały w ciemność. Jedno z podgrzewanych okryć zsunęło się na podłogę. Przez krótką chwilę Luke nie mógł sobie przypomnieć, co właściwie go obudziło. Ale sen wrócił: ciemność i strach. Przestroga. Ludzkość w niebezpieczeństwie... za jego sprawą. Obcy chcą uczynić z niego więźnia, by...

Ufff...

Położył się na wznak i westchnął głęboko. R2, który stał przy łóżku pisał coś niezrozumiałe.

- W porządku - rzucił Luke.

Co za sen. Trzeba strzec się podobnych infiltracji. Może jest ostatnim i pierwszym Jedi, ale nie znaczy to jeszcze, by miał jakieś podejrzone zamiary wobec całej ludzkości.

Ale wrażenie nie ustępowało. Może to nie był zwykły sen? Może ktoś chciał go ostrzec?

- *Ben? Obi-Wan? O co tu chodzi?*

Mniejsza o to. Wypytywanie nic nie da. Lepiej poszukać odpowiedzi w sobie.

Odrzuciwszy lęk i fałszywą pokorę, rozważył sens ostrzeżenia w odniesieniu do znanych mu metod i zamiarów Ssi-ruuków. W tym kontekście cała sprawa nabierała sensu. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach.

Na czym polegał błąd Kenobiego? Straszliwy błąd. Nie Powinien go tutaj wysyłać. Ale Jedi też czasem błędzą. Yoda był przekonany, że Luke zginie w Mieście w Chmurach. Ben wierzył, że uda mu się wyszkolić Anakina Skywalkera.

Luke zwinął się, przybierając pozycję płodową. Jeżeli Yoda i Kenobi popełniali omyłki, mogły się one zdarzać również Luke'owi. Mogły być fatalne w skutkach...

Przyszłość pokaże, czy ostrzeżenie było prawdziwe. I to ta najbliższa. Jakakolwiek sugestia czy cień podejrzenia, że obecność Jedi może pomóc Ssi-ruukom wygrać tę wojnę, będzie tego dowodem.

Uspokoił się, opanował oddech i bicie serca. Spróbował zerknąć w przyszłość. Niektóre sprawy pozostawały niejasne, inne wydawały się całkiem nieprawdopodobne. Sekundy, mi - nuty, miesiące... ale jest. Oto mapa Imperium Ssi-ruuvi rozciągającego się aż do Światów Centralnych. Tak jak obawiał się tego Han, wpadli w pułapkę. O wiele jednak straszniejszą, niż można było przewidzieć.

Istniała poważna szansa, że Ssi-ruukowie podbiją Bakurę.

Dev przekręcił się na bok i wpił kurczowo palce w poduszki. Tam naprawdę był Jedi. Tym razem wyczuł wyraźnie jego silną osobowość. Silną i opanowaną, nawet w chwili przebudzenia.

Kabina była jasno oświetlona, ale Dev nie czuł się jeszcze wypoczęty.

- Panie? - spytał. - Czy czas wstawać? Firwirrung wy dostał się z legowiska.

- Alarm na pokładzie. Ale tylko dla mnie. Śpij dalej. Dev zwinął się w kłębek. Kątem oka śledził sytuację. Drzwi

odsunęły się i w otworze pojawił się masywny łeb.

- Wejdz - gwizdnął zaskoczony Firwirrung. - Witam. Błękitnołuski ruszył prosto ku wnęce sypialnej. Dev chciał się wyprostować, ale mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Wiedział, co go czeka. Starszy namyślił się jednak i zamierzał zabrać się za umysł podopiecznego. Z torby zawieszanej na ramieniu Błękitnołuskiego wystawała kolba promiennika.

- Admirał Ivpikkis postanowił powierzyć naszemu ludzkiemu sprzymierzeńcowi nową misję - zagwizdał Błękitnołuski. - Wcześniej jednak trzeba poddać go pełnej terapii

Dev poczuł przyływ paniki. Uciekać. Ale dokąd? Firwirrung zmrużył ślepie.

- Zatem powierzam go twojej opiece, przyjacielu.

Błękitnołuski objął pazurami prawą rękę Deva i szarpnięciem postawił go na nogi. Chłopak ledwo złapał równowagę.

Starszy puścił go.

- Idź przede mną - zagwizdał. - Firwirrung podąży za nami.

Dev powlókł się mrocznym korytarzem. Panowała tu umowna noc. Mógł tego uniknąć. Mógł przetrwać jeszcze chwilę, gdyby powstrzymał się od działania i poprzestał na swobodzie myśli... Ale zostało mu tylko kilka minut. A jeśli Błękitnołuski zahipnotyzuje go, lub podda działaniu narkotyków i zmusi do wyjawienia tego, co niedawno uczynił... Wówczas Ssi-ruukowie po prostu go zabiją. Zmarniają jego energię życiową, by wyładować swój gniew. Widział już, jak masakrowali ogonami opornego P'wecka.

Co gorsza, jeśli dowiedzą się, że Skywalker zna prawdę i oczekuje ich, wymyślą inny sposób, żeby go porwać. Wyruszą większą liczbą, większą siłą, użyją innego sprzętu. Nawet Jedi im się nie oprze. Galaktyka padnie.

Tylko jedna droga ucieczki przychodziła Devowi do głowy. Niewiele wiedział wprawdzie o Mocy, ale powinno mu się udać wywołać charakterystyczny dla terapii trans, a tym samym uniknąć wstępnego przesłuchania pod wpływem hipnozy.

Nie. Terapia zabije w nim ponownie Deva Sibwarę, zabije w nim człowieka. Zapomni wtedy, że można być wolnym.

Wolnym? Na jak długo? Skrzywił się, zwiesiwszy głowę. Tyle razy już usiłował kształtować swoje życie i wszystko na darmo. Znowu przegrywał. Tym razem może ocalić wiele milionów ludzkich istnień... i jednego Jedi. Niewielka to ofiara wobec takiej stawki. Pomoże im, jeśli tylko będzie mógł. Pomoże, uszanuje pamięć matki.

Unosząc głowę wyżej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich pięciu lat, Dev poprowadził Błękitnołuskiego ku dobrze znajomym drzwiom.

- Obudziłeś się, drobiazgu?

Dev zamrugał oczami. Leżał na ciepłym pokładzie, obok pary owłosionych, pazurzastych łap. Znał tę śpiewną mowę, kojarzył zapach. Błękitny łeb przysunął się bliżej. Dev poczuł się tak, jakby przed chwilą się narodził.

- Uleczyłem cię - powiedział...?

Dev usiłował przypomnieć sobie jego imię.

- Witaj znów na tym pięknym świecie.

- Błękitnołuski! Łzy zakłopotania pociekły po policzkach młodzieńca.

- Dziękuję - wyszeptał.

- Zostawiłem jedynie te myśli, emocje i wspomnienia, które dodadzą ci sił. Usunąłem wszystko, co mogłoby komplikować ci życie.

Błękitnołuski skrzyżował smukłe ręce na piersi. Dev odetchnął głęboko i radośnie.

- Czuję się taki czysty.

Nie pamiętał, dlaczego Starszy poddał go terapii. Nie mógł tego pamiętać nigdy. Widocznie takie wspomnienie utrudniłoby pełne oddanie kochanym władcom, nie

pozwoliliby zaznać spokoju. Dbali o niego. Każdy, kto tak dba o przyjaciela, musi być z gruntu dobry. To na pewno niełatwe zadanie.

Firwiring czekał za drzwiami kabiny Błękitnołuskiego. Zmarszczona skóra na głowie świadczyła o tym, że się niepokoił. Jego pan martwił się o niego! A więc leczono go z naprawdę poważnej choroby!

- Czuję się o wiele lepiej, mój panie - wyrwał się Dev. - Dziękuję naszemu kochanemu Starszemu. I tobie też dziękuję.

Firwiring dotknął jego ramienia łapą i pokiwał łbem.

- Witaj - powiedział, lekko wysuwając znajdujące się na koniuszkach języków narządy węchu.

- Teraz możemy udać się wszyscy do admirała Ivpikkisa - zanucił Błękitnołuski.

Ach, tak, misja. Już pamiętał i o niej. Zaszczyt, najwyższy przywilej współtworzenia Imperium Ssi-ruuvi. Dev szedł przygarbiony pomiędzy swymi panami. Pozbawione pazurów dłonie zaciskały się i rozwierały. Miał białe oczy, skórę pokrytą włosom, rachityczne i cuchnące ciało bez ogona. Kimże był, aby zasłużyć sobie na ich towarzystwo, radosną służbę, ciekawe i pracowite życie? To przecież wielki zaszczyt.

Dzwonek wyrwał Luke'a z drzemki. Pokój pogrążony był w mroku, tylko przy łóżku migotało małe światelko.

- Co takiego? - spytał niezbyt przytomnie. Śniło mu się coś upiornego... nie, to było ostrzeżenie. - Co jest?

- Komandor Skywalker? - odezwał się męski głos. - Nie śpi pan?

- Genialne pytanie. Czy coś się stało?

- Mówię w imieniu zarządu portu kosmicznego Salis D'aar. Doszło do incydentu z udziałem pańskich oddziałów. Trzymamy w kompleksie kilka pojazdów przeznaczonych do użytku służbowego. Jak szybko może pan dotrzeć do lądowiska na dachu?

Pułapka? Czy miało to coś wspólnego z proroczym snem? Wskoczył z ciepłego łóżka. W zasadzie się wyspał, ból też przestał dokuczać.

- Już biegnę.

Ubrał się pospiesznie i postanowił obudzić Chewie'ego. Lepiej, żeby ktoś mu towarzyszył, a Wookie i tak nie musi się ubierać. Poza tym ma bystre oczy, potrafi myśleć, no i jest silny. Han niech zostanie z Leią. Wspominała coś o czekającym ją rano śniadaniu z wujkiem Gaerieli.

Incydent. Rebelianci szukający guza...?

No dobra. Ostatecznie to też tylko ludzie. Złapał miecz świetlny.

Pobiegł do pokoju Chewie'ego. Wolał jednak nie podchodzić zbyt blisko. Wyrwany raptownie ze snu Wookie bywa groźny.

- Chewie - wyszeptał. - Obudź się. Mamy kłopoty.

- Zwolnij trochę.

Chewie skręcił na drogę dojazdową do portu. Stanowisko dwunaste leżało za następną przecnicą, prowadzącą do wieży kontrolnej. Oświetlona była tylko część

terenu, w dali migały nikłe ogniki, jakby strzelano z blastera. Ktoś wyłączył zasilanie, albo po prostu porozbijał latarnie. Gdzie podziały się miejscowe służby porządkowe?

Skręcili w lewo, minęli blok stanowiska dwunastego i dotarli do wysokiej, metalowej bramy. Była otwarta i nie strzeżona. Może wartownicy poszli sprawdzić przyczyny zamieszania. Luke poprawił kurtkę. Nocne powietrze było chłodne i wilgotne.

Cztery wielofunkcyjne stanowiska tworzyły jedno skupisko, pośrodku którego wzniesiono dwa schodzące się pod kątem prostym parterowe baraki pełniące funkcję dość obskurnej kantyny. Ktoś stał obok nich i machał do przybyłych.

Chewie zaparkował pojazd pomiędzy budynkami. Gdy wyłączył silnik, zaległa martwa cisza, po chwili rozległ się wystrzał z blastera. Po plecach Luke'a przebiegł dreszcz. Okolica zajaśniała na moment i Luke dostrzegł kratownicę rusztowań, a także ciemnowłosą sylwetkę sadzącą wielkimi susami w kierunku kantyny.

- Manchisco! - krzyknął. - Co się tu dzieje?

Dowodząca „Szkwałem” pani kapitan odsunęła energicznym ruchem warkoczyki.

- Nasi sprzymierzeńcy... są tam... twierdzą, że dopadli dwóch Ssi-ruuków pod jednym z naszych statków i trzymają ich w szachu. Nie mogę podejść dość blisko, by to sprawdzić. Strzelają do wszystkiego, co się rusza.

- Czy nikt nie ma lornety z mnożnikiem? - Han posiada taką, ale „Sokół” znajduje się ćwierć kilometra stąd.

Manchisco potrząsnęła głową.

- No dobra, idziemy. Ty też, Chewie! - Luke pobiegł w kierunku rusztowań. Po drodze odpiął miecz świetlny.

Zanim dotarli na miejsce, rozległy się krzyki.

- Hej! Wy tam! Zmykajcie, jeśli nie macie broni. Obcy wylądowali! Zabili dwóch naszych!

Manchisco wybrała niepewne schronienie za niewielkim modułem naprawczym, Chewie przysunął się do kratownicy.

- Ssi-ruukowie nie zabijaliby ludzi - mruknął Luke. - Oni potrzebują więźniów. Chewie, kryj mnie! - Jeśli to naprawdę byli Ssi-ruukowie, to lepiej będzie zmierzyć się z nimi samemu. Mniejsza o ostrzeżenia.

Tak naprawdę jednak Luke nie miał pojęcia, czego się spodziewać. W blasku włączonego miecza dostrzegł Chewie'ego, który celował w mrok z kuszy.

- Zostań tam - szepnął. - Bliżej nie trzeba. Znow zapadła cisza.

- Wszyscy wstrzymać ogień - krzyknął Luke.

Krok po kroku ruszył naprzód. Nikły blask broni musiał starczyć za całe oświetlenie stanowiska dwunastego.

Obszedł statek Sojuszu. Na ziemi pod nim leżały dwie ludzkie sylwetki. Minał je, cały spięty, gotów do obrony. Przed nim błysnęły elementy kolejnego rusztowania.

- Jest tam kto? Pokazać się!

Zza osłony wychynęła kopulasta głowa Calamarianina. Po chwili pojawił się następny. Luke jęknął i podbiegł do nich.

- A wy skąd się tu wzięliście? - spytał stanowczym tonem.

- Jesteśmy na przepustce - syknął stojący bliżej, prostując sztywny kołnierz munduru.

- Samowolka?

Przecież ich dowódca musiał mieć chyba ważniejsze sprawy na głowie niż...

- Żadne takie, komandorze. - Calamarianin aż zamachał rękami. - Przyszła nasza kolej. Też jesteśmy zmęczeni. Ale ci tutaj nas naszli i...

- I dwóch zabiliście?

- Komandorze, oni nas zaatakowali! Było ich dziesięciu! Pierwsi zaczęli strzelać! W tej chwili Luke żałował, że nie został na Endorze.

- Jeden z was niech idzie ze mną.

- Czy to konieczne? - Rozmówca aż się cofnął, mocniej ściskając blaster w dłoniach.

- To rozkaz - powiedział cicho Luke. - Za mną. Blisko żebym mógł cię kryć.

Powoli wyszedł z ukrycia za rusztowaniem. Ktoś strzelił z oddali i Luke musiał odbić ładunek klingą miecza.

- Wstrzymać ogień! Chewie, jeśli będzie trzeba, to możesz naszpikować ich strzałami!

Wookie ryknął na tyle głośno, że wszyscy musieli go słyszeć.

- W porządku. Idziemy.

Ruszyli nieco wolniej, jako że Calamarianin nie był zdolny do szybkiego marszu. Wycofali się w kierunku najbliższego statku, starannie omijając oba ciała.

- Chewie, gdzie jesteś?

Znów padł strzał. Po chwili kolejny. Luke odbił je odruchowo.

Nagle ogień ustał. Rusztowanie zaskrzypiało osobliwie. Chwilę potem dał się słyszeć stłumiony ryk wściekłego Chewie'ego. Luke uniósł miecz, by oświetlić teren. W górze kilka ciemnych postaci czepiało się kurczowo prętów rusztowania, puszczając blastery, które z hukiem spadały na ziemię.

- Dobra robota, Chewie. Wystarczy. Wszyscy na dół, przyjrzymy się, co z was za ptaszki. Ci tutaj to Calamarianie, a nie Ssi-ruukowie. Przyjrzyjcie im się lepiej! - Ktoś pogderał coś na górze, ale nikt się nie pokazał. - Złazić! - krzyknął Luke, tracąc cierpliwość.

Mineły trzy sekundy, Chewie sapnął groźnie.

Podziałało. Ujrzeni dziesięciu ludzi, ośmiu młodzieńców i dwie dziewczyny. Wszyscy mieli na sobie obszerne, bufiaste płaszcze i ciepłe czapki. Prawdopodobnie pozbyli się już broni. Jeden, niższy i szczuplejszy niż pozostali, wskazał na Calamarianina.

- On ma rację, to nie jest fleciak.

Luke rozpoznał głos. To ten człowiek usiłował ich ostrzec.

Do przodu przepchnął się wysoki osobnik o wylupiastych zezowatych i podkrążonych oczach. To prawda, że zielone światło nie dodaje nikomu urody, ale ten nawet w blasku dnia musiał prezentować się upiornie.

- Spokojnie, Vane - powiedział do niższego. Chudzielec zamilkł i przysunął się do Luke'a i Calamarianina. W oświetlonym kręgu pojawiła się Tessa Manchisco gotowa zabijać samym tylko spojrzaniem.

- Ten dok zarezerwowany został dla sił Sojuszu - powiedział Luke. - Co tu robicie?

Chudzielec skrzyżował ręce na piersi.

- To nasza planeta, rycerzyku. Będziemy wdzięczni, jeśli zadbasz, aby te nieopierzone ryby i inne kudłate stwory trzymały się od niej z daleka.

Słyszając to, Chewie zbliżył się o kilka kroków do grupki intruzów.

Luke musiał się dowiedzieć, o co tu chodzi, i to szybko. Czy to podejrzone towarzystwo pojawiło się tu z własnej głupoty, czy też może przysłali ich Imperialni? Szczupły Bakurianin stał na tyle blisko, by Luke mógł spróbować wybać jego umysł. Czuł, że motywy działania chłopaka były w pełni uzasadnione i nie miały nic wspólnego z ciemną stroną Mocy.

Wahał się jednak przed bardziej wnikliwym sondowaniem, poprzestając na odczytaniu emocji (zmieszanie, strach, zakłopotanie, podejrzliwość...). W końcu sięgnął jednak głębiej.

Okazało się, że nie musiał zapuszczać się zbyt daleko. Szybko stwierdził, że dostaną nagrodę z biura gubernatora, jeśli zbliżą się po cichu do stanowiska dwunastego i sprawdzą, czy Ssi-ruukowie nie dokonali infiltracji Bakury poprzez zamknięty dla wyłącznego użytku Sojuszu teren lądowiska.

Luke opuścił miecz i zerwał kontakt.

- Wracajcie do domów. - Miał nadzieję, że w jego tonie dało się wyczuć wystarczająco wiele obrzydzenia. - Powiedzcie gubernatorowi, że sami pilnujemy porządku na stanowisku dwunastym.

Nikt się nie ruszył.

Chewie ryknął tym razem tak, że aż ziemia zadrżała.

- Idźcie. Wiercie mi, on się dopiero zaczyna denerwować Chudzielec podszedł do bezwładnych ciał. Po chwili dołączyli do niego inni. Powoli cała grupa skierowała się ku bramie stanowiska dwunastego, unosząc martwych towarzyszy.

Dopiero gdy znaleźli się na zewnątrz, zapłonęły światła na obwałowaniu doku.

Ktoś musiał pilnie czuwać nad całą tą imprezą. Gdy przyjdzie co do czego, okaże się, że miejscowa służba porządkowa była nadzwyczaj zajęta czymś nader istotnym w doku drugim, szóstym lub dziewiątym.

Luke westchnął ciężko.

- Chodźmy sprawdzić, czy wszystko w porządku z „Sokołem”, Chewie.

Kiedy 3PO obudził rano Leię, znalazła wiadomość od Luke'a, że wziął Chewie'ego i pojechali do portu sprawdzić, jak postępują naprawy. Ubrała się pospiesznie w łazience i upięła włosy. Wracając, dostrzegła kątem oka sylwetkę wysokiego mężczyzny, który stał pod ściennym obrazem. Zamarła w pół kroku. Postać lśniła błado, a krajobraz miasta wyraźnie przeświecał przez jego ciało.

Luke opowiadał jej kiedyś, że czasami widywał Kenobiego po śmierci. Leia cofnęła się przerażona. Ten upiór nie przypominał starszego pana. W ogóle nikogo jej nie przypominał.

Ktokolwiek to był, pojawił się tu jako element obcy i nieproszony. Dziewczyna poszukała spojrzeniem broni, ale czy blaster może być skuteczny przeciwko takim zjawom? A jeśli to nie jest duch?

- Kim jesteś? - wyjąkała. - Pilnuj lepiej swoich spraw.

- Nie bój się mnie - odparła łagodnie postać. - Przekaż Luke'owi, by strzegł się strachu. Strach jest wysłannikiem ciemnej strony Mocy.

Kto jest na tyle bezczelny, by używać jej sypialni jako skrzynki kontaktowej? Jakiś tubylec? Imperialny?

- Kim jesteś?

Upiorny gość przesunął się w mroczniejszy kąt pokoju i jego Postać zajaśniała silniejszym blaskiem. Był wysoki, miał przjemną twarz i czarne włosy.

- Jestem twoim ojcem, Leio.

Vader. Leia czuła, jak narasta w niej strach i złość...

- Nie bój się mnie, Leio - powtórzył. - Wiele już mi wybaczone, ale niejedno pragnąłbym jeszcze odpokutować.

Muszę usunąć gniew z twego serca i twych myśli. Gniew też przynależy do ciemnej strony Mocy.

Nie, blaster nie załatwi tego kaznodziei. Nawet za życia ojciec potrafił odbijać ręką ładunki. Widziała kiedyś, jak robił to w Mieście w Chmurach.

- Zostaw mnie - wyjąkała przerażona. - Zgiń, przepadnij, rozplyń się w powietrzu, lub zrób cokolwiek, ale zostaw mnie w spokoju.

- Poczekaj.

Nie ruszał się spod ściany. Wydawał jej się teraz jakiś mniejszy.

- Nie jestem już tym, kogo się bałaś. Czy nie możesz spojrzeć na mnie jak na kogoś, kogo dopiero co poznałaś, zamiast widzieć wciąż we mnie wroga?

Zbyt głęboko siedział w niej strach przed Darthem Vaderem.

- Nie odtworzysz Alderaanu. Nie wskrzesisz ludzi, których zamordowałaś. Nie ukoisz żalu wdów i sierot. Nie naprawisz szkód, które wyrządziłeś Sojuszowi.

Leia czuła, że ta patetyczna mowa rozdrapuje na nowo stare rany.

- Ostatecznie jednak wzmocniłem Sojusz, chociaż nie takie były moje zamiary.

Wyciągnął ku niej lśniąca rękę. Dziwnie brzmiał ten melodyjny głos. Jedynym rozpoznawalnym śladem dawnej postaci była bladeść oblicza, tak długo skrywanego za czarną maską systemu podtrzymywania życia. - Lecz teraz sprawy wyglądają inaczej. Nadchodzą zmiany. Możliwe, że nigdy już nie zdołam cię odnaleźć.

Obejrzała się. Blaster nie leżał aż tak daleko. Może by jednak spróbować?

- Słucham.

- Nie ma usprawiedliwienia dla mych... poczynań. Jednakże twój brat ocalił mnie od wiecznych ciemności. Musisz mi uwierzyć.

- Opowiadał mi. - Skrzyżowała ramiona i objęła łokcie dłońmi. - Ale ja nie jestem Luke'em. Ani twym mistrzem i nauczycielem. Ani spowiednikiem. Złośliwym zrządzeniem losu jestem jedynie twoją córką.

- To sprawka Mocy, nie losu - zaprzeczył. - I był w tym ukryty pewien zamysł. Dumny jestem, że okazałaś się silna. Nie proszę o odpuszczenie grzechów. Proszę tylko o wybaczenie.

- Mnie prosisz? A czemu nie zwrócisz się z tym do Hana? On trochę więcej przez ciebie wycierpiał.

- Mogę to uczynić jedynie za twoim pośrednictwem. Mój czas się kończy.

Lei zaschło w gardle.

- Jestem niemal gotowa ci wybaczyć, że mnie torturowałeś. Że wyrządziłeś tyle zła różnym ludziom... bo dzięki tobie właśnie wiele światów przystąpiło do Sojuszu. Ale okrucieństwo wobec Hana... nie. Za moim pośrednictwem nie uzyskasz jego wybaczenia. Nigdy.

Postać małała wyraźnie.

- „Nigdy” to zbyt wielkie słowo, moje dziecko.

Darth Vader pouczający ją w kwestii cnót i wartości absolutnych?

- Nigdy ci nie wybaczę. Zdematerializuj się. Odejdź.

- Możliwe, że już się nie spotkamy, ale jeśli mnie zawołasz, to usłyszę. Będę czuł na wypadek, gdybyś zmieniła zdanie.

Jak śmiał? Po tych wszystkich okrucieństwach i podłościach. Na przyszłość, niech Luke z nim gada. Ona ma dosyć.

Jak Luke mógł przyjąć tak spokojnie nowinę, że to Vader był ich ojcem? Jak może z tym żyć?

Wybiegła z sypialni. Pierwsze promienie dnia wpadały przez okno, wydobywając z mroku żółte ściany i ciemną wykładzinę podłogową. Han zerwał się z kanapy, stojącej w rogu salonu.

- Spóźnisz się, Wasza Wysokość. 3PO już dreptał w ich kierunku.

- Jesteś gotowa, pani...

Złapała wyłącznik, uciszyła gadającą maszynkę i spojrzała z lękiem na drzwi sypialni. Nikt jednak nie stanął w progu.

- Jak on mógł! - mamrotała. - Nie miał prawa! To moje życie!

Han spojrzał najpierw na zastygłego w groteskowej pozie androida, potem na nią, w końcu wykrzywił się niemiłosiernie.

- Kto niby? Aha! Ten twój kapitan dzwonił do ciebie? Zalotnik...

- Tylko jedno ci w głowie? - krzyknęła, łapiąc za najbliższą poduszkę. - Ta twoja żalonna, wstrętna zazdrość! Vader ta był, ośle! Ale ty od razu... ach, szkoda gadać!

- Chwileczkę, księżniczko. - Han pokazał puste dłonie, na wszelki wypadek... - Vader nie żyje. Luke spalił jego zwłoki. Pojechałem tam nawet, żeby na własne oczy zobaczyć tę kupkę popiołu.

- To było tylko ciało. Ja widziałam właśnie... całą resztę.

- Też zaczynasz mieć widzenia? - spytał, wciskając dłonie do kieszeni i unosząc znacząco brwi. - Albo robisz się coraz lepsza w te klocki, albo Luke ma na ciebie zły wpływ.

- Może jedno i drugie - odparła z wyrzutem. - Gdyby tak jeszcze zechciał objawić mi się duch Yody. Albo generała Kenobiego. Z nimi mogłabym sobie przynajmniej pogadać. A tu kto przychodzi?

Zniechęcona, upuściła poduszkę i uderzyła pięścią w ścianę.

- Spokojnie. To naprawdę nie moja wina.

- Wiem.

Teraz na dodatek bolała ją ręka. Oparła się o ścianę i raz jeszcze spojrzała na drzwi sypialni.

- Czego chciał?

- Spodoba ci się. Przyszedł przeprosić. Han zaśmiał się krótko.

- Właśnie. Też tak to widzę - mruknęła Leia.

- Mocna rzecz. Starasz się wymazać z pamięci wszystko, co wiązało się z tym gościem, a tu proszę... Pewnego dnia przychodzi bladym świtem i pcha się do sypialni. Jednak... Może tym samym najgorsze już minęło?

- Nie minęło. - Bezradnie opuściła ręce. - On wciąż tu jest. Ja... - Zabrakło jej stów. Zamknęła oczy.

- No to co? - Han podszedł i położył jej rękę na ramieniu. - Bez tego wszystkiego, co potrafił, nie stałby się tak wielką postacią w Imperium. Nikt nie powtórzy jego numerów. Ty masz te same zdolności co on, tylko inaczej ich używasz!

Jak on może być tak niewrażliwy? Tak gruboskórny...

- Serdeczne dzięki, Han. - Mimo wszystko Leia rozważała możliwość ataku na Hana.

- Leia? - Han rozpostarł ramiona. - Przykro mi. Też uważam, że nie ma się z czego cieszyć. I przepaszani, że czepiłem się tego gościa z Alderaanu.

Wciągnęła powoli powietrze i znów oparła się o ścianę.

- Zejdź mi z oczu.

- Dobrze, dobrze. Niech będzie. Rozumiem aluzję. Obszedł zamaszystym krokiem kanapę.

- Han, poczekaj!

Lei zrobiło się go żal. Po co wciąż przelewa swój gniew na kogoś, kogo wcale nie pragnie skrzywdzić? Han dotarł już niemal do drzwi.

- Han... to Vader się we mnie odzywa. Co ja poradzę, że taka jestem.

Han zatrzymał się obok komputera i odwrócił powoli.

- Niezupełnie. To po pierwsze. Po drugie, to więcej w tobie Skywalkera seniora niż Vadera.

To nazwisko, noszone również przez Luke'a, nie budziło złych skojarzeń. A właściwie... Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl. Jaki był Vader, nim został Vaderem?

- Jedno ci powiem. Rządy potrzebują się nawzajem. Wszystkie stworzenia, duże i małe, też potrzebują się nawzajem. Ludzie nie są inni.

Właśnie, rządy... Spóźni się na śniadanie z premierem.

- Święta prawda - stwierdziła, podchodząc do stojącego wciąż obok kanapy Hana.

- W każdym razie już poszedł sobie. Może nie będzie mnie więcej niepokoił.

- To byłoby niezłe.

Han musnął jej ciasno zawinięte warkocze. Wyjęła spinki i rozpuściła włosy.

Przyglądał się jej z uwagą, gdy rozprostowywała splecione pasma.

- Ale i tak mu nie wybaczę - powiedziała cicho.

- Na pewno dobrze się czujesz?

Pogłaskał ciemną kaskadę włosów, potem objął dziewczynę w pasie. Jego ramię okazało się całkiem wygodnym oparciem.

- Kocham cię, Nerfie Herderze.

- Wiem.

- Wiesz?

Pogłaskał ją po karku.

- A nie powinienem?

- Przepraszam - wyszeptła, prostując głowę. Jej usta znalazły się w okolicy jego brody.

Uznając to za zaproszenie, Han pochylił się i pocałował dziewczynę, która chętnie oddała pieśczętę. Zastygli tak, delektując się tą wspólną chwilą, wsłuchiwali się w bicie swych serc.

W końcu komputer przerwał im sielankę.

- Mmmmm! - usiłował krzyknąć Han, jego usta były wciąż zajęte. - No nie! - odezwał się, uwolniwszy je wreszcie. - To nie jest miłe!

Leia roześmiała się, przypomniała sobie, jak bardzo zdesperowana czuła się jeszcze przed chwilą i odrzuciła włosy do tyłu

- Odbierzesz? Czy ja mam podejść?

- Jesteś kochana - Han obejrzał ją sobie od stóp do głów - tylko, że...

- Chcesz powiedzieć, że nikt nie powinien mnie w tym stanie oglądać?

- No, wyglądasz mało oficjalnie - zgodził się, kiwając głową. - Ja odbiorę.

Leia odsunęła się, a Han nacisnął odpowiedni klawisz.

- Luke! Co nowego?

- Mieliśmy małe kłopoty.

Leia wróciła przed kamerę aparatu. Luke wyglądał całkiem spokojnie. Spróbowała sięgnąć go polem Mocy, ale jej się nie udało. Musiała być zbyt... podniecona.

- Myślałam, że pojechałeś zająć się naprawami - stwierdziła.

- Woląłem nie zostawiać wiadomości w powszechnie dostępnym komputerze.

Załoga Mon Calamari dostała wczoraj przepustki. Kilku Bakurian szwendających się za namową gubernatora wokół naszego stanowiska zauważyło ich. Pomyśleli, że Ssi-ruukowie wylądowali. Do chwili gdy przybyłem, Calamarianie zdążyli trafić dwóch miejscowych w samoobronie.

- Och, nie.

Czy to nie przekreśli szans na rozejm?

- Szkoda, że mnie tam nie było - mruknął Han. - Ale wygląda na to, że i tak sobie poradziłeś.

Luke przytaknął.

- Było jeszcze ciemno, ale miecz świetlny wystarczył zamiast latarni. Gdy wzięliśmy się za nich razem z Chewie'em, Bakurianie przyjrzeni się bliżej naszym ludziom i przestali strzelać.

- Całkiem niezłe się spisałeś, wieśniaku.

- Chwileczkę, Luke. - Leia znów odgarnęła włosy na plecy. - A co z rannymi Bakurianami?

Brat zacisnął usta i potrząsnął głową.

- Powiedziałem coś o rannych? Niestety. Nie żyją. Trzeba przeprosić oficjalnie ich rodziny. Czy możesz zrobić to za mnie? Lepiej radzisz sobie z takimi sprawami.

Lei wcale się to nie podobało, ale przyznała mu rację. Też była zdania, że należy wykazać maksimum taktu i dyplomacji.

- Dobrze, załatwię to.

Raz jeszcze próbowała osiągnąć Luke'a w polu Mocy i tym razem jej się udało, jednak to, co odkryła, zmroziło jej krew w żyłach. Coś mrocznego, groźnego kryło się w jego myślach.

- Luke, czy nic więcej się nie wydarzyło? - zapytała niepewnie.

- Porozmawiamy później. To nie jest bezpieczne łącze. Luke był naprawdę przerażony. Tej nocy musiało spotkać go coś, o czym nie wiedzieli. Han spojrzał wymownie na Leię, ale ta tylko potrząsnęła głową.

- Poczekam. Jedziemy teraz z Hanem do premiera. Przeproszę go w pierwszej kolejności. Wezmę ze sobą oba androidy. Spróbujemy przełożyć język obcych.

- Dobrze. Artoo powinien być podłączony do komputera znajdującego się w mojej sypialni. Zostawiam tu Chewie'ego, by dopilnował spokoju. Potem spróbuję skontaktować się z Beldenem. O ile go znajdę.

- Z Beldenem?

- Seniosem izby. Mam pewne podejrzenia.

- Dotyczące strzelaniny? - spytał Han.

- Właśnie. Do zobaczenia. Obraz zniknął.

- Przypuszczam, że im szybciej zaczniemy działać, tym większa szansa, że uda nam się wyjść cało z tej draki.

Leia sięgnęła do klawiatury.

- Uprzedzę premiera, że się spóźnimy.

Bardzo dobrze, że nie wyszli we właściwym czasie, wówczas Luke nie zastałby ich w hotelu.

Marszcząc brwi, wystukała numer premiera. Może któregoś dnia zdecyduje się przyjąć przeprosiny Vadera. Anakina Skywalkera. Kimkolwiek był. Ostatecznie zachował się dość uprzejmie.

I dalej ją obserwuje? Wściekle pogroziła pięścią niewidzialnemu adwersarzowi.

ROZDZIAŁ 11

Luke wyszedł z budki łączności obok stanowiska dwunastego i podziękował losowi, że nie zadzwonił do hotelu z kantyny, gdzie były zwykłe telefony. Widok twarzy Lei i Hana upewnił go, że sprawy między przyjaciółmi mają się całkiem dobrze. Korzystając z okazji, sporządził pobieżny raport dotyczący ostatnich wydarzeń i zajął do spisu adresowego.

Chewie stał na straży. Luke podszedł do niego i złapał go za futro.

- Dzięki, stary.

Wookie poklepał młodzieńca po ramieniu, po czym obszedł podniszczoną kantynę i skierował się do „Sokoła”. Przeprowadzili już drobiazgowy śledztwo, które wykazało, że żadna z załóg statków Sojuszu nie ponosi odpowiedzialności za wypadek.

Kapitan Manchisco czekała w baraku. Stała oparta o karbowaną ścianę głównej sali.

- Wybiera się pan gdzieś, komandorze? - Na pewno przygotowała się starannie do wyjścia na przepustkę, ale kurz lądowiska zdążył poznać jej mundur białymi smugami. Do warkoczyków przyczepiły się kawałki liści i gałązek, niewątpliwie pamiątka po porannych przygodach.

Przed zejściem ze statku poinformowała nawigatora Duro, że otrzyma potrójną stawkę za nadgodziny, jeśli tylko zgodzi się pozostać na pokładzie. Luke pożałował, że dowódca Mon Calamari nie wpadł wcześniej na ten sam pomysł. Chyba stać jeszcze Sojusz na wyplacenie tych kilku dodatkowych kredytów, jeśli ma to pomóc w uniknięciu konfliktów z mieszkańcami Bakury.

- Jak twój statek? - spytał panią kapitan.

- Mielśmy trochę kłopotów z prawoburtową tarczą. Jest już naprawiona, ale musiałam wpuścić na pokład ekipę imperialnych techników. Thanas ma już pewnie w komputerze wszystko, co zdołali wytropić.

- Ale zrobili chociaż, co trzeba?

- Chyba spisali się dobrze. - Wzruszyła ramionami. - nie wiem, czy już ci o tym mówiłam, ale zyskujesz przy bliższym poznaniu.

- Ja także lubię z tobą pracować. Mamy tu jeszcze wiele do zrobienia. Jej twarz nieco się rozpozogodziła.

- Podobno jesteś specjalistą od przewidywania przyszłości, ale mam dziwne przeczucie, że nie spotkamy się już nigdy więcej.

Ponowne ostrzeżenie? Czyżby Manchisco też potrafiła wyczuwać niektóre sprawy?

- Nie wiem - odparł szczerze. - Przyszłość jest zmienna.

- Mniejsza z tym. Robimy, co możemy. I jak długo możemy. Co pan o tym myśli, komandorze?

- Zgadzam się z panią.

Przez bramę przejechał pojazd antigrav, wyladowany członkami załóg statków Sojuszu. Tego właśnie Luke potrzebował. Ślizgacz, którym przybył, należał do portu i zarząd z miejsca się o niego upomniał.

- To była paskudna noc - zauważyła Manchisco. - Miejmy nadzieję, że już się nie powtórzy.

Załoganci mieli niewyraźne spojrzenia, ale nie wyglądali na wrogo nastawionych.

- Jeśli o nich chodzi to chyba wszystko w porządku. Niech Moc będzie z tobą, pani kapitan - pożegnał się Luke.

Zarekwirował Ślizgacz i skierował się na drogę wyjazdową.

Pięć minut później parkował na dachu wieżowca mieszkalnego. Apartament senatora Beldena mieścił się w pobliżu wind. Luke przygładził włosy, obciągnął szary mundur i sięgnął do dzwonka.

Czekając pod drzwiami, zlustrował korytarz w obu kierunkach. Było tu wiele drzwi. Mroczne wnętrze wyraźnie kontrastowało z wystawną rezydencją Captisonów. Może Beldenowie mieli posiadłość poza centrum, a może po prostu gubernator zadbał, aby dysydenci nie opływali w kredyty.

Drzwi odsunęły się i Luke wszedł... Gaeriela? A co ona tutaj robi? - Luke był naprawdę zaskoczony.

- Ja... cóż, dzień dobry. Chciałem porozmawiać z senatorem Beldenem.

- Nie ma go w domu.

Już miał zamiar wymknąć się po cichu na korytarz, gdy z głębi mieszkania dobiegł skrzekliwy głos:

- Wpuść go, Gaeri. Niech wejdzie.

- To pani Belden. Nie jest z nią najlepiej. - Wyszeptała dziewczyna i dotknęła palcami czoła, precyzując o jaki rodzaj choroby chodzi. - Proszę wejść na chwilę. Clis, jej pielęgniarka, ma jakieś kłopoty rodzinne, więc dzisiaj ja podaję herbatę.

- Przywitam się tylko - mruknął. - Nie chciałbym przeszkadzać.

Starsza pani siedziała na wysłanym poduszkami, rzeźbionym fotelu z oparciem w kształcie skrzydeł ptaka. Jej strój utrzymany był w tonacji żółtopomarańczowej o odcieniu zbliżonym do barwy owocu namany. Miała rzadkie, ufarbowane na kasztanowo włosy.

- Wróciłeś, Roviden. Czemu tak długo kazałeś na siebie czekać?

Luke posłał Gaeri zdumione spojrzenie.

- Myśli, że jest pan jej synem - wyjaśniła po cichu dziewczyna. - Został zabity podczas aresztowań trzy lata temu. Każdego młodego człowieka bierze za swojego syna. Proszę nie protestować. Tak będzie lepiej.

Czyżby szukała w ten sposób ucieczki od swego nieszczęścia?

Zgromadzone w pomieszczeniu drewniane meble były najprawdopodobniej antykami, ale widać też było nieco elektroniki. Przy okazji zauważył bosc stopy wystające spod ciemnogramatowej spódnicy Gaerielii...

Jak by tu wycofać się z tej maskarady? Po chwili zastanowienia, ujął rękę starszej pani.

- Przepraszam - mruknął. - Tyle roboty. Wiesz, dla Sojuszu. - Równocześnie zaryzykował przesłanie myślowego komunikatu: Twój syn został zabity.

Pani Belden ścisnęła jego dłoń.

- Wiedziałam, że działał gdzieś w ukryciu, Roviden. Oni tutaj wmawiają mi... och, nieważne. Bo widzisz, Gaeri gdzieś zniknęła i...

- Nie, ona...

- Jestem tutaj, Eppie. - Gaeri przysiadła na futrzastym stołeczku antigrav.

- Jesteś? - Starsza pani przeniosła spojrzenie na dziewczynę i bezradnie pokiwała głową. - A ja...? - zamknęła oczy, broda zaczęła jej się trząść.

Gaeriela wzruszyła lekko ramionami.

- Wszystko w porządku, Eppie. Zdrzemniesz się trochę?

- Zdrzemnę - odparła kobieta zmęczonym głosem. Luke poszedł za Gaeriela z powrotem do drzwi.

- Jak długo to już trwa?

- Trzy lata. - Gaeri potrząsnęła ze smutkiem głową. - Niestety, była mocno zaangażowana w ruch oporu. Załamała się po śmierci Rovidena. To ją zniszczyło.

- I może dlatego pozwolili jej żyć.

- Nie może pan... - zaczęła dziewczyna gniewnie. Starsza pani poruszyła się w fotelu.

- Nie wychodź bez pożegnania! - krzyknęła.

Chcąc, nie chcąc, Luke zawrócił i przyklęknął przy niej. Uspokoił myśli i skoncentrował się na aurze pani Belden. Świeciła zbyt mocnym blaskiem jak na kogoś aż tak chorego. Wciąż trwała, niezwykle silna, zdradzała cechy... wrażliwej na pole Mocy. Starsza pani musiała posiadać własne, nietuzinkowe zdolności w tym względzie. Jej umysł został... celowo okaleczony. Uszkodzono w nim kilka istotnych centrów nerwowych, zawiadujących komunikacją z otoczeniem, a także odróżnianiem ułudy od tak zwanej obiektywnej rzeczywistości. Luke domyślił się, że musiały za tym stać służby imperialne.

Spojrzał głęboko w smutne, wilgotne oczy. Gaeriela obserwowała go pilnie, stojąc nieco z tyłu. Jeśli użyje Mocy, wówczas może wyrzucić go za drzwi. Albo zacząć doceniać jego zdolności.

Cokolwiek jednak Gaeriela o nim sądzi, starsza pani potrzebuje leczenia. Luke pogładził naznaczoną plamami, kościsty dłoń. Czy powinien udać jej syna? To trochę niebezpieczne, a przede wszystkim nieuczciwe.

- Chcę ci coś pokazać - wyszeptał, ignorując Gaerielę i wiedząc, że sprawa nie będzie łatwa. - Jeśli zdołasz to Powtórzyc, to może wyzdrowiejesz.

Starsza pani wyraźnie się ożywiła.

Nie - nakazał - zachowaj spokój, słuchaj uważnie.

Wniknął w jej myśli i pokazał, jak sam zdołał dojść do ładu ze swoim wnętrzem. Cisz... skupienie... koncentracja sił... Był pewien, że dojrzała wszystko i nawet jeśli nie rozumiała sedna sprawy, to będzie umiała powtórzyć cały proces. Potem skłonił ją,

by spojrziała do swego wnętrza. Coś zostało zniszczone - tłumaczył. Sądzę, że uczyniono to celowo. Musisz odnaleźć uszkodzone miejsca i postarać się je obejść lub zastąpić. Nie poddawaj się, Eppie. Niech Moc będzie z tobą. Yoda powiedziałby, że starsza pani jest za stara na trening Jedi, ale przecież nie o trening tu chodziło. Poza tym pani Belden nie szykowała się do walki z Imperium.

Luke poczuł opływającą go falę wdzięczności. Westchnął głęboko i podniósł się z klęczek. Eppie Belden spoczywała na poduszkach, oczy miała zamknięte, oddech miarowy.

- Co pan jej zrobił? - spytała Gaeriela gotowa zrobić karczemną awanturę.

Luke spojrział jej w oczy. Szare zdawało się na chłodno rozważać sytuację, zielone płonęło wściekłością. Dziwne.

- Ona wciąż trwa, tam w środku. Szaleństwo spowija ją tylko na wierzchu - mruknął. - I nie wydaje mi się, by był to proces naturalny. Myślę, że wywołano go sztucznie.

- Z rozmysłem? - spytała dziewczyna niepewnie. Luke przytaknął. Czując, że złość ustępuje, poczekał jeszcze chwilę, aż Gaeriela znów zacznie myśleć logicznie. Ktoś skrzywdził starszą panią. Kto? W grę wchodzili jedynie agenci Imperium.

- Niewiele wiem o autoterapii, ale pokazałem jej, w jaki sposób może próbować. To wszystko.

- I uważa pan, że to niewiele? - spytała z wyrzutem. Ktoś, kto nie jest Jedi, nie dokonałby nawet tego.

- Nic jej nie zrobiłem. Słowo... honoru. W końcu dziewczyna wzruszyła ramionami, pomniejszając wagę sprawy.

- Chodźmy do drugiego pokoju.

Poprowadziła go do wyłożonej białymi kafelkami jadalni - Szeleszcząc obszerną spódnicą, skinęła, by usiadł przy przezroczystym stole, na którym stał podgrzewacz do herbaty. W pomieszczeniu rozchodziła się miła woń napoju.

- Jeśli Moc pozwala panu zrobić coś takiego, to czemu nie wsiądzie pan po prostu do myśliewca, nie utworuje sobie drogi do flagowego statku Ssi-ruuvi i nie załatwi ich wszystkich?

Mógłbym spróbować, gdybyś mnie o to poprosiła - pomyślał Luke.

- Używanie Mocy ma swoje ograniczenia. Posługiwanie się nią pod wpływem gniewu czy rozbudzonej agresji, zbliża do ciemnej strony. Jedi w swych działaniach wykorzystują rozległą wiedzę, działania te mają zazwyczaj charakter defensywny...

Pomyślał, że pewnego dnia będzie jednak musiał ujawnić, czym jest synem. Straszna perspektywa. Przez chwilę zapragnął jak najszybciej mieć to za sobą, ale zwalczył pokusę. Jeszcze nie teraz. W tej chwili tylko przeraziłby Gaerięle.

- Wielu Jedi poniosło klęskę. Ulegli ciemnej stronie, tracąc zdolność czynienia prostych rozróżnień, jak te między dobrem a złem, i musieli zostać usunięci.

- Mogłam się tego domyślić - mruknęła Gaeriela, lustrując go wzrokiem. Po chwili spojrziała w stronę otwartych drzwi i nasłuchiwała.

Może Eppie pomoże mu zjednać dziewczynę - pomyślał Luke.

- Jeśli spróbuje tego, co jej pokazałem, to czeka ją kilkudniowy letarg. Będzie wyglądać, jakby spała.

- Byłoby to prawdziwym błogosławieństwem. - Gaeri uspokoiła się nieco i skrzyżowała nogi pod stołem. - A po co właściwie chciał się pan widzieć z Ornem?

Cholera. Łatwiej było już dowodzić w bitwie.

- Kilku waszych obywateli zaatakowało nad ranem moich ludzi w porcie kosmicznym. Wśród załóg naszych statków też są obcy i Bakurianie uznali ich za Ssi-ruuków. Podejrzewam, że gubernator Nereus wyszukał parę osób lubiących wtrącać się w cudze sprawy i zadbał, żeby nikomu z nas się nie nudziło.

- Były ofiary? - spytała, a Luke wyczuł narastającą podejrzliwość.

- Dwóch Bakurian. Księżniczka Leia złoży formalne przeprosiny. Chcielibyśmy jednak uczynić coś więcej. Ten incydent nie powinien mieć miejsca.

Spojrzał w okno. Poranne słońce wznosiło się coraz wyżej, ale Luke'owi było wciąż zimno. Pamiętał nocne ostrzeżenie. Niedługo pojawi się ktoś, by się nim zająć. Niebezpieczeństwo nie było prawdopodobnie szczególnie poważne, ale Luke wciąż nie wiedział, po co właściwie obcy chcieli go dopaść. I co on właściwie tu robił, zabawiając Gaerię i kurując starszą panią Belden?

- Jeśli senator chciałby porozmawiać ze mną o tym wyda. rzeniu i gdyby miał jakieś pomysły z tym związane, to bardzo proszę przekazać mu, że czekam na kontakt.

Wstał.

- Mam nadzieję, że zdrowie starszej pani poprawi się niebawem. Pod skomplikowanymi zawirowaniami jej duszy wyczułem coś jeszcze... - zawahał się, szukając słów. - Chyba bym ją polubił. Czy walczyła kiedyś z bronią w rękę?

Gaeriela uniosła w zdumieniu brwi.

Wspaniale. Znów przypomniał jej o zdolnościach Jedi. Wbił spojrzenie w podłogę, ale nie na wiele się to zdało, a to z racji bosych stóp dziewczyny, również działających na jego wyobraź - nie. W gruncie rzeczy Eppie Belden musiała być osobą o pogodnym usposobieniu. Chyba że tylko krążyć w pobliżu prawdy. - Dziękuję, lepiej już pójdę.

Idąc do drzwi, spojrzał jeszcze na starszą panią. Nawet nie drgnęła. Gaeriela wymknęła się za nim na ciemny korytarz.

- Panie Luke! Dziękuję, że pan spróbował.

Luke... Wreszcie użyła mojego imienia. W nieco lepszym nastroju pospieszył na górę.

Leia pospiesznie minęła strzeżone drzwi prowadzące do starego skrzydła korporacji, które należało do kompleksu Bakur. Przed nią tupotał niezgrabnie 3PO, z tyłu podążał R2, całość pochodu zamykał Han. Wnętrze gabinetu premiera wyłożone było boazerią z czerwonego drewna, a masywne biurko musiało zostać wycięte z pnia jakiegoś gigantycznego drzewa. Pośrodku, w miejscu, gdzie wypolerowany blat nosił ślady długiego użycia, siedział gospodarz. Jego brwi były wyraźnie zmarszczone.

Czyżby się spóźniła? Nagle zrozumiała, że premier patrzy z wyrzutem nie na nią, tylko na androidy. Podniosła wyłącznik, by przypomnieć gospodarzowi, że panuje nad

maszynkami. Zaprogramowała zresztą 3PO tak, aby odzywał się tylko zapytany, co wydało się jej dość niemiłym zadaniem.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała wchodząc. Captison nie był roslym mężczyzną, ale podobnie jak Luke emanował spokojem i pewnością siebie.

- Mam nadzieję, że udało się pani uporać z osobistymi problemami.

- Tak, dziękuję.

Wskazał na dwa siedziska. Han podsunął jedno z nich Lei, sam usiadł obok.

- Kocham cię, Nerfie Herderze - mruknęła dziewczyna pod nosem, sadowiąc się wygodnie.

- Pragnę złożyć oficjalne przeprosiny za śmierć tych, którzy zginęli dzisiejszego ranka. Czy mogłabym się skontaktować z ich rodzinami?

Captison skrzywił się lekko, spoglądając na Hana.

- Tak, myślę że byloby to działanie na miejscu. Zadbam, by zorganizowano takie spotkanie. Ponadto pragnę przekazać, że jednostki Ssi-ruuvi przeformowały szyki. Dokonaliśmy stosownej korekty w sieci naszych posterunków. Tyle przynajmniej przekazał mi komandor Thanas.

Leia wymieniła spojrzenia z Hanem.

- Czyżby komandor składał meldunki i panu, i gubernatorowi?

Captison wzruszył ramionami.

- Poprosiłem go o to. Uznałem, że przynajmniej tyle mógłby zrobić.

Leia aż sapnęła.

- Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę, jak niezwykle to precedens. Imperialni oficerowie nie zwracają zwykle najmniejszej uwagi na tych, których oficjalnie bronią.

- Doprawdy?

Może wiedział, a może darzył Thanasa osobistym szacunkiem.

- Mniejsza z tym, oto androidy, o których wspominałam. Czy możemy zająć się zgromadzonym przez pana materiałem?

- Nie przepadam za androidami - stwierdził oschle. - Ale skoro mogą nam pomóc, zgadzam się na ich wykorzystanie.

Leia włączyła 3PO. Zapiszczał cicho.

- Władam biegle ponad sześcioma milionami kodów komunikacyjnych, panie premierze - odezwał się android tak, jakby nikt nigdy go nie włączył.

Leia słyszała to już tyle razy, że zapomniała, jakie wrażenie może zrobić podobna informacja na kims, kto nie zna tej maszyny. Captison ożywił się nagle.

- Właśnie, Jej Wysokość powiadomiła nas o tym w trakcie kolacji.

Dotknął kontrolki na wmontowanym w blat pulpicy.

- Zilpha, odtwórz nagrania rozmów pomiędzy statkami Ssi-ruuków. Pochodzą z nasłuchu - wyjaśnił, siadając wygodnie. - Mamy tu mnóstwo tego pisku. Zupełnie, jakby sejmikowało stado ptaków. Dużych, brzydkich ptaków o niskich głosach.

- Jeśli ktoś ma sobie dać z tym radę, to tylko nasz android. - Han klepnął złocistą maszynkę w ramię.

- Dziękuję, generale Solo. - 3PO skłonił się wdzięcznie. Jedno ze światełek na pulpicy zmieniło kolor.

- Zaczynamy. Niech android posłucha uważnie nagrania.

- Może pan mu wydawać polecenia bezpośrednio - wtrąciła się Leia. - Jego pełna nazwa to See-Three-Pee-Oh, ale można zwracać się do niego Threepio.

- Dobrze. Posłuchaj, Threepio. Przekażesz nam, o czym rozmawiają.

Z głośnika dobiegła seria gwizdów, kłaskań i pochrząkiwań w pełnym rejestrze. To nie były zwyczajne „fleciaki”, ale całkiem porządne flety. Leia słuchała i uważnie rozglądała się po gabinecie Captisona. Podwójne okno wychodziło na park pełen kamiennych rzeźb, grube szyby ozdobiono z boków wizerunkami wysokich drzew. To zapewne drzewa namany - pomyślała dziewczyna.

3PO przechylił głowę.

- Przykro mi, panie premierze, ale nie rozumiem ani jednego dźwięku. To pozostaje poza moimi możliwościami. Służę już od wielu lat i znam wszystkie języki używane w dawnych, republikańskich czasach jak i za panowania Imperium...

- Fleciaki nie są z tego świata - stwierdził Captison. - Chyba o tym wspomniałem.

Han potarł podbródek, Leia zastanawiała się, co powiedzieć.

Nagle z tyłu doleciał ich cichy gwizd. Zdumiona, spojrzała na R2, który stał w rogu i najpewniej odtwarzał właśnie głosy Ssi-ruuków zaprezentowane przez premiera.

- Threepio - spytała Leia, gdy R2 skończył. - Czy to było to samo nagranie?

- Nie - odparł zdecydowanie. - Jeden dźwięk został zniekształcony o całe cztery setne oktawy.

R2 warknął coś niezrozumiale.

- Nawzajem - odparł 3PO. - Nie zamierzam wysłuchiwać tej rynsztokowej mowy.

- Potrafi, aż tak wiernie odtworzyć nagranie? - zdumiał się Captison.

- Skłonna jestem wierzyć Artoo, chociaż nigdy nie przejawiał talentów w tej dziedzinie - przyznała Leia. - Panie premierze, pewna jestem, że mając dość czasu i materiału, Threepio zdoła rozszyfrować ten język.

. - Jeśli mu się uda - powiedział Captison, wskazując na niebieską kopułkę androida - to w razie potrzeby będziemy dysponowali wykwalifikowanym tłumaczem. Proszę zabrać swoich metalowych przyjaciół do biura mej sekretarki. Zilpha da im wszystko, czym dysponujemy. Jest tego dość na dwa dni przesłuchań.

Gubernator Wilek Nereus odgryzł kawałek strucli z namany. Chłodna, zielona alejka obramowana wysokimi drzewami i pnącą winoroślą skłaniała do zapomnienia o grożącym niebezpieczeństwie i zadumy nad perspektywami kariery. Wypadnięcie z gry i Imperatora, i Vadera oznaczało, że traktowany pogardliwie we wszystkich komunikatach Sojusz stał się w rzeczywistości poważnym zagrożeniem.

Niemniej Nereus nadal stawiał na Imperium. Na dodatek miał obecnie w zasięgu ręki dwoje ważnych przywódców rebelii. Gdyby chciał, mógłby znacznie osłabić siły Sojuszu...

Odpedził tę myśl. Krocząc powoli alejką, zastanawiał się, kto obejmie teraz tron. Nereus gotów był ubiegać się o ten zaszczyt, ale niestety znajdował się na jednym z peryferyjnych światów, co odbierało mu wszelkie szansę. Przegrani w tym wyścigu ryzykowali nie tylko pozycję, ale i życie. Trzeba będzie mieć oko na nowego

imperatora, schlebiać mu i miodem smarować. Jeśli jeszcze uda się przedstawić Bakurę jako spokojne i uległe źródło znacznych dochodów...

Uda się, o ile Ssi-ruukowie nie dostaną Bakury w swoje łapy. Pogardzał obcymi niezależnie od ich zamiarów wobec ludzi. W latach młodości miał dwie pasje: parazytologia i użębienie obcych. Imperium umiejętnie wykorzystywało takie talenty. Obcym proponowano dwa rozwiązania: najemni żołnierze lub tani materiał doświadczalny. Nigdy nie było mowy o żadnych sojuszach.

Czekający przy fontannie sekretarz krzyknął coś, by zwrócić na siebie uwagę. Nereus rozkazał jednak wyraźnie, aby nikt mu nie przeszkadzał, wysłannik musiał wiece cierpliwie czekać. Gubernator pragnął kilku chwil spokoju i będzie je miał za wszelką cenę.

Sięgnął po następny kęs i zapatrzył się w środek fontanny. Smak namany... Gubernator wmawiał sobie, że panuje nad uzależnieniem. Nektar - tylko wieczorem i nie więcej niż dwa cukierki lub ciastka dziennie, spożywane zazwyczaj przy fontannie. Woda spływała tu setką śpiewnych strumyków, wijących się w powietrzu za sprawą instalacji antigrav, by w końcu dostać się z powrotem w szpony przyciągania i opaść do wzburzonego, błękitnego basenu.

Imperium potrafiło uspokajać wzburzone wody. Podobni Nereusowi biurokraci rozbudowali machinę administracji po - za tę trudno uchwytną granicę, kiedy to nawet niewielki urząd zaczyna istnieć sam dla siebie. W takiej służbie Wilek Nereus miał szansę zajść wyżej i uzyskać więcej, niż przy jakimkolwiek innym systemie rządów. Jak dotąd wykorzystywał każdą sposobność. Teraz gotów był na wszystko, byle tylko Bakura pozostała przy Imperium. Utrata kolejnej Gwiazdy Śmierci oznaczała kłopoty. Strach był w tych zmaganiach najlepszą bronią.

Cóż, na razie tubylcy się boją. Westchnął i podszedł do sekretarza.

- Mam nadzieję, że to coś ważnego.

- Gubernatorze, flota Ssi-ruuvi przekazała wiadomość adresowaną bezpośrednio do pana.

Od czasu przesłania Sibwarry fleciaki opanowały jeszcze kilka jednostek Imperium, i miały teraz swobodny dostęp do sieci holo.

- Idiota - warknął Nereus. - Czemu od razu tego nie powiedziałeś? Dać mi to do gabinetu.

Sekretarz wyciągnął komunikator i wydał stosowne polecenia, gubernator zaś skierował się alejką z powrotem do długiego, jasnego tunelu łączącego jego cieplarnię z pozostałymi budynkami. Przy szklanych drzwiach stało dwóch wartowników. Nereus skręcił w lewo raz, potem drugi, aż dotarł do kompleksu podporządkowanych mu biur.

Na konsoli na biurku mrugało zielone światełko. Wyprostował kołnier, przesunął dłonią po mundurze, sprawdzając, czy nie przyczepiły się do niego pyłki, i obrócił krzesło w kierunku ekranu.

- Jestem gotów do odbioru - rzucił do mikrofonu, po czym zacisnął dłonie na poręczach. Czego te fleciaki chciały tym razem?

Wysoka na metr postać ukazała się na ekranie. Człowiek w białej, pasiastej szacie.

- Gubernatorze Nereus. - Postać skłoniła się w pas - zapewne przypomina pan sobie, jestem...

- Dev Sibwarra - warknął Nereus. Oto nowy pasożyt - Tyle już wiem. Jakie to radosne wieści czekają mnie tym razem?

Sibwarra pokręcił ze smutkiem głową.

- Niestety, tym razem wieści są mniej radosne. Niemniej możliwe, że w pewien sposób pana ucieszą. Potężni Ssi-ruukowie zauważyli pańskie wahanie w kwestii przyłączenia się do walki o ponadgalaktyczną jedność, o pozbawioną fizjologicznych ograniczeń wolność...

- Do rzeczy. - Nereus sięgnął pod blat i wydobył długi ząb należący niegdyś do Lwelkyna.

Sibwarra wyciągnął rękę ku rozmówcy.

- Admirał Ivikkis gotów jest wyprowadzić flotę z tego systemu, o ile wyświadczy nam pan pewną przysługę.

- Słucham.

Gubernator postukał paznokciem w żłobkowaną krawędź zęba. Gdyby to nie było holo, ale żywa istota, mógłby posiekać ją na plasterki...

- Pośród gości bawiących w pańskim systemie znajduje się mężczyzna zwany Skywalker. Gdyby mógł pan przekazać go specjalnej delegacji Ssi-ruuków, wzięlibyśmy go i niezwłocznie odlecieli.

Nereus parsknął pogardliwie.

- A po cóż on jest wam potrzebny?

Sibwarra przechylił głowę i przymknął oczy, upodabniając się do gada.

- Chcemy uwolnić pana od krępującej obecności tego Mężczyzny.

- W to akurat nie uwierzę.

Niemniej... Jeśli Ssi-ruukowie zwróciliby się gdzie indziej W poszukiwaniu ludzkiego materiału, można by im zasugerować Endor. Wówczas Bakura odzyskałaby swój dawny status, a gubernator, posiadając realną władzę, mógłby ostrzec Imperium przed nadciągającym niebezpieczeństwem.

- Słyszałem, że jest potrzebny w celu przygotowania kilku eksperymentów - kontynuował Sibwarra.

- Och, z pewnością.

Ha! Jaki by nie był powód pojmania Skywalkera, musi to mieć coś wspólnego z tym ich procesem transferu. Gubernator nie ufał ani Sibwarze, ani jego gadzim panom. Jeśli chcą Skywalkera, to znaczy, że nie mają prawa go dostać. Jednak może uda się wykorzystać ich zamiary?

- Potrzebuję czasu, by wszystko przygotować.

W grę wchodziło zabicie Skywalkera albo... Tak, pomoże Ssi-ruukom, da im młodzieńca, ale zadba wcześniej, by zmarł, nim zrobią z niego użytek. W ten sposób za jednym zamachem pozbędzie się dwóch przeciwników.

Ale czy rebeliancy oficerowie podporządkują się potem Thanasowi? Postukał znów w ząb. Owszem. O ile będzie to dla nich jedyna szansa przetrwania.

Wciąż skrzywiony, Sibwarra złączył dłonie i dotknął palcami brody.

- Czy dzień wystarczy?
- Chyba tak. Skontaktuj się ze mną jutro, w południe lokalnego czasu.

Ktoś zastukał energicznie do drzwi gabinetu, w którym Gaeriela usiłowała odrobić wyniki tego ranka zaległości w pracy. Całą drogę do biura myślała o oskarżeniu, jakie Luke Skywalker wysunął pod adresem służb Imperium. Czy to możliwe, żeby ktoś rozmyślnie pomieszał Eppie Belden w głowie... Zaraz po przyjeździe sprawdziła akta Eppie. Nie była notowana jako kryminalistka, chociaż pliki obejmowały w zasadzie wszystkich, którzy zostali aresztowani podczas przewrotu lub czystek. Był tam nawet wujek Yeorg, oskarżony o jakieś pomniejsze naruszenie prawa.

Eppie jednak nie znalazła. Albo usunięto jej dane ze spisu, albo przeniesiono do tajnej kartoteki. Ale czemu Imperium miałoby trudzić się ukrywaniem zapisów na temat Eppie?

Gaeriela zawiesiła edycję programu, nad którym pracowała

- Wejść!

Smukła kobieta w ciemnozielonym kostiumie zerknęła przez ramię i wśliznęła się do gabinetu.

Gaeriela wyprostowała się na krześle.

- O co chodzi, Aari?

- Mam coś z biura Nereusa - powiedziała dziewczyna niemal samym ruchem warg.

Gaeriela skinęła, by Aari podeszła bliżej. Jej podwładni ganiaли kilka zabezpieczeń systemu gubernatora, ale ludzie Nereusa z pewnością czynili to samo i to skuteczniej.

- Co słyszałaś?

- Ssi-ruukowie złożyli właśnie Nereusowi propozycję - wyszeptła Aari prosto do ucha przełożonej. - Pójdą z nim na ugodę, jeśli wyda im komandora Skywalkera.

Gaeri poczuła silny skurcz w żołądku. Luke Skywalker widział śmierć Imperatora. Bezsprzecznie nie był zwykłym Jedi. Uznawano go za jedną z największych indywidualności Sojuszu... a nawet całej galaktyki.

Po co był im potrzebny? Luke próbował pomóc Eppie, chociaż mógł się w ten sposób potężnie narazić Gaeriel. I jeszcze otwarcie przyznał się do samowoli. Czy ktoś z gruntu samolubny i próżny ryzykowałby aż tyle? I to wobec osoby, z którą najwyraźniej pragnie się zaprzyjaźnić?

Ssi-ruukowie muszą być przekonani, że mogą wykorzystać Skywalkera. Jeśli tak, to nawet Nereus powinien mieć dość oleju w głowie, by za wszelką cenę chronić młodego Jedi. Chyba że gubernator nie rozumie oczywistej prawdy, iż wydając Skywalkera, skaże rodzaj ludzki... Nie rozumie lub też nie chce zrozumieć, ogarnięty obsesyjnym pragnieniem pozbycia się jednostek Sojuszu z Bakury...

Jeśli tak, to Nereus może próbować zabić Skywalkera, zanim obcy zdążą go wykorzystać. Ta trzecia możliwość oznaczała zaś, że Luke nie ma czasu do stracenia.

Czy powinna go ostrzec? Bezczynność oznaczałaby opowiedzenie się po stronie Równowagi... i gubernatora. Pomoc mogłaby naruszyć spokój wszechświata.

Ale jak tu myśleć kategoriami całego wszechświata, gdy śmiertelne zagrożenie czeka tuż za progiem? Luke przynajmniej zdołał ją przekonać, że gotów jest zrobić wszystko, wykorzystać całość swych talentów, byle tylko pomóc Bakurze.

- Dziękuję, Aari, zajmę się tym.

Pani senator wstała i zerknęła na zegar. Normalni ludzie Powinni zasiadać o tej porze do obiadu.

ROZDZIAŁ 12

Luke włókł się wybudowanym z białego kamienia korytarzem do swego apartamentu. Po rozmowie z Gaerielą i panią Belden resztę poranka i połowę popołudnia spędził na użeraniu się z działem napraw i serwisów w porcie kosmicznym. Szczęśliwie niemal wszyscy na planecie wiedzieli już, kim jest, i nawet urzędnicy byli szczęśliwi, że Jedi pofatygował się do nich osobiście. Wyłącznie dzięki temu zdołał ostatecznie przekonać ich, by upchnęli pozostałe myśliwce typu A w kolejce do przeglądu jeszcze na ten dzień. Luke podejrzewał, że najlepsze ekipy techników i tak zostały posłane na orbitę, na pokład imperialnego krążownika „Dominator”.

Potem, nie mając nawet czasu, żeby się trochę ogarnąć, musiał pomóc kwatermistrzowi zaprowiantować całą grupę bojową. Wiązało się to z wydaniem fikcyjnych funduszy nie istniejącego rządu. Może uda się to kiedyś zmienić. Wiele by dał za uczestnictwo Lei w tych pertraktacjach. Przez cały czas oglądał się przez ramię, czy jakiś Ssi-ruu nie czai się w pobliżu i rozważał, co właściwie miało znaczyć sennie ostrzeżenie. Był już tym wszystkim solidnie zmęczony.

Przy drzwiach do jego apartamentu trzymała straż para imperialnych wojaków w białych pancerzach, z blasterami przewieszonymi przez ramię. Pomimo wyczerpania adrenalina zrobiła swoje. Dłoń odruchowo poszukała miecza.

Szczęśliwie zdążył się opanować i opuścił rękę.

- Przepraszam - mruknął do stojącego bliżej strażnika. - To tylko przyzwyczajenie.

- To zrozumiałe, komandorze.

Imperialny odstaąpił o krok, a Luke wśliznął się do wnętrza i padł na łóżko w sypialni. Zachichotał na myśl o odruchowej reakcji. Co za paranoja. Żeby imperialni żołdacy trzymali wartość honorową przed jego drzwiami...

Spojrzał w okno i pomyślał, ile wujek Owen dałby za taki deszcz. Bakuriańska wczesna wiosna byłaby błogosławieństwem na Tatooine.

Na minikomputerze błysnęło światelko. Ktoś zostawił wiadomość. Luke podniósł się z westchnieniem. Senator Belden zapraszał go na wczesny obiad.

Luke jęknął. Widocznie Gaerielą przekazała informację z opóźnieniem, skutkiem czego zaproszenie dotarło do niego po czasie. Mógłby jeszcze zdążyć, ale pod warunkiem, że zrezygnowałby z prysznicy. Nie! Chociaż i tak będzie musiał porozmawiać z senatorem, przynajmniej o historii choroby starszej pani.

Przekazał uprzejme podziękowanie i prośbę o kontakt w dniu jutrzejszym. Kiedy się pochylił, by zdjąć buty, odezwał się dzwonek u drzwi.

- Nie, tylko nie to! - wyszeptał z irytacją. Przewodnik pokazał im wcześniej, jak wykorzystać domowy komputer do zbywania nieproszonych gości. Spróbował wywołać odpowiednią funkcję, ale bezskutecznie. Przeklinając zmęczenie, pospieszył do drzwi by osobiście odprawić intruza. W drzwiach ujrzał Gaerielę. Stała obrócona

bokiem, jakby zamierzała raczej odejść, a nie wejść do środka. Na ramieniu miała lekką, plecioną z rzemieni torbę.

- Komandorze? - zagadnęła. - Czy moglibyśmy porozmawiać przez chwilę?

Luke cofnął się, by zniknąć strażnikom z oczu.

- Proszę.

Ledwo drzwi się za nią zamknęły, przyłożyła stulone dłonie do ust.

- Ten pokój jest na podsłuchu - szepnęła. - Musimy zniknąć z fonii.

Otworzyła torbę. Wewnątrz znajdował się szary aparat podobny do sprzętu, jaki Luke widział w mieszkaniu Beldenów. Przesunęła spory przełącznik.

- Generator szumów - wyjaśniła półgłosem. - Zagłusza urządzenia podsłuchowe.

Nie można go jednak włączać na dłużej niż na kilkanaście sekund, potem trzeba trochę odczekać. Jest pan w niebezpieczeństwie.

- Dlaczego?

- Ssi-ruukowie skontaktowali się z gubernatorem. - Wsunęła rękę do torby. - Czy wygodnie tu się panu mieszka, komandorze? - spytała głośno.

- Sytuacja jest trochę niezręczna - odparł Luke, chwytając w czym rzecz. - Miewam alergię na białych szturmowców.

- Dobrze - odparła samym ruchem warg.

Uniosła brew, tę nad zielonym okiem i ponownie pomanipulowała w torbie.

- Chcą, żeby gubernator wydał im pana w zamian za odstąpienie od inwazji na Bakurę.

Luke skojarzył wszystko. Zatem zamierzają działać przez Nereusa.

- Naturalnie dał się przekonać.

- Nie sądzę. Nie jest głupi. Skoro oni chcą pana żywego, to zrobi wszystko, by pana nie dostali. - Ponownie spojrzała do torby.

- Wszyscy musimy radzić sobie jakoś z odruchowymi reakcjami.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o nadzieje Lei, że gubernator powstrzyma swe pokusy. Zaczyna się zabawa - pomyślał.

- Niemniej apartament urządzony jest komfortowo. - Skierował się ku kanapce w rogu. - Cały dzień byłem na nogach. Może usiądziemy?

- Nie wiem, czy powinnam.

- Pragnąłbym, żeby mi pani zaufała - powiedział, przesyłając jej równocześnie podobną wiadomość w polu Mocy.

- Podejrzewam, że ja podobnie reaguję na Jedi.

- Jeśli o mnie chodzi, to staram się opanowywać odruchowe reakcje.

- Ja też. Eppie wciąż spała, gdy wróciłam. - Obejrzała się. - Dziękuję. Jeszcze jedno... Podsłuchaliśmy tę rozmowę. Gubernator zażądał do jutra czasu na stosowne przygotowania.

- Do jutra - przytaknął Luke. - Dziękuję. Kolejny manewr przy urządzeniu.

- Czy ten obcy, który jest z państwem, ma jakieś szczególne wymagania? Jak go pan nazwał? Wook?

- Wookie. Wymagania ma nieszczególne. Ważne jest tylko, by dostawał jeść dwa razy więcej niż przeciętny człowiek.

- Rozumiem. - Uruchomiła generator. - Nie przyjdą po pana tak, jak po zwykłego obywatela tej planety. Sam pan wie. Gubernator też rozumie, że z panem trzeba postępować inaczej. Proszę mieć się na baczności. Mieć oko na strażników. Uważać na jedzenie, napoje i dziwne zapachy w powietrzu.

- Do czego jestem im potrzebny? Odpowiedziała jedynie wzruszeniem ramion.

- Będę ostrożny - odparł cicho.

Nereus spróbuje zapewne jakiejś bardziej skomplikowanej sztuczki, by przekonać Ssi-ruuków o gotowości do współpracy. Może już coś przygotował.

- Jadł pan coś? - spytała Gaeriela. - Mogę kazać przesłać tu lekki obiad, który zamówiłam do mojego pokoju.

Poruszony Luke przesunął dłonią po brudnym kombinezonie, starając się zasłonić wielką plamę.

- Byłaby pani skłonna?

Wydała polecenie do mikrofonu komputera. Zamówiła potrawę, której nazwy i tak nie potrafiłby powtórzyć. Zapadła niezręczna cisza. Luke krążył po pokoju, w końcu przystanął pod wielkim oknem. Obserwował na przemian ogród i sufit, zastanawiał się, co by powiedziała, gdyby to on zaprosił ją na obiad.

- Słucha pan moich myśli? - spytała. Torbę odłożyła na kanapę.

- Tego nie potrafię - odparł szczerze. - Moc ujawnia tylko niektóre odczucia, to wszystko.

No, niezupełnie - dodał w duchu.

- To trochę nieuczciwe. Ja nie wiem, co pan czuje. Luke wydobył szare pudło i odszukał przełącznik.

- A chce pani wiedzieć?

- Tak.

Wciągnął głęboko powietrze. Szczerłość to jedno, a głupota drugie. Pożałował, że obcy mu był oratorski talent Lei.

- Przyznaję, że wiem o pani emocjach więcej niż ktokolwiek inny. Co zresztą tylko pogarsza sprawę, ponieważ wszystko, co pani o mnie sądzi, oparte jest na fałszywych przesłankach. - Czy na pewno powiedział to, co miał zamiar powiedzieć? - Ma pani do mnie silnie emocjonalny stosunek. Mocno ambiwalentny.

Podeszła do kanapy.

- Nie w tym rzecz, żeby się pana bała, komandorze...

Luke, wystarczy tej zabawy - upomniał sam siebie.

- Mam obiektywność natury religijnej. Nie urodził się pan Jedi, stał się pan nim, zatem może pan sprawę odwrócić. I uważam, że tak byłoby lepiej, bowiem w przeciwnym razie oboje możemy znaleźć się w opałach.

Wtedy to poczuł - intensywne zawirowanie Mocy, mogące mieć tylko jedną przyczynę. Jeszcze pięć lat temu złapałby ją w takiej chwili za rękę i przysiągł porzucić wszystko, i flotę, i Sojusz, i Moc.

Ale te pięć lat zdecydowało o jego życiu. Może jeszcze uda się nakłonić ją do zmiany poglądów.

A jakie niby miał prawo zmieniać jej przekonania? Jakie? Ta dziewczyna przyciągała Moc jak mało kto, chociaż nie potrafiła tego zaakceptować.

Szybko wyłączył urządzenie.

- Jak długo pełni pani funkcję senatora? - Dla postronnych powinna to być jedynie niewinna rozmowa.

- Senat wybrał mnie pięć lat temu. Większość tego czasu spędziłam na uczelniach, tutaj lub w Centrum Imperialnym. Tak naprawdę bycie senatorem nie znaczy aż tak wiele. Zajmujemy się głównie wynajdywaniem skutecznych metod ściągania podatków. Obecnie jest łatwiej, bo korzystamy z imperialnych banków pamięci i mamy dostęp do szerszych zasobów kulturowych. Niektóre z tych rzeczy bardzo się przydają. Inne zaś trafiają tylko do tych, którzy myślą podobnie jak gubernator Nereus.

W każdym ujarzmionym społeczeństwie znajdują się ludzie mile witający Imperium. Ludzie noszący je od dawna w sercu.

- Pani chyba do nich nie należy?

Spojrzała na generator. Rozmowa robiła się chyba zbyt osobista.

- Czy tu zawsze tak pada? - spytał Luke. - Wychowałem się na pustynnej planecie.

Wypowiedziawszy jeszcze kilka frazesów o pogodzie, znów włączył generator.

- Szanuję pani przekonania - powiedział. - I rozumiem lęki.

Brzęczyk przy drzwiach dał znać o sobie.

Gaeri z ulgą zerwała się, żeby otworzyć. Nie miała ochoty wyzywać losu podobną konwersacją, z drugiej zaś strony nie wierzyła, by udało się jej przekonać Luke'a Skywalkera do jej wizji wszechświata.

Służący wepchnął wózek antigrav i Gaeri skinęła, by ustawił go pomiędzy dwoma fotelami. Gdy poszedł, odkryła półmisk.

- Mam nadzieję, że lubi pan dary morza.

To już drugi raz w ciągu dwóch dni... jak na kogoś wychowanego pośród piasków pustynnego świata, całkiem niezłe.

- Zostanie pani?

- Proszę wybaczyć mi moje tchórzostwo, ale...

Bez słowa odpiął od pasa cylindryczny przedmiot i położył go na wózku.

- Czy to jest to, o czym myślę? - spytała.

- Tutaj jest pani bezpieczniejsza niż w domu - powiedział, czując rumieniec na twarzy. - Przepraszam - zreflektował się. - Zaczynam gadać jak wojał Imperium na przepustce.

Uśmiechnął się do swoich myśli. Zawahała się. Zapewne rzeczywiście byłaby tu bezpieczna.

- Dwóch Imperialnych jest na korytarzu - przypomniała. - Na pana miejscu ani trochę bym im nie ufała. Niemniej danie na półmisku pachnie bardzo zachęcająco. Podzieli się pan ze mną?

Luke musiał błyskawicznie polubić dary morza, jadł bowiem jak ktoś solidnie wygłodzony. Dziewczyna zadowolona się kilkoma kęsami. Po kilku minutach Skywalker sięgnął do zagłuszacza leżącego na wózku obok miecza świetlnego.

- Czy wielu Bakurian podziela pani poglądy? - spytał. Zmiana tematu ożywiła dziewczynę.

- Część podchodzi do sprawy nawet bardziej ortodoksyjnie. Moja siostra, na przykład, osiągnęła stan pełnej ascezy. Porzuciła wszelką własność osobistą i żyje niemal wyłącznie powietrzem, pragnie, by więcej zostało dla innych. Ja reprezentuję... umiarkowane skrzydło. Jesteśmy tu w mniejszości, ale przecież równowaga kosmosu nie opiera się na masie czy liczebności, wystarczy jeden słusznie uplasowany atom...

- Moc podpowiada mi, że jest pani kobietą nietuzinkową. O bogatym życiu emocjonalnym.

- A ja sądziłam, że przekonałam już wszystkich, iż jestem karierowiczem i mam jedynie polityczne aspiracje.

- Wszystkich innych może tak.

- To dobrze - odetchnęła.

Nie wolno mi spoglądać mu w oczy, chociaż są tak uroczo błękitne... - upomniała się.

- Ssi-ruukowie czekają. - Wskazał widelcem na sufit. - Mam jeden dzień, by przygotować się na ich powitanie.

- Mniej niż dzień.

- Gdy już się z nimi uporam, wrócę, by z panią porozmawiać, Gaeri. Może zmienisz jeszcze zdanie o Jedi. Mówiąc, że nie urodziłem się jako Jedi, miałaś tylko trochę racji. Cała moja rodzina była wrażliwa na Moc.

Zdumiona, upiła nieco wody. Po części spodziewała się usłyszeć coś podobnego. Nawet pragnęła.

Czemu się do tego nie przyznać? Zobaczymy, jak zareaguje - sięgała po uporczywą myśl.

- Dziękuję za szczerłość. Nie ma czasu na zbędne słowa. Czuję, że coś ciągnie mnie w twoją stronę, a to niebezpieczne.

Luke potrząsnął głową.

- Ależ ja nie...

- Owszem, mógłbyś. Gdybym ci trochę w tym pomogła. - Spojrzała na swe zaciśnięte dłonie. - Manipulowanie ludźmi nie sprawia ci kłopotu.

- Owszem, ale w twoim przypadku nie ośmieliłbym się - powtórzył speszony. - To by nie było uczciwe. Poza tym podobne traktowanie nie ma przyszłości.

Musnęła palcami medalion.

- Kim jesteś? Co daje ci prawo władać tymi mocami?

- Jestem... - zawahał się. - Zwykłym wieśniakiem, Chłopakiem z farmy.

- Rodzina obdarzonych Mocą farmerów? - spytała z nutą sarkazmu.

Luke pobladł. Musiała trafić w czułe miejsce.

- Spójrz na sprawę inaczej - powiedział, wybierając ostatni kęs z talerza. - Zawsze będą ludzie skłonni do czynienia zła. Jeśli garstka podobnych do mnie może ochronić przed nimi całe społeczności, to czy nie warto spróbować? Nawet jeśli w twoich przekonaniach jest ziarno prawdy, to czy czyjeś cierpienie przekreśla wszelkie starania?

Ludzie nieustannie poświęcają się dla różnych spraw. Nie prosiłem nikogo, by za mnie umierał.

Gaeri nie czuła się zbyt pewnie na tym gruncie.

- Kosmos musi pozostawać w równowadze - powiedziała.

- Owszem. Ciemna strona skłania do zachowań agresywnych, przekonuje do zemsty, podszeptuje zdradę. Im staniesz się silniejsza, tym większe pokusy będzie ci podsuwać.

- Czy to ma znaczyć... - spytała, a dłonie jej zdrząły - że im silniej kogoś się kocha, tym mocniej można go znieawidzić?

Luke spojrział na zagłuszacz i uniósł brew. Zmusiła się, by nie zwracać uwagi na jego pełne wyrzutu spojrzenie.

- Nie trzeba wyłączać - powiedziała. - Uznają, że nie rozmawiamy podczas jedzenia.

- Jest jeszcze inny rodzaj równowagi - podjął Luke, przyciskając dłoń do czoła. - Wyżyny żywota równoważone są przez czarne otchłanie. Zdarzyło mi się stracić przyjaciół, rodzinę, nauczycieli. Większość z nich zgładziło Imperium. Nie ocalałbym reszty, gdybym zrezygnował z treningu Jedi. Sam bym wówczas zginął. W dniu, kiedy spotkałem mego pierwszego mistrza, najechno na naszą farmę. Nie było mnie w domu, gdy zabili wujka Owena i ciotkę Beru. Nie oszczędzili nikogo w całym gospodarstwie. Czy tutaj postępowali inaczej? Czy skłonna jesteś to akceptować?

- To niełatwe pytanie.

- Odpowiedz - nalegał.

Oczywiście, że akceptowała. Nie miała innego wyjścia. A może...?

- Imperium zgromadziło w swoim ręku więcej władzy niż jakikolwiek rząd. Więcej, niż samo potrzebuje. Potrafi jednak nagradzać posłuszeństwo poddanych. Ci, którzy uznają w nim swoją zwierzchność, mają na przykład dostęp do rozbudowanego, wspaniałego systemu edukacji. Najzdolniejsze dzieci studiują nawet w Centrum Imperialnym.

Luke skrzywił się.

- Słyszałem, że te naprawdę rozgarnięte nie wracają potem do domu.

Skąd on to wiedział? Owszem, niektórzy zostawali, skuszeni intratnymi posadami. A niektórzy znikali. Ona wolała wrócić do domu.

- Powiedzmy, że nauczyliśmy się trzymać nerwy na wodzy. Uznanie władzy Imperium wyszło Bakurze na dobre. Udało się przywrócić porządek i zażegnać groźbę wojny domowej. Owszem, ta sytuacja ma pewne minusy, ale nie powiesz chyba, że Sojusz jest idealny?

- Nasze kłopoty związane są z walką o wolność. Lepiej zmienić temat.

- Wasze przybycie wzbudziło falę strachu. Sojusz kojarzy się raczej z destrukcją, a nie z tworzeniem nowego porządku.

- Z imperialnego punktu widzenia zapewne tak to wygląda - przyznała. Ale to nie jest prawda. Zapewniam cię.

Za grosz dyplomacji - pomyślał Luke, zły na siebie.

- Dziękuję za jasne postawienie sprawy. Trochę podniosło mnie to na duchu...

- I o to chodziło.

- ... i dodało pewności siebie - skłamała gładko. Sięgnęła do torby i wyłączyła urządzenie. - Zatem czeka nas wspólna walka z Ssi-ruukami.

Luke wykonał gest przełączania i Gaeri uruchomiła generator po raz ostatni.

- Czy dało by się zdobyć gdzieś kilka takich urządzeń? - Wskazał na torbę.

Potrząsnęła głową.

- Ten należy do Eppie. Zostało ich tylko kilka, są w posiadaniu dawnych rodów. Gubernator nic o nich nie wie.

- Szkoda.

- Też tak myślę. Wezmę ten wózek.

Luke przypiął miecz świetlny z powrotem do pasa.

Luke odprowadził Gaeri do drzwi. Przez moment zapragnął ścisnąć jej dłoń, porozmawiać jeszcze trochę, pokonać opór. Może pomogłaby mała dywersja w polu Mocy albo po prostu błaganie? - Każdy sposób wydawał się dobry. Ostatecznie jednak otworzył drzwi i zatknął kciuki za pas.

- Dziękuję - powiedziała.

Strażnicy patrzyli za nią, gdy korytarzem pchała wózek. Nie obejrzała się. Kiedy zniknęła za rogiem, Luke opuścił ręce i zacisnął pięści. Rozprostował palce i ponownie zacisnął. Niezwykle zdolności nigdy nie pozwalały mu się nudzić. Dostarczały nieustannie nowych wrażeń, pakując go w kłopoty, zarówno te namacalne, dające się łatwo określić, jak i te bardziej niż inne związane ze sferami kosmicznymi i mrocznymi rejonami jego duszy. Zawsze jednak pozostawiały mu wolny wybór.

Gaeriela próbowała ocalić go przed nowymi kłopotami, ale chyba jej się to nie udało. Czuł, że dziewczyna toczy ze sobą walkę. Przecież nie może opierać mu się w nieskończoność. Chociaż... może.

Zmęczony, zamknął za sobą drzwi i poszedł korytarzem w przeciwnym kierunku. Po lewej zobaczył drzwi prowadzące na dach. Skorzystał z nich i wszedł do windy.

W nocy ogród na dachu przypominał niewielką puszcę. Chłodne powietrze owiało twarz Skywalkera. Kępy drzew o białych pniach z bujnymi korzeniami wznosiły wysoko żółtopomarańczowe gałęzie, mokre jeszcze od deszczu. Na niebie lśniło kilkadziesiąt gwiazd i dwa niewielkie księżyce w pełni. Blade światelka wyznaczały ścieżkę wijącą się między wilgotnymi mechami.

Odszedł od windy. Na skraju budynku znalazł niewielką, skrytą za drzewami ławeczkę. Przyklęknął na niej, oparł łokcie o obramowanie dachu i spojrzął na miasto. Przed nim rozpościerały się kręgi ulic, w centrum oświetlono je lampami białobłękitnymi, nieco dalej żółtymi, a potem czerwonymi...

Przypominało to diagram typów gwiazd. Założyciele Salis D'aar musieli uznać, że barwy będą pomocne w poruszaniu się po mieście. Najznamienitsze domy oznaczono ciepłymi kolorami niczym żółte, przyjazne słońca.

Potrzebował chwili oddechu. Umiejętność wykorzystywania wrodzonych zdolności nie mogła przynosić nikomu szkody. Gdyby rozwinać myśl zawartą w religii Gaerieli, wówczas za stan pożądanym trzeba by uznać totalny egalitaryzm. Absolutne

zrównanie jednostek jako antidotum na lęk przed zmianą statusu. Przed utratą pozycji, wywyższeniem, wszelkim nieszczyściem.

Oznaczało to również zrzucenie z barków ciężaru odpowiedzialności za innych. Na to Luke nie mógł sobie pozwolić.

Spojrzawszy w górę, pomyślał, że niektóre z tych światełek to statki tworzące orbitalny system obronny. Wielu pilotów zostawiło kogoś w domu. Mieli bliskich, partnerów i partnerki, którzy wypatrywali z niepokojem ich powrotu. Niektórych nie ominie żałoba. Luke jednak napotykał na coraz większe trudności w kontaktach z bliskimi. Im lepiej potrafił władać Mocą, tym odleglejsza była perspektywa znalezienia kobiety, która mogłaby posiadać jego duszę.

Rozpostarł puste dłonie.

- Ben - wyszeptał. - Ben, proszę, zjaw się. Muszę z kimś porozmawiać.

Nikt nie odpowiedział. Nawet wiatr. Tylko na ścianie pojawiło się jakies stworzenie wielkości małego palca. Maszerowało dzielnie na dwudziestu nogach. Luke przyjrzał mu się bliżej, wczuwając się w rytm kroków wielonogi. Śledził ją, aż zniknęła w szparze.

- Mistrzu Yoda? - spróbował raz jeszcze. - Czy jesteś gdzieś blisko?

Głupie pytanie. Yoda trwał w Mocy, a zatem był wszędzie. Ale i tak nie odpowiedział.

- Ojczy? - powiedział po chwili wahania. - Ojczy. Ciekawe, czy Anakin potrafiłby go zrozumieć? Luke zastanowił się, jak by postąpił na miejscu Gaeri. Dom zagrożony, życie w niebezpieczeństwie, a na dodatek pojawia się budzący lęk przybysz. Jedi.

Nagle poczuł czyjąś obecność. Ktoś nadchodził. Ben? Nie, poziom emocji wskazywał na istotę żywą. Lekkie kroki przemknęły po ścieżce i przystały pod baldachimem splecionych gałęzi. Jasny strój białal pomiędzy kremowymi pniami drzew.

- Tutaj jestem - usłyszał kobiecy głos. Leia podeszła do brata.

- Wszystko w porządku? - Ramiona owinęła błękitnym, bakuriańskim szalem. - Słyszałam, a raczej poczułam, twoje wezwanie.

W ten sam sposób odnalazła go w Mieście w Chmurach. Usiadł ciężko na ławce.

- To był długi, męczący dzień. A jak tobie poszło?

- Ufff. Dobrze. Zostawiłam Artoo i Threepio u premiera. Podświadomość podpowiedziała Luke'owi, że wydarzyło się coś jeszcze. Coś, co wolałaby przemilczeć.

- Musisz bronić się tak desperacko? - powiedział Luke. - On też cię kocha.

- Nic się przed tobą nie ukryje? - Leia była wyraźnie rozdrażniona. - Rozmawialiśmy już raz i drugi... Ale ciągle ktoś nam przeszkadza. Ani chwili dla siebie.

Luke uśmiechnął się niepewnie.

- A więc to są te przyjemności, które mnie ominęły. Wiesz, wychowywałem się bez rodzeństwa.

- Dobrze jest mieć brata. Można z nim porozmawiać.

- Ty masz jeszcze Hana. Warto, by ktoś zadbał o dalszą historię rodziny - dodał ponuro. - Ja mogę nie mieć w najbliższym czasie po temu okazji.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Co się dzieje, Luke? Czy to ta pani senator?

- Jedi nie poddaje się namiętnościom.

I to była prawda, przynajmniej połowiczna. Nie mógł dopuścić, by ktoś zaczął manipulować nim poprzez emocje, odebrał zdolność wyciszenia samego siebie i koncentracji.

- Czasem jednak zdarza się, że Moc bardziej steruje mną, niż ja nią. Cóż, Moc opiera się na kulcie życia.

- To ona. A już zaczynałam się o ciebie niepokoić. Byłeś tak... oderwany...

Jej intuicja zaczynała go powoli drażnić. Lepiej zmienić temat. A może by ją tak odrobinę zirytować?

- Jeżeli chodzi o ciebie i Hana... Pozwól, że spytam o coś, o co w zasadzie nie mam prawa pytać, ale... Czy chcesz mieć kiedyś dzieci?

- Ejże! - Leia cofnęła rękę. - A co to ma do rzeczy?

- Przepraszam. Po prostu zastanawiałem się nad tym sporo ostatnimi czasy...

Czyżby? Zabawne, jakie figle potrafi czasem płatać podświadomość. Przez chwilę wyobraził sobie, jak by wyglądał w roli ojca klanu młodych Jedi. Całej gromadki, z zielonymi, niebieskimi i szarymi oczami.

- Dziecko osoby czującej Moc będzie podatne również na złe wpływy. Nie sądzisz?

- To oczywiste. - Leia usiadła i ułożyła końce szala na kolanach. - To normalne ryzyko, które ludzkość zawsze ponosiła. Posiadanie intelektu zmusza nas do dokonywania wyborów.

- Nie zastanawiało cię nigdy, czemu nasza matka mimo wszystko nie odważyła się...?

Ku zdumieniu Luke'a reakcja Lei była bardzo słaba.

- Och - rzuciła lekko. - Przypomniałeś mi o czymś. Proszono mnie, bym przekazała ci wiadomość. Widziałam się z Vaderem.

- Z Vaderem? - spytał wstrząśnięty Luke. - Widziałaś... ojca? Anakina Skywalkera? Vader już nie istnieje.

- Niech ci będzie. Z Anakinem. Naprawdę go widziałam. Luke poczuł się rozczarowany. Dlaczego ojciec pokazał się Lei, a nie jemu?

- Co mówił?

Popatrzyła na widoczną w dole panoramę miasta.

- Kazał ci przypomnieć, że strach służy ciemnej stronie Mocy. Poza tym przeprosił mnie, a przynajmniej próbował.

- Raz tylko go widziałem i to przez chwilę. Nic wówczas nie powiedział.

- Cóż, ja nie poczuwam się do żadnego z nim pokrewieństwa i wcale nie chcę, by gapił się na mnie z każdej ściany.

Luke zastanowił się nad przesłaniem ojca. Strach służy ciemnej stronie. Gaeruela bała się o niego, to także było sprawką ciemnej strony Mocy.

- Nienawiść działa podobnie, Leia - powiedział.

- Ale można nienawidzić zło.

- Czy ojciec powiedział cokolwiek... hm... Cokolwiek na temat... - Luke urwał wątek. - Och, dajmy temu spokój. Czy przeszkodziłem w czymś, dzwoniąc rano?

Nawet w mdłym blasku gwiazd widać było, że splonęła rumieńcem.

- Nie, skądże. Tylko mało mnie szlag nie trafił, że ciągle ktoś nam przeszkadza. Nie mamy ani chwili dla siebie - powtórzyła.

- Przepraszam. Ale może ojciec przydał się jednak na coś, jeśli szukałaś potem ukojenia u Hana.

- Nie kpj ze mnie. Gdy ujrzałam go w... ludzkiej postaci... zrozumiałam, że kiedyś był normalnym człowiekiem, dopiero potem został... Mnie może spotkać to samo.

- Nie będzie tak źle. - Pocałował ją w policzek. Kochał ją od dawna, zanim jeszcze dowiedzieli się prawdy o sobie. Lecz ona wciąż nie chciała się z tym pogodzić.

- Zobaczymy się rano.

- Chwilę! Jeszcze nie skończyliśmy.

- Porozmawiamy innym razem. Idź do Hana. Będziecie mieli czas dla siebie.

Popatrzyła mu w oczy, odetchnęła kilka razy głęboko, po czym wstała i pospiesznie odeszła.

Luke spojrzął na kręgi miasta, odprowadził wzrokiem, światła przejeżdżającego autobusu. Splótł dłonie i pochylił się.

- Ojczy? - wyszeptał.

Jeśli Anakin pokazał się Lei, a nie jemu, to znaczy, że z synem czuł się już pogodzony.

Spróbował jednego z medytacyjnych transów Yody. Wpatrywał się we własne wnętrze. Kłopoty osobiste zmalowały nagle wobec perspektywy ogromu wszechświata. Nie był sam: miał siostrę. Gdy wyrośnie wreszcie na dojrzałego Jedi, i jemu uda się napotkać miłość... bogactwo emocji, rozkosz i ból... wszystko to pojawi się jeszcze... W końcu echa wygasły, zapanowała cisza.

Otworzył oczy i rozplótł palce. Jeszcze nie stracił Gaerieli. Zrobi dla niej, co tylko będzie w stanie, a jeśli go odrzuci, bez wielkiego żalu opuści Bakurę.

Z uśmiechem przypomniał sobie różnobarwne oczy i powłóczył spódnice. O co ten cały raban?

I w ogóle po co sterczeć tu samotnie?

Wstał i skierował się do windy.

Dev poglądził bok nowego fotela do transferu. Fotela? A może należałoby nazwać to urządzenie jakoś inaczej? Trzy tuziny nowych stanowisk znajdowały się w ostatniej fazie montażu, to jedno miało jednak szczególne znaczenie. Na nim spocząć miał dostawca surowca dla zwykłych modułów, Luke Skywalker. W zasadzie przypominało łóżko, dyskretnie wmontowane silniczki pozwalały zmieniać kąt nachylenia od zera do trzydziestu stopni. Zamiast w piersiowej metalowej obręczy, obwody umieszczono w materacu. Ich zadaniem było wychwytywanie energii życiowej więźnia. Po bokach i w nogach widniały obręcze służące do przytrzymywania kończyn, a dodatkowe oprzyrządowanie sugerowało, że miało to być stałe miejsce pobytu

więźnia (te elementy testowali jeszcze wczoraj). Cały w srebrze i czerni, wynalazek lśnił efektownie w blasku lamp kabiny. - To jest piękne, mój panie.

- Przykro mi, Dev - zanucił niskim głosem Firwurring. - Wiem, że zrani to twoje uczucia...

- Szkoda, że to tylko próba - powiedział smutno Dev. - Ale wiem, że musimy przetestować to urządzenie. Zaczynamy.

Firwurring skinął łbem.

Większość instalacji Dev zaprojektował osobiście. Położył się teraz ostrożnie na lekko pochyłym materacu. Lewa stopa musnęła wewnątrz obręczy, która zatrasnęła się gwałtownie.

- Działa! - krzyknął.

- Spróbuj pozostałych.

Tym razem Dev pilnie obserwował urządzenie. Zbliżył prawą stopę do lekkiej wypukłości i...

Łup.

Zatrzaśnięcie drugiej obręczy uaktywniło kilka obwodów. Legowisko podniosło się do nachylenia pod kątem dwunastu stopni. Kolejna obejmą zatrasnęła się wokół pasa. Było to o wiele skuteczniejsze, niż uchwyty, w które był wyposażony tradycyjny fotel.

- Ślicznie. - Firwurring podsunął się bliżej i musnął pazurem środkową obręcz. - Trzyma?

Dev spróbował się szarpnąć.

- Tak. Ale nie utrudnia oddychania.

- Dziwni są ci ludzie - gwizdnął wesoło Firwurring i Dev się roześmiał. - Wygodnie ci? Jego rozmiarów możemy się tylko domyślać.

- Jak najbardziej.

- Teraz lewa ręka.

Następna obręcz zaskoczyła na miejsce, uaktywniając wmontowany w nią zespół czujników, który miał nadzorować funkcje życiowe. System ten dostosowano specjalnie do miękkiej, pozbawionej łuski skóry człowieka. Na pulpicie za Firwurringiem zaczęły pulsować blade światelka. Obcy przyjrzał im się bacznie.

- Prawą zostaw swobodną - poinstruował.

Dev szczerze żałował, że to jeszcze nie dzisiaj. Oczami duszy widział już tę chwilę, gdy otrzyma nowe, nie znające snu ni słabości zmysły i potężne, wszechwładne niemal ciało. Będzie mógł wówczas jeszcze lepiej służyć swym panom. Wczoraj rozpoczęli poddawanie procesowi niedostatecznie rozwiniętych i nazbyt starych P'w'eczków z innych statków. Pora przygotować się do inwazji. Niewyrosłe gady były mniej wytrzymałe od ludzi i nie starczały na równie długo, ale sytuacja zmuszała do tego, by ich także poddać zabiegowi.

Firwurring dotknął czerwonego przycisku. Dev poczuł uderzenie w pośladki.

- I to też działa! - zawołał.

Urządzenie miało pozwalać na długotrwałe przytrzymywanie więźnia na leżance bez konieczności dezaktywacji całego systemu nerwowego.

- Czujesz stopy?

Dev zerknął w dół. Podtrzymywane przez materac nogi sterczały nad szarymi kafelkami podłogi.

- Nawet nie wiem, że je mam! - zawołał radośnie.

- Dobrze.

Firwiring odczepił przezroczystą tubę od stelażu urządzenia, tuż obok lewego barku Deva.

- Wiem, jak bardzo chciałbyś, żeby to nie była tylko próba - powiedział. - Przykro mi, że musisz przez to wszystko przechodzić.

- Mój czas jeszcze nadejdzie.

Dev zamknął oczy. Poczuł ucisk na szyi, potem jakby uklucie. Odprężył się, smakując doznania. Po chwili to samo powtórzyło się z drugiej strony. Och, pragnął, i to jeszcze jak...

Nagle poczuł strach. Prawa ręka zadrzała.

Otworzył oczy. Błękitnołuski i admirał szli ku niemu. Dwóch P'w'ecków ciągnęło za ramiona i głowę bezwładne ciało ludzkiego więźnia, przygotowanego uprzednio do zabiegu za pomocą promiennika. To następny, który miał właśnie zostać poddany transferowi. Dev spróbował poruszyć stopami. Nic. Idealnie. Miał nadzieję, że należycie wywiązał się z zadania i przestraszony nieszczęśnik nie będzie cierpiał.

- Proszę o objaśnienia - powiedział admirał. - Czym będzie się to różnić od standardowego procesu?

Firwiring złączył pazurzaste łapy.

- Sądźmy, że obdarzone talentami wyczuwania Mocy indywiduum będzie zdolne przyciągać energię życiową na odległość. W przypadku Deva chodzi o niewielkie dystanse. Po właściwym podłączeniu Deva do obwodów, energia życiowa innych istot będzie przepływać przez niego, ale on sam nie ulegnie procesowi, będzie za to w stanie powtarzać procedurę dowolną ilość razy.

- A zatem zupełnie inaczej niż z użyciem... fotela. - Ivpikkis przyjrzał się instalacji.

Dev przypomniał sobie rozbawienie gadów, gdy po raz pierwszy opisał im ludzkie meble. P'w'eckowie pokładali się ze śmiechu.

- Owszem - zgodził się Firwiring. - W tym przypadku fizyczne pojmanie obiektu nie będzie konieczne. Przy wykorzystaniu Skywalkera obiekt nie będzie musiał znajdować się nawet w stożku promienia wiodącego. Taką przynajmniej mamy nadzieję.

- Na wszelki wypadek wypróbujemy system na tym tutaj - powiedział Błękitnołuski. - Czy wszystko gotowe? - Obwąchał więźnia językiem. Biedaczysko musiał pościć.

- Jak najbardziej. - Firwiring spojrział na starszego, prawym okiem mierząc wciąż w Deva. Lewym poszukał więźnia. Potem przesunął główny przełącznik.

Szyja Deva zapłonęła. Tym razem zamiast zwykłego roztworu, serwopompy tłoczyły jeszcze wiele innych domieszek, mających umożliwić systemowi nerwowemu zestrojenie się z obwodami modułu. Dzięki temu właśnie można było zrezygnować z

metalowej obręczy stanowiącej część wyposażenia zwykłego fotela. Najpierw szyja, potem głowa, tułów i kończyny zrobiły się ciężkie, jakby stała grawitacji na pokładzie statku uległa zmianie. Dev miał wrażenie, że legowisko się chwieje. Firwirrung i reszta byli tuż obok, ale wydawało się, że stoją nie na podłodze, a na ścianie. Złudzenie wywołane zaburzeniami pracy błędnika.

- Czuję - powiedział - jakby cały układ nerwowy chciał wyrwać się ze mnie i poszybować gdzieś w dal. Trochę boli.

- To nie powinno mieć wpływu na podstawową funkcję. Czy jesteś gotów?

- Spróbuję.

Darowanie nowego nośnika było niemal równie wspaniałe, jak osobiste przejście przez ten proces. Dev zamknął oczy i sięgnął w polu Mocy ku tej drugiej osobowości. Zdawało mu się, chociaż zgranie nie było łatwe, że czynił to już dziesiątki razy. Objął cudzą aurę i pozwolił działać obwodom, które przeniosły energię w jego ciało. Przez chwilę poczuł olbrzymi ciężar, który wywołał dwa razy silniejszy niż poprzednio ból. Nagle wszystko ustąpiło. Dysząc ciężko, Dev uchylił powieki. Więzień leżał martwy na pokładzie.

- Pokład szesnasty? - zawołał admirał do interkomu.

- To działa - doleciało z drugiego końca linii. Dev, Ssi-ruukowie i P'we'ck odetchnęły z radością.

- Następny test - zaśpiewał Firwirrung. - Musimy sprawdzić, czy da się nagiąć Skywalkera do naszej woli. Jeśli szacunki są poprawne, to jest o wiele silniejszy niż nasz Dev.

- Lepiej, żeby były - powiedział Błękitnołuski, podchodząc bliżej stanowiska.

Devowi zdawało się, że gad schodzi ze ściany. Chłopak mimowolnie ścisnął dłoń, gdy wielki łeb pochylił się nad nim. Oczy uciekły w głąb czaszki. Opadł bezwładnie.

Nagle Błękitnołuski odszedł na bok.

- Teraz - wyszeptał.

Firwirrung zbliżył się z małym trójzębem, używanym do usuwania pazurów jaszczurom zwanym Fft, hodowanym na mięso. Wcisnął narzędzie w dłoń Deva.

- Tak? - spytał chłopak bez lęku, jedynie z ciekawością w głosie.

- Przebij sobie dłoń.

No tak, to oczywiste. Wykręciwszy się lekko, Dev ustawił trójząb w odpowiednim położeniu i z całej siły wbił w wierzch dłoni. Zachrząściła kość i krew pociekła po materacu. Nie bolało.

- Zostaw tak - polecił Firwirrung.

Dev przygotował się do wykonania następnych rozkazów.

- Cofnij rękę.

Gdy dłoń opadła na swoje miejsce, Firwirrung wyjął trójząb z ciała Deva, otarł go o jego szatę i kleił ranę syntetyczną skórą, która pochodziła zapewne ze zdobycznych medpakietów Imperium. Potem spojrział na admirała.

- Myślisz, że na Skywalkera będzie to działać równie dobrze? - spytał Ivpikkis.

- Nie ma powodu, by sądzić inaczej. Ludzki instykt przetrwania jest jednym z najsilniejszych, a sami widzieliście, że właśnie udało się go wytłumić. Musimy jeszcze

ustalić, jak długo indywiduum pozostanie w transie. Teraz możemy pozwolić sobie jedynie na krótką symulację, ale kilka godzin powinno wystarczyć, by zaobserwować ewentualne zwiastuny powolnej degradacji funkcji życiowych.

Admirał poruszył nerwowo ogonem i zerknął na pulpit, potem na Deva, który próbował się uśmiechnąć. W końcu opuścił pomieszczenie razem z Błękitnołuskim. Firwirrung rozkazał jednemu z P'w'eckow sprzątnąć zwłoki, drugiemu polecił pozostać z Devem.

- Daj mi znać, gdyby cokolwiek zaczęło się dziać. - Wskazał uzbrojoną w pazury łapą na tablicę pełną wskaźników.

Po chwili Firwirrung wyszedł.

Kilka godzin. Leżeć kilka godzin, o włos od upragnionej przemiany.

Niewygodnie tu. Nos go swędział, a nie mógł się podrapać. Nikt nie kazał mu się drapać... Pulsujący ból dłoni tłumił sygnały cierpienia, które napływały z całego ciała. By zabić czas, zaczął recytować urywki wierszy zapamiętane w dzieciństwie. W myśli tłumaczył je na język Ssi-ruuvi, potem wyobrażał je sobie zapisane w alfabecie jego pomysłu.

Wiersze skończyły się wcześniej niż oczekiwanie. Miał wrażenie, że galki oczne zapadają się w głęb mózgu. Biedny będzie ten Skywalker. Skazany na męczarnię, bez perspektyw otrzymania własnego androida bojowego. Skazany za sprawą tych samych uzdolnień, które posiadał Dev.

Chłopak westchnął i zaczął liczyć uderzenia serca. Krew pulsowała silnie w zranionej dłoni.

Stracił rachubę między czwartym a piątym tysiącem. Czas mijał. Niewygoda legowiska potęgowała ból, a Firwirrung wciąż nie wracał. Dev, otepiały, znów zaczął liczyć.

Nos ciągle swędział. Nikt nie kazał mu...

Sam to zrób, głupku! Zaczynał powoli wpadać w złość. Czemu Firwirrung nie czuwał przy łóżku? To było okrucieństwo. Może tak wstrzymać oddech na tyle, by zemdleć? Wtedy tępy nadzorca zauważy zmianę. Wciągnął najpierw głęboko powietrze, potem wypuścił je gwałtownie i zacisnął usta.

Krótki, ale intensywny wstrząs elektryczny przebiegł mu między łopatkami. Odetchnął mimowolnie.

To on sam zaproponował to udoskonalenie. Zirytowany, spróbował poruszyć prawą ręką. Przycisnął kciuk do małego palca. Wcisnął dłoń w materac. Za słabo. Jeszcze raz.

Trzysta uderzeń serca później poddał się wreszcie. Odpoczął. Spróbował ponownie.

Nagle drzwi się otworzyły. Zdumiony Dev cofnął dłoń o dostępne mu trzy milimetry. Pierwszy wszedł Firwirrung. Nie spojrzął nawet na Deva, tylko od razu zbliżył się do pulpitu. Błękitnołuski prowadził P'w'ecka, który ciągnął kolejnego więźnia.

- Wspaniale - powiedział Firwirrung, odwracając się od kontrolek. - Wszystkie czynności życiowe w normie. Opisz swoje wrażenia, Dev.

- Boli - wychrypiał.

Błękitnołuski zamrugał i zbliżył się na tyle, że Dev wyczuł jego woń.

- Nogi też?

Dev poruszył stopami.

- Znow mam nad nimi władzę, ale to boli. Są za ciężkie.

- Aha. - Firwirrung przyjrzał się odczytom i syknął z zadowoleniem. - Kontrola nad mięśniami kończyn wróciła po dwóch i siedmiu dwunastych godziny. Dokładnie tak, jak przewidywaliśmy. Naprawdę wspaniale. Dev przełknął z wysiłkiem ślinę.

- Boli - powtórzył.

- To bez znaczenia. Nie zaburza zasadniczej funkcji. Zajmij się teraz tą kobietą, Dev.

- Nie słuchacie mnie. To boli.

- Boli? - Błękitnołuski odwrócił się raptownie ku legowisku, i strach zmroził Deva. Muskularny ogon przejechał mu po nogach z taką siłą, że Dev ujrzał wszystkie gwiazdy.

- To dobrze, że boli. Eksperyment musi być realistyczny. Odmawiaj współpracy.

Firwirrung podszedł z dziwnie wyglądającą strzykawką w łapie.

- Masz rację. Najpewniej Jedi nie będzie chciał z nami współpracować. Skoro włożyliśmy już tyle wysiłku w wygranie tej kampanii, spróbujemy wykorzystać Skywalkera... zamiast ciebie. Wówczas zwycięstwo nie będzie zależało od przetrwania któregokolwiek z was.

- To może go zabić. - Błękitnołuski pokiwał ostrzegawczo koniuszkiem ogona.

- Albo go zabije, albo zmusi do posłuszeństwa. Lepiej dokonać najpierw wszystkich prób na mniej cennym obiekcie.

Mniej cennym? Panie, co ty mówisz?

Ogarnięty paniką Dev próbował uchylić się przed strzykawką, wypełnioną środkiem stymulującym trans hipnotyczny. Udo zapiekło przez chwilę. Czekał.

- Zajmij się tą kobietą - rozkazał Firwirrung.

Dev zacisnął powieki. A do czego niby innego mogli nadawać się ludzie? Sięgnął w jej kierunku. Poczul jeszcze silniejszy ból. Słyszał krzyk. Męski krzyk. Potem znow otworzył oczy, czekając na dalsze polecenia.

Błękitnołuski ponownie sięgnął po nóż.

- Nie trzeba - powstrzymał go Firwirrung. - Chcę potrzymać go tutaj przez kilka dni, by sprawdzić cały system podtrzymania życia...

- Ale słyszałeś, co powiedział admirał. Mamy natychmiast zacząć ze Skywalkerem.

Kilka dni? Dev zadrżał i zacisnął dłonie. Lewa znow zapiekła. Miał chyba popękane kości i przeciętych kilka ścięgien.

Firwirrung wysunął nieco język, łowiąc zapachy.

- Czasem dziwnie śmierdzą, jeśli się ich przestraszy.

- Zachowują się niekiedy zupełnie, jak istoty inteligentne. Zabawnie by było, gdyby jednak mieli dusze, chociaż P'w'eckowie ich nie mają.

Niemożliwe. Co oni mówią? Bezlitosny werdykt wstrząsnął Devem.

- Kończymy. Spójrz na mnie - rozkazał Błękitnołuski. Jego oko było okrągłe, czarne, piękne...

Ręka bolała nie do zniesienia. Jak przez mgłę Dev poczuł znajome symptomy początku terapii. Firwirrung uwolnił go z więzów. Mrugając oczami, Dev spróbował wstać. Dziwnie słaby, ledwo utrzymał się na nogach między dwoma P'w'eckami. Coś cuchnęło. To on sam.

- Dobrze poszło? - spytał Firwirrunga. Gardło bolało przy każdym słowie. - Ale... dlaczego terapia, dlaczego teraz?

- Ach, Dev. - Firwirrung trącił go w ramię pazurem. - Czy nie byłoby zbyt wielkim brzemieniem nosić w sobie pamięć chwili, gdy byłeś tak blisko upragnionej przemiany, ale ci jej odmówiono?

Dev poczuł się wzruszony troską i zapobiegliwością opiekuna.

- Ale działało? Dostał swojego androida? Firwirrung objął głowę Deva i przycisnął ją do łuskowatej piersi.

- Działo. Teraz brakuje nam już tylko jednego.

- Skywalkera - wyszeptał Dev. Firwirrung odsunął go łagodnie.

- Proszę, idź się umyć, człowieku.

ROZDZIAŁ 13

Gubernator Wilek Nereus wszedł do centralnej dyspozytorni. Wszystko było tu czarne - sufit, ściany, podłoga i meble - przez co obrazy na olbrzymich projektorach stawały się lepiej widoczne. Przy krótkim stole konferencyjnym czekał już komandor Thanas, naprzeciwko niego zaś „generał” Solo i komandor Luke Skywalker. Bezczelny młodzieniec pewien swej nietykalności.

- Wszystko w porządku, panowie? - Nereus zajął miejsce u szczytu stołu i odprawił swą eskortę. Pozostali też usiedli.

Komandor Thanas wyglądał na kogoś, kto dokładnie zdaje sobie sprawę z faktu, że jego dalsza kariera zależy całkowicie od treści następnego raportu gubernatora. Zapewne z miłą chęcią wymazałby ze swoich akt zapisek o incydencie na Alzoc.

- Wszystkie myśliwce naprawione - powiedział Thanas. - Załogi w gotowości bojowej.

Jeśli Ssi-ruukowie dotrzymają słowa, to atak już nie nastąpi. Inna sprawa, że Nereus im nie dowierzał. Ale nawet jeśli dostaną Skywalkera, a spróbują mimo wszystko zaatakować, to dysponował jeszcze nowym rodzajem uzbrojenia, które powinno zdziesiątkować te małe stateczki...

- A co z uzbrajaniem statków w te...

- Emitory typu DEMP - odpowiedział Thanas. Zaskoczony wyraźnie Luke spojrział na komandora, potem na swojego przyjaciela przemytnika.

- To broń, która emituje impuls elektromagnetyczny, zdolny obezwładnić małe jednostki bojowe, nawet z dużego dystansu - wyjaśnił Thanas. - Zamontowaliśmy dwa prototypowe egzemplarze na jednostkach patrolowych, ale me mieliśmy jeszcze okazji ich przetestować.

Solo zażądał niezwłocznie podobnego uzbrojenia dla statków Sojuszu, ale Nereus tylko pogłaskał się po brodzie i czekał, aż Thanas wyjaśni, że nie dysponuje większą ilością egzemplarzy. Sam wyciągnął w tym czasie miniaturowy moduł medyczny, położył go na stole i wycelował w Skywalkera.

Zmarszczył brwi, ale był to skutek najwyższej koncentracji, a nie jakichkolwiek wyrzutów sumienia. Wszystkie odczyty wskazywały niemal idealny stan zdrowia. Jedi połknął pięcioletni kokon, nic o tym nie wiedząc. Nereus musiał się upewnić, że zarodki przeżyją i zaczną się szybko rozwijać, a pełny przegląd medyczny mógłby wzbudzić podejrzenia Skywalkera. Musiał pozostać nieświadomy niebezpieczeństwa, to był zasadniczy warunek powodzenia.

Nad stołem pojawił się obraz holo przedstawiający błąd - błękitną kulę oznaczoną srebrnymi i złotymi kreskami przedstawiającymi statki broniące Bakury. Trochę dalej lśniły oznaczenia jednostek Ssi-ruuków.

- Widzę, że wy też używacie czerwonego koloru dla oznaczenia niebezpieczeństwa - zauważył Solo.

- Pewnie postępują w ten sposób wszystkie stworzenia, które zranione krwawią na czerwono - mruknął Skywalker.

Och, tak, ich krew ma czerwoną barwę. Nereus uśmiechnął się i odchylił na krześle, niepostrzeżenie musnął kontrolki na skraju blatu i połączył się ze swym centrum medycznym.

Kwadrans później, gdy reszta towarzystwa dyskutowała wciąż o strategii, technicy podłączyli podręczny moduł do urządzeń peryferyjnych wielkiego kompleksu stacji medycznej. Nereus wycelował dyszę w niewielki obszar na piersi Skywalkera...

Dwie mikroskopijne, czternastogodzinne larwy poruszyły się w lewym oskrzelu. Prymitywny system zawiadywania życiem walczył o przetrwanie.

W kokonie były trzy jaja, ale już jedna larwa olabriańskiego trójniaka wystarczała, żeby zabić nosiciela. Wszyscy specjaliści w dziedzinie parazytologii o tym wiedzieli.

Solo, który od dwóch godzin ledwo trzymał nerwy na wodzy, w końcu nie wytrzymał.

- Jedno mi się tu nie podoba, komandorze Thanas. Proszę spojrzeć. - Wskazał na projekcję. - Cofnąć o trzy fazy. - Tutaj. Widzicie. Daliście...

Nereus wykasował obraz. Solo zamarł. Skywalker skinął nań, by mówił dalej.

- Kluczowe siły Sojuszu zostały przydzielone do najbardziej zagrożonych miejsc, projekcja zaś nie uwzględnia szacowanych strat. Jeśli policzymy wszystko, wówczas się okaże, że srebrne punkty będą po kilku fazach bitwy w istotnej przewadze. Wcale mi się to nie podoba.

Chyba jednak ten przemytnik miał jakieś pojęcie o taktyce wojennej. Komandor Thanas wypuścił scyzoryk, którym bawił się w kieszeni.

- Komandor Skywalker nalegał, abym dysponował waszymi siłami tak, jak gdyby były to moje jednostki. Ustawiłem je w sposób, który ma zminimalizować straty. - Musnął konsolę. - Oto faza czwarta z uwzględnionymi stratami. - Obraz nieco się zmienił. - Zastępuję na połowie kluczowych pozycji wasze jednostki regularnymi dywizjonami. Starczy, generale?

Solo rozpostarł ręce.

- Tak to widzę. Faza czwarta, straty uwzględnione po zmianie.

Znaczna liczba punktów zniknęła. Oznaczało to wysokie straty w obu formacjach.

Skywalker odetchnął. Kaszel powinien zacząć go męczyć dopiero za cztery do sześciu godzin, zależnie od indywidualnej odporności. Dwie godziny później nastąpi rozległy wylew wewnętrzny w obrębie klatki piersiowej.

- Zgadza się pan, generale Solo?

- Chyba tak.

Skywalker położył dłonie na stole.

- Myślę, że możemy to uznać. Siły Sojuszu znajdą się w awangardzie każdego ataku. Przerwiemy blokadę i ode - tniemy obiekt, a wy go okrążycie. Może utrata tak dużej jednostki nieco ostudzi ich zapały. A gdyby udało się zniszczyć dwa... Cóż, zobaczymy jakie siły rzucą przeciwko nam. I jeszcze jedno pytanie - zwrócił się do komandora Thanasa. - Jeśli Ssi-ruukowie będą dalej czekać na nasz ruch, jak długo możemy zwlekać?

Nereus odchrząknął, prosząc o uwagę.

- Do jutra wieczorem - odpowiedział.

Do tego czasu, młody Jedi, będziesz już martwy - dodał w myślach.

- Wolałbym ruszyć wcześniej - zasugerował ostrożnie Thanas. - Atakując, możemy liczyć na element zaskoczenia.

- Jutro wieczorem - powtórzył Nereus.

Komandor Thanas powinien słuchać rozkazów i mniejsza o jego wojskowe uzdolnienia. W przeciwnym razie sam trafi do kopalni. Nereus przypomniał mu jeszcze o tym, gdy spotkają się prywatnie wieczorem.

- Niech będzie - powiedział Thanas. - Komandorze Skywalker, generale Solo. Do jutra zatem.

Nereus wymienił ze wszystkimi uścisk dłoni. Nie zdjął przy tym rękawiczek. Na tym etapie rozwoju larwy nie rozsiewały jeszcze potomstwa, które w dojrzałej fazie potrafiło zmienić żywiciela przy byle okazji, jednak sama myśl o kontakcie z kimś zarażonym napełniała go wstrętem. Trychoidy mogły żerować na niemal wszystkich wyższych organizmach. Próbował już zarażić nimi Ssi-ruuków, ale widocznie fleciaki niszczyły ciała więźniów zaraz po zabiegu. Skywalker pożyje między nimi wystarczająco długo, by posiać wkoło wiele dorosłych osobników, niemal od razu gotowych do zapłodnienia. A jeśli nie porwą go dzisiejszej nocy... Wówczas trzeba będzie go zlikwidować. Inaczej całej planecie groziłaby epidemia. Może nawet zaczęłyby świadomie wszystkich zarażać... Młodzieniec mógł być skłonny do naiwnego idealizmu.

Ale nie. Skywalker odleci w przeciągu najbliższych ośmiu godzin. Ze stanowiska dwunastego.

Wychodząc wraz z Hanem z centrali, Luke czuł, jak gubernator odprowadza go spojrzeniem. Nereus miał nadzieję nigdy już nie ujrzeć młodego Jedi.

- To jakiś ponury żart. Jak można ufać tym ludziom? - mruknął Han, gdy tylko minęli pierwszy zakręt.

- Nie myśl źle o Thanasie - odparł Luke półgębkiem.

- Co mówisz? - Han uniósł brew i spojrzał w pustkę korytarza.

W porządku. Lepiej zachować czujność.

- Naprzód, prosto - poinstruował Luke. - Chce dobrze wykonać swoją robotę i cieszy się ze wsparcia. To nie jest człowiek Nereusa.

- To Imperialny. - Hmm.

- Lubisz go, ponieważ prawi ci komplementy? - spytał Han.

- Nie - uśmiechnął się Luke. - Ale zawsze to jakaś odmiana.

- Dobre słowo od Imperialnego. Też prawda. Wchodząc do przestronnego holu, nieco zwolnili i Luke zbadał teren. Nie było nikogo w zasięgu wzroku. Han przysunął jednak dłoń do blastera, gdy szybkim krokiem przemierzali otwartą przestrzeń.

- Czy tylko mi się zdaje, czy naprawdę zrobiłeś się od wczoraj bardziej czujny? - spytał Han, gdy opuścili biuro gubernatora.

- Dostałem z pewnego źródła informację, że gubernator zamierza wydać mnie Ssi-ruukom. Zauważyłeś, że doręczono Nereusowi wiadomość podczas spotkania?

- Owszem. Pora, abyś stał się bardziej ostrożny.

- Ostrożny byłem już przedtem. - Ostatecznie roztargnienie nie oznacza jeszcze utraty podstawowych odruchów. - A tak na marginesie, czy tylko mi się zdaje, czy w tobie też zaszły zmiany, jakbyś nieco poweselał...?

Han zatrzymał się w pół kroku.

- Domyślam się, że chcesz po prostu spytać, jak poważne są moje zamiary wobec twojej siostry?

Luke rozejrzał się uważnie i odprężony, uśmiechnął się do Hana.

- Pytać nie muszę, bo i tak wiem. Ona cię potrzebuje. Nie zawieź jej.

Han roześmiał się głośno.

- Nie w tym życiu.

Luke klepnął go w ramię. Przeszli już tyle razem, że praktycznie byli dla siebie jak bracia. A teraz jeszcze i to...

Czyjeś kroki przerwały miłą pogawędkę. Schowali się za kolumną, Luke odpiął miecz. Han przycupnął obok przyjaciela.

Nadchodziły trzy osoby. Luke pozostał w ukryciu, nakazując spojrzeniem Hanowi, aby się nie ruszał. Poczekali, aż Nereus z ochroną przejdą dalej.

W biurze był opanowany, teraz jednak coś zakłócało jego spokój.

- Jest bliski paniki - szepnął Luke.

- Paniki? On?

- Bliski, powiedziałem. Musimy na niego uważać.

- To nic nowego.

Gdy weszli do apartamentu, Han zniknął w swoim pokoju, a Luke wysłał wiadomość do Wedge'a Antillesa, który przebywał na orbicie.

Atak planowany na jutro wieczorem. Współdziałać z siłami gubernatora, wykonywać rozkazy Thanasa, ale nie opuszczać gardy. Tarcze cały czas włączone.

Han miał zamiar zabrać Leię na „Sokoła”, ale w jej apartamencie nikt nie odpowiadał. Wyszła gdzieś sama zaraz po śniadaniu. Wobec nie najlepszego obrotu spraw lepiej było trzymać się razem. Luke postanowił złapać najbliższy wahadłowiec i wrócić na pokład „Szkwału”. Miał wielką ochotę udowodnić Manchisco, że się myliła.

Zaburzało mu w żołądku. Trzeba by coś przegryźć, ale może nie tutaj. Bezpieczniej będzie zamówić coś w kantynie na lądowisku.

- Han, gotowy jesteś? - zawołał.

- Leia nie odpowiada!

- Może znalazła z Captisonem jakiś zaciszny zakątek, z dala od Imperialnych.

- Może. Najpierw dostarczę cię na lądowisko, a potem pojedę jej poszukać.

Premier Captison zaproponował przejażdżkę. Leia przystała na to, ale zdziwiła się, gdy również senator Orn Belden wsiadł do pojazdu. Kieszeń na piersi miał wypchaną

widocznie zabrał ze sobą wzmacniacz. Bakurianie mieli chyba zamiar porozmawiać bez kłępującej obecności androidów i Chewie'ego.

Odziany w liberię pilot zasunął drzwi kabiny i pojazd wystartował z dachu. Belden przyłożył palec do ust.

Leia przytaknęła, rozumiejąc znak.

- To piękne miasto - powiedziała beztrzesko. - Bakura w dużym stopniu przypomina mi Alderaan. - Spojrzała na poszarpaną powłokę chmur. - Przynajmniej wilgotniejsze okolice. Czy sprawdzaliście zawartość metali w tych rozległych pokładach kwarcu?

Siedzący obok Captison uśmiechnął się przebiegle i założył ręce na piersi.

- I to dokładnie. A jak pani myśli, czemu miasto założono właśnie tutaj?

- Rozumiem.

Captison oparł się wygodnie. Wyglądał na zrelaksowanego.

- Po kilku pierwszych latach sukcesów złoża zaczęły się wyczerpywać, w łonie korporacji doszło do podziałów. Frakcja mego ojca chciała poszukać nowych pokładów. Inni sugerowali przestawienie się na nowe surowce, jeszcze inni, głównie z pokolenia urodzonych już tutaj, proponowali sprowadzenie większej ilości osadników lub budowę luksusowych ośrodków wypoczynkowych.

- Informacje o każdym otwartym dla turystyki świecie szybko docierają do najdalszych nawet zakątków galaktyki. Czasem taka planeta robi się modna.

- Co wiąże się z napływem również mniej pożądanego elementu.

Pewnie miał na myśli rebeliantów i przemytników, a może szulerów i sprzedawców tandetnych pamiątek.

- Zdarza się. Captison zachichotał.

- Chwilami do złudzenia przypomina pani moją bratanicę. Wiele bym dał, aby mieć takie proste i nieskomplikowane życie jak ona.

- To dobre dziecko. - Belden obrócił się ku nim z przedniego siedzenia. - Może być dobrym senatorem.

- Zbyt wcześnie i gwałtownie stała się dorosła - powiedział Captison, stukając w szybę okna. - Wyzbyła się przez to złudzeń.

- Rozumiem - mruknęła Leia. - Ja także miałam raczej krótkie dzieciństwo.

Kierowca przyspieszył, wyprzedził dwa pojazdy i przejechał skrzyżowanie. Jak we wszystkich większych miastach, tak i tutaj ruch powietrzny odbywał się jedynie wytyczonymi arteriami.

- Och - zreflektował się senator Belden - proszę podziękować w moim imieniu komandorowi Skywalkerowi, że próbował pomóc Eppie. Będzie wiedział, o co chodzi.

Potem długo opowiadał o glebie na pogórzach, płonach namany i pozyskiwaniu soku.

Leia czekała, aż mężczyźni dadzą jej znak, że można już rozmawiać bezpiecznie. To mogła być jedyna okazja pozyskania ich dla Sojuszu.

Pięć minut później wylądowali na dachu małej budowli otoczonej szybującymi swobodnie na tarczach antygravitacyjnych znakami. Leia sięgnęła ku drzwiom, ale Captison ją powstrzymał.

- Proszę poczekać.

Niedługo później kierowca i ochrona Captisona odlecieli rządowym pojazdem, reszta zaś wsiadła do niedużego, wynajętego samochodu. Pojazd był biały z bładoniebieskimi siedzeniami i z konsolą sterowniczą tego samego koloru.

- Często tak postępujecie? - spytała rozbawiona ale i zadowolona z takiej zapobiegliwości.

- Nigdy dotąd to nam się nie zdarzyło - mruknął Captison, włączając się do ruchu.
- To był pomysł Beldena.

- Bezpieczniej jest założyć, że kabina ślizgacza jest na podsłuchu. - Stary senator rozsiadł się wygodnie i znacząco poklepał wypchaną kieszeń. - Teraz nas nie słyszą.

Captison zmarszczył czoło i włączył radio. Rytm perkusji wypełniłabinę.

- Musi pani zrozumieć, że sama rozmowa z panią stanowi dla nas ryzyko. Publicznie nie mamy prawa przyznać się nawet, że współczujemy pani z powodu tragedii, jaka spotkała Alderaan, prywatnie jednak...

A zatem owo urządzenie nie jest wzmacniaczem głosu.

- Co pan tam ma, senatorze? Belden przykrył kieszeń dłonią.

- Relikt z czasów przedimperialnych. Walki w obrębie zarządu korporacji podkopały naszą pozycję, ale zostawiły po sobie nieco przydatnych wynalazków. Ta maszynka to generator pola nieprzenikalnego dla urządzeń podsłuchowych. Obecnie nikt nie odważyłby się konstruować podobnych rzeczy.

Zatem generator był wart mniej więcej tyle kredytów, co „Sokół”.

- Szkoda byłoby to zgubić, panowie. Ciekawa jednak jestem, czemu zagrożenie ze strony Imperium nie skłoniło Bakury do szukania pomocy w obozie Sojuszu?

- Nereus działał z wyczuciem, tak bym to nazwał - mruknął Captison. - Jest ostrożny i wyrafinowany. Z początku nie naciskał zbyt silnie. Ugotował nas jak maślane traszki.

- Słucham?

- Takie stworzenia. Jadalne. Bardzo prymitywne. Zbyt powolne, by reagować skutecznie na słabsze bodźce. Jeśli wrzuci się je do zimnej wody i zacznie podgrzewać, to ugotują się na śmierć, zanim dotrze do nich, że coś jest nie tak i dobrze byłoby wyskoczyć. Nas załatwiono w podobny sposób. Chyba że... - Szturchnął Captisona w ramię.

- Spokojnie, Orn.

Leia zerknęła na rozciągający się po prawej stronie pagórkowaty park.

- Ile czasu potrzeba, żeby pana przekonać, premierze?

- Niewiele - wtrącił się Belden. - Jest bystrzejszy, niż można by sądzić.

- Czy istnieje tu jakaś podziemna organizacja?

- W zasadzie nie.

- Ze stu ludzi? Dziesięć komórek? - nalegała Leia. Belden zachichotał.

- Ciepło.

- Gotowi do działania?

Captison uśmiechnął się i trącił drążek, kierując pojazd w prawo. Musieli chyba krążyć po peryferiach miasta.

- Nie czas na bunt, szanowna pani. Mamy Ssi-ruuków na karku. Żyjemy nadzieją, że Imperium nas obroni i nie zostawi planety na pastwę losu.

- Ależ wręcz przeciwnie. Pora jest stosowniejsza niż kiedykolwiek. Zagrożenie ze strony obcych zjednoczyło mieszkańców planety. Gotowi są uznać przywódcą tego, kto obieca im wolność.

- Prawdę mówiąc - mruknął Belden - to trzy lata okupacji zrobiły swoje. Ludzie dobrze wiedzą, co stracili, poddając się lekkomyślnie. Zrozumieli też, że tylko współdziałanie może odmienić ich los i przywrócić utracony status.

- Ufają panu, premierze? Captison zapatrzył się przed siebie.

- A czy zaufają pani? W jakim właściwie celu pani tu przybyła?

- By przyłączyć Bakurę do Sojuszu, rzecz jasna.

- A co z obroną przed Ssi-ruukami?

- To zadanie Luke'a. Captison uśmiechnął się lekko.

- Rozumiem. Każdy robi swoje. Widzę, że Sojusz zaczyna dorastać.

Zrobili kolejną rundkę ulicami miasta.

- Premierze, jak rozległa jest realna władza senatu i pańska?

Captison potrząsnął głową.

- Gdyby dana panu została wolność wyboru i nie musiał pan przy tym ryzykować życiem mieszkańców planety, po której stronie byłby pan skłonny opowiedzieć się w imieniu Bakury?

- Po stronie Sojuszu - przyznał. - Dość mamy imperialnych podatków i rządzenia nami na odległość. Nie podoba nam się wcale, że Imperium zabiera nasze dzieci, by służyły gdzieś w odległych krańcach galaktyki. Ale boimy się. Belden ma rację. Na skutek utraty niezależności nauczyliśmy się wreszcie, ile znaczy uczciwa współpraca.

- Czy nie warto podjąć walki, by zrzucić jarzmo? Czy nie warto zaryzykować życia dla wolności? Panie premierze, nie podejrzewam, bym mogła dożyć... pięćdziesięciu lat - powiedziała, domyślając się jego wieku - w podobnych warunkach. Zaryzykowałabym, byle tylko nie umierać w niewoli.

Captison westchnął.

- Widać jest pani wyjątkowa.

- Wszyscy ludzie są wyjątkowi. Proszę umożliwić mi rozmowę z szefami pozostałych komórek, senatorze Belden. Dajcie ludziom szansę zdobycia wolności, a oni... - Z czystego przyzwyczajenia, Leia obejrzała się przez ramię. Kilkadziesiąt metrów za nimi jechał wóz patrolowy. - Mamy Imperialnych na ogonie - powiedziała cicho.

Captison zerknął na tablicę i przyspieszył. Leia rozejrzała się w poszukiwaniu komunikatora. Han powinien być już w drodze do portu kosmicznego.

- Śledzą nas. Proszę skierować się na kosmodrom.

- Jeszcze jeden, nadjeżdża z przeciwnika. Blokuję drogę. Z tego pasa nie mogę skręcić na południe.

- Wygląda na eskortę - mruknęła Leia. Nie mając wyboru, Captison skierował pojazd na północ. Patrolowce jadące z boków odsunęły się. - Dokąd oni nas prowadzą?

- Z powrotem do centrum. - Captison zmarszczył czoło. - Chyba do kompleksu.

- Macie broń? - spytała cicho Leia.

Premier sięgnął po marynarkę i pokazał jej zabezpieczony blaster.

- To za mało, mają liczebną przewagę. Belden, czy mógłbyś ukryć generator?

- Chyba tylko pod siedzeniem. Leia zastanowiła się przez chwilę.

- Lepiej będzie owinąć go w mój szal. I upuścić gdzieś, niby przypadkiem. Było tylko nie trafił w ich ręce.

- Nie - odparł stanowczo Belden. - To delikatne i kruche urządzenie. Wszyscy wiedzą, że używam wzmacniacza głosu. Zostawię je w kieszeni.

Perkusja wciąż towarzyszyła im upartym rytmem.

Zamknięty w pustym i pozbawionym okien pokoju z bankami pamięci i końcówkami terminali 3PO bliski był desperacji.

- Za każdym razem, gdy już wydaje mi się, że skatalogowałem wszystkie jednostki, to oni wynajdują następną. Trudno sobie z nimi poradzić.

R2 - D2 pisnął z dezaprobatą.

- Nie kraczę, ty przypadkowy zbiorze chipów wiązanych sznurkiem. W ostatnim nagraniu nie było niczego nowego. Same powtórki. Sześć milionów kodów komunikacyjnych, a ci tutaj wynaleźli jeszcze jeden. Dziwne istoty. Co oni jeszcze wymyślą?

R2 sięgnął manipulatorem do rejestratora dźwięków.

- Ja to zrobię - warknął 3PO. - Nie sięgniesz tak wysoko. 3PO usunął jedną kostkę pamięci i wsunął następną.

- Nawet premier Captison, nie kryjący niechęci do androidów, zgodził się, że tym razem możemy być przydatni. Siedem godzin już tyramy bez najmniejszej przerwy na smarowanie. - Robot zaniósł się gwizdami i chrząkaniem.

- Zamilcz, Artoo.

R2, który zachowywał się stosunkowo cicho, pisnął coś nieco głośniej.

- Mamy tu coś odmiennego.

Nie wszystkie dźwięki tego nagrania były słyszalne dla ludzkiego ucha. Obok ptasiej mowy Ssi-ruuvi pojawiły się serie elektronicznych impulsów. Android porównał je błyskawicznie ze znanymi mu kodami.

- Jest! - krzyknął. - Artoo, puść to raz jeszcze. R2 zaświergotał wyraźnie zły.

- Oczywiście, wiem, że ja sięgnę tam lepiej. To nie moja wina, że jesteś wybrakowany.

Wcisnął klawisz, tak nastawiając sensory, by lewy śledził nagranie, a prawy rejestrował elektroniczny podkład. Centralny procesor porównywał oba sygnały. Na razie wychwycił opóźnienie rzędu dziesiątej części sekundy, powtarzalność wzorów tonalnych. Aparat mowy obcych zdecydowanie różnił się od ludzkiego, przeważały głoski tylnojęzykowo - wargowe.

Nagranie dobiegło końca. 3PO puścił je ponownie, tym razem usiłując wyłowić z kontekstu ciągi logiczne, sporządzając alternatywne dekodery i porównując je z materiałem zebrany w poprzednich latach.

- Wspaniale! - krzyknął. - A teraz, Artoo, musimy zacząć od początku i przesłuchać wszystkie nagrania raz jeszcze. Zawarte w nich informacje mogą przydać się księżniczce Lei.

R2 gwizdnął.

- Właśnie, premierowi Captisonowi także. Trochę cierpliwości. - 3PO poklepał R2 po kopulce. - Wiem, że to nie twoja specjalność, ale pomyśl o tych godzinach, które spędziłem bezczynnie na pokładzie.

R2 zaprzeczył niezbyt uprzejmie.

- To wcale nie jest śmieszne. - 3PO włączył odtwarzacz. - Teraz siedź cicho i słuchaj. Będę ci tłumaczył.

Tym razem nagrania zostały puszczone z wielokrotnym przyspieszeniem. 3PO słuchał pisków, R2 słuchał tłumaczenia 3PO. Większość przekazu pozbawiona była większego znaczenia. Dołączyć do formacji i tym podobne.

Nagle jednak 3PO zwrócił na coś uwagę.

- Och, nie. Artoo, musimy jak najszybciej zawiadomić pana Luke'a. Natychmiast. To straszne...

R2 toczył się już ku minikomputerowi.

Leia wysiadła z pojazdu stojącego na płycie lądowiska w kompleksie. Owionął ją chłodny wiatr. Szybko policzyła otaczających ich żołnierzy. Osiemnastu, wszyscy uzbrojeni. Raczej pluton egzekucyjny niż kompania honorowa. Pożałowała, że nie wzięła ze sobą Chewie'ego, nawet gdyby miało to popsuć nastrój Bakurianom. Belden trącił ją lekko.

- Komandor Skywalker musi otrzymać wiadomość, Wasza Wysokość.

- Uwaga, zaczynamy - mruknęła przez ramię. Sięgnęła po ukryty w rękawie miniblaster. Prawdopodobnie zdąży załatwić trzech czy czterech, ale potem... Rzuciwszy się na ziemię, otworzyła ogień.

Pięć białych postaci padło, nim ktoś uchwycił ją z tyłu i dłoń w rękawiczce odebrała blaster. Walczyła dzielnie i omal się nie uwolniła...

Precyzyjne przewidzenie chwili klęski w bitwie to połowa wygranej - przyszła jej do głowy myśl. Gdzie to słyszała? Chyba na Alderaanie. Wstała powoli, trzymając ręce nad głową. Jeszcze nie została pokonana. Ale ważne, żeby ci tutaj tak myśleli.

Z szybu windy wyszedł gubernator, za nim czterech strażników ze składu floty.

- Premierze Captison - powiedział - senatorze Belden, przejedziemy się trochę?

Wskazał na pojazd. Dwóch szturmowców pakowało się do środka.

Ten, który skonfiskował jej broń, zabrał też coś premierowi. Następny założył mu kajdanki.

- Chyba postradał pan zmysły - warknął Belden.

Był czerwony na twarzy, na jego przegubach błyszcząły kajdanki.

- To nie ma sensu.

- Jeśli niczego złego nie robiliście, to czemu staraliście się zniknąć?

- Każdy ma prawo do prywatności - odezwała się Leia.

- Ale nie wówczas, jeżeli znajduje się pod opieką imperialnych służb bezpieczeństwa, droga księżniczko.

Jeden z wojaków wysiadł z samochodu.

- Nic nie ma, gubernatorze.

- Rozdzielić ich. Ty, ty i ty - wskazał na trzech żołnierzy. - Przeszukać zatrzymanych.

Leia zniosła to ze stoickim spokojem. Zabrano jej z nadgarstka pustą kaburę, kieszonkowy komunikator, po czym założono kajdanki. Beldenowi odebrano małe, szare pudełko.

- Co my tu mamy, senatorze?

Belden podniósł dłonie i pogroził gubernatorowi.

- Mój wzmacniacz to przedmiot osobistego użytku. Proszę mi go oddać.

- Cóż za oszczerstwo wobec tak prawomyślnego obywatela... - Nereus uśmiechnął się. - Od pewnego czasu podejrzewani, że posiadacie państwo pewne nielegalne urządzenia.

Jeśli jednak, jak pan mówi, jest to całkiem niewinny przedmiot, to chyba zgodzi się pan, by moi specjaliści zbadali go dokładnie.

Leia jęknęła. Krople potu wystąpiły na czoło Beldena. Oddychał płytko i wyglądał tak, jakby zaraz miał zemdleć. W tym wieku nie wróżyło to niczego dobrego.

Tego rodzaju incydent mógł spowodować, wybuch buntu na Bakurze. Jak to było z tymi stworzonkami? - Leia usiłowała sobie przypomnieć porównanie użyte przez senatora.

Premier pospieszył, by stanąć obok Beldena i wyprzedził w tym jednego z czarnych żołnierzy.

- Gubernatorze Nereus, przekroczył pan...

- Straż. Nakładam areszt na tę trójkę. Podejrzenie o działalność wywrotową powinno wystarczyć. Umieścić ich w osobnych celach.

Leia podeszła do Nereusa, rozmyślnie ściągając na siebie całą uwagę.

- To była przejażdżka dla przyjemności, gubernatorze. Nereus spojrział na nią z góry.

- Uprowadziłem panią, co grozi za próbę werbowania obywateli Imperium. Zwykłem dotrzymywać obietnic. Gdy pojazd pełen ludzi nie daje żadnego odzewu w czynnikiem audio, wzbudza uzasadnione podejrzenia.

Jeden z żołnierzy dźgnął Beldena lufą blastera w plecy.

- Żadnych rozmów. Przesłuchać więźniów oddzielnie. Lei pozostało udowodnić Captisonowi, że jej deklaracja ofiarności nie była tylko pustym słowem. Opuściła głowę i rzuciła się na gubernatora, trafiając go idealnie w sam środek korpusu.

Z pełnym zdziwieniem westchnieniem Nereus upadł na ziemię, a Leia przysiadła mu błyskawicznie na piersi, przytrzymała głowę kolanami i przycisnęła kajdanki do nosa.

- Cofnąć się. Wszyscy. Albo sprawdzimy wytrzymałość czaszki jego ekscelencji.

Żołnierze wycofali się. Wszyscy, z wyjątkiem jednego, którego Leia nie dostrzegła. Niestety, nie miała oczu z tyłu głowy.

ROZDZIAŁ 14

Pod bramą portu kosmicznego Han zwolnił na tyle, by Luke mógł wyskoczyć, po czym zawrócił, pozostawiając za sobą obłoki kurzu. Pomysł zostawienia Skywalkera samego wcale mu się nie podobał, ale młody Jedi utrzymywał, że da sobie radę. W każdej chwili można się było spodziewać przybycia wahadłowca ze „Szkwału”, ale póki co kantyna musiała wystarczyć za schronienie i ofiarować w razie potrzeby pomoc. Powinien spotkać tam pilotów Sojuszu szykujących się do objęcia służby. Na pewno przewyższali liczebnie załogę imperialnego wahadłowca parkującego w pobliżu, tuż obok dwunastego stanowiska. Poza tym Luke to był Luke, z tym jego mieczem świetlnym i całą resztą.

Kierując się na północ, Han dojrzał kłęby dymu unoszące się gdzieś w pobliżu kompleksu. Kilka sekund później na tle mapy miasta na podsufitce pojawiło się czyjeś oblicze.

- Do wszystkich mieszkańców Bakury, ogłaszam stan alarmu. Właśnie wprowadzono godzinę policyjną. Należy opuścić ulice i przestrzeń powietrzną miasta. Siły bezpieczeństwa będą strzelać bez ostrzeżenia do prowodyrów buntu, pozostałych mają prawo ogłaszać celem identyfikacji. Godzina policyjna wchodzi w życie natychmiast.

Co jest grane? Twarz zniknęła, w jej miejsce pojawiła się inna.

- Przed chwilą dokonano aresztowania premiera Captisona i senatora - seniora Orna Beldena pod zarzutem prowadzenia działalności wywrotowej. Razem z nimi pojmano przywódczynię rebelii, Leię Organę. Oczekuje się pełnego posłuszeństwa wobec władz imperialnych. W każdej chwili może nastąpić atak Ssi-ruuvi. Jakakolwiek kolaboracja z obcymi siłami karana będzie niezwłocznie z całą surowością.

Leia aresztowana? Han zignorował resztę mowy wygłaszanej przez gadającą głowę, wykładającą nowe prawo dotyczące skrócenia godzin pracy i zamknięcia niektórych rewirów miasta. W oczywisty sposób Imperialni usiłowali zapobiec wybuchowi powstania.

Hana jednak to nie zniechęciło. Właśnie ukonstytuował jednoosobowy komitet przywódczy buntu.

- Zapłacisz mi za to, Nereus - mruknął i nacisnął gaz do deski.

Ale jak? Nie miał nawet pojęcia, gdzie przetrzymywano Leię.

W powietrzu czuć było woń spalenizny. Han skierował się do lądowiska na dachu kompleksu. Najbliższą windą zjechał na dół. Przed drzwiami stało wciąż dwóch białych szturmowców. Odprawdzili go spojrzeniem, gdy wchodził. Zapewne mieli rozkazy, by nikogo nie wypuszczać.

Wewnątrz czekał 3PO.

- Generale Solo! - wykrzyknął. - Dzięki wielkiej bogini, że pan przyszedł. Pani senator Captison kazała mi tu czekać, ale wzięła Artoo ze sobą do swojego biura. Jego ogranicznik...

- Nie teraz. Odszukaj Leię.

- Ależ, generale, Ssi-ruukowie przybywają, by porwać pana Luke'a, a potem zaatakują, i to wszystko wydarzy się już za chwilę!

- To już wiemy. Luke'owi nic nie będzie... - Han zamarł w pół kroku. - Co powiedziałeś? Zaatakują?

- W ciągu godziny. Musimy...

- A skąd ty... Nie. Potem. Gdzie Leia?

- Zostawiła nas rano w biurze premiera Captisona, gdzie tłumaczyliśmy...

- Wiem, gdzie was zostawiła. - Han przemierzył niespokojnie pokój, roztrzając meble unoszące się na tarczach antygravitacyjnych. - Została aresztowana razem z Captisonem. Ostrzegłeś Luke'a o ataku?

- Próbowałem, generale...

- Zostawiłem go w kantine przy stanowisku dwunastym. Włam się do centralnego komputera. Dowiedz się, gdzie trzymają Leię. Natychmiast!

- Generale Solo, tylko Artoo jest należycie wyekwipowany; do sondowania baz danych. Ja nie.

Han aż zapłonął z gniewu.

- No to stań przy klawiaturze i posłuż się nią jak człowiek. Po to właśnie zrobiono z ciebie humanoida.

3PO podszedł do komputera. Han spojrzał na niego przez ramię, ale android pracował zbyt szybko, by ludzki wzrok mógł nadążyć za ruchami jego rąk. Pozostało sprawdzić kondensatory blasterów i stan wibronoża. Han zerknął za okno, potem wsunął głowę do sypialni Lei. Ani śladu bałaganu. Widać to nie tutaj ją aresztowano.

- Generale Solo! - zawołał 3PO.

- Co? - Han podbiegł do androida. - Masz ją? A Luke?

- Przekazałem obsłudze kantyny wiadomość dla pana Luke'a, ale byli tak nieuprzejmi, że nie wiem, czy mu ją przekażą. Co zaś się tyczy pani Lei...

- W jakiej okolicy? Gdzie?

- Wydaje się, że została przetransportowana powietrzem do niewielkiego kompleksu zabudowań u podnóża gór. To chyba jakaś prywatna rezydencja.

- Daleko stąd? Pokaż.

3PO wywołał mapę. Han zapamiętał położenie miejsca. Na północ od miasta, około dwudziestu minut szybkiej jazdy.

- Dobrze, teraz zbliżenie.

Android zmienił skalę mapy. Potężne ogrodzenie otaczało spory budynek w kształcie litery T. Obok rozciągał się park. Na dachu widniało dziesięć kominów. Tęsknota za minionymi czasami? Co za bzdury. Musieli tam mieć kominki. Do tego nowoczesny ślizgacz parkujący przy północnym ogrodzeniu.

- Dobra. Założę się, że to domek myśliwski. Czyjaś bezpieczna meta. Możesz sprawdzić jego wewnętrzne zabezpieczenia?

- Chyba już je mam - powiedział 3PO, naciskając kilka kolejnych klawiszy.

- To je wyłącz.

- Jeśli wolno mi zauważyć, generale Solo, wyłączenie zabezpieczeń spowoduje alarm na całym obszarze posiadłości.

- Niech tam. Wyłącz zatem wszystko, co pozwoliłoby im wysledzić mój przylot. I sprawdź jeszcze, ilu mają strażników.

- Dziesięciu. Wygląda na minimalną obsadę. Jeśli wolno mi podzielić się domysłami, to w obliczu kryzysu gubernator Nereus zatrzymał większość ochroniarzy przy swoim boku.

- Wygląda to na następną pułapkę.

Z drugiej jednak strony może Nereus nie pragnął, aż tak dalece zadzierać z Sojuszem. Powiedzmy, że chciał jedynie wyeliminować Captisona i gotów jest uwolnić Leię. I wyeksponować ją niezwłocznie poza planetę.

Jeśli jednak 3PO miał rację, to należało się zacząć bać. Czasem tchórz najlepiej wycuza innego tchórza.

Han wyciągnął blaster i skierował się ku drzwiom.

- Idziemy, złocisty. Musimy tylko przekonać dwóch szturmowców, by nas przepuścili.

- Generale! Proszę poczekać! Trzeba sporządzić plan działania! Zminimalizować ryzyko!

- A to niby w jaki sposób?

- Zamiast strzelaniny przydałby się jakiś fortel.

- Masz pomysł?

3PO oparł metalowe dłonie o metalowe biodra.

- Nie posiadam plastycznej wyobraźni. Pańskie zdolności kreatywne winny...

- Dobra, zamknij się. Daj mi pomyśleć.

Policzył uzbrojenie. Dwa blastery, wibronóż i 3PO.

Właśnie! 3PO. Zakładając, że uda im się pokonać posterunek przy drzwiach, to jedyną bronią, na którą naprawdę mógł liczyć, był dekodery. Omijanie bramek, oszukiwanie identyfikatorów papilarnych, wokalnych i analizujących wzór siatkówki, wszystko to leżało w zakresie możliwości tego urządzenia równie nielegalnego jak ogniste perły z Lowick. Na większości światów nie dawało się go zresztą zmontować, bowiem wszystkie podzespoły miały fabrycznie wbudowane zabezpieczenia przeciwko nielegalnemu wykorzystaniu ich przez androidy.

- Mądrze mówisz - powiedział, podbiegając do najbliższego fotela antigrav i wyrwijąc obwód kontrolny. Pozostało jeszcze wyłuskać chip sterujący. - Masz. Wymaż wszystko, potem nanieś tu imperialny nadrzędny kod dostępności.

- Generale! - zapał sopranem przerażony 3PO. - Jeśli to podrobie, to stopią nas tu wszystkich na rzadką magmę...

- Rób, co mówię - warknął Han. - Nie mają tu androidów, to pewnie nie stosują zabezpieczeń. Powinno pójść jak po maśle.

Przytupując nerwowo, poczekał, aż 3PO odda mu rzeczony chip. Obrócił kostkę w palcach. Gładki, sześciocentymetrowy kawałek plastiku pełen elektronicznych zagadek

powinien otworzyć mu praktycznie wszystkie drzwi, włącznie z wrotami piekieł. Han wsunął drobiazg do kieszeni koszuli.

- Generale Solo, czy nie powinniśmy ostrzec mieszkańców przed rychłym atakiem?

- Powiedziałeś, że to senator Captison cię tu przysłała?

- Tak, ale...

- Też jej to przekazałeś?

- Tak, ale...

- No to ona zrobi już, co trzeba. Zaufaj mi.

Han ustawił blaster na ogłuszanie (tylko przez wzgląd na Leię - usprawiedliwił się w duchu).

- Ruszamy. Pora na następny krok.

Niecałą minutę później drzwi otworzyły się i 3PO wybiegł na korytarz, skrzeczał przy tym niezrozumiale, machał rękami i usiłował pobiec w trzech kierunkach jednocześnie. Han pozwolił strażnikom napawać się przez trzy sekundy tym dziwnym widokiem. Pełni rozterki zastanawiali się, czy użyć blastera, czy wyłącznika. Solo pochylił się i podkraść do drzwi. W polu widzenia miał tylko jednego żołnierza, bez reszty wpatzonego w androida, który zataczał właśnie ciasne kółka i bełkotał coś w obcym języku. Han wycelował starannie, wyszukując cieńsze miejsce w pancerzu, i wystrzelił, wyskakując na korytarz. Drugi strażnik zdążył zareagować, ale ładunek poszedł ponad głową przemytnika. Po chwili cały posterunek był obezwładniony.

- Dobra, Threepio. Pomóż mi, musimy się spieszyć. Han ujął strażnika za nogi i wciągnął go do apartamentu.

Po chwili to samo zrobił z drugim, 3PO zajął się zaś ich uzbrojeniem.

- Szybkiej. - Wykorzystując bogate oporządzenie imperialnych, Han związał ich zgrabnie razem.

- Chyba nie będziemy mieli po co tu wracać - mruknął. Potem, jasno i dokładnie wyrażając się, gdzie ma wszelkie uprzedzenia Bakurian, usunął androidowi ogranicznik.

- I bardzo dobrze. Pora się rozdzielić. Ja zajmę się Leią, a ty dopilnuj, żeby Luke otrzymał wiadomość.

- Ależ, generale... Jak się tam dostanę? Nawet na światach Sojuszu nie wolno androidom samodzielnie pilotować ślizgaczy.

Han zastanowił się. Może powinien podrzucić 3PO do „Sokoła”? Poprosić Chewie'ego, by zostawił statek i przyjechał po niego? Nie ma czasu. To zbyt niebezpieczne. Cóż.

- Dobra, słoneczko ty moje. Pora, żebyś został bohaterem.

Rozwiązał jednego ze strażników i wytrząsnął go z białego, pancernego mundurka.

- Pomóż mi.

3PO przysunął się bliżej.

- Co teraz... Och, nie. Generale, proszę! Proszę nie kazać mi...

- Jak to założysz, to nie będą do ciebie strzelać. Masz dostać się z powrotem na pokład „Sokoła”.

Niedługo potem 3PO stanął w pełnym umundurowaniu szturmowca, tylko jego głos dudnił dziwnie z wnętrza białego hełmu.

- Ależ, generale, gdzie ja znajdę ślizgacz?

- Idź za mną. I nastaw blaster na ogłuszanie. Będziesz musiał do mnie strzelić.

- I jeszcze jedno - załomotał niewyraźnie android. - Czy mogę prosić o pański komunikator? Będę musiał skontaktować się jakoś z panem Luke'em.

Han rzucił mu urządzenie.

- Idziemy - rozkazał w końcu.

Ruszyli korytarzem do najbliższej windy. Han przodem, 3PO w pewnej odległości za nim. Maszerujący niezgrabnie android strzelał raz za razem minimalnymi ładunkami. Tak dotarli do windy.

Na dachu wydarzenia nabrały tempa. Widać było unoszące się w powietrzu kłęby dymu. Bakurianie musieli przejąć się tymi aresztowaniami. Grupka ludzi spieszących do najbliższej windy rozpierzchła się, gdy Han wskoczył do najbliższego ślizgacza, przytknął wytrych do stacyjki i zapalił silnik. W chwilę później w drzwiach windy pojawiła się ostatnia oferta kompanijna oddziałów Imperium. Biała postać strzelała gdzie popadło, wciąż chybiając, niemniej obecni na dachu padli na podłozie.

Han poczekał jeszcze, aż 3PO wsiądzie do następnego ślizgacza, po czym wystartował, kierując się na północ. Raz tylko obejrzał się przez ramię, by sprawdzić, czy android nie rozbije maszyny już przy samym stracie. Potem przyspieszył maksymalnie, koncentrując się tylko na jednym.

Wnętrze kantyny przy stanowisku dwunastym zalatywało dymem i zjełczalym tłuszczem. Tandetne wyposażenie, naznaczona czarnymi plamami podłoga, migające, częściowo popsute oświetlenie. Żadnych automatów ani udogodnień. Po prostu zwykła nora.

Luke spojrzął na powszechnie dostępny komputer stojący na stole pośrodku sali, potem zlustrował pomieszczenie za przepierzeniem. Jakiś muskularny typ z obsługi załóg siedział tam przy terminalu prywatnego komputera. W całym budynku były tylko dwa takie urządzenia oraz aparat na zewnątrz. Ten ostatni dysponował wprawdzie łączem wideo, ale nie miał dostępu do sieci orbitalnej.

Pozostawało użyć tego prywatnego. Publiczny był zbyt widoczny, nie mówiąc już o brudzie wokół niego panującym. Jeśli nawet trzeba będzie poczekać parę minut, to trudno. I tak był zależny od terminu przybycia wahadłowca. Po pierwsze pragnął skontaktować się z Wedge'em i sprawdzić, jaki jest stan posterunków obronnych. No i spytać, czemu wahadłowiec się opóźnia? Jeszcze jeden podstęp Nereusa? Spojrzął w zachodnie okno. „Sokół” stał zaledwie ćwierć kilometra dalej, ale rusztowania naprawcze i inne statki zasłaniały widok.

Jakieś dziwne krzesło stało na podłodze tuż za Luke'em. Nie był to typowy dla Bakury fotel antigrav, ale antyczny mebel z metalowych rurek z wysyciełanym siedzeniem. Luke rozejrzył się ponownie. Stanowisko w rogu było już wolne.

Usiadł przed ekranem, wystukał swój kod dostępności i zażądał połączenia z Antillesem. O ile to możliwe, głosowo ze wsparciem klawiatury.

Na ekranie pojawiły się czarne litery:

Kapitan Antilles jest nieosiągalny, komandorze. Tu porucznik Riemann. W czym mogę pomóc?

Luke przypomniał sobie to nazwisko. Młody artysta o międzyplanetarnej sławie, który po latach ukrywania się przed Imperium przeszedł wreszcie do kontrataku w szeregach Sojuszu.

- Jaki jest stan sieci obronnej? - spytał Luke. - Czy w ciągu ostatnich kilku godzin zaobserwowano cokolwiek niezwykłego?

Lepiej, żeby R2 nie zwlekał z nadmierną ciekawością. Ciekawe, czy androidy zdołają przetłumaczyć mowę obcych?

Pojawiła się odpowiedź:

Sieć w normie, wszyscy na posterunkach. Nasłuch wykrył wzrost aktywności radiowej na pasmach używanych przez fleciaki, ale ich statki, w tym krążownik, nie zmieniły orbit.

Coś się kroiło, nawet jeśli Ssi-ruukowie jeszcze nie ruszali. Luke spytał o najbliższy wahadłowiec.

W drodze na dół, komandorze. Lądowanie za około 30 minut.

Luke podziękował porucznikowi i wyłączył się.

Co można zrobić przez trzydzieści minut? Tutaj? Gdzieś w oddali pojawił się obraz Bena Kenobiego przekonującego Yodę, że młody człowiek jeszcze nabędzie cierpliwości. Pragnąc dowiedzieć, że Ben jednak miał rację, Skywalker spróbował uspokoić rozedrgane nerwy. Niedługo już będzie na pokładzie „Szkwału”, a gdy tylko Han odnajdzie Leię, dołączą do Chewie’ego w kabinie „Sokoła”. Wstał od stanowiska komputerowego.

Już miał wyjść przez pełną obcych jadalnię, kiedy nagle odezwał się jego osobisty komunikator. Luke wyjął go z kieszeni na piersi i cofnął się w róg pomieszczenia.

- Co jest, Han? - spytał cicho.

- Panie Luke - odezwał się głos 3PO. - Tak się cieszę, że pana złapałem. Pani Leia została aresztowana, generał Solo ruszył jej na ratunek...

Luke schował się za przepierzenie i jeszcze bardziej ściszył głos. Przerwywając co chwilę androidowi, wydobył z niego wreszcie, dokąd poleciał Han.

- Poza tym, komandorze, Ssi-ruukowie zamierzają zaatakować za niecałą godzinę. Musi się pan pospieszyć. Proszę uprzedzić Chewbacę, że jestem w drodze do „Sokoła”, ale przebrany za szturmowca. Niech do mnie nie strzela.

Za niecałą godzinę? I jeszcze wahadłowiec się opóźnia?

- Gdzie jest Artoo?

- Pani senator Captison go wzięła, komandorze. Później po niego wrócimy. Jeśli sądzi pan, że w najbliższych godzinach będę bardziej przydatny na powierzchni niż w przestrzeni, to...

- Jedź do „Sokoła”. Później porozmawiamy.

Luke wcisnął komunikator do kieszeni i podszedł znów do komputera. Czy posłać Chewie'ego ze statkiem na pogórze, by pomógł Hanowi? Nie, czasem Han działa szybciej, niż inni myślą. Mogliby minąć się po drodze.

Z drugiej jednak strony, przemytnik miał talent do ładowania się w sytuacje, których nie dawało się rozwiązać nawet ogniem ciągłym blastera. Luke zagryził wargi. Musiał pomóc Hanowi i Lei, ale trzeba też było zaalarmować „Szkwał”. I dostać się na pokład, zanim obcy zaatakują. To był jego obowiązek jako dowódcy.

Nagle wyprostował się w niewygodnym fotelu. Dowództwo? Chwilę!

Ponownie połączył się z porucznikiem Riemannem.

Jak na miasto, w którym ogłoszono godzinę policyjną, Salis D'aar wyglądało całkiem normalnie. Niewielkie grupy ludzi przemykały pod ścianami budynków, omijając patrole szturmowców. Jakiś wóz policyjny namierzył Hana i przemytnik musiał zanurkować pomiędzy dwa wysokie budynki. Prześladowca podążył za nim, ale strzelał niecelnie. Han przyhamował, skręcił w wąską alejkę, potem zgrabnym manewrem Immelmana wrócił na poprzedni szlak, górą wymijając patrolowiec. Nie dostrzegł, by tamten zawrócił.

Chwilę później wydostał się z miasta i zszedł nisko nad lustro zachodniej rzeki. Ryzykując zderzenie z latającymi rybami (o ile były tu takie), miał nadzieję, że umknie wszelkiej pogoni. Brzegi uciekały po obu stronach. Począł, aż pagórki okazały się na tyle duże, by można się było między nimi schronić i skręcił, wybierając trasę ponad niewielkim dopływem rzeki.

Gdy znalazł wreszcie właściwą dolinkę, szybko dojrzał swój cel. Był to budynek z brewion w antycznym stylu, z ciemnozielonym dachem, pokrytym kamiennymi łupkami i otoczony murem. Planując na całe dwie minuty naprzód (3PO byłby z niego dumny), odpiął pasy i podkurczył stopy, gotując się do wyskoczenia z pojazdu. Na razie nikt do niego nie strzelał. Przyhamował tuż nad wierzchołkami drzew. Stosownie wolno przeleciał nad murem i skoczył, lądując w kępie krzewów. Chwilę później ślizgacz eksplodował i pod postacią kuli ognia wyrznął w mur po przeciwległej stronie. Wykorzystując fakt, że czterech wartowników pobiegło do wraku, Han wśliznął się do środka przez okazałe wejście pozostawione chwilowo bez straży.

W przestronnej sieni tylko jedne drzwi były zamknięte. Obok stał smukły android strażniczy. Oczywiście, tutaj, w głuszy, Imperialni nie zważali na miejscowe przesady dotyczące androidów. Han wycelował w korpus maszyny i wystrzelił jeden ładunek. Błękitne ogniki spowiły androida, który strzelał iskrami z antenek. Han podszedł bliżej. Strażnik próbował zareagować, ale skończyło się na tym, że wypuścił kłęby dymu.

Ograniczone środki bezpieczeństwa - pomyślał Han, przykładając wytrych do kontrolki drzwi. - Chyba zbyt łatwo mi idzie. Jeśli to kolejna pułapka...

To i tak dadzą sobie radę. 3PO powinien być już z powrotem na pokładzie „Sokoła”. Szkoda, że oddał androidowi komunikator. No, ale nawet słaby sygnał ściągnąłby tu wszystkich szturmowców...

- Leia? - zawołał cicho w mrok pokoju. - To ja. Zabłysło światło.

- Cześć - usłyszał nad sobą.

Leia stała na fotelu antigrav, wiszącym dokładnie nad drzwiami.

- Miło cię widzieć. Omal cię nie spłaszczyłam. Sprowadziła fotel na podłogę tuż obok masywnego, tradycyjnego łóżka. Han nigdy przedtem nie widział latającego fotela. Widocznie Leia musiała poprzelączać jakieś druciki.

- Nic ci nie zrobili? - Zamknął drzwi, zabierając z sieni spalonego androida.

Może nie zauważa, że został zniszczony.

- Zupełnie nic. Domyślam się, że Nereus zamierza uczynić ze mnie prezent dla nowego Imperatora. Był wręcz nachalny z oferowaniem tej gościny. Podali mi smaczny posiłek. Mam nawet kominek. - Zamaszystym ruchem zaprezentowała całą sypialnię w rustykalnym stylu. Ściany były z gółych belek.

- Zatem jesteś tu tylko gościem, ale zbyt cennym, by dać mu odejść?

- Ale już niedługo. Zbierajmy się. - Wsparła pięści na biodrach. - Aha, wiedziałeś jak tu wejść, ale o drodze powrotnej, jak cię znam, nie pomyślałeś.

- Jeszcze nie. Wzniosła oczy do nieba.

- Tylko nie to.

- Słuchaj, kochanie - powiedział z namysłem, siadając na brzegu łóżka. - Czy da się tamtędy wyjść na dach? - wskazała na kominek.

- Jasne, że nie. Za wąski przewód.

Omali się nie spóźnił. Drzwi szczęknęły. Han złapał jakieś żelastwo sterczące z przewodu kominowego i wciągnął się, jak mógł najwyżej, podkurczając nogi.

- Czy nic podejrzanego nie pojawiło się w oknie? - spytał glucho strażnik z głębi hełmu. Han zaklinował się między szorstkimi ścianami. Nie była to najwygodniejsza pozycja, ale nie miał odwagi się poruszyć, by nie stracić płatu sadzy. Pył i woń dymu drażniły mu gardło. Pomyślał o uszkodzonym androidzie strażniczym stojącym zaraz za drzwiami i aż spocił się z wrażeń.

- Nie sprawdzałam - odparła Leia tonem zdradzającym kompletny brak zainteresowania dla sprawy.

- To dobrze. Nie wtrącać się.

Han usłyszał powolne kroki dwóch osób. Wyobraził sobie, że penetrują wnętrze, w poszukiwaniu wszystkiego, co się rusza. Czy kamienie chronią go przed czujnikami? Nie zdołałby osiągnąć blastera. W każdej chwili strażnik mógł zauważyć androida, a wtedy...

- W porządku, zrobiliście już swoje, przegląd zakończony. Teraz wynocha - powiedziała Leia lodowatym głosem.

Szturmowcy zniknęli. Przejęli się jej serdecznością? Po kilku sekundach księżniczka przycupnęła przy kominku.

- Poszli już.

- Odsuń się - powiedział Han i ostrożnie stanął w palenisku. Przez chwilę spoglądała na niego z przerażeniem. Chmura sadzy spowiła go od stóp do głów.

- Oto nadszedł mój wybawca - usłyszał dobiegający zza czarnej zasłony głos Lei.

- Nie wrócą? - spytał, wychodząc spod komina i przecierając oczy, by cokolwiek widzieć.

Ale tu bałagan. Android strażniczy dalej stał przy drzwiach, udrapowany malowniczo w sztuki różnej odzieży. Przypominał wieszak. Leia też potrafiła szybko działać.

- Pewnie wrócą - odparła dziewczyna. - Nie jest to najlepsza kryjówka.

Zniknęła w niedużych drzwiach i pojawiła się po chwili z olbrzymim, białym ręcznikiem.

- Nie ruszaj się, Han. Spróbuję coś z tobą zrobić. Minutę później rzuciła czarny ręcznik na podłogę.

- Teraz wyglądasz możliwie. Han spojrzał na fotel antigrav.

- Hejże! Mam pomysł.

ROZDZIAŁ 15

Gaeriela stanęła przed drzwiami Eppie Belden i poprawiła świeżo przyciętą wiązkę sadzonek krzewu malinowego. Każda gałązka zdolna była zrodzić soczysty owoc, ale pozostawienie ich wszystkich na krzewie powodowało, że owoce rosły drobne i kwaśne. Zastanowiła się nad tym - trzeba usunąć niektóre pędy, aby pozostałe rozwinęły się bujniej. Mała to pociecha, ale zawsze coś. Czy Eppie zrozumie, że mężczyzna, który od ponad wieku był jej mężem nie żyje i to za sprawą troskliwej opieki samego gubernatora? Czy też i tym razem starsza pani ucieknie w iluzje, jak stało się to w przypadku śmierci Rovidena?

Drzwi otworzyła pielęgniarka Eppie.

- Dzień dobry, Clis.

- Cześć, Gaeri. - Clis odsunęła się, wpuszczając gościa. Spoglądała jednak jakoś dziwnie. - Wejdz. Szybko.

- Coś nie tak? - Gaeriela skierowała się do pokoju, w którym stał ulubiony fotel Eppie. Starszej pani nie było. - Gdzie...

- W gabinecie.

- W gabinecie?

- Sama zobacz.

Gaeriela przeszła przez jadalnię do osobistego gabinetu Orna Beldena. Na tle ekranu dojrzała niewysoką, przygarbioną postać.

- Eppie!

Postać obróciła się. Pomarszczona twarz starszej pani była pełna życia.

- A kogo niby spodziewałaś się zastać? - spytała, spoglądając na Gaeri i po ptasiemu przekrzywając głowę.

- Od rana jest taka - mruknęła Clis. - Wchodź. Pytała już o ciebie.

- I o tego młodego człowieka. - Eppie odsunęła fotel od ekranu. - Kto to jest? Skąd przybył?

Gaeri aż usiadła ze zdumienia.

- To... rebeliant - wykrztusiła po chwili. - Niebezpieczny... Jedi. Jeden z nich.

- Ho, ho. - Eppie poruszyła się na krześle. - Nasi dawni nauczyciele przekazali nam sporo mądrości, ale też kilka wierutnych bzdur. - Uniosła kościsty palec. - Powinnaś oceniać tego Jedi po czynach, a nie na podstawie plotek czy umoralniających gadek. - Odwróciła głowę. - Clis, zajmij się roślinkami Gaeri.

Korpulentna pielęgniarka wyszła, a starsza pani zamknęła za nią drzwi.

- Eppie... ty jesteś zdrowa!

- Przyszedł, by mi powiedzieć, co spotkało Orna, prawda? - spytała starsza pani z wyczuwalnym smutkiem w głosie. Wyraźnie jednak postanowiła odsunąć żalobę na później, teraz zajmowała się pracą. - Dziękuję, kochana, ale już o tym słyszałam. Nikt

nie wpadł wprawdzie na pomysł, żeby mnie powiadomić, lecz sama włączyłam się rano do sieci.

- Ale...

- Od lat nie oglądałam dzienników, więc pomyślałaś, że wciąż nie zwracam na nie uwagi? Jak widzisz nasze przypuszczenia nie zawsze są słuszne.

- Ale on... Om...

Eppie przygarbiła się jeszcze bardziej. Teraz widać było po niej lata.

- Będzie mi go brakowało, Gaeri. Bakurze będzie go brakowało. Niech Imperialni mówią sobie, że to był wylew krwi do mózgu, ale ja wiem, że zginął za Bakurę. Tak jak ja niegdyś powinienam.

- Powinnaś?

- Spowiedź to lekarstwo dla duszy, moje dziecko, aleja nie jestem jeszcze gotowa, by wyznać wszystko do końca. Ta opowieść niecałkiem nadaje się dla imperialnych uszu.

Obróciła fotel i stuknęła w klawiaturę. Na ekranie pojawiło się najświeższe wydanie wiadomości.

- Pożary i strajki, walki uliczne w Salis D'aar. Gdybym tak znów mogła mieć osiemdziesiąt lat.

- Eppie, co ty zrobiłaś?

- Jedynie to, co pokazał mi ten młody człowiek... dobrze, przepraszam, ten śmiertelnie niebezpieczny młody Jedi. Dobra z ciebie dziewczyna, Gaeri, ale twoja ignorancja kiedyś cię zgubi.

Gaeri aż otworzyła usta ze zdziwienia.

- Naprawdę zrobiono ci kiedyś coś...

- Nie będę męczyć cię opowieściami o przeszłości. Lepiej zajmijmy się przyszłością.

- Ale mnie może czekać to samo co ciebie.

- Mam nadzieję... - Eppie spojrzała na nią bystrymi, błękitnymi oczami - mam nadzieję, że nie.

- Ubrałaś się tak, jakbyś zamierzała wyjść - zmieniła temat Gaeriela. - Nie lepiej się położyć i odpocząć troszeczkę?

Eppie potrząsnęła energicznie głową.

- Straciłam już całe lata. Nie będę odpoczywać ani minuty dłużej. Bakura powstaje. Chcę wziąć w tym udział.

Gaeri ledwo uspokoiła roztrzęsione ręce. - Powstaje?

- Przeciwno Nereusowi, rzecz jasna.

- Ale my potrzebujemy gubernatora Nereusa i jego oddziałów. W każdej chwili może nastąpić inwazja. Sojusz opowiada nam o wolności, ale przecież Bakura... bliska była totalnego chaosu. Imperium uchroniło nas przed tragedią.

- To ostatnie zawsze będzie nam grozić, Gaeri. Ale istnieje jeszcze coś takiego jak możliwość wolnego wyboru i szczególnie jeśli dotyczy to własnej śmierci. A do tego potrzebna jest wolność.

Gaeri skrzyżowała nogi w kostkach. Wciąż była w szoku. Jakim cudem niedołężna, jeszcze parę godzin temu niezdolna do samodzielnego życia starszka zdołała zmienić się w energiczną i skłoną do filozofowania starszą panią?

- Nawet po klęsce - mruknęła Eppie - można się pozbierać. Życ pełnią życia, szczęśliwie. Szkoda, że nie zrozumieliśmy tego z Ornem... Tak czy inaczej - powiedziała, prostując się - mamy jeszcze coś do zrobienia. Jesteś ze mną czy przeciwko mnie?

- Co... co ty robisz przy tym komputerze, Eppie?

- Chcesz mnie powstrzymać? Popatrz tylko na to! Sięgnęła do klawiatury. Na ekranie pojawił się obraz pożaru w pobliżu Kompleksu Bakur. Potem widok szturmowców ścigających uzbrojonych cywili. Zamęt w zakładach antigrav.

- Salis D'aar w ogniu. Orn nie żyje, twój wuj aresztowany. Rebeliancka księżniczka internowana. Zamierzasz tak to zostawić?

- Jeśli ludzie zaczną teraz walczyć ze sobą, tylko ułatwią zadanie Ssi-ruukom!

- Dlatego właśnie nie wolno nam popełnić błędu. Ci ludzie na ulicach nie wskórają wiele. Ty, ja, i jeszcze kilku znających system władzy poprowadzimy prawdziwe powstanie. Zanim obcy zaatakują, zdążymy niejedno osiągnąć.

- Atak nastąpi za niecałą godzinę. Ostrzegłam już gubernatora. Nie ma czasu.

- Czy nikt ci nigdy nie mówił, że zawsze byłam dobra w komputerowej partyzantce?

Gaeri zamarła. Jak w ogóle mogła choć przez chwilę rozważać możliwość kolaboracji z Eppie i rebeliantami? Sojusz to z gruntu niepraktyczna sprawa. Naiwny idealizm.

Jej własna tragedia. Gdyby los szykował jej rychły koniec, jaki sposób odejścia by wybrała?

Widowiskowy. Kurczowo chwyciła się tej myśli. Nie może Wilekowi Nereusowi wydać Eppie Belden. I oto masz odpowiedź - pomyślała. Nigdy nikomu nie przyznała się, jak bardzo kocha Eppie.

Nie ma się nad czym zastanawiać. Bakura jest jej droższa niż Imperium.

- Jestem z tobą - powiedziała cicho. Eppie ścisnęła jej dłoń.

- Wiedziałam, że masz więcej rozsądku, niż można by sądzić. Wiem, że to nietatwa decyzja, dziewczyno, i że będzie cię ona wiele kosztować... ale gratuluję. A teraz zobaczmy, co jeszcze da się zrobić w zakładach antygravitacyjnych...

- To ty narobiłaś tam zamieszania?

Uśmiech wygładził część zmarszczek na twarzy Eppie, inne się pogłębiły.

- Te zakłady stanowią o wartości Bakury dla Imperium. Gdy dowiedzą się, że produkcja spada, wyślą tam szturmowców z Salis D'aar, by zaprowadzili porządek. W ten sposób zostawią Kompleks Bakur dla mnie. I jeszcze paru przyjaciół.

Gaeri poczuła, że sprawa poruszają coraz bardziej.

- O wiele lepiej będę mogła wam pomóc, działając z mojego biura. Zostawiłam tam androida rebeliantów.

- Poczekaj. - Eppie przeszukała szufladę i wyciągnęła niewielką, metalowo - plastikową płytkę. - Znasz częstotliwość zastrzeżonego kanału łączności szturmowców? Gaeri przytaknęła.

- Orn chciał ci dać to już dawno temu, ale nie wiedział, czy może ci zaufać. Zrób użytek z tego drobiazgu. Pozwoli pomieszać im nieco szyki, nim cię namierzą.

Gaeri ścisnęła płytkę w dłoni.

- Pospiesz się! - Eppie klepnęła ją w ramię.

Gaeri pobiegła do kompleksu. Udało jej się wywinąć patrolom, chociaż musiała przemykać się pomiędzy walczącymi stronami. Android rebeliantów, R2 - D2, stał tam, gdzie go zostawiła, przy biurku. Obracał kopułką i popiskiwał coś natarczywie.

- Chyba chcesz mi coś powiedzieć, ale ja cię nie rozumiem. Aari?

- Tutaj jestem - oznajmiła asystentka.

- Wyciśnij, ile się da, z sieci informacyjnej Nereusa. Mniejsza o bezpieczeństwo.

Wszystko, co tylko da się wyrwać.

- Zajmę się tym.

Ku zdumieniu Gaerielii android podtoczył się do komputera i sam włączył się do sieci. Widocznie doskonale wszystko rozumiał i obdarzony był dużą swobodą decyzyjną.

- Jest, pani senator. - Aari wskazała na ekran. - Nereus rozkazał oddziałom w mieście pacyfikację trzech demonstracji, zaś najlepszych ludzi wysłał do zakładów w dystrykcie Beldena. Oficerowie wywiadu pierwsi otworzyli ogień, teraz przesłuchują ocalałych.

Gaeri zacisnęła pięści. Musi spróbować uwolnić wujka Yeorga i tę księżniczkę. Chociaż nie. Captison był zawsze przeciwko zbrojnym wystąpieniom. Wręczyła Aari płytkę otrzymaną od Eppie.

- Zainstaluj ją, da nam dostęp do kanału szturmowców. Aari uniosła ciemne brwi. R2 - D2 aż pisnął i zakolysał swą beczułkową osobą. Nawet dla Gaeri był to oczywisty sygnał ekscytacji.

Ręce się jej trzęsły. Miała tylko kilka minut, nim odkryją jej obecność na linii i zmienią kod, ale gotowa była zrobić swoje z szacunku dla starszego pana.

- Już jest - powiedziała po chwili Aari z drugiego stanowiska.

Wykorzystując swój bank danych, Gaeri zmieniła w imperialnych zapisach współrzędne fabryki, wprowadzając na ich miejsce dane dotyczące położenia odległej o piętnaście kilometrów plantacji namany. Drobiazg, ale pomiesza szyki wszystkim nowym oddziałom kierowanym do zakładów. Co więcej, zgubią się, dając ludziom Beldena dość czasu, aby... Gaeri nie wiedziała, co właściwie zamierzała Eppie, i wcale nie pragnęła tego wiedzieć.

Wywołała na otwartej linii nadzorcę zakładów i uprzedziła, że wrogie oddziały są w drodze i że ruch oporu ujawnił swą obecność. Może nie zrobiła wiele, ale zawsze coś. O parę minut opóźniła reakcję Imperialnych.

- Dobrze, Aari. Wyciągnij chip.

Aari pochyliła się i wysunęła płytkę z pomocniczej kieszeni komputera.

- Najlepiej będzie to spalić.

- Owszem.

Teraz, gdy już mogła zająć się uwolnieniem wujka Yeorga, zdała sobie sprawę z faktu, że zna tylko jedną osobę, która może jej pomóc. Oczyściła ekran i pochyliła się do androida. Dziwnie się czuła, przemawiając do maszyny.

- Artoo-Detoo, czy możesz pomóc mi odszukać komandora Skywalkera?

Chewbacca krążył wolnym krokiem wokół „Sokoła” i rozglądał się czujnie. Statek gotów był do startu, wszystkie systemy włączone. Z daleka wyglądał nawet dobrze, ale przetarta wielokrotnie w atmosferze wielu planet biała powłoka była chropawa i połatana. Ktoś nie wtajemniczony mógłby powątpiewać, czy frachtowiec uniesie się jeszcze kiedykolwiek choćby o pół metra. Chewie omiótł spojrzeniem zaparkowane w okolicy jednostki i ślizgacze. Ani śladu Luke'a.

W końcu rozległ się jęk nadciągającego ślizgacza z otwartą kabiną. Chewie obiegł kadłub, by w razie potrzeby móc prowadzić ogień z ukrycia. Chwilę później ślizgacz wylądował obok statku. Biały szturmowiec zaczął niezgrabnie gramolić się na ziemię.

Chyba szykowały się kłopoty. Imperialny nie zachowywał się agresywnie, człapał w kierunku statku, dziwnie rozkładając ramiona. Albo nie mógł się odezwać, albo miał powody by tego nie robić.

Chewie przesunął się do rampy wejściowej. Nie zamierzał pozwolić, by jakikolwiek imperialny żołdak dotykał jego statku. Przetawiał blaster na ogłuszanie i wystrzelił.

Tamten zachwiał się, ale szedł dalej. Chewie znów przycisnął spust. Tym razem szturmowiec upadł. Wookie rozważył, czy nie zostawić go tak, ale pomyślał, że biały pancerz może się jeszcze przydać. Wciągnął zdumiewająco ciężkie ciało po rampie na pokład. Główny wąż zamknął się za nim z sykiem. Chewie przykleknął, złapał hełm i zdarł go szturmowcowi z twarzy.

Zamiast ciała ujrzał złociste oblicze. - ... uke! Panie... uke! Panie... - rozległo się w kabinie.

3PO!

Teraz trzeba będzie raz jeszcze powtórzyć przedstartową kontrolę systemów. Zniechęcony Wookie zaczął zdierać z androida resztę pancerza.

Luke spojrzął raz jeszcze na popękany zegar w kantine. Jeśli wahadłowiec nie przybędzie w ciągu pięciu minut, Skywalker dołączy do Chewie'ego na pokładzie „Sokoła”.

Spojrzał na serwowaną tu porcję niedogotowanego i tłustego mięsa niewiadomego pochodzenia.

- Chyba zamówię, cokolwiek by to nie było - powiedział. Chewie też pewnie jest głodny. - Dobra, niech będą trzy porcje.

Większość pomarańczowych stołów była wolna, ale około południa kantyna zazwyczaj świeciła pustkami. Nieliczne grupki Bakurian siedziały osobno, mruczac coś półgłosem i rozglądając się.

- Aresztowany... - dobiegło od któregoś stolika.

- Nie żyje... - od innego.

Nazwiska Beldena i Captisona powtarzały się we wszystkich rozmowach. Niektórzy wspominali też coś o Jedi.

Im szybciej stąd odleci, tym lepiej.

Nagle usłyszał za ścianą kroki. Zaniepokojony, sięgnął polem Mocy poza kantinę. Wyczuł Gaerieli, zanim jeszcze stanęła w progu. Spieszyła się, za nią jechał R2. Jego R2. Luke przypomniał sobie wiadomość przekazaną przez 3PO. R2 pisał na powitanie, a aura Gaeri zajaśniała... radością? Szeleszcząc spódnicą po brudnej podłodze, dziewczyna podeszła do Luke'a, który niezwłocznie wstał od stołu.

- Co się dzieje? Jak mnie znalazłaś?

- Twój android ustalił, skąd ostatnio się łączyłeś. Nic nie słyszałeś? Zbliża się atak. Wujek Yeorg został aresztowany. - Spojrzała nagle szeroko otwartymi oczami. - I twoja księżniczka.

- Tak, to już słyszałem. Czekam tylko na wahadłowiec... R2 wtrącił coś nagle, kołyszając się na boki.

- Poczekaj, Artoo. Nic z tego nie rozumiem. Zamknąwszy się chwilowo na pole Gaerieli, Luke próbował odszukać siostrę. Ojczy, ojczy...

- Mamy godzinę policyjną - ciągnęła Gaeri. - I jeszcze... Obok przeszedł nadstawiający beczelnie ucha kelner. Gaeriela zaszyła głos.

- Orn Belden stracił przytomność podczas aresztowania i zmarł półtorej godziny później. W mieście wrze...

- Biedny staruszek - mruknął Luke.

W końcu trafił na Leię. Była bardzo zajęta i nie mniej podekscytowana. Bez wątpienia Han już ją odnalazł.

R2 przysunął się bliżej, wysunął manipulator i pociągnął Luka za lewą nogawkę. Wciąż popiskiwał.

- Artoo!

Gaeri obejrzała się na boki.

- Nadeszła twoja chwila, Luke - wyszeptwała. - Bakura jest z tobą.

Spojrzał na nią, czując, że oto otwiera się przed nim zupełnie nowa szansa.

- Dlaczego ich aresztowano?

- Gubernator znalazł przy Beldenie generator DB. Za takie rzeczy grozi tu kara śmierci. Miasto oszalało. Musisz uwolnić księżniczkę Leię i wujka Yeorga. - Rozejrzała się raz jeszcze, jakby dopiero teraz zauważyła ludzi obecnych w kantine. - Ale co ty tu robisz sam? Czy cię nie ostrzegałam?

- Owszem. Nie chcę nikogo narażać. Sam potrafię o siebie zadbać, ale ty nie powinnaś zostać tu dłużej niż kilka minut. - Zerknął, czy białe hełmy nie pokazują się w oknie. - Niech Artoo odszuka twojego wujka. Potrafisz włamać się do sieci rządowej z publicznego komputera?

- Chyba tak.

Luke porwał ze stołu nóż. Kilka sekund później udało mu się oderwać ogranicznik od korpusu R2.

Gaeriela była wręcz zgorszona.

- Artoo, dołącz Gaerielę do zestawu osób uprawnionych - polecił, by nieco udobruchać dziewczynę. - I jeszcze jej przyjaciółkę, Eppie Belden - dodał pod wpływem impulsu. - Dobrze? - R2 pisnął z aprobatą. - Teraz będzie de słuchał. Zobaczymy, czy uda się odnaleźć premiera Captisona.

R2 potoczył się do stojącego w rogu komputera.

- Trudno porozumieć się z nim bez tłumacza? Luke poszedł za androidem.

- Trochę go rozumiem - odpowiedział. - W zasadzie to android przeznaczony do astronawigacji i drobnych remontów na pokładzie. Taki pomocnik pilota. Jednak byłabyś zdumiona widząc, jak czasem potrafi sobie poradzić poza pokładem.

Luke zerknął na drzwi kuchni, gdzie przyrządzano dla niego trzy porcje mięsa. Strasznie się z tym grzebał.

- Han polecał już po Leię - dodał.

- Luke... - Gaeri wczepiła się w jego łokieć. Miłe wrażenie, sporo ciepła i trochę strachu było w tym dotknięciu. - Gdy to wszystko już się skończy... Musimy porozmawiać. Nie teraz. Musimy jednak...

Luke uwolnił się. Nagle wyczuł dobiegający z pomieszczeń kuchennych sygnał agresji. Niemał natychmiast mgliste wrażenie nabrało precyzji, wskazując na obecność trzech obcych osobników i jednego... człowieka upodobnionego do obcych. Ujął miecz prawą dłonią. Usiłował przypomnieć sobie, co mówił tak niedawno o narażaniu innych na niebezpieczeństwo.

Czy nie marzył, by nadarzyła się okazja do ratowania Gaerieli? Lewą ręką podał dziewczynie blaster.

- Umiesz strzelać? - szepnął. - W budynku są Ssi-ruukowie. Przepraszam, ale chwilowo nie mogę pomóc twojemu wujkowi. Weź to - ponaglił dziewczynę. Niezgrabnie chwyciła broń. - Każ Artoo skontaktować się ze „Szkwałem” i przekazaj im, co tu się dzieje. Potem odszukajcie Captisona. Uciekaj stąd. Natychmiast.

Strach opuścił Gaerielę.

- Nie będę kryła się za plecami Jedi. Chcę pomóc rebelii, wykorzystując własne umiejętności.

Luke uspokoił się na chwilę, obejmując ją polem Mocy.

- Nie mam zamiaru sprawiać nikomu kłopotów... Nagle boczne i frontowe drzwi wyleciały razem z framugą.

Najpierw pokazały się w nich lufy ciężkich blasterów, potem postacie w białych pancerzach.

Tym razem nie należy liczyć na ich przyjaźń - pomyślał Luke. Chwycił Gaerielę za ramię i schował za siebie. Miejscowi goście zanurkowali pod stoły.

Przez kuchenne drzwi wtargnęło trzech Ssi-ruuków. Były to wielkie, pokryte gładką łuską istoty z muskularnymi ogonami, które służyły im do utrzymywania równowagi. Dwóch brunatnych, trzeci intensywnie niebieski. Łby mieli nieco ptasie, a to za sprawą wielkich, zębatych dziobów i ogromnych, całkiem czarnych oczu. Wszyscy dźwigali na ramionach torby. Byli o wiele wyżsi od kulącego się za nimi personelu kuchennego. R2 zastyl w kącie obok komputera.

Luke odsunął się od ogarniętej obrzydzeniem Gaerieli. Ostrożnie wysondował obcych. Ich emocje emanowały czarnymi aurami. Jaszczury były całkowicie zaprzędane ciemnej stronie. W porównaniu z nimi dziki rancor trzymany przez Jabbę był niegroźnym zwierzątkiem domowym.

- Czego chcecie? - spytał Luke, trzymając miecz w pogotowiu i odpierając napływające w jego kierunku fale agresji. Szukali jego słabego miejsca.

Zza obcych wysunął się człowiek w pasiastej szacie.

- Szczęściarz z ciebie! - powitał Luke'a z uśmiechem. - To ty jesteś Jedi Skywalker. Będę tłumaczył twoje słowa.

Luke poznał Deva Sibwarę. Wpatrzony głęboko w Moc, uspokajał swe myśli. Sam był spokojem. Tak, jak uczył go Yoda.

- Spokojnie. Bez nerwów.

Młody człowiek zagwiżdżał do obcych, potem złożył smukłe, ciemne ręce na piersi. Lewa dłoń lekko drżała.

- Gubernator Nereus podstawił nam prom, potem kazał posterunkom przepuścić go na powierzchnię planety. Przybyliśmy w ważnej sprawie... która dotyczy ciebie. Będziesz gościem admirała Ivpikkisa. Stanie się to dla ciebie początkiem nowego życia, o którym dotąd mogłeś tylko śnić. Oddaj broń moim towarzyszom i spokojnie chodź z nami.

Na żywo Dev Sibwarra wyglądał młodziej, miał może z piętnaście lat. Luke sięgnął ku niemu w polu Mocy...

I poznał go. To Dev wysłał ostrzeżenie. Luke poczuł siłę chłopaka i zaraz się wycofał. Dzieciak został poddany praniu mózgu i hipnozie, odmieniony na tyle głęboko, że nie mógł w tej chwili nawet myśleć samodzielnie. Luke nie mógł jednak go nienawidzić. Trzeba będzie spróbować go ocalić, nie zabijając nawet w samoobronie. Był dość młody, by zacząć jeszcze wszystko od początku. O ile, oczywiście, Luke wygra i będzie mógł zająć się jego uzdrowieniem.

- Dziękuję za zaproszenie, ale wolę zostać tutaj. Poproś twych panów, by usiedli. Porozmawiamy.

- Oni nie zwykli siadać, przyjacielu. Goszczenie ciebie będzie dla nas zaszczytem. Ale musimy się pośpieszyć.

Gaeri pobladała, gdy błękitny Ssi-ruu zrobił krok do przodu i sięgnął pazurem do jej ramienia. Coś czarnego wypelzło mu z nozdrzy. Dziewczyna zadrżała i uniosła blaster Luke'a.

- Cofnąć się - rozkazał Skywalker.

Obcy spojrział na niego i wysunął ponownie języczki zapachowe.

- Odejdź od niej. - Luke spróbował maksymalnie nasycić słowa Mocą.

Oko jaszczura zdawało się być bezdenne w swej czerni. Przykuwało uwagę, pozbawiało wolnej woli. Bez wątplenia ten albo podobny mu egzemplarz zahipnotyzował Deva.

Chłopak gwizdnął na błękitnego. Brzmiało to zdumiewająco podobnie do pisków R2. Łapa odsunęła się od ramienia Gaeri, a obcy wydał serię śpiewnych dźwięków przypominających głos fletu, dysponował jednak bogatszą skalą niż Dev.

- On mówi, że towarzystwo kobiety niewątpliwie bardzo by ci się przydało - przetłumaczył Dev. - Czuję, że darzysz ją uczuciem. Poproś ją, by zechciała z nami współpracować. Musimy się spieszyć.

Artoo zakotyła się, wyrażając na swój sposób wściekłość. Elektroniczną, ale zawsze. Luke nie miał pojęcia, co android powiedział obcym. Dwóch szturmowców zablokowało R2 dostęp do drzwi.

- Co macie do zarzucenia tej kobiecie? - zawołał Luke do żołnierzy. - To o mnie im chodzi. Dajcie jej odejść.

- Fleciaki chcą ją zabrać - odpowiedział chrapliwie szturmowiec. - Tym razem dostaną wszystko, czego zapragną.

- Niekoniecznie. - Luke uaktywnił miecz i złapał go w obie dłonie.

Dev cofnął się.

- Ogłuszcacie go! - krzyknął do żołnierzy.

Cztery ciężkie blastery mierzyły już w Luke'a. Skulił się i obrócił bokiem, by stanowić mniejszy cel.

- Padnij! - polecił Gaeriel, która przyłgnęła twarzą do podłogi. Wyglądało na to, że straciła serce do walki i chyba sama o tym wiedziała. To nie był jej żywioł.

Ustawieni w łuk o promieniu dziewięćdziesięciu stopni szturmowcy otworzyli ogień. Luke zagłębił się jeszcze bardziej w Moc. Odruchowo odbił wystrzał. Miecz zadrżał mu w dłoni, a na ścianach kantyny pojawiło się kilka nowych plam. Jedi posunął się o kilka kroków, roztrzając stoliki i nagle strzały umilkły. Szturmowcy nie mogli dłużej prowadzić ognia, nie rażąc siebie nawzajem.

Luke sięgnął ku obu grupom i nacisnął spust. Ładunki przemknęły mu nad głową w obu kierunkach. Szturmowcy padali jak muchy.

Atak Imperialnych nieco go wyczerpał i zwolnił jego reakcje. Zakaszłał nagle.

- Artoo! - krzyknął. - Weź ją stąd. Sprowadź pomoc. Android potoczył się ku dziewczynie. Gaeri pozbierała się z trudem i na czworakach ruszyła do frontowych drzwi. Dev Sibwarra rozłożył szeroko ręce w geście rozpacz.

- Przyjacielu, pozbawiasz ją jedynej szansy zaznania nieporównywalnej z niczym rozkoszy.

- Ona wybrała wolność.

- Wolność? - Dev uniósł brwi. - A tobie oferujemy wolność od głodu. - Wskazał na rozrzucone po podłodze talerze i gromadzącą się nad nimi chmurę insektów. - I od chorób... - Luke poczuł, że cudze macki Mocy usiłują penetrować jego umysł. - Ach. Czy to prawda, że już teraz jesteś po części mechanizmem?

- Co? - Luke cofnął się o krok.

- Twoja ręka. Prawa ręka.

Luke spojrział na swoją dłoń. Dostał ją na Endorze. Proteza do złudzenia przypominała normalną kończynę.

- To nie było z wyboru.

- Ale czy nie jest lepsza niż ciało? Mocniejsza, mniej podatna na ból? Pomyśl tylko, twój bezsensowny opór pozbawi niezliczone istoty ludzkie szansy zaznania, pełni życia. Pozbawi je szczęścia.

Dev cofnął się pod ścianę, a Ssi-ruukowie wydobyli coś z toreb. Po chwili każdy z nich trzymał w łapie przypominający krótkie wiosło przedmiot skierowany rączką do przodu.

Luke odsunął się.

- Dev, ostrzeż ich, że miecz świetlny nie ogłusza, tylko zabija. Jeśli podejda za blisko, będę musiał ich zabić.

- Nie wolno ci! - krzyknął Dev. - Jeśli umrą tutaj, z dala od uświęconej ojczyzny, to czeka ich wieczne potępienie i tułaczka. To dla nich straszna tragedia. Oni chcą cię tylko pokonać, a nie zabić. Obiecuj mi, że nie pozbawisz ich życia.

- Nie. Ostrzeż ich.

Dev gwizdnął coś bardzo zaniepokojony.

Obcy wycelowali swoje łopatki. Gaeri była coraz bliżej drzwi, ale jeszcze nie dość blisko. Dostaną ją, chyba że zaatakuje pierwszy.

Nadszedł czas, by wykorzystać Moc i obronić dziewczynę.

ROZDZIAŁ 16

Jeden z obcych uniósł dziwną broń. Cienki, srebrny promień wystrzelił z węższego końca. Luke bez wahania zamierzył się mieczem na wiązkę.

Klinga nie odbiła srebrzystej strugi, spowodowała jedynie ugięcie promienia. Zanim Luke zdążył odskoczyć, został trafiony. Poczł się lekko odrętwiały i pogratulował sobie w myślach, że nie skończyło się gorzej. Drugi obcy przysunął się o parę kroków i też uruchomił promiennik, celując w nogi Jedi. Pierwszy cios nie spowodował widocznej szkody, ale drugi mógł być groźniejszy. Luke poprawił chwyt na rękojeści miecza i odskoczył, stając w jednej linii z oboma Ssi-ruukami. Ten dalszy musiał przerwać ogień, ale pojedyncza srebrna wiązka i tak zbliżała się niebezpiecznie.

Niebieski wysunął się zza pleców kompana i skierował broń na środek pomieszczenia, ograniczając Luke'owi pole manewru.

- Nie! - krzyknęła Gaeriela, wsparła się na łokciach i strzeliła do niebieskiego olbrzyma.

Chybiła. Obcy przejechał jej promieniem po gardle. Dziewczyna krzyknęła i upadła bezwładnie.

Luke zaatakował najmniejszego z trójki, brunatnego jaszczura, odcinając mu łapę, w której trzymał tajemniczy promiennik. Gwiżdżąc przeraźliwie, ranny Ssi-ruu odskoczył pod ścianę.

- Nie! - krzyknął Dev. - Nie rób im krzywdy!

- A co on zrobił Gaerielu?

- Nic takiego. Przyjdzie do siebie.

Na razie jednak dziewczyna się nie ruszała. Jak długo Luke nie zabije lub przynajmniej nie rozbroi napastników, Gaeri nie będzie bezpieczna. Większy, też brunatny obcy podskoczył bliżej, mocarne nogi pracowały jak tłoki. Nawet bez broni, mógł samą masą ciała zmiażdżyć człowieka. Luke wypuścił szablę niczym bumerang. Po chwili wróciła posłusznie do jego ręki, po drodze jednak ścięła olbrzyma. Bezgłowe cielsko padło bezwładnie na podłogę.

- Przestań! - Dev rzucił się z płaczem na zwłoki obcego. Niebieski znów skierował wiązkę na Luke'a... a raczej tam, gdzie młody Jedi stał chwilę wcześniej. Zgrabnym saltem uniknął promienia i wyciągnął rękę, by wyrwać broń obcemu.

Ssi-ruu był teraz bardzo blisko. Na tyle blisko, że zdołał porazić lewą nogę Luke'a.

Jedi poczuł, jak traci czucie w kończynie. Desperacko próbował utrzymać równowagę i skoncentrować się ponownie na walce. Zatem promiennik oddziaływał na ośrodkowy układ nerwowy. Gaeri była prawdopodobnie przytomna.

- Artoo, wyciągnij ją stąd! - krzyknął Luke.

Mały android potoczył się ku dziewczynie, pozostali przy życiu dwaj obcy zaczęli nacierać z całą siłą. Pomagając sobie promiennikami, przyparli Luke'a do blatu przewróconego stołu. Do nozdrzy młodzieńca doleciał dziwny, kwaśny odór.

Podskoczył na lewej nodze na wysokość ramion jednego z obcych i zadał cios mieczem. Broń bez szmeru przecięła promiennik i niebieskiemu pozostało tylko odrzucić złom. Zagwizdał przy tym energicznie.

Jeszcze jeden strzelec został wyeliminowany. Artoo chwycił Gaerię za skórzany pas i pociągnął w kierunku drzwi. Luke wskoczył niezgrabnie na najbliższy stół. Lewa noga ugięła się, gdy spróbował ją obciążyć. Potem pewnie zaczęło boleć. - pomyślał. Tylko stymulujący wpływ Mocy pozwalał mu stać prosto.

Nagły świergot R2 sprawił, że Luke obejrzał się przez ramię. Dev celował w niego z imperialnego blastera.

Luke siłą woli wyrwał Devowi broń. Blaster odpłynął powolnym ruchem, a Jedi szybko przepołowił go mieczem. Poszarpane kawałki spadły na blat. Czując, że nadeszła odpowiednia pora, sięgnął myślą do umysłu chłopaka. Trzeba wyzwolić go od hipnotycznego wpływu obcych. Większość wspomnień Deva Sibwarry'ego spowijała wytlumiająca wszystko czerń.

Jednak chłopak był naprawdę zdolny. Zebrawszy wszystkie siły, Luke rozwiął czarne obłoki jednym, porażającym impulsem blasku.

Dev zatoczył się aż na pobliski stół. W jednej chwili wróciła mu pamięć wszystkich upiornych zdarzeń. Pojawił się też gniew, niewielkie ale intensywne zarzewie buntu. Zdezorientowany, zamrugał powiekami. Ten potworny Skywalker stał się nagle bratnią ludzką duszą. Dev nie czuł już przygnębienia, a tylko wściekłość. Żadnych więcej „terapii”... chyba że...

Popatrzył na Skywalkera, który wciąż stał na blacie, odnotował błysk łagodnych oczu i lekkie drżenie brody.

Chłopak pogładził obolałą dłoń. Pamiętał teraz, za czym sprawą powstała ta rana. Firwirrung! Jego pan związał go pętami lojalności, przez całe lata nim manipulował. Dev spojrzał na świat innymi oczami. Nie było to łatwe ani przyjemne, ale dobrze było znów poczuć się człowiekiem. Mimo wszystko udało im się tego dokonać... był poobijany, ale cały.

- Dobrze się czujesz? - zagwizdał Błękitnołuski.

Dev aż się wzdrygnął. Znakomicie pamiętał wszystkie sztuczki i przemowy stosowane przez nadzorcę niewolników.

- W porządku. A ty, Starszy?

- Powiedz Jedi, by się szybko z nami zabierał. Obiecuj cokolwiek.

Dev zrozumiał, że Ssi-ruukowie zamierzali sprowadzić ludzi do poziomu szybko mnożących się niewolników. Proste i tanie źródło surowca. Gotowi są kłamać, zabijać, torturować, byle tylko osiągnąć przewagę. Zasługują jedynie na nienawiść.

- Nienawiść należy do ciemnej strony Mocy. Nie poddawaj się jej - krzyknął Luke. Czy to Jedi uwolnił go i ponownie obdarzył świadomością?

- Co? - spytał Firwirrung. - Co on powiedział?

- Przeprasza za zabicie jednego z nas, panie - Dev skłamał odruchowo.

- Powiedz mu, żeby wyszedł stąd. My podążymy za nim. Niech się spieszy.

Dev podniósł głowę.

- Chcą, żebyś...

Nagle w kantine rozległo się wycie syren alarmowych. Dev przypomniał sobie nagle, że gdzieś już słyszał ten dźwięk. W dzieciństwie... Alarm obrony cywilnej... Zapowiedź inwazji.

Wstrząśnięty, spojrzął na swych panów. Czyżby admirał mimo wszystko zaatakował jednostki orbitalne? Obiecał przecież, że Ssi-ruukowie wycofają się, jeśli dostaną Skywalkera. Jeszcze jedno łągarstwo w krętym łańcuchu kłamstw!

Zaskoczony Luke spojrzął w okno. Zapewne Ssi-ruukowie napadli dysk stacji orbitalnej, pierwszą i zasadniczą przeszkodę na drodze do inwazji. Rusztowania wciąż uniemożliwiały dojrzenie „Sokoła”. Chewie czekał prawdopodobnie na pokładzie, Han próbował uwolnić Leię. Chociaż do tej chwili role mogły się odwrócić, czyli Leia mogła ratować Hana. R2 wrócił, tym razem bez Gaereli. Oby tylko zostawił ją w naprawdę bezpiecznym miejscu. A co z porażoną nogą? - Setki myśli przelatywały przez głowę Luke'a.

Ponadto niepokoił się jeszcze o stan Deva. Psychika potencjalnego Jedi nosiła ślady licznych manipulacji i okaleczeń. Niemniej dowiódł już swej siły. Cierpienia, których doświadczył, mogłyby w przyszłości trwale związać go z jasną stroną Mocy. Luke spojrzął ponownie na chłopaka.

Nagle pokój zakotłosał się. Skywalker zemdlał.

Pochłonięty własnymi sprawami Dev ledwo zauważył szybki ruch ogona Błękitnołuskiego i upadek Jedi. Miecz świetlny wypadł mu z dłoni i potoczył się na czarną podłogę. Znieruchomiał, wydając dziwny dźwięk.

Dev stał w bezruchu, udając bezgraniczne posłuszeństwo. Przez cały czas jednak usiłował wywołać Skywalkera.

Błękitnołuski przesunął wiązką promiennika po górnej części kręgosłupa Jedi. Dev zmusił się, by podejść do swego władcy.

- Dobra robota, panie. Czy jest już ogłuszony?

- Chyba nic mu się nie stało - zagwizdał Błękitnołuski. - Chociaż ludzka czaszka jest zdumiewająco krucha. Zaopiekuj się nim. Wygląda na pokonanego.

- Och, dziękuję. - Dev pamiętał, by wyrazić przy tej okazji stosowny entuzjazm. Ukłękął i przerzucił sobie Skywalkera przez ramię.

Skywalker - spróbował raz jeszcze - nic ci nie jest?

Jedi nie odpowiedział. Jakby wcale nie myślał... chyba naprawdę był nieprzytomny. Obcy wygrali... na razie. Dev podniósł się z wysiłkiem. Gniew nasilał się, ilekroć powracała pamięć kolejnej zniewagi. Robili z jego umysłem, co chcieli... Nie pozwoli im wygrać. I to nie tylko przez wzgląd na ludzkość i galaktykę. Zabrali mu życie. Osobowość. Duszę.

- Dobrze - powiedział Błękitnołuski. - Teraz pomóż Firwirringowi.

Ledwo trzymając się na nogach, Dev podszedł do mniejszego jaszczura i wsparł go swym ramieniem. Firwirring mamrotał coś pod pyskiem, zdrową łapą ściskając krwawy kikut. Grzbiet Deva zaprotestował boleśnie przeciwko takiemu obciążeniu.

Chłopak zagryzł wargi. Musiał dalej udawać posłuszeństwo. Ssi-ruukowie widzieli w ludziach jedynie żywy inwentarz... pozbawione duszy zwierzęta doświadczalne.

Błękitnołuski schylił się po miecz świetlny. A co z kobietą? Dev pomyślał, że Starszy za nic nie chciałby jej nieść. Przynajmniej tyle dobrego wyniknęło z oporu Skywalkera, że ocalił dziewczynę. Mając tylko Deva za tragarza, Ssi-ruukowie i tak by jej nie zabrali. Musieli zostawić nawet swego skróconego o głowę kompana.

Błękitnołuski pierwszy zniknął w kuchni. Puścił wahadłowe drzwi tak mocno, aż uderzyły Deva. Ten stracił na chwilę równowagę i omal nie upuścił więźnia na rozpaloną płytę piecyka. Koniuszki włosów Skywalkera skrzyły się od żaru.

Zanim Dev ponownie złapał równowagę, Błękitnołuski wyłączył miecz i wrzucił go do torby na ramieniu. Ruszył pomiędzy kuchennymi urządzeniami z opuszczonym promiennikiem w łapie. Firwirrung kuśtykał obok Deva, który szukał w pamięci stosownej formułki.

- Boli, panie?

Obcy jedynie chrząknął coś w odpowiedzi.

Błękitnołuski przytrzymał tylne drzwi, aby ułatwić Firwirrungowi wyjście. Przed budynkiem czekał na nich imperialny wahadłowiec, którym pod opieką nieprzytomnych teraz szturmowców przylecieli z pokładu „Shriwirr”. Syreny zrobiły swoje, okolica opustoszała całkowicie. Tylko dwóch P'w'ecków stało na straży pod opuszczonymi skrzydłami wahadłowców.

- Pomóżcie Devowi zabezpieczyć więźnia - zagwizdał Błękitnołuski. Dev wczłapał po pochyłej rampie. Beczułkowaty android Skywalkera usiłował wjechać za nim, pogwizdywał przy tym coś w mowie obcych, ale dwóch P'w'ecków zepchnęło go na ziemię. Spadł z łoskotem, odsyczał coś jeszcze i znieruchomiał. Dev wciągnął Jedi na tylne siedzenie. Usiłował przekonać sam siebie, że jeszcze nie wszystko przepadło. P'w'eckowie skuli młodzieńca i zapięli mu wszystkie możliwe pasy. Mając chwilę swobody, Dev zbadał funkcje życiowe Skywalkera. Nawet nieprzytomny, promieniował ciepłem i blaskiem silniejszym niż inni ludzie.

Co robić? Jeśli Ssi-ruukowie wykorzystają Skywalkera zgodnie z zamiarami, rodzaj ludzki będzie zgubiony.

Dev zacisnął dłonie, lewa ręka zapłonęła bólem. Czy miał dość siły, by udusić Jedi, podczas gdy Błękitnołuski i Firwirrung będą próbowali doprowadzić ludzki statek na orbitę?

Postanowił jeszcze poczekać. To mogła być kolejna sztuczka Ssi-ruuvi. Skywalker uosabiał wszystko, czym Dev pragnął być. Gdyby tylko jego matka nie zginęła i wyszkoliła syna jak należy... Nie mógł zabić Skywalkera, chyba że w ostateczności, jeżeli nie uda się powstrzymać Ssi-ruuków innym sposobem.

Gdyby do tego doszło, Dev nie będzie miał zbyt wiele czasu na żałobę po przyjacielu. Ssi-ruukowie zabiją go zaraz potem.

Ale śmierć Skywalkera da szansę ludzkości. Pełen rozterek, Dev zapiął pasy.

- Jak ci idzie? - spytała cicho Leia.

- Już prawie skończyłem.

Han stał na przeprogramowanym fotelu antigrav. Fotel wisiał dokładnie nad łóżkiem, a Han wycinał wibronożem owalny otwór w drewnianym suficie. Miło pachnące trociny sypały się na pościel.

- Gotowe!

Uderzył dłońmi w wycięty kawałek, który wyskoczył do góry. Znow poleciały trociny.

- Zmieścisz się przez ten otwór?

Fotel wzniósł się jeszcze trochę i połowa Hana zniknęła w otworze, po chwili schował się cały. Wyrzał przez dziurę.

- Całkiem tu przyjemnie - powiedział. - Odsuń się. Pomanipulował coś przy obwodach fotela i mebel runął z hukiem na łożo. Leia złapała blaster, pewna, że zaraz wbiegną strażnicy, ale nikt się nie pojawił. Weszła na łóżko, wyprostowała fotel i włączyła go ponownie. Uniosła się pod sufit, a Han pomógł jej wciągnąć się wyżej. Fotel zostawili, niech sobie fruwa, gdzie chce.

Na strychu nie było wiele miejsca, ale pomieszczenie ciągnęło się przez cały budynek. Przez otwór w szczytowej ścianie wpadało nieco światła.

- To wentylacja - mruknął Han. - Ślizgacze parkują za rogami na prawo. - Wskazał wywietrznik. - Stąpaj cicho, bo jeszcze cię usłyszą.

- Co ty powiesz? Naprawdę? - spytała Leia z sarkazmem. Strych wyglądał na starszy niż wszystkie ludzkie siedziby, które zdarzyło się jej kiedykolwiek odwiedzić. Obeszła z prawej strony gruby, drewniany filar i zbliżyła się do otworu.

- Dawaj nóż - wyszeptła przez ramię.

Han dołączył do niej i odciął ostrożnie łebki śrub przytrzymujących kratę.

- Chwyć z tamtej strony - polecił. - I pociągnij do siebie. Leia podważyła ramę paznokciami, krata puściła i było już za co złapać. Wyciągnęli ją ostrożnie i położyli jak najciszej na podłodze pokrytej grubą warstwą kurzu zmieszanego ze szczątkami niezliczonych owadów pokoleń. Han wysunął głowę przez ciemny otwór - wciąż usmarowany sadzą był prawie niewidoczny. Leia przysunęła się jeszcze bliżej.

Kilka ślizgaczy stało w połowie drogi pomiędzy domem a murem okalającym posiadłość. Pilnowało ich pięciu szturmowców. Uciekinierzy wysunęli blastery, Leia niewiele widziała przez otwór, ale starała się w miarę pewnie wycelować.

- Gotowy? - spytała.

- Teraz - wyszeptał Han.

Nacisnęła spust. O jednego mniej. Już dwóch. Kolejny upadł na trawę. Czwarty i piąty schował się za ślizgaczem.

- Nic więcej tu nie zwojujemy - powiedział Han, przeciskając się przez otwór.

Imperialni otworzyli ogień, wtedy Leia natychmiast trafiła szturmowca, który mierzył do Hana. Ostatni wolał się ukryć. Han wyskoczył i podbiegł do najbliższego ślizgacza. Coś błysnęło przy jego lewej stopie.

Leia wyskoczyła szczupakiem, wywinęła koziołka, aby się zatrzymać. Zaraz potem ładunek łupnął w miejsce jej lądowania. Obróciła się i strzeliła, ale szturmowiec zdążył się schować.

Ryknął silnik ślizgacza. Leia zygzakiem pobiegła do pojazdu, wdrapała się na górę i kurczowo złapała uchwytu przy siedzeniu. Poczowała zapach spalenizny. Han nacisnął akcelerator, i pojazd uniósł się o parę metrów.

- Trafili cię? - spytała Leia, przekrzykując wiatr, gdy mknęli nad zieloną puszcza.

Na południe rozciągało się pogórze, dalej miasto i błękitna kreska odległego oceanu. W kilku miejscach spomiędzy budynków buchały kłęby dymu.

- Podeszwa wytrzymała - odparł krótko Han, ale Leia wyczuła, że go boli.

Do czasu powrotu na pokład „Sokoła” nie mogła mu pomóc, niemniej Han zdawał się być w nie najlepszej formie.

Nie można się z tobą nudzić - zawołała, drapiąc go po szczeciniastej brodzie.

- Staram się, jak mogę - odparł z uśmiechem, a wiatr poniosł jego słowa między drzewami.

Leia obejrzała się. Odgłos pracy silnika zdawał się zmieniać. Ale nie, to inny ślizgacz dochodził ich z boku.

- Han...

- Mamy towarzystwo. O, tam.

- Z tej strony też jest jeden... nie, trzech! Zostali okrążeni.

- A zatem to była pułapka - skrzywił się Han. - Teraz mogą nas zestrzelić i pozbyć na dobre.

- Wytłumaczają, że próbowaliśmy uciekać - zgodziła się głośno Leia.

- Trzymaj się!

Skęcili ostro w kierunku wzgórz. Z przodu nadleciały jeszcze dwa imperialne ślizgacze. Han wykonał klasyczny zwrot bojowy, a dziewczyna ostrzelała najbliższy pojazd. Czuła się jak osaczony przez sforę drapieżnik, który ma do obrony jedynie kły i pazury.

Żołądek podskoczył jej do gardła, gdy Han gwałtownie wznosił ślizgacz.

- Nie jest dobrze - zawołał. - Oni mają usprawnione modele wojskowe.

Coś wyglądającego na promień lasera mignęło z prawej strony.

Zanurkował w kotlinkę i wyrównał lot na poziomie wierzchołków drzew.

- Jak powiem: skacz, skoczysz. Ukryj się za jakimś głazem czy...

- Patrz! - przerwała mu. - Odsiecz!

Z chmurnego nieba spadły dwa myśliwce typu X. Nawet w atmosferze były dwukrotnie szybsze od lądowych ślizgaczy, nie wspominając o większej sile ognia.

Han momentalnie wyrwał do góry.

- Gdy tylko je zauważą...

Imperialni już musieli je dostrzec, bo uciekali na pełnej szybkości.

- Szkoda, że nie mam komunikatora - mruknęła Leia. - Zupełnie jakby ktoś wysłał je tu świadomie. Może Luke?

- Wcale bym się nie zdziwił - odparł Han, kierując pojazd ku szerokiej rzece. Jeden myśliwiec ustawił się na godzinie trzeciej, drugi na dziewiątej.

Leia im pomachała. Ktoś odpowiedział / kabiny odzianą w czarną rękawicę dłonią.

Dziwne wrażenie robiła eskorta złożona z kosmicznych myśliwców typu X, lecąca nad zieloną puszcza. Leia przypomniała sobie Yavin i ukrytą, podziemną bazę rebeliantów, w której czekali na atak pierwszej Gwiazdy Śmierci.

Rzeka skręciła na południe. Salis D'aar było blisko. Oba myśliwce wzniosły się pionowo i rozpląnęły w błękitcie.

- Nie chcą pokazywać się nad miastem - zauważyła Leia. - Po co niepokoić Bakurian.

- Miło, że ktoś tam myśli - stwierdził Han. Dziękuję, Luke. To wciąż był tylko domysł, niemniej Leia gotowa była się założyć, że to sprawka jej brata.

- Najkrótsza droga do „Sokoła” wiedzie przez przedmieścia - powiedział Han. - Jeśli jakiś patrol zechce nas zatrzymać za naruszenie godziny policyjnej, to się będzie miał z pyszna.

Naziemne szlaki komunikacyjne Salis D'aar, a szczególnie most łączący miasto z zachodnim brzegiem rzeki, zatłoczone były wolno toczącymi się pojazdami. Kto mógł, wywoził ruchomy majątek i rodziny w góry, nawet godzina policyjna nie była przeszkodą dla uchodźców. Leia pomyślała, że dobrze byłoby zabrać jeszcze do kompleksu i zabrać bransoletę, prezent od Ewoków, ale nie był to drobiazg aż tak cenny, by ryzykować życie. Ruchu powietrznego prawie nie było.

- Wszystko, co mogło latać, dawno już się stąd wyniosło - powiedział Han niepewnie.

- A gdzie są androidy?

- Artoo czeka pewnie w biurze Captisona.

Wyjaśnił jej także, jakim sposobem wyprawił 3PO w drogę. Leia zachichotała, wyobraziwszy sobie przybycie androida na pokład „Sokoła”.

- Mam tylko nadzieję, że Chewie nie postrzelił go z rozpędu.

- Threepio wziął mój komunikator. Na pewno zadbał o siebie.

Nad portem kosmicznym unosiły się wciąż tabuny kurzu wzbitego przez podmuch dziesiątków startujących jednostek. Han przemknął nad ogrodzeniem i o mało nie wylądował na grzbiecie „Sokoła”. Wookie stał samotnie na straży statku.

- Gdzie Threepio? - spytała Leia. Chewbacca parsknął coś i zahuczał.

- Co zrobiłeś? - warknął Han. - Chewie, trzeba jak najszybciej zapakować program tłumaczący do naszego komputera!

Chewbacca zawył przepraszająco.

- No tak, masz rację. Cóż, naprawimy go.

Chewie postrzelił 3PO i za późno było na wszelkie żale czy przeprosiny. Leia wbiegła po rampie na pokład.

- Mam nadzieję, że statek jest zatankowany - mruknęła, siadając na tylnym fotelu.

Chewbacca zaszczekał.

- Zatankowany, zaopatrzony i gotów ruszyć nawet do jądra galaktyki - przetłumaczył Han, ładując się do kabiny. - Zajmij się Threepio, Chewie. Leia, pasy.

Podłoga zaczęła wibrować.

- Chewie, poczekaj! Coś tu się zmieniło! - krzyknął Han. Wookie zawrócił, ogarnął kabinę spojrzaniem i wydał parę niezrozumiałych dźwięków.

- Co usunąłeś?

- W czym rzecz? - spytała Leia.

- Uff. Poprosił miejscowych fachowców, by dali trochę więcej mocy na tarcze, ale przy okazji uszkodził mnożnik hipernapędu. Jak tylko wyrwiemy się z tej dziury - wycelował palec w Chewie'ego - to wszystko wróci normy. Już ja o to zadbam!

Na razie nie ruszali się jednak nigdzie poza system, a do tego hipernapęd nie był potrzebny.

- Zbieramy się - warknęła Leia. - Startuj wreszcie!

ROZDZIAŁ 17

- Teraz lewa noga.

Gaeriela posłusznie poruszyła stopą. Imperialny medyk zmarszczył brwi i z profesjonalną łagodnością odchylił jej głowę, badając lekkie oparzenie na szyi.

- To chyba podrażnienie jonizacyjne. Tak napiszę w raporcie.

Zakaszła.

- Czy mogę już iść?

- Przykro mi, ale poproszono mnie, bym zatrzymał panią pod obserwacją.

- Co się dzieje? Słyszałam wycie syren.

- Obcy uderzyli na stację orbitalną.

Zatem zaczęło się. Gaeriela ogarnęła spojrzeniem pusty pokój - cztery białe ściany, wysoki sufit, żadnych okien ani drzwi. Ekipa ambulansu dostarczyła ją na noszach prosto do kompleksu. Ostatnie, co pamiętała, to obraz Luke'a ruszającego na czterech uzbrojonych szturmowców. Potem rozległ się alarm i android wyciągnął ją przed budynek, gdzie leżała tak długo, aż pierwsze patrole dotarły do kantyny. Do tego czasu jednak i Skywalker i Ssi-ruukowie zniknęli w imperialnym wahadłowcu, a ona odzyskała ponownie zdolność poruszania się o własnych siłach.

Ale wszystko przepadło. Luke został porwany. Gaeriela nie potrafiła sobie wyobrazić, aby samotny człowiek, nawet Jedi, mógł stawić opór obcym... w czymkolwiek. Chcą mieć super - androida? Może im się nie uda...

Chyba lepiej już zginąć na Bakurze, niż stać się więźniem Ssi-ruuków. Depresja jednak z wolna mijała, zbliżała się pora

odreagowania. Teraz już nic nie wydawało się jej naprawdę groźne.

Lekarz wyszedł z pokoju. Gaeri wstała niezgrabnie z łóżka i pokuśtykała do drzwi. Mięśnie znów stały się posłuszne, chociaż odrętwiałe i skłonne do mimowolnych skurczów.

Drzwi były zamknięte; naciskanie kontrolki niczego nie zmieniło.

Ale długo jej tu trzymać przecież nie mogą. W pokoju nie było nawet... Myśl o oczywistych udogodnieniach cywilizacyjnych była zupełnie nie na miejscu. Potrzebowała ich jednak i to pilnie. Przypomniała sobie o Eppie, zawiadującej rewolucją zza klawiatury domowego komputera. Czy starsza pani zdążyła coś zdziałać?

Kompleks Bakur zajmował samo centrum miasta i miał mnóstwo wejść... w jaki sposób zamierzała go opanować? A jeśli jej się udało? Wystarczyłoby przypilnować należycie Nereusa. Komandor Thanas opuścił planetę wraz z większością sił. Bronił Bakury...

Zaraz, chwileczkę, przecież ostatnia szansa, by obronić się przed Ssi-ruukami przepadła.

Otworzyły się drzwi, ukazując dwóch żołnierzy floty.

- Chodź - rozkazał jeden z nich.

Poprowadzili Gaerię na wyższe piętra budynku. Po chwili już wiedziała, dokąd zmierzają i ledwo się opanowała, by nie podjąć próby ucieczki. Dotąd udawało się jej uniknąć goszczenia w prywatnych apartamentach Nereusa. Słyszała różne plotki o tych wnętrzach. Gubernator nie należał do ludzi obdarzonych szczególną subtelną uczuciem, chociaż miał różne pasje...

Idący przodem strażnik otworzył drzwi i rozkazał dziewczynie, by weszła. Posłuchała spokojnie. Lepiej umrzeć na Bakurze, ale w walce...

Gubernator siedział za biurkiem o wypolerowanym, białym blacie pokrytym wzorem przypominającym słoje drzewa. Jednak mebel nie wyglądał na drewniany. Gospodarz w milczeniu wskazał jej fotel i poczekał, aż strażnicy znikną.

Uwagę dziewczyny przyciągnął trójwymiarowy obraz znajdujący się na jednej z pobliskich ścian: wielki mięsożerca z otwartą paszczą, w której białeły cztery białe kły.

- To ketrann powiedział Nereus. Z planety Alk'lellish III.

- Czy te zęby są prawdziwe?

- Oczywiście. Proszę się rozejrzeć.

W pokoju było więcej takich trójwymiarowych podobizn. Na ścianach, pod sufitem... A wszystkie wyposażone w prawdziwe zęby.

- To pańska kolekcja?

- Drapieżniki. Mam siedemnaście światów, włącznie z bakuriańskim Cratsch. - Postukał w przezroczystą kasetę leżącą w rogu biurka. - A na tej ścianie... - wskazał w lewo - są inteligentni obcy.

Gaeri pomyślała o wielkich, podobnych do psich kłach Wookie'ego i zmarszczyła brwi.

- A to najniebezpieczniejszy drapieżnik. - Nereus rzucił jej wielościenny kryształ, w którym białeły dwie pary ludzkich kłów.

W pierwszym odruchu chciała cisnąć tym kryształem w gubernatora, ale się opanowała. Zdoła jeszcze zaszkodzić mu o wiele skuteczniej.

- Mam nadzieję, że doda pan wkrótce do tej kolekcji zęby Ssi-ruu - powiedziała, starając się zachować obojętny ton.

- Tak, to ciekawe, oni mają dzioby, zębate dzioby... - odchrząknął. - Chociaż, oczywiście, zwykle wolę pobierać materiał do kolekcji z własnoręcznie upolowanych osobników. O ile wiem, rebeliancka księżniczka pogardziła chwilowo moją gością. Będę musiał ukarać ją za taką samowolę. Moi stomatolodzy nie należą do szczególnie łagodnych.

Zupełny wariat - pomyślała Gaeriela. - Trzeba zyskać na czasie. Pokażę ci jeszcze kły, ale to ty zawieszysz na szpilce w gablocie. Wilek Nereus zapłaci za swoje zbrodnie. Tylko cierpliwie. Przelknęła ślinę, by stłumić kaszel. Nie była to pora na chorowanie. Odrzuciła kryształ.

- Godne podziwu opanowanie sztuki dyplomacji. Nawet teraz potrafi pani zachować rezerwę. Czy przyjrzała się pani broni, z której postrzelili panią obcy?

Gaeriela opisała mu owe niby - wiosła, Nereus obracał tymczasem kryształ w dłoniach. Gdy skończyła, znów pomyślała o Eppie. Jeśli atak Ssi-ruuków zostanie odparty, trzeba będzie dać starszej pani jeszcze jedną szansę.

- Gubernatorze, czy byłby pan skłonny wyrazić zgodę na publiczny pogrzeb senatora Beldena? Bakurze trzeba...

- Bakurze nie są potrzebne żadne publiczne zgromadzenia. Nie. Godzina policyjna zostanie utrzymana. - Spojrzał na nią tak, jakby niecierpliwie na coś czekał.

- Jakie działanie podjęła władza imperialna wobec pani Belden? - spytała, by nieco zmienić temat.

Gubernator uniósł brew.

- A dlaczego Imperium miałoby jej robić cokolwiek? Sprawdzę to. - Uruchomił podręczną klawiaturę. Gaeri pochyliła się nad komputerem.

- Jak się pani podoba moje biurko? Jest z jednego kawałka kości. To kieł.

Taki duży ząb? O średnicy ponad półtora metra? Co to za zwierzę?

- Czy to jakaś morska bestia? - spytała, z trudem powstrzymując kaszel.

Nereus skinął głową.

- Już wytępiona. Oto i mamy. Aha - uśmiech powoli rozjaśnił mu twarz. - Pani Belden przeznaczona była do eksterminacji. Jej mąż zgodził się na trwałe upośledzenie funkcji umysłowych żony, by dalej mieć ją przy sobie.

Gaeriela zacisnęła dłoń. Orn Belden... zgodził się... by Imperium...? Nie mogła w to uwierzyć. Nagle poczuła ulgę, że Orn nie żyje i nie będzie okazji spytać go, czy to prawda.

- Bez wahania poddała się wyrokowi, by chronić męża. No proszę - dodał, wpatrując się w ekran. - Zapomniałem już szczegółów. Wykorzystaliśmy małego pasożyta z sektora Jospro. Żeruje na korze mózgowej. Uszkadza tylko niektóre sektory, upośledzając pamięć długotrwałą. Tak naprawdę, to ułatwia życie. Wprowadzenie go to zabieg łatwy i bezbolesny, a dzięki temu małżeństwo mogło trwać dalej. Jeśli wziąć pod uwagę ich wiek, to naprawdę wzorowa para. Nie krepuj się, kochana pani, i nie wstrzymuj kaszlu. Robisz się czerwona na twarzy.

- Wcale nie muszę kaszleć - odparła z wysiłkiem. Nereus położył ręce na kościanym blacie biurka.

- Ile zjadłaś z porcji Skywalkera?

Coś nagle zaciążyło jej w żołądku. Te dary morza...

- Co pan chce przez to powiedzieć?

Machnął ręką z wystudiowaną bez troską. Palce jednak mu drżały.

- Gdy strażnik przy apartamencie Skywalkera zameldował, że tam weszłaś, zacząłem oczywiście śledzić cię, wykorzystując sygnały twojej plakietki identyfikacyjnej. Przechwyciłem zamówienie posiłku. Sprytnie postąpiłaś, każąc przesłać to, co wcześniej wybrałaś dla siebie, ale i tak ci się nie udało. W kuchni czekało już specjalnie spreparowane danie. Twoje działanie, podobnie jak pytania, które zadajesz, zdradzają, że kolaborujesz z rebeliantami.

Co takiego uczynił Nereus? Czy miała umrzeć? A Luke? Nie, nie powiedziałby jej o tym, gdyby zamierzał ją zabić. Uspokoila się nieco.

- Co to było? - spytała nieswoim głosem. - Kolejny pasożyt?

- Olabriański trójniak. Ma zwyczaj składać jaja w dojrzewającym owocu. Larwy rozwijają się w żołądku nosiciela, następnie podczas jego snu migrują do płuc. Tam

zostają przez parę dni. Rosną i wykształcają narządy gębowe. W postaci dorosłej zaczynają wyżerać sobie drogę do serca. Długość trwania całego procesu jest różna, zależnie od wielkości organizmu nosiciela i od jego kondycji fizycznej. Gdy dotrą na miejsce, rozmnażają się w otoczeniu odżywczej, z wolna krzepnącej krwi. Pobladaś, kochana. Czy chcesz się położyć?

Poczuła, że coś rośnie wewnątrz jej ciała.

- Nie martw się. Larwy są szczególnie wrażliwe na obecność czystego tlenu. Zostaniesz błyskawicznie wyleczona. Wystarczy godzina. - Obrócił się do mikrofonu. - Sektor medyczny. Dostarczyć mi zestaw ce-de dwanaście.

- Zjadłam to zamiast Skywalkera?

Może jednak Luke miał jeszcze jakieś szansę.

- Nie - odparł obojętnie. - Z kokonu rodzą się zawsze trzy larwy. Wiem, że on dostał dwie. Zastanawiałem się nawet, gdzie podziało się trzecie jajeczko. Możesz być z siebie dumna, Gaerielo. Być może uda się za jego pośrednictwem zarazić Ssi-ruuków. Jestem niemal pewien, że nie znają tych pasożytów. Wystarczy, że wytrzymamy ich napór jeszcze przez jeden dzień, a wygramy.

Do pokoju wszedł lekarz z maską tlenową, butlą i pojemnikiem na okazy.

- To zabierze tylko minutę. Wykonuj polecenia lekarza. Zmierzyła butkę spojrzaniem. Czy kryła coś jeszcze oprócz czystego tlenu?

- Tylko wówczas, jeśli pan pierwszy odetchnie przez tę maskę.

Nereus wzruszył ramionami.

- Proszę bardzo. Nie ma pan nic przeciwko temu? - spytał lekarza i wykonał dwa głębokie wdechy. - Teraz ty, Gaerielo.

Odczekała, aż maska zostanie wysterylizowana i wtuliła w nią twarz. Gaz pozbawiony był zapachu. Odetchnęła raz i spojrzała w oczy medyka.

- Proszę ją przytrzymać, aż...

Nagle zaczęła się dławić. Lekarz odsunął maskę. Zamknęła oczy i wykrztusiła coś obrzydliwego. Cofnęła się, gdy lekarz wydobyl to z wnętrza maski, bo zrobiło się jej niedobrze. Luke - jęknęła bezgłośnie. Tak jak się obawiała, mógł umrzeć, zanim Ssi-ruukowie naprawdę się do niego dobią. Może Nereus ocali w ten sposób rodzaj ludzki, ale jakim kosztem? Pożałowała nagle każdego szorstkiego słowa wypowiedzianego pod adresem młodego Jedi.

- Bardzo ładnie. - Gubernator strzelił palcami. - Oczywiście, niedobrze się stało, że poznałaś prawdę na temat pani Belden.

Gaerielu wciąż dochodziła do siebie.

- Chyba nie jest aż tak źle, gubernatorze. Czasem trzeba ujawnić to i owo, aby ludzie mieli się czego bać.

- Dobrze pomyślane, niech mnie! Coraz bardziej cię lubię. Gdy już pokonamy rebeliantów, będę miał ci coś do zaoferowania. Skłonny byłbym nawet znaleźć ci miejsce wśród moich bezpośrednich współpracowników. To chyba jest dla ciebie nie nowina?

Podparł brodę ręką.

- Czy mogę prosić o łyk wody? - spytała, tłumiąc obrzydzenie.

Zamówił co trzeba, a lekarz wyszedł, zabierając słój z pasożytem. Postanowiła zmienić kłopotliwy temat.

- Domyślam się, że nadciąga bitwa. Czy mam śledzić jej przebieg w centrali?

- Nie musisz tam chodzić. - Włączył niezbyt duży, ale za to bardzo dokładny obraz holo. Potem sięgnął do szafki w biurku i wydobyl zapieczętowaną butelkę nektaru namany.

- To dla uczczenia imperialnego zwycięstwa - powiedział z uśmiechem.

Dla uczczenia - zakpiła w myślach, przysięgając sobie nie spróbować ani kropli. I tak już piekło ją w gardle.

Serce było Devowi jak szalone, gdy zbliżali się do orbitalnych posterunków Imperium. Tym razem nie było na pokładzie nikogo, kto otworzyłby im drogę. Dev widział przez iluminator wolniejsze wahadłowce cumujące przy większych jednostkach orbitalnych. Błękitnołuski i Firwirrung przysiedli na podłodze kabiny przed fotelami pilotów i szczebiotali coś do siebie. Ludzie gotowali się do bitwy.

Jeśli ostrzelają wahadłowiec, rozwiążą tym samym problem Luke'a. Ale starcie było wątpliwe. Po pierwsze, nadlatywali ze strefy obronnej, po drugie, byli po prostu jeszcze jedną imperialną jednostką. Mogli wieść załogę na pokład krążownika.

Coś mignęło daleko w przedzie. Chwilę później minęli szczątki imperialnego myśliwca. Ale to nie był atak na nich. Przez świeżo utworzony wyłom w sztykach obronnych wiewał się właśnie cały rój małych, mechanicznych myśliwców oczyszczających drogę dla „Shriwirr”. Ludzkie statki próbowały przechwycić napastnika, ale małych jednostek było zbyt dużo i wciąż napływały nowe. Dev domyślił się, że admirał Ivpikkis skierował atak na kilka miejsc jednocześnie, by odciągnąć uwagę obrońców od powracającego wahadłowca.

Gdy Skywalker zostanie już podłączony do instalacji, a Firwirrung włączy urządzenie, będą mogli poddawać procesowi transformacji ludzi z pobliskich statków, a może nawet z powierzchni planety. A to znaczyło, że zdobędą nowe androidy, potrzebne do ostatecznego podbicia planety. Dev przypomniał sobie te pełne bólu chwile, gdy sam leżał na stanowisku. Spojrzał na nieruchomego Jedi.

- Dev? - Firwirrung obejrzał się na niego. - Dobrze się czujesz? Nie wyglądasz na szczęśliwego.

- Och - pospieszył z odpowiedzią chłopak. - Martwię się twoją raną, panie. Nie miał prawa ci tego uczynić.

Firwirrung zamrugał trzema powiekami.

- To skaza na honorze. Ale nie cieszysz się, że mamy naszego więźnia.

Devowi drżały palce. Jeśli zdradzi stan swego umysłu, z miejsca zrobią mu pranie mózgu. Gorzej nawet, odseparują go od Skywalkera. W końcu znalazł stosowną odpowiedź.

- Zawiodłem cię, panie. Firwirrung powoli skinął głową.

- Rozumiem. - Odwrócił się i wygwizdał coś, ale zbyt cicho, by Dev mógł to rozszyfrować.

Jedi wyglądał na nieprzytomnego, usta miał uchylone. Dev przesunął dłonią po jego głowie. Dzięki Mocy znalazł miejsce, w które trafił ogon Błękitnołuskiego. Już się goiło. Znów ogarnęły go wątpliwości.

Skywalker? - spróbował. - Jesteś przytomny? Jak mogę ci pomóc? Co robić?

Odpowiedziały mu jedynie zwykłe szумы obecne w przestrzeni kosmicznej.

Proces transferu, zwany teraz technicyzacją był możliwy tylko wobec istot przytomnych. Trzeba go będzie ocucić, co potrwa przynajmniej kilka sekund. To już coś.

Musisz działać szybko - myślał intensywnie Dev. - Poza tym nie dadzą ci żadnej szansy.

Chłopak zadrżał. Sam pomógł w swoim zniewoleniu. Jeszcze nie tak dawno marzył o wyrzeczeniu się wolnej woli. Miał zamiar zgotować ten sam los innym ludziom. Spojrzał na potylicę Błękitnołuskiego.

„Shriwirr” był już blisko. Może jednak się poddać, paść im do stóp, ocalić swoje życie... Nie, to się nie uda - pomyślał. Wkrótce będzie albo wolny, albo martwy. Lub też zagna i jednego, i drugiego...

Drzwi służby doku zatrzasnęły się za nimi. Skywalker wciąż się nie ruszał.

Dev pozostał na miejscu, aż medycy pomogli wyjść Firwirurgowi. Przyłapał się na tym, że wybija rytm palcami. Przycisnął dłoń, by znieruchomiła. Pranie mózgu pozbawia zdolności odczuwania emocji, w tym i strachu. Trzeba o tym pamiętać.

Medyk wsunął głowę do pomieszczenia.

- Nieprzytomny? - zagwizdał.

- Lekkie obrażenia głowy - odparł Dev. - Oszołomiony. Medyk skrzywił się i zaklaskał z niezadowoleniem.

- Niewiele wiemy o ludzkiej anatomii. Lepiej będzie, jeśli z nim zostaniesz.

Dev zadrżał na myśl, że jeszcze zechcą go pokroić, aby dowiedzieć się, jak zbudowany jest Skywalker.

- Tak, panie - odpowiedział. - Pozwól mi go wynieść.

- Dobrze. Mamy tylko jednego noszowego.

Dev rozpiął najpierw swoje pasy, potem pasy Skywalkera. Raz jeszcze przesunął dłonią po uderzonym miejscu. W każdym razie wydało mu się, że to było właśnie to miejsce, bo wszelkie ślady obrażeń zniknęły. Kilka minut walczył potem z bezwładnym ciałem, aż dotarł do otwartego włazu.

Wokół wahadłowca tłoczyło się kilkunastu Ssi-ruuków. Dev uśmiechnął się, oczekując owacji, ale oni milczeli, patrząc jedynie, jak zmaga się z jeńcem. Ciężko zszedł po rampie, a odgłos jego kroków przerywał martwą ciszę. Sycili się tym widokiem. Jeden niewolnik ugina się, niosąc drugiego; dźwigał przy tym na swych barkach brzemień całego rodzaju ludzkiego.

Dev chwiejnie ruszył za medykiem. Przeszli przez wewnętrzną służbę załadunkową i pomaszzerowali długim, jasnym korytarzem. Z tyłu słychać było odgłos maszerujących licznych stóp. Czyżby wszyscy podążali za nim? Dev zastanawiał się, czy nie udusić po prostu Jedi przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Nie, nie mógł postąpić w ten sposób. Jak długo istnieje szansa na ratunek, będzie próbował ocalić przyjaciela, jedyne go przyjaciela, którego zdobył po latach spędzonych pośród wrogów. Chciałby odwdziżyć mu się za ponowne ucłowieczenie, dać chociaż szansę walki.

Windą do góry, znów kilka zakrętów i znajdują się w laboratorium. W zasadzie światła powinny być tu przytłumione, umownie była przecież noc, ale wszystkie lampy płonęły jasno. Dev potknął się i omal nie upuścił więźnia.

- Ostrożnie! - warknął ktoś za jego plecami.

- Tak, panie. - Nietrudno było udawać zmęczenie. - To niechcący. Nic mu się nie stało.

Plecy Deva bolały niemiłosiernie. Chłopak przyjmował cierpienie jak pokutę.

Nowa instalacja zamontowana została przy ścianie dzielącej pomieszczenie, obok fotela używanego poprzednio. Dev wreszcie ośmielił się spojrzeć przez ramię. Tylko dwóch Ssi-ruuków weszło za nim, reszta wołała przyglądając się z korytarza.

Firwirring czekał przy pulpicie kontrolnym, do pomocy miał medyka i dwóch P'w'ecków. Łącznie dawało to pięciu Ssi-ruuków i dwóch niewolników przeciwko jednemu chłopcu i jednemu nieprzytomnemu wciąż Jedi.

- Ach, Dev - wygwizdał Firwirring. - Jesteś silny. Dobra robota.

Typowe zwodzenie. Teraz Dev rozpoznawał techniki manipulacji. Położył więźnia na podłodze. Miał nadzieję, że Jedi jest jednak przytomny.

- Nie - zaprotestował Firwirring. - Nowe stanowisko utrzyma go w lepszej pozycji. Zaraz ci pomogę.

Dev przyklęknął i ponownie przerzucił sobie Skywalkera przez ramię.

Już najwyższy czas! - pomyślał ze wszystkich sił. - Usidlą cię na dobre, jeśli zaraz czegoś nie zrobisz! Skywalker nie odpowiedział. Dev z żalem ułożył go na materacu. Medyk zdjął mu kajdanki, a Firwirring przycisnął więźnia do stanowiska. Obręcze zamknęły się wokół kostek i pasa, ręce zwiślały bezwładnie. Firwirring podniósł je i położył we właściwym miejscu. Łoże przechyliło się do tyłu.

Właz uchylił się powoli. Dev spojrział i zmartwił. Błękitnołuski włazł do środka, zamknął drzwi za sobą i podszedł do Deva.

- Sądzisz, że ludzki Jedi będzie jeszcze nieprzytomny przez jakiś czas?

Dev rozpostarł ręce. Ssi-ruukowie podobnie rozkładali łapy, chcąc wyrazić bezradność.

- Nie bardzo możemy czekać, Starszy. Błękitnołuski spojrział na Deva jednym, hipnotyzującym

okiem i wygwizdał to, czego chłopak najbardziej bał się usłyszeć.

- Bardzo mnie niepokoisz.

Dwaj obcy zbliżyli się do niego z wyciągniętymi promiennikami.

- Poczekajcie - odezwał się Firwirring. - Dev dobrze nam służył. Powinniśmy go nagrodzić. - Wskazał stary fotel. - Usiądź, Dev. Mamy chwilę czasu. Sam podłączę ci kropłówkę i opuszczę łuk przechwytyjący. Dokładnie tak, jak obiecałem.

Dev zdrętwiał. Nie zdołał ich oszukać przymilnością... Jak beznadziejnie musiał się do nich łąsić przez te wszystkie lata?

- Nie czujesz, jak śmierdzisz?

A zatem to tak go rozszyfrowali. Wykorzystując ostatnią chwilę wolności, skoczył na Skywalker'a. Zdrową ręką złapał Jedi za gardło.

- Nie potrzebuję waszej nagrody! - krzyknął. - Nigdy... Nagle zgasły wszystkie światła. Słowa zamarły mu w ustach.

ROZDZIAŁ 18

Prymitywny P'w'eck, którego umysł Luke kontrolował od dłuższej chwili, zmiażdżył ogonem tablicę kontrolną i wygasił światła w kabinie. Jaszczur działał zupełnie nieświadomie, wrzeszcząc i powiększając jeszcze zamieszanie. Skywalker mógł mieć tylko nadzieję, że uszkodził przy okazji sterowniki upiornej maszynerii. Deva potrafił odróżnić od obcych nawet w ciemnościach. Jeden z olbrzymów runął ku zatrzaśniętym na glucho drzwiom. Właz też miał elektryczny zamek.

Luke dzięki Mocy zwolnił już więzy. Bez trudu zepchnął Deva i zeskokczył. Głowa go już nie bolała, ale noga wciąż mrowiła, pozbawiona czucia.

- Dev! - krzyknął. - Schowaj się pod czymś. Zadepczaj cię!

- Już! - dało się słyszeć podniecony, radosny wręcz głos. Radość chłopaka utrudniała Luke'owi koncentrację. Żałował, że stracił blaster, mógłby przynajmniej uzbroić Deva.

Przyczaiwszy się pod przepierzeniem, Luke wyciągnął rękę i wyobraził sobie, że trzyma miecz. Musiał być gdzieś blisko, bo już po sekundzie uchwyt zaciążył w dłoni.

- Leżysz, Dev? - spytał, przekrzykując kakofonię panicznych gwizdów Ssi-ruuków.

- Tak - dobiegła go stłumiona odpowiedź.

- To dobrze. - Luke włączył klingę. Komnata rozgorzała zielenią, a gwizdy obcych przeszły w jągot oszalałego ze strachu stada ptaków. Błysnęła para czarnych ślepi, które zgasły, gdy miecz przesunął się pomiędzy nimi. Coś zawyło. Po chwili kolejny Ssi-ruu padł bez głowy.

Wielki błękitny, mocował się z włazem tak długo, aż w końcu zamek poddał się i olbrzym runął na korytarz. Za nim pobiegli inni.

- Co teraz? - krzyknął Dev.

- Nie ruszaj się! - We włazie pojawiły się mechaniczne postacie przypominające trochę R2. Pierwszego androida udało się Luke'owi po prostu przeciąć w pół. Na inne spróbował wpłynąć Mocą. Nie były to prawdziwe androidy, tliło się w nich życie. Jeden z nich wystrzelił dwa ładunki ogłuszające, lecz klinga odbiła je, lokując strzały w napastnika i jego towarzyszu. Oba przeciążone urządzenia wyłączyły się. Luke poczuł ulatniający się z metalowych kadłubów odór. Zapach kojarzył mu się z czymś na wpół zgniłym. Podobnie było z androidami bojowymi, tymi małymi myślącami. Cały statek cuchnął osobliwym, psychicznym rozkładem, drażniąc zmysły Jedi. Napęd jednostki opierał się na fuzji ciężkich pierwiastków, ale systemy zawiadujące wszystkimi funkcjami jednostki wykorzystywały siłę życiową wydartą setkom istotom.

Dev wyczołgał się zza przypominającego maszynę do tortur fotela. Mebel otaczała czarna aura cierpienia tysięcy ofiar.

- Wszystko w porządku? - spytał Luke.

W blasku miecza ciemna skóra Deva przybrała oliwkowy odcień. W dłoniach trzymał ogłuszacz.

- To było wspaniale.

Dobry moment na przyjmowanie wyrazów uznania - pomyślał Luke.

- Dwóch twoich Ssi-ruuków nie żyje.

- Wiem - jęknął chłopak. - Ale jak inaczej...

- Właśnie. Czasem trzeba walczyć, ale nie wolno tego polubić.

Luke miał nadzieję, że jeśli Yoda go słyszy, zdoła się jednak nie rozeźmiać na całe gardło.

- Co robimy?

- Odsuń się.

Luke wsparł się na zdrowej nodze i zamierzył się trzykrotnie na obwieszony licznymi urządzeniami fotel, potem powtórzył zabieg na podejrzanym legowisku. Złom runął na pokład, krusząc kafelki.

- Mają tu tego więcej?

Poczuł strach Deva. Oczy chłopaka się rozszerzyły. Spojrzenie uciekło w kąt.

- Prawie ukończyli następne trzy dziesiątki. Trzydzieści!

- Zbyt wiele czasu zabrałoby zniszczenie wszystkich. Czy tylko te były czynne?

- Z tego, co wiem, to tak. Pomagałem przy...

- Uznajmy zatem, że to były jedyne. - Pot spływał Luke'owi po twarzy. Nie utrudniało to jednak koncentracji w polu Mocy. - Czy na pokładzie też są systemy zasilane ludzką energią?

Nie wiem. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. To możliwe.

- Czuję to. Możesz zaprowadzić mnie do głównej rozdzielni?

- Tak.

Nisko trzymając miecz, Luke podkrał się do włazu i zerknął na korytarz.

- Jest jeszcze sześć androidów, ale Ssi-ruukowie zniknęli.

- Przestraszyłeś ich na śmierć. A może nawet bardziej.

- Dlaczego?

- Za nic nie chcą ryzykować, że umrą poza ojczystymi planetami. To dlatego wykorzystują niewolników do walki w przestrzeni. - De v przykucnął za nim. - Uważaj - szepnął.

- Tylko trzymaj się z tyłu.

W jednej chwili Luke był już po drugiej stronie włazu. Dev krzyknął i cofnął się, gdy pocisk świsnął mu nad uchem, ale Luke odbił mieczem ładunek. Android zadymił.

O jednego mniej. Następna piątka musiała być zaprogramowana inaczej, może na... salwę! Maszynki wystrzeliły równocześnie i Luke musiał się zdrowo napracować, zanim udało mu się unieszkodliwić wszystkich przeciwników.

Dev zagwizdał z podziwem.

- Jeszcze nauczę cię tej sztuczki.

Prawa noga bolała wciąż i mrowiła. Widocznie oberwał na tym stole o wiele mocniej, niż sądził.

- Im szybciej, tym lepiej - odparł gorliwie Dev. - Chcę umieć to samo co ty.

- Najpierw do dyspozytorni - mruknął ucieszony Luke. Dev zgłaszał oficjalny akces, pragnął być Jedi. - Trzymaj się blisko mnie.

Zaczęli skradać się jasno oświetlonym korytarzem.

- W lewo - szepnął Dev.

Luke pokazał się na ułamek sekundy, by sprowokować ewentualnego przeciwnika do otwarcia ognia. Nie było jednak nikogo. Nasłuchując pilnie, ruszył dalej. Część swoich możliwości wykorzystywał do uśmierzenia bólu w nodze.

- Teraz w prawo. Do szybu windy antigrav. Luke potrząsnął głową.

- Tam bylibyśmy bezradni. Ten duży niebieski jest pewnie wciąż na statku. Czy pokłady są połączone schodami?

- Ssi-ruukowie nie używają schodów. P'w'eckowie też nie potrafiliby po nich chodzić. To te mniejsze jaszczury.

- Kolejna grupa niewolników? - spytał Luke, odchrząkując w połowie zdania.

- Tak.

Ssi-ruukom najpewniej obca z gruntu była idea uznania innych ras za równe sobie.

- Czy istnieją inne połączenia między pokładami?

- Nie znam. Zawsze używałem tylko wind.

Luke znowu musiał zająrzeć do niewidzialnego świata. Z miejsca otoczyła go sieć słabej energii życiowej naznaczona tu i ówdzie jaśniejszymi wykwitami istot świadomych. Przed sobą dostrzegł większą, pustą przestrzeń.

- Tędy - szepnął. Ponieważ nie mógł znaleźć żadnych drzwi, wyciął mieczem otwór w ścianie grodzi. Ciągnęła się tam spiralna rampa, przeznaczona zapewne dla androidów lub P'w'ecków. Wokół panowała martwa cisza.

- Dalej.

Dev przełożył przez dziurę nogę, potem głowę... Luke przeszedł za nim. Chłopak pokazał kierunek w dół i Jedi przejął prowadzenie. Noga wciąż zginała się z trudem, mięśnie zdradzały skłonność do skurczów. Dev czuł ból w plecach i rannej dłoni.

W obwodach statku musiały tkwić setki uwięzionych dusz. Luke nie był w stanie przywrócić im życia... ale gdyby tak chociaż uwolnić niektóre z nich, ofiarować spokój...

- Jak daleko jeszcze do dyspozytorni? - spytał Luke po dłuższej chwili meczącego marszu.

- Musimy dotrzeć na osiemnasty pokład. - Dev wskazał na symbol widniejący na wąskim włazie. - Teraz jesteśmy na siedemnastym.

Jeszcze kilka otępiających obrotów wokół osi rampy i znowu właz.

- Tutaj?

- To jest to.

Luke wyczuł po drugiej stronie grodzi obecność obwodu zasilanego energią życiową. Nawiązał z nią kontakt, ożywiając niemal uśpioną wolną wółę uwięzionej istoty.

Właz otworzył się.

Skywalker wy dostał się z trudem na kolejny pusty korytarz. Gdy Dev go minął, Jedi obrócił się i zniszczył mechanizm zawiadujący włazem. Uwięziona dusza jęknęła krótko.

Jeszcze jeden uwolniony.

Dev przyjrzał się napisowi na ścianie.

- Myślę, że to tutaj.

- Nie byłeś tu nigdy?

- Nie. - Dev wzruszył ramionami.

- No dobrze.

Zza następnej ściany dochodził intensywny odór psychicznego rozkładu. Luke już miał przekroczyć próg, gdy coś zalśniło w pomieszczeniu. Odskokzył.

- Co jest? - spytał Dev.

Luke przyjrzał się przewodowi biegnącemu pod sufitem i przechodzącym na drugą stronę pomieszczenia.

- Pojęcia nie mam, ale wygląda na jakiś silny wzmacniacz, do którego podłączone są te na wpół żywe obwody.

Oderwał kawałek materiału od tuniki, rzucił go na pokład i silnym dmuchnięciem skierował do wnętrza dyspozytorni.

Szmatka poleciała do przodu i po chwili buchnęła niebieskawym płomieniem, spalając się na węgiel.

Sh'th'ith obejmował błękitnymi pazurami pulpit z ekranem przedstawiającym stan bezpieczeństwa na pokładach jednostki.

- Jest - powiedział do stojących za nim P'w'ecków. - Znaleźliśmy go. Pułapka obezwładniająca przed dyspozytornią.

Pstryknął przycisk łączności wewnętrznej.

- I jak tam? - spytał Firwirunga, który zwił się w sąsiednim laboratorium.

- Gotowe. Nie utrzyma Jedi przy życiu równie długo, jak poprzednia, ale wystarczy do chwili, gdy wymyślimy coś lepszego. Nie zdąży się zbyt zmarnować.

Chociaż ranny, Firwirunga zdawał się pałać żądzą odwetu za okaleczenie. Wykorzystując standardowy fotel i części zapasowe ukończył właśnie z pomocą małych jaszczurów drugą instalację. Mogli zaczynać. O ile tylko Sh'tk'ith zdoła podporządkować sobie Jedi... Niemniej wciąż istniała szansa na zwycięstwo.

Sh'tk'ith wywołał szalupę admirała Ivpikkisa.

- Prawie go osaczyliśmy. Wysłałem trzy grupy P'w'ecków na pokład szesnasty. Gdy tylko się z nim uporamy, będziemy mogli zacząć wystrzeliwanie androidów.

- Dobrze. - Podległe Ivpikkisowi patrolowce Ssi-ruuvi wciąż osłaniały „Shriwirr”.

- Obce krążowniki wystrzeliły już wszystko, co miały na pokładach.

- Firwirung przypuszcza, że uda mu się dokonać połączenia energii Sibwarry i tego Jedi.

- Zachowajcie obu przy życiu. Gdy uporamy się już z Bakurą, za Sibwarrę będzie można dostać całkiem niezłą cenę.

Sh'tk'ith sięgnął do torby po promiennik i gwizdnął na rozszczebiotanych P'w'ecków.

- Za mną!

Han był zajęty naprowadzaniem „Sokoła” na pozycję, którą wyznaczył mu komandor Thanas, gdy dziewięć patrolowców Ssi-ruuvi przyjęło kurs bojowy. Frachtowiec wykonał kilka gwałtownych manewrów, ścigając miniaturowe myśliwce i przeciążając energią wystrzałów mizerne tarcze. Było ich tak dużo, że udało się nawet usmażyć kilka w płomieniach dysz głównego napędu. Chewbacca próbował zreperować 3PO, Leia obsadziła dolną wieżyczkę. Ale gdzie podziewał się Luke?

- Gdzieś w przestrzeni - utrzymywała Leia.

- Ale nie na pokładzie „Szkwału” - wtrąciła się Tessa Manchisco.

Nad nimi przemknęły trzy myśliwce TIE. Han zacisnął pięści. Może i byli to sojusznicy, ale nie miał zamiaru darzyć komandora Thanasa zaufaniem ani chwili po tym, gdy uda się wreszcie pokonać fleciaki. Zaskoczeni w trakcie manewrów przedinwazyjnych obcy zachowywali się nieco chaotycznie. Nie zdołali nawet użyć promieni wiodących i zbijających statki z kursu. Jedna z wielkich jednostek Ssi-ruuvi wystrzeliła już kilkanaście ładowników. Utworzyły teraz pierwszą linię ataku, chociaż były mało zwrotne i dysponowały silnikami niedużej mocy. Han nie dostrzegł na razie żadnych śladów funkcjonowania nowej, tajnej broni Imperium, ale chciałby mieć jedno DEMP na pokładzie.

Trzy wielkie krążowniki fleciaków płynęły majestatycznie nad Bakurą, kiedy Han zbliżył się do jednego z nich, zewnętrzne kanały łączności momentalnie wypełniły się szumami. Trwało zagłuszenie.

- Jak idzie? - spytał Chewie'ego. Wookie mruknął, że całkiem nieźle. - Dobra, oby tak dalej. Leia, gdzie jest Luke?

- Tam! Na pokładzie tego olbrzymiego krążownika - krzyknął mu w słuchawkach głos Lei. - Szybko, przekaz naszym, by go nie atakowali!

Na pokładzie tego krążownika, który właśnie minęli? Han wzmocnił rufową tarczę, odbił ogień kilku patrolowców, które mierzyły do „Sokoła”, i rozbił jeden ze stateczków na atomy.

- Co on tam robi?

- A skąd mam wiedzieć!

- Patrzcie! - krzyknął ktoś, kiedy wróciła łączność z resztą sił. Krążownik wystrzeliwuje pospiesznie wszystkie swoje wahadłowce i kapsuły ratunkowe. Kto żyw umykał z pokładu.

- Masz rację - mruknął Han. - Luke jest tam.

Luke spojrział na zwęglony kawałek tkaniny.

- Nigdy za dużo ostrożności.

- Pułapka ogłuszająca - powiedział Dev. - Pozwoli przejść Ssi-ruu, ale nas najpewniej zabije.

Luke zlokalizował kabel zasilający barierę. Przebiegał po ścianie mniej więcej na wysokości ramienia. Za daleko na cios, a nawet rzut mieczem. Dzięki osobliwej energii

zawiadującej wszystkimi ważniejszymi funkcjami statku obwody dawały się łatwo wysledzić i Luke z każdą chwilą nabierał wprawy w panowaniu nad obcą technologią. Musnął delikatnie polem Mocy centrum kontrolujące pułapkę. Był zmęczony, więc pierwsza próba się nie powiodła, ale po chwili zdołał pokazać, czego naprawdę chce. Potem obiecał wyzwolenie... Zniwoloną psyche jakby drgnęła...

- Szybko, Dev! - Luke skoczył przez próg, Dev pobiegł za nim. Nic ich nie poraziło.

Luke nagle przystanął.

- Chwilkę. - Musiał dotrzymać obietnicy. Wetknął miecz w maszynię i usłyszał pełne ulgi i wdzięczności westchnienie.

Pułapki powtarzały się co sześć metrów. Przy każdej musieli przystanąć, każda wymagała osobnego potraktowania. Narastało zmęczenie, a czasu było coraz mniej.

Doszli do rozwidlenia. Ich korytarz skręcał łagodnym łukiem w prawo, drugi, o wiele węższy, odbijał w lewo. Z góry sączyło się żółte światło. W suficie widniał zamknięty, metalowy właz.

Pułapka! - krzyknęły zmysły Luke'a. Ostrożnie zerknął w prawą odnogę, potem wrócił, by posłuchać, co się dzieje na górze. Wydało mu się, że wyczuwa tam czyjaś obecność...

Zdławiony krzyk Deva kazał mu się odwrócić. Ujrzał, jak kłapa w suficie otwiera się i P'w'eck skacze na dół, łapie chłopaka i przykładą mu pazur do gardła. Dev pochylił się i strzelił ponad ramieniem do tyłu. Mały jaszczur padł na pokład, zostawiając na szyi chłopaka cienki, krwawy ślad.

Wiedziony podświadomością, Luke obrócił się na pięcie i zadał cios mieczem. Dwóch następnych P'w'ecków pojawiło się jakby z powietrza, ale po chwili padli z krzykiem. Kolejni tłoczyli się w otworze, uczynionym chyba naprędce, bo nie było tam włazu. Zasypywali Luke'a błękitnymi ładunkami z blastera, strzelali, żeby ogłuszyć. Klinga odbiła ładunki na ścianę i na samych strzelców. Dev krzyknął i padł na pokład. Luke nie widział, co ugodziło chłopaka.

- Dev!

Przez właz zeskoczył wielki, błękitny jaszczur. Gwizdał przy tym i pokrakiwał. Strzelił ciągłym, srebrzystym promieniem, który Luke odchylił w kierunku jednego z P'w'ecków stojących we włazie. Ten padł bezwładnie. Błękitny posuwał się cały czas w kierunku Skywalkera, patrząc jedynie na swój cel, dzięki czemu Dev mógł posuwać się za olbrzymem. Luke zanurkował w zalany żółtym blaskiem korytarz i ponownie odchylił wiązkę ogłuszającą. Błękitny był groźny, mógł zahipnotyzować, nawet na dość dużą odległość. Niewrażliwy na Moc, sam roztaczał ponurą, czarną aurę. Zupełnie jak cień, który zalegał w pamięci Deva.

Chłopak podniósł się. Stojąc za plecami olbrzyma, wystrzelił. Mierzył w nasadę ogona. Obcy chciał się jeszcze obrócić, ale upadł z bezwładnymi nogami. Luke runął ku niemu z mieczem w dłoni, ale Dev był pierwszy. Przytknął ogłuszacz do łba obcego i wystrzelił. Błękitny szarpnął się i wrzasnął, kończąc dziwnym bulgotem. Dev przejechał jeszcze promiennikiem po jego czaszce. Pozostali napastnicy uciekali coraz

dalej, pokrzykując w głębi korytarza. Luke z trudem odetchnął. Poczł drapanie w gardle. Zakaszłał.

Dev usiadł na korpusie Błękitnego i kopnął go. Nie było żadnej reakcji. Wówczas chłopak puścił promiennik i schował lewą dłoń pod prawą pachą.

- Uchyliłem się, ale udało, że mnie dostał. Bałem się walczyć - powiedział zdyszany. - Nie masz ze mnie żadnego pożytku. - Zadrapanie na szyi z wolna ciemniało. Luke dotknął zranionego miejsca. - Nic takiego. Płytkie zadrapanie pazurem - stwierdził Dev.

Błękitny leżał nieruchomo, tylko wąski, czarny język wysunął się z jednego nozdrza i drgał spazmatycznie.

- Ogłuszony? - spytał Luke.

- Martwy. - Dev spojrzał Jedi w oczy.

Luke ujrzał w nich ból, poczucie winy i triumfalną radość.

- Kto to był?

- On mnie... tresował. - Dev spojrzał na szare kafelki podłogi. - Ale moim panem był Firwiring, ten nieduży, brunatny z literą V na łbie. Ten, któremu odciałeś łapę. Jest naprawdę niebezpieczny. Jeśli cię złapie, to koniec z nami. Koniec z nami wszystkimi.

- Dlaczego? Nie wyglądał mi na głównodowodzącego.

- On zawiaduje transferem.

- Zawsze używali takich androidów?

- Przez stulecia wykorzystywali starych P'w'ecków, ale ludzie wytrzymują dłużej. Chciał cię zmusić, żebyś wyławiał ludzkie umysły na odległość. Ssi-ruukowie marzą o tym, by opanować całą znaną przestrzeń. Nie mam pojęcia, ile statków liczy flota oczekująca daleko stąd na sygnał o upadku Bakury.

- Ci tutaj to tylko zwiad? - spytał zaniepokojony Luke. Dev przytaknął i Skywalker wyczuł jego wstyd.

- Uwier mi, Firwiring ostrzy na ciebie zęby.

A chłopak pomógł mu w przygotowaniach... A zatem tak to wyglądało. Luke wreszcie złożył kawałki łamigłówek. Nic dziwnego, że Dev chciał go udusić. Wolał zabić przyjaciela, byle tylko pokrzyżować plany Ssi-ruuków.

- No cóż - wykaszał Luke. - Zróbmy swoje, nim zbiegnie ich się tu więcej.

- Dobrze się czujesz?

Znów kaszel. To chyba ów gadzi odór tak drażni mu nos i gardło.

- Ten smród. Ty pewnie już przywykłeś. Chodźmy. Dyspozytornia była pełna pulpików kontrolnych i przewodów, ale Luke bez kłopotów odszukał centralny moduł. Chimeryczna, pozorna aura życia była tu tak potężna i odrażająca, że aż go odrzuciło. Setki istnień trwały tu w stanie chronicznego okaleczenia. Można było odróżnić te niedawno uwięzione. Wykazywały więcej aktywności od wygasających z wolna starych, którzy przebywali tu zamknięci od niepamiętnych czasów.

Głębokim zamachem Luke przeciął urządzenie na pół, potem powtórzył cios pod innym kątem. Kakofonia umilkła.

Ostrożnie się rozejrzał. Panował dziwny spokój.

Czy nie zamienił w ten sposób krążownika w śmiertelną pułapkę?

Światła pod sufitem lśniły tak jak przedtem, nie odciął zatem zasilania. Pozostawało mu śledzić przebieg zwykłych kabli.

- Dev? Możesz coś z tego odczytać? - wskazał na pozostałe pulpity.

Po pospiesznej konsultacji, doszli do wniosku, że napędy jonowy i hiperprzestrzenny pozostały sprawne. Zerwał jednak połączenie między dyspozytornią a mostkiem.

- Dziwne - mruknął Dev.

Luke omiół spojrzeniem pulpity. Nie zniszczył statku, nie i zginą więc w martwym, stygnącym kadłubie, ale uszkodzenia były i tak dość poważne. Znów zakaszał. Mieli czym oddychać, mieli broń i łączność. Brakowało środków medycznych. A przydałoby się coś na ożywienie zdrtwiałych mięśni nogi, a także maska, która odsiewałaby z powietrza coś, co tak drażni mu gardło. Będzie musiał jeszcze trochę pocierpieć, zanim uda im się stąd wydostać. Ale może to już niedługo, szczególnie jeśli udało się pokonać Ssi-ruuków.

- Poszukajmy jakiegoś środka transportu - powiedział, odstępując od pulpitu.

Dev poprowadził go teraz do służ cumowniczych. Pusto, nie było nawet skradzionego imperialnego wahadłowca.

- Opuścili statek - mruknął Luke. - Uciekli przed straszliwym Jedi i jego potężnym sprzymierzeńcem.

Dev rozłożył szeroko ramiona.

- Zatem to jest nasza łódź ratunkowa. Zaprowadzę cię na mostek.

Luke wykaształ nieco flegmy.

- Nic innego nam nie pozostało - odparł niechętnie.

- Przykro mi z powodu tych nowych działań - powiedział Han, ale jakoś bez żalu.

Oba egzemplarze zawiodły, uszkadzając patrolowiec i pozostawało cieszyć się, że żadne z nich nie zostało zamontowane na „Sokole”.

- Wojna pociąga za sobą ofiary - odparł Thanas. - Dotyczy to również komandora Skywalkera. Podziwiałem go.

- Co się stało? - Leia włączyła się na ich częstotliwość.

- Gubernator właśnie nas zawiadomił. Obcy porwali komandora.

- Nie skreślałabym go tak łatwo - powiedziała Leia zdecydowanym głosem.

Han wciągnął powietrze. Poczul swąd spaleniźny... Zwarcie? Trzymaj się, malutki!

- Wasza Wysokość - stwierdził Thanas nieco łagodniejszym tonem. - Mam rozkaz, aby zniszczyć ten krążownik, o ile obcy nie rozpoczną odwrotu.

- Co? - krzyknęła Leia.

Włos zjeżył się Hanowi na karku. Już tylko cztery patrolowce zagradzały Thanasowi drogę do krążownika, a „Domina - tor” dysponował wystarczającą siłą ognia.

- Dlaczego? - spytał.

- Groźba epidemii, generale. Nie znam szczegółów, ale nie zwykłem kwestionować rozkazów. To gra niewarta świeczki.

Leia wyskoczyła z dolnej wieżyczki.

- Nie zawsze. Radzę zaryzykować. Proszę zaniechać ataku, komandorze.

Nie wierzyła w żadną zarazę, Han podobnie. Gubernator łaknął zemsty, to wszystko. Han wytropił wreszcie smuzkę dymu sącząca się z pęku kabli na ścianie i odciął uszkodzony obwód. „Sokół” był tak bogato wyposażony, że wyłączenie kilku nawet systemów w niczym nie upośledzało statku.

Komandor Thanas zajął się własnymi siłami.

- Dywizjony dziewiąty do jedenastego, przechwycić kapsuły ratunkowe - rozkazał ostrym tonem.

- Ależ oni są bezbronni - zaprotestowała Leia.

- Tego nie możemy wiedzieć na pewno - odparł chłodno Thanas. - Niektóre cywilizacje uzbrajają nawet kapsuły ratunkowe.

- Standardowa imperialna procedura? - spytała zaczepnie Leia. - Dobić rannych, żeby oszczędzić na leczeniu?

- Androidami tak się pani nie przejmowała. Tam też są żywe istoty.

- Uwięzione. Nieodwołalnie. Można je jedynie zabić, by skrócić cierpienia.

- Zgadzam się - powiedziała kapitan Manchisco z pokładu „Szkwału”.

Pomagała imperialnemu patrolowi zagnać lekki krążownik obcych w zasięg wiązki wiodącej „Dominatora”.

- A obcy, Wasza Wysokość? - nalegał Thanas.

Leia musiała chyba zacisnąć mocno zęby, bo głos jej brzmiał nieco dziwnie.

- Walczymy o przetrwanie mieszkańców Bakury, a zapewne i innych światów, komandorze. Samoobrona usprawiedliwia niejedno, ale nigdy masakrę bezbronych.

Thanas nie odpowiedział. Dywizjon większych myśliwców Ssi-ruuvi okrążył „Dominatora”. Turbolasery krążownika wyeliminowały już dwie jednostki wroga.

- Próbuje dalej, Leia - mruknął Han na wewnętrznym kanale. Nagle Chewie zawył mu w słuchawkach. - Wspaniale. Do górnej wieżyczki.

- Co? - krzyknęła Leia.

- Threepio znów działa. Tylko nie pytaj, co mu było. I tak przy najbliższej okazji zaleje nas potokiem swojej mowy. Daliśmy Imperium program tłumaczący mowę fleciaków, teraz sami też go mamy.

Leia jęknęła.

- A jak Luke?

Han ostrzelał następne skupisko miniaturowych myśliwców, trafiając dowódcę. Na drugi raz zastanowią się, zanim podlecą tak blisko. Jeden z krążowników wypuścił kolejną chmurę androidów.

- Wciąż w porządku - mruknęła Leia. - Właśnie uporał się z większym skupiskiem tej na wpół martwej energii... - W tym momencie przemówiły górne działka.

- Zapomnij o tych trutniach, kochana. Skoncentruj się na swoim bracie. Ostrzeż go przed zamiarami Thanasa.

- Próbuje!

- Niech Threepio puści to na ich częstotliwości. Niech coś wymyśli. - Han zacisnął zęby. Luke poszedł samotnie do pałacu Jabby. Sam wyratował Hana, Leię i Lando, dosłownie wrywając ich z piaszczystej paszczy sarlaccia. Wydawał się wszechmocny, ale też przecież mógł się potknąć. Pozostawało mieć nadzieję, że wie, co robi.

Co ja robię? - Zadał sobie pytanie Luke. Krążył utykając po mostku „Shriwirr”, półkoliste pulpity ciągnęły się od podłogi po sufit, pełno było na nich niezrozumiałych symboli. Do tego kilka wolno stojących modułów, nigdzie jednak nie zauważył krzesła czy ławy. Jedna z zakrzywionych ścian służyła za okno.

- Wiesz, do czego służy to wszystko?

- Mogę ci tylko odczytać napisy. Nic więcej.

- To jest zapłon - mruknął Luke. Nagle coś odwróciło jego uwagę. Cofnął się o krok i włączył miecz.

- Co jest? - szepnął zaniepokojony Dev.

- Nie wiem. - Luke powoli przysunął się do włazu. - Może mi się zdawało.

- Wątpię.

Dev zostawił otwarte drzwi. Luke był coraz bliżej, wyczuwał obecność obcych.

- Dev! - krzyknął. - Schowaj się.

Do środka wpadł P'w'eck. Luke odciął mu łapę z blasterem. Zauważył zwisający na szyi jaszczura, zawieszony na łańcuszku granat gazowy. Przerwał łańcuszek i siłą woli cisnął granat z powrotem na korytarz, zanim przeciwnicy zdolali zatrzaskać właz. Na zewnątrz rozległ się stłumiony huk. Okaleczony P'w'eck pobiegł, zawodząc, na drugi koniec pomieszczenia.

- Porozmawiaj z nim. - Luke odetchnął kilka razy głęboko, by zapobiec następnemu atakowi kaszlu. - Powiedz mu, że nie chcę go skrzywdzić. Jeśli nam pomoże, to damy sobie radę z tym statkiem.

Dev wyszedł spod centralnego pulpitu i zaczął do jaszczura. Tamten zawahał się, potem rzucił się po blaster. Luke przyciągnął broń do siebie.

- Powiedz mu, że dopóki gaz nie ulotni się z korytarza, nikt więcej tu nie przyjdzie.

Dev poszczebiał trochę, ale P'w'eck potrząsnął głową. Luke zastanowił się, czy sam mógłby wpłynąć na obcego. Nie wiedział jednak, jak się do tego zabrać. Ta istota nie myślała w standardowej mowie.

Luke rzucił Devowi blaster jaszczura.

- Nie dałoby się go jakoś unieszkodliwić? Żeby nam nie przeszkadzał?

Dev zmarszczył brwi. Po chwili strzelił obcemu w głowę.

- Ej że! - krzyknął Luke. - Nie zabijaj nigdy bez potrzeby.

- Zamordowałby nas przy pierwszej okazji. Mamy tylko kilka minut. Do dzieła!

- Uważaj - rozbrzmiał głos w prawym uchu Hana. Należało wzmocnić prawoburtową tarczę. Kombinowane siły Sojuszu i Imperium zamknęły już prawie krąg wokół dwóch kolejnych krążowników obcych, ale Ssi-ruukowie wciąż stawiali opór.

Przestrzeń iskrzyła się od statków, tarcz i wystrzałów. Kluczowe pozycje ataku obsadzone były przez jednostki rebeliantów, tak jak obawiał się tego Han.

- „Dominator” do „Sokoła”. Wypełnić lukę w punkcie zero - dwa - dwa.

„Dominator” odparł wprawdzie bezpośredni atak, ale dryfował obecnie na prawą burtę. Han uśmiechnął się domyślnie, zapewne naprawione niedawno boczne silniki manewrowe znów zawiodły. Może Luke zyska jeszcze chwilę spokoju. Skierował „Sokoła” ku północy wyznaczonej względem osi układu planetarnego. Luka w szeregach była dostatecznie duża, by zmieścić się w niej gwiazdny niszczyciel.

- Wykonane - zameldował Thanasowi. - Do grupy Czerwonych i reszty. Za mną.

Sfóra myśliwców typu X dołączyła do „Sokoła”, za nimi nadleciało pięć maszyn typu TIE. Skrzydła zajęły swoje miejsca po bokach frachtowca.

- Do „Dominatora” - rozległ się zaniepokojony głos. - Kontratakuj! Zbyt wielka siła ognia jak na moje...

Cisza. Han strzelił stawami palców. Nie cierpiał, gdy ginęli młodzi piloci. Straty rosły, ale i Ssi-ruuków było coraz mniej. Ludzie nie dawali łatwo za wygraną.

Trafiony patrolowiec Imperium nie odpowiedział na wezwanie.

- „Sokół” do „Palca Sześć”. Co z wami? Przyspieszył chwytliwie i staranował lekki krążownik obcych.

Jeszcze godzinę później Han musiał się zdrowo natrudzić, by ominąć szczątki pozostałe po tej eksplozji. Thanas krótko trzymał swoich pilotów, przejął inicjatywę w bitwie.

Na konsoli łączności zapaliło się małe światełko. Oznaczało to, że fleciaki rozgadały się przez radio. Han włączył ekran, by spojrzeć na tłumaczenie. Thanas pewnie uczynił to samo ciekaw, czy obcy dojrzeli do odwrotu. Rebelianci nie mieli takiej możliwości.

Ekran rozjarzył się nagle rozkazem z pokładu flagowej jednostki fleciaków. Tekst był powtarzany raz za razem: Zerwać kontakt. Zerwać kontakt. Odwrót. Zerwać kontakt...

Han uderzył dłonią w wyłącznik, odcinając częstotliwości imperialnych.

- Do wszystkich jednostek Sojuszu - rozkazał. - Fleciaki zmykają. Tarcze na pełną moc, uważać na Imperialnych. Wszystkie dywizjony, oddalić się od myśliwców Imperium. Manchisco, jesteś w strefie rażenia „Dominatora”. Zwiewaj stamtąd!

- Wycofują się? A co z Luke'em? - spytała Leia. - Wciąż tam jest? Nie można strzelać do tego krążownika.

Han przełączył całą moc na tarcze.

- Nie strzelamy pierwsi do Imperialnych - przekazał pozostałym. - Też coś, pomyślał, sumienie przemytnika... Pora wycofać się z zawodu. Sojusz musiał mieć na niego zły wpływ. - Nie wiemy, kto panuje nad tym krążownikiem - dodał. - Wciąż towarzyszą mu cztery patrolowce.

Krążownik, na którym znajdował się Luke, był jedynym statkiem obcych, jaki nie podjął odwrotu. Wszystkie inne jednostki uciekały, ile mocy w dyszach.

„Sokół” zadrzał. Fala uderzeniowa zakłóciła na chwilę pracę przyrządów. Chewbacca skulił uszy. Blask drugiej salwy „Dominatora” zalał kabinę. Han zamrugał powiekami.

- „Szkwał” - krzyknął. - Manchisco! Manchisco! Żyjesz? „Szkwał” dryfował w ciszy. Był już tylko martwym, rozprutym wrakiem.

- Dostali ją - mruknął Han. - Nasz jedyny krążownik. Wielkie nieba, Manchisco.

Zacisnął pięści, wściekły na Thanasa. W myślach podziękował Chewie'emu za wzmocnienie zasilania tarcz. Gdyby tylko mógł zniszczyć „Dominatora”, uczyniłby to z ochotą. Gdyby nie ten głupi pomysł, by nie otwierać ognia... Po co właściwie woził te wszystkie działa na pokładzie?

- Cóż, generale - odezwała się Leia. - Przejmujesz dowodzenie.

Han włączył się z powrotem na częstotliwość operacyjną.

- Serdeczne dzięki, Thanas - krzyknął. Wrócił na kanał rebeliantów. - Sami widzieliście. Imperium zerwało rozejm. Wszystko wróciło do normy. Pamiętacie Gwiazdę Śmierci? Dołączyć formacjami do „Sokoła”.

- „Sokół”, tu dowódca Czerwonych. Jesteśmy około tysiąca standardowych jednostek od was. Wkoło pełno TIE.

- Wciągnąć ich do walki - szczechnął Han. - Indywidualne pojedynki. Wedge, gdzie jesteś?

Największy krążownik Ssi-ruuvi odwrócił się niezgrabnie. Patrolowce wciąż trwały przy nim. Jak tu pomóc Luke'owi... Może Jedi zastraszył załogę i opanował jednostkę, a może... Cokolwiek by się nie wydarzyło, nie miał wpływu na cztery okrążające przyjaciela patrolowce.

Tymczasem kolejny, owalny w kształcie krążownik obcych wykonał zwrot. Inny skoczył w nadprzestrzeń na ślepo, bez dokonania koniecznych obliczeń. To była paniczna ucieczka.

- Po drugiej stronie planety. To moja ostatnia pewna pozycja - odezwał się wreszcie Wedge. - Ledwie was słyszę przez satelitę. Chwilę... - Kilka sekund ciszy. - Duża aktywność TIE w sektorze osiem - dziewięć - dwa - dwa. Można sprawdzić, co się tam dzieje?

- To „Dominator”! - krzyknęła Leia. - Wybrał drogę dookoła planety!

Prerażony rozmiarami strat Han zebrał ocalałe myśliwce rebeliantów. Ledwo dwa dywizjony w luźnym szyku. Spojrzał na miotający się niezgrabnie krążownik obcych.

- Leia? Powiedz Luke'owi, że mamy kłopoty.

- Cały czas próbuję się z nim skontaktować!

ROZDZIAŁ 19

Gaeriela aż krzyknęła z radości, gdy flota obcych rzuciła się do ucieczki. Zaraz jednak wszystkie srebrzyste punkty na projekcji Nereusa zmieniły barwę na czerwoną i zaczęły gasnąć jeden po drugim. Dziewczyzna zerwała się z fotela.

- Ależ oni nie...

- Co nie, pani senator? - spytał gubernator, obracając w dłoni ciężki puchar z nektarem.

- Atakują... zawrócić... rebelianci... - wyjąkała. Umykający Ssi-ruukowie najpewniej wciąż więzili Luke'a, który umierał, nawet o tym nie wiedząc. Wciągnęła głęboko powietrze, miała nadzieję, że Nereus nie zda sobie sprawy, dlaczego jest tak niespokojna.

- Gubernatorze - powiedziała normalnym tonem. - W imieniu moich wyborców zmuszona jestem złożyć formalny protest przeciwko działaniom podjętym przez flotę, która, jak rozumiem, wykonuje pańskie rozkazy. Żołnierze Sojuszu ryzykowali dla nas życiem, niektórzy zapłacili nawet najwyższą cenę, walcząc z Ssi-ruukami. I to ma być wdzięczność?

- Twoich wyborców? - uśmiechnął się blado Nereus. - Zdążyłaś się z nimi skontaktować? Kto nauczył cię telepatii?

Zignorowała to zakamuflowane oskarżenie.

- Moi ludzie wdzięczni są Sojuszowi za pomoc. Nie pragnę wcale, byśmy...

Pisnął komunikator.

- Tak? - spytał Nereus.

- Gubernatorze, czujniki informują, że około trzydziestu ludzi zebrало się pomiędzy Dziesiątym Kręgiem i Ulicą Wysoką i nadciąga tam ich coraz więcej.

- A co mnie to obchodzi? Rozpędzić - warknął. Gaeriela zerknęła na swoje dłonie. Drżały. Opanowała się błyskawicznie. Gubernator przerwał połączenie i upił łyk z pucharu.

- Pomoc rebeliantów to już przeszłość. Musimy myśleć o tym, co nadejdzie. Czy zastanowiłaś się, co czekałoby Bakurę, gdyby Centrum dowiedziało się, że przyjęliśmy ofertę Sojuszu?

Gaeri nie odpowiedziała. Eppie Belden wzniecała powstanie, przygotowywała mieszkańców miasta na powrót szturmowców. Nie wolno teraz myśleć o Luke'u... chociaż, gdyby wcześniej pomogła mu zamiast przeszkadzać, może wówczas Bakura byłaby już wolna.

Ale jak zdołaliby odeprzeć Ssi-ruuków bez pomocy obu połączonych flot? Jaką to sztukę zgotował los?

Nereus wziął do ręki kryształ z ludzkimi zębami.

- Nie spróbowałaś nawet nektaru, kochana. Czyżby jej groził?

- Gardło mnie boli.

- Rozumiem. To musi być przykre. Przepraszam. Nie zamierzałem ci dokuczyć.
- Czy jest coś, czego by pan nie zrobił... - by dokuczyć, chciała powiedzieć, ale rozmyśliła się w ostatniej chwili - ... dla Imperium?

- Ty też zawsze wspierałaś nasze starania. Słyszałem, jak gorąco przemawiałaś za gospodarczym powiązaniem Bakury z Imperium.

- Owszem, mówiłam o tym. Znam język dyplomacji. Język zdrady - pomyślała.

- Nie zapomnij, że twoja edukacja na innych światach była sponsorowana przez Imperium.

- I ja, i moja rodzina nie raz wyraziliśmy swoje podziękowania.

- Nie zaczęłaś nawet jeszcze spłacać tego długu. Gdy będę miał chwilę czasu, zajmę się znalezieniem dla ciebie miejsca wśród mojego osobistego personelu. - Przymrużył oczy.

Jeśli rewolta się powiedzie, będą to tylko czcze słowa. W przeciwnym razie przyjdzie jej służyć w imperialnym mundurze. Będzie musiała konspirować. Ile też Leia Organa musiała wycierpieć, kiedy była senatorem?

Gubernator przyjrzał się obrazowi przestrzeni otaczającej planetę. Czerwonych znaczków było teraz znacznie mniej.

- Czy rozkazał pan komandorowi Thanasowi wybić ich wszystkich? - spytała z goryczą w głosie.

Nereus zmiotł jakiś niewidoczny pyłek z blatu.

- Tak. Dla bezpieczeństwa mieszkańców planety. Komandor Skywalker to co innego. Larwy zaczną niedługo rozsiewać jaja. Potrzeba świeżej krwi skłoni je do migracji w kierunku serca. Nie będzie długo cierpiał. Aorta jest bardzo blisko oskrzeli. Zapewne obcy zabrali go ze sobą, wątpię, by zniszczyli ciało zbyt szybko, starczy przecież jeden dzień, by trójniak zaraził Ssi-ruuków. Same larwy nie żyją długo, ale szybko i bujnie się mnożą. Nam już nie zagrażają. Twoi wyborcy powinni być mi wdzięczni. I ty także.

Nic, ani mądrość dyplomaty, ani strach przez Nereusem, ani nawet ocalenie przez zarażeniem, nie były w stanie skłonić dziewczyny do podziękowania gubernatorowi za zamordowanie Skywalkera. I Lei Organy, i rebeliantów, którzy przyszli Bakurze z pomocą. Gdy mieszkańcy planety pojmą, co się zdarzyło, gubernator będzie potrzebował kilku dywizji, żeby stłumić powstanie. Zwycięstwo było blisko.

Luke uratował ją przed porwaniem, a ona nie mogła mu się odwdziżyć. Równowaga jej życia uległa zakłóceniu. Gaeriela pogładziła palcami wisiołek i pomyślała, że być może czeka ich najgorsze: długa, krwawa wojna. Bakuriańska odwaga przeciwko imperialnej technologii, aż... uda im się uwolnić planetę od Nereusa. Na razie jednak zmusiła się do spokojnego oczekiwania na rozwój wypadków.

Han nie potrzebował raportów głównego komputera, by stwierdzić, że przegrywają. Zdołał zgromadzić w pobliżu frachtowca kilkanaście myśliwców typu A i typu X. Niezależnie od wszelkich wysiłków, nie miał szans wyrwać się siłom Imperium, które zdołały tymczasem otoczyć ich formację. Thanas usiłował wyjść ze strefy rażenia „Dominatora”, uszkodzony i powolny krążownik wciąż dysponował

częścią uzbrojenia. Sprawne baterie zapewne brały go już na cel, a „Sokół” gonił resztką sił. Trzeba by wyłączyć na pewien czas wszystkie systemy i poczekać, aż kondensatory znów się naładują.

- Dobra, Leia. Przyznaję, że twoje złe przeczucia się sprawdziły.

Zamarkował atak na myśliwiec. Zaraz pojawił się jego większy brat, patrolowiec z osmalonym poszyciem. Han się wycofał.

- Koniec z nami. Nikt się nie uratuje, chyba że ktoś wpadnie na jakiś genialny pomysł... i to szybko.

- Musi być jakaś szansa - odparła Leia z dolnej wieżyczki. Wystrzeliła, ale ładunek był zbyt słaby. - Może jednak...

- Masz do czynienia z Imperialnymi. Każdy z nich jest wystarczająco ważny by wydawać rozkazy, uznaje się za pana życia i śmierci.

- A co z Luke'em? Zostawiamy go?

- Może jest już po sprawie... - odparł ponuro Han. - Thanas tak ustawił krążownik, by zdryfować w pobliże jednostki fleciaków.

Chewie ryknął z górnej wieżyczki.

Hanowi coś się przypomniało. Jakaś gra sprzed wielu lat. Partia rozegrana daleko, pod innymi gwiazdami. Coś zaiste genialnego...

- Gdybyśmy tak wyeliminowali „Dominatora”, to nasze myśliwce mogłyby się wyrwać i rozproszyć.

Leia poczuła nagle, że w wieżyczce jest zimno.

- Jasne. Ale jak to zrobić?

- Spójrz na tamten patrolowiec. Szesnaście stopni na północ. Jeśli zanurkujemy pod kątem dwudziestu stopni i staranujemy go, to wyłamię się z formacji i uderzy „Dominatora” w rufę. Tylko „Sokół” dysponuje wystarczającą masą, by to zrobić. Thanas sobie na to zasłużył.

- Krążowniki klasy Carrack mają generatory w rufowym sektorze za śródkręciem.

- Właśnie. Będzie niezły wybuch. Leia poczuła się dziwnie.

- Liczę, że dobrze przygotujesz ten karambol. Czy komputer nawigacyjny mógłby to wszystko obliczyć dokładnie?

- Właśnie to zrobił. Przy pełnej mocy na tarczach dziobowych utrzymywanej niemal do samego końca powinno nam się udać. Oczywiście „Sokół” tego nie przetrzyma.

- Oczywiście... - Leia stuknęła palcami w celownik. Luke? Coś usłyszała. Zrozumiała z tego tyle, że brat jest nadzwyczaj zajęty i bardzo się spieszy.

- Słuchajcie - odezwał się Han na częstotliwości operacyjnej. Tym razem przemawiał naprawdę jak generał. - Ustawić się w szyk za „Sokołem” i przygotować do ucieczki w otwartą przestrzeń. Wracajcie do domu, od tej pory każdy musi sobie radzić sam. Nie wchodzić w nadprzestrzeń bez towarzystwa kogoś z komputerem nawigacyjnym na pokładzie.

Lata całe zabierze im ten powrót, ale powinno się udać.

- Rozniecacie płomień rebelii. Rozpali się jasno wszędzie tam, gdzie ludzie usychają z tęsknoty za wolnością - dodała Leia.

- Jakie to poetyckie - mruknął Han.

- Natchnienie to jedna dziesiąta odwagi - wtrącił ktoś. Leia już tego nie słuchała.

Odpięła pasy i wspięła się na główny pokład.

- Czy to już koniec? - spytał 3PO, gdy mijała stół gier.

- Tak, prawie - odparła, nie mając ochoty wysłuchiwać narzekania na ryzykowność manewru.

- Och, to dobrze. Moje serwomotory mają już dość tych wstrząsów, księżniczko...!

Wśliznęła się do kabiny. Han spojrzął na nią i zmarszczył czoło, potem wskazał uprzejmie fotel drugiego pilota.

Drobny gest, ale w wykonaniu Hana oznaczał tyle, co wyznanie miłości.

- Dziękuję - odparła, doceniając poświęcenie ukochanego mężczyzny.

- Chewie chce zostać w wieżycze - wyjaśnił.

- Rozumiem.

- Do taranu wystarczy jeden pilot - mruknął Han. - Przepraszam, dziewczyno.

Leia otworzyła usta, by coś wyjaśnić, ale jej przerwał.

- Nie ty. Starczy sam „Sokół”.

Zaczął odcinać dopływ mocy do prawie wszystkich systemów. Silniki, rufowe tarcze, górna wieżyczka. Znów poszukała Luke'a. Wciąż bezskutecznie.

- Dobra - powiedział Han. - Wszystko gotowe. Teraz łaskawie udaj się do kapsuły ratunkowej.

- O nie - odcięła się. - Chyba, że jest tam dość miejsca dla dwojga. Czy raczej trojga.

- Nie można taranować na autopilocie, potrzebny jest strzelec. Ucałuj mnie na do widzenia i znikaj. Sojusz cię potrzebuje.

- Bez ciebie nigdzie się nie ruszam.

- Dalej. Jesteś zbyt cenna.

- Cenna, denna. Nie uciekam. Też pochodzę z rodziny Skywalkerów. Może to właśnie było mi pisane.

- Dobra więc, dla mnie jesteś bezcenna. Chewie zajrzyj tu na chwilę i odprowadź księżniczkę do...

Głos Chewie'ego ryknął w słuchawkach. - Powiedział, że nie - odgadła Leia.

Położyła dłoń na przedramieniu Hana i ścisnęła je mocno, dziękowała Chewie'emu bez słów. Czy to nie przepiękne - córka Vadera taranująca imperialny statek dla ocalenia rebeliantów? I jakie sprawiedliwe! Nawet, jeśli manewr się nie powiedzie, zrobi wrażenie. Wreszcie będzie mogła myśleć spokojnie o Vaderze. Patrz uważnie, ojczcze!

Dwa myśliwce wyłamały się z szyku i skierowały w ich kierunku. Może skanery wykryły, że dolna wieżyczka jest nieobsadzona.

Piloci imperialnych maszyn nie wiedzieli jednak, że mają przed sobą coś więcej, niż zwykły frachtowiec. Han wykonał półboczke i Chewie dobrał się wrogowi do skóry. Myśliwce odskoczyły.

Leia poprawiła dłoń na przedramieniu Hana, on zaś ścisnął na moment jej palce i zaraz wrócił do przyrządów. Podchodzący od strony rufowej patrolowiec niemal dwukrotnie zwiększył siłę ognia. Albo zdołano podłączyć tam jeszcze jedną baterię laserów, albo też komandor Thanas odgadł jednak zamiary „Sokoła”. Han uzupełnił program manewru o uniki. j Pozostało siedemnaście sekund do zderzenia. Ładunek sporego kalibru minął o parę centymetrów spód frachtowca.

Chewbacca zawył.

- Łaskotki - przetłumaczył Han i wyłączył dziobowe tarcze, by zwiększyć siłę uderzenia. - Obejrzyj się, Thanas.

Dev oglądał ze wszystkich stron wolno stojący panel, a Luke zanosił się kaszlem. Gdyby nie był tak zapracowany, zająłby się uzdrowieniem swojej osoby. Spój rzał na pokład i poruszył prawą nogą. Wciąż jeszcze nie odzyskał w niej czucia. Niebezpieczeństwo nie zostało zażegnane, przyszłość rysowała się nader mgliście. Od czasu, gdy udało mu się przewidzieć cierpienia Hana i Lei na Bespin, zastanawiał się, czy dane mu będzie ujrzeć własną śmierć.

Sięgnął Mocą, by sprawdzić, co się dzieje z siostrą.

Zamarł, zaskoczony jej determinacją i spokojem wobec zbliżającej się zagłady. Poszukał głębiej i znalazł...

Taranować? „Sokołem”? Luke pozbierał się i usiadł na pokładzie. Przestał zwracać uwagę na pytania Deva, przestał odbierać sygnały bólu dochodzące z własnego ciała. Zapomniał o obecnych wciąż w pobliżu Ssi-ruukach i w ogóle o wszystkim. Zostały mu już tylko sekundy.

Nie mógł opanować kaszlu. Trzeba coś zrobić z tym smrodem! Sięgnął myślą w przeciwnym kierunku, ku komuś, kogo znał bardzo słabo. Tą osobą był komandor Pter Thanas, znajdujący się na pokładzie „Dominatora”.

Thanas pochylał się właśnie nad pulpitem, gdy Luke dostał się do jego świadomości. Myśli, źródło woli, sposób patrzenia na świat... Dla niego ta bitwa była tylko grą, którą trzeba wygrać lub pogodzić się z losem... niewolnika w kopalni? To wiele wyjaśniało! Luke spojrział oczami komandora na wskaźnik szybkości. Cała naprzód wypchnęłaby krążownik ze środka zgrupowania i zniszczyła do reszty i tak już uszkodzone dysze.

Cała naprzód zbliżyłaby również jednostkę Imperium do okulałego „Shriwirr”. To byłoby po myśli Thanasa.

Nagle Luke stracił kontakt. Miotany kaszlem zgiął się w pół i zdradzony przez własne ciało padł na zimny pokład krążownika.

- Komandorze? - pilot spojrział z niepokojem na Thanasa. - Coś nie tak?

Pter Thanas zamrugał powiekami. Z jakiegoś powodu przypomniał mu się nagle Luke Skywalker. Odepchnął tę myśl. Nadeszła pora podjąć trudną decyzję. Musi zażegnać groźbę zarazy niezależnie od tego, ile będzie go to kosztować.

Łagodnie popchnął dźwignię. Cała naprzód.

Leia przechylała się do Hana.

- Czy chcesz całusa na szczęście? - spytała.

- Zawsze. W ten sposób będzie mi łatwiej odejść z tego padołu.

Już mieli przystąpić do akcji, gdy dziewczyna cofnęła się raptownie.

- Luke! - krzyknęła, a Chewie aż zaszczekał z zaskoczenia.

- Co, Chewie? - Han zerknął na skanery. „Dominator” ruszył do przodu i rozwinął już całkiem sporą, chociaż niedorzeczną w jego stanie, szybkość bojową. - Musimy przymierzyć się raz jeszcze! Jonizacja przyrządów!

Chewie zawył, żądając zmiany kursu.

Han jednym uderzeniem wyłączył autopilota i przejął stery. Minęli patrolowiec dosłownie o włos, zrywając rufowe anteny obu jednostek.

- Wszystkie dywizjony, za nami! - krzyknął. - Mamy lukę w formacji wroga! - Odwrócił się do Lei. - Wyprowadzamy ich poza strefę zagrożenia, potem wracamy wykończyć „Dominatora”.

Dziewczyna nie odpowiedziała.

Leia usiadła wygodnie w fotelu i skoncentrowała się na regularnym oddychaniu. Przedtem wyczuwała wyraźnie niepokój i wyteżony wysiłek Luke'a, teraz wszystko wskazywało na to, że brat jest skrajnie wyczerpany.

- Obie grupy, szyk; schody w górę po obu burtach. Weźmiemy ich w środek! - krzyknął Han do mikrofonu.

Statki Imperium małały w oczach. Cztery myśliwce typu X i jeden A nie zdążyły się wymknąć. Leia miała kłopoty z ostrością wzroku.

- Gdzie jest ten patrolowiec, który mieliśmy staranować? - spytała. Ręce jej się trzęsły.

- Około dziesięciu kilometrów na prawo.

Chewie warknął radośnie.

Luke? - Wczepiła palce w poręcze fotela. - Co z tobą?

Luke zamknął załzawione oczy i wykonał kilka głębokich oddechów. Irytowało go, że Thanasa wcale nie obchodzi, kto wygra, byle tylko wyszedł na swoje. Miał ochotę unicestwić komandora i jego flotyllę. Ssi-ruuków też. Owszem, tracił zimną krew, ale nie miał już sił, by się tym przejmować. Nade wszystko chciał przestać kaszleć.

„Dominator” był coraz bliżej. Jego kształt rósł wolno na ekranie.

- Dev, czy ten krążownik jest uzbrojony?

- Sądzę, że tak.

- Znajdź... - Znów ten kaszel. - Znajdź kontrolki uzbrojenia. - Luke pozwolił, by Dev podniósł go z pokładu.

- Dobrze się czujesz?

Nie. Pod żadnym względem. Jedi zbliżył się niebezpiecznie do ciemnej strony Mocy, ale już się tym nie przejmował. Daj spokój, Yoda.

- Potrzebuję maski tlenowej.

- Nie będzie pasować.

- Wiem. Ale mam coś do zrobienia.

Z trudem znalazł siły, by odzyskać kontrolę nad własnym ciałem i skoncentrować się. Nagle pojawiła się dodatkowa siła, wywołana przez gniew, mroczna i wszechpotężna.

Odrzącił ją. Zdarzyło mu się już raz trafić na to źródło, musnął je w sali tronowej Imperatora... Zgładziłby wówczas Dartha Vadera... otrzymał tron, władzę... I zginąłby z drugą Gwiazdą Śmierci, gdyby w krytycznej chwili nie odrzucił miecza. Czyż miał zaprzedać się jej teraz, chociaż gra toczyła się o mniejszą stawkę?

Spojrzał na ekran. „Dominator” zniszczył kolejny myśliwiec typu X. A ja ci zaufałem, Thanas. Zaufałem ci - pomyślał ze złością. Tyle nadziei wiązał z tym człowiekiem. Czyżby źle odczytał sygnały Mocy? Leia i Han zdołali umknąć, ale i tak w pierwszym rzędzie będą musieli odnowić potencjał „Sokoła”, inaczej daleko nie zalecą. Trzeba ich ratować.

Mógł to uczynić. Całkiem łatwo...

Przypomniał sobie, jak wyjaśniał Gaerieli, że zawsze żyć będą ludzie podatni na tak zwane zło. I że im ktoś jest silniejszy, tym większe czyhają nań pokusy.

Na pokładzie powyżej pojawili się obcy. Wyczuł ich obecność.

- Mam systemy uzbrojenia! - krzyknął Dev.

Luke oczyścił wreszcie myśli ze strachu i podejrzanych pragnień. Udało mu się zignorować syreni śpiew mrocznych sił. To one, a nie Thanas, były jego prawdziwym przeciwnikiem. Skywalker podszedł do Deva.

- Możesz uruchomić ekran bojowy?

- Mogę spróbować.

Dev przesunął się do następnego pulpitu i zaczął manipulować przełącznikami.

- Chyba udało ci się włączyć działa jonowe. Spróbuj je ustawić za pomocą tego pokrętła. Szybko.

Luke podniósł oczy na wiszącą nad nimi tablicę. „Dominator” znajdzie się w ich zasięgu za kilka minut.

- Najpierw sprawdźmy, jak to działa. - Zgodnie ze wskazówkami Deva poruszył pokrętłem. - Pierwszy cel.

Wystrzelili. Na ekranie nic się nie zmieniło. Skoncentrował się i wystrzelił ponownie.

- Jest! - Dev wskazał smugę ładunku przemykającą wśród pozostałych po bitwie szczątków.

- Widzę. - Teraz trochę w lewo, poszerzyć wiązkę i...

Jeden z towarzyszących „Shriwirr” patrolowców eksplodował. Pozostałe porzuciły swe miejsca w szyku i szybko zniknęły z pola widzenia.

Teraz wszystko sprowadzało się do samoobrony, pojedynku ciężko uszkodzonych krążowników.

Coś stuknęło na górze. Luke odskoczył na bok i włączył miecz. Na pokładzie wylądował brunatny Ssi-ruu i trzech P'wecków, każdy z promiennikiem w łapie. Nie zastanawiając się ani chwili, Skywalker, trzymając oburącz miecz, zaatakował.

- Panie! - krzyknął tylko Dev, z miejsca zaszywając się w kącie. Firwirrung odsunął się od Jedi.

- Zdrajca! - wykrzyknął, wymachując wściekle okaleczoną kończyną. - Niewdzięcznik!

Dev trzymał w dłoni wycelowany blaster, ale nie mógł, po prostu nie mógł strzelić do Firwirrunga. Dzielili stół i gniazdo - uniżony sługa u stóp pana. Co robić? Łzy popłynęły j chłopcu z oczu.

- Zdrajca! Niewdzięczne bydlę! - zawodził wciąż jaszczur, celując w Deva trzymanym w drugiej łapie promiennikiem. Srebrzysty promień przesunął się po piersi chłopaka.

Dev upadł do tyłu, żałował swego wahania, niestety było już za późno. Mógł poruszać jedynie szyją. Ssi-ruu skoczył na Skywalkerera.

- Uważaj z tyłu! - krzyknął Dev.

Zdradliwe myśli znów zaczęły nawiedzać Luke'a. Nienawiść uczyni cię potężnym - zwodził go chrapliwy głos Imperatora. A potrzebował siły... Na ślepo unieszkodliwił trzeciego i ostatniego P'wecka. Gdy Dev upadł, jaszczur wycelował promiennik w młodzieńca.

Siłą woli udało się Jedi stłumić gniew i lek. Agresja uleciała. Zła to doradczyni i krótkotrwałe są zrodzone za jej sprawą triumfy. Nie zejść z obranej drogi! Nawet za cenę życia! Skoczył, chwytając się krawędzi włazu znajdującego się nad głową, wiedział, że jeszcze chwila, a Ssi-ruu go dopadnie. Nic więcej nie mógł jednak uczynić. Zbliżał się koniec.

W tej samej chwili, gdy zeskakiwał na podłogę, oślepiający blask zalał pomieszczenie. Ekran zapłonął. Luke'owi udało się zwolnić spadanie, na całą sekundę zawisł między sufitem a posadzką. Błękitne płomienie wyładowań omiotły pokład. Przyrządy sypnęły iskrami. Potem wszystko zgasło, nawet ekrany i lampy na suficie. Luke dotknął podłoga i powoli znów uniósł się w powietrze.

Salwa oddana przez komandora Thanasa musiała wyłączyć również sztuczną grawitację.

Wyczuwał obecność Deva, ale nie znajdował ani śladu jaszczura. Ostrożnie opadł na podsadzkę. Ciemność rozjaśniał wątki blask wpadający przez jedyny rzeczywisty iluminator. Kaszel znów targnął Luke'em. Ciężenie jednak było, tyle że o wiele słabsze.

- Dev?

- Tutaj - odezwał się chłopak słabo, gdzieś spod ściany. Luke przesunął się w tamtą stronę. Po drodze dotknął wielkiego i gorącego cielska, pokrytego parującą łuską.

- Gdzie dokładnie?

- Tutaj... Buty i ubranie solidnie mnie przypaliły... Luke ominął ciało obcego i trafił wreszcie na leżący w pobliżu ludzki kształt. Przemieścił chłopaka pod samą ścianę. Ciało Deva też było rozpalone.

- Moje oczy - jęknął Dev. - Głowa mi płonie.

- Boli cię coś jeszcze?

- Nie czuję... ciała poniżej ramion. Tam, gdzie mnie trafił...
- Tu prawie nie ma światła - powiedział Luke. - Chyba jednak nie oślepieś.
- Mostek... trafiony. Przeciążyło tarcze.

Dryfując w powietrzu, Luke dotknął ramieniem przepierzenia. Znajdowali się w rogu pomieszczenia. Wyciągnął rękę nad głowę i trafił na spód pulpitu. Mogą tu zostać przez chwilę.

Czyżby Moc go zdradziła?

Kaszel. Oparł się ciemnej stronie. Mrok faworyzował śmierć. Komandor Thanas zabił salwą brunatnego Ssi-ruu, ale Dev też przy okazji oberwał .

Zmęczony jestem, słyszysz, Y oda? Nie mam czasu na rozmyślania. Daj mi odpocząć. Kaszel złożył go w pół. - Co z tobą? - spytał Dev.

Otoczenie wciąż było rozgrzane, upał otepiał Luke'a. Leia? Był za słaby, by nawiązać kontakt z siostrą. Mógł jedynie zająć się rannym niedorostkiem. Na początek trzeba uśmierzyć ból. Dev odetchnął i nieco się uspokoił.

Jedi starał się nawiązać kontakt z Devem.

Słuchaj - poprosił. - Otwórz umysł. - Tak jak zrobił to wcześniej z Eppie Belden, podobnie i teraz pokazał chłopakowi, jak uleczyć samego siebie. - Wykorzystaj swe siły. Nawet nie wiesz, że istnieją. Możesz to zrobić. Musisz wyciągnąć nas z tego statku...

Kaszel nie dał mu dokończyć. Odruchowo spojrzął w głąb własnego organizmu.

Znalazł dwóch chciwych pasożytów. Prymitywne ogniska życia wiedzione wyłącznie instynktami. Jeść. Przywrzeć do podłoża. Rozmnożyć się. Przetrwąć.

Nagle zrozumiał wszystko. Spróbował dosięgnąć ich umysłów, ale stworzenia nie miały mózgów. Wyżerały sobie tunele ku sercu żywiciela, nie potrafiąc pojąć, że podcinają gałąź, na której siedzą. Liczyła się tylko krew, dużo krwi. W Skywalkerze obudził się instynkt przetrwania. Musiał coś z tym zrobić!

Leia była potwornie przerażona. Gwiazdy śmigały w przednich iluminatorach. W polu widzenia ukazał się wreszcie krążownik Ssi-ruuvi. Wielkie, bezwładne jajo.

- Wyrok w zawieszeniu - mruknął Han. - Możemy odetchnąć. Jak on to zrobił? Zapomniałem o całym świecie... Nic mu nie jest?

- Wręcz przeciwnie! Musimy mu pomóc!

- Ale żyje? - spytał Han, gwałtownie odwracając głowę.

- Nie czuję go. - W jej głosie słychać było rozpacz. Han spojrzął na przyrządy, potem na krążownik obcych.

- Thanas solidnie mu dołożył. Brak mocy, naruszone poszycie. Traci powietrze.

- Ale tu chodzi o Luke'a. Może chroniło go jakieś pole lub ukrył się, dlatego nie mogę do niego dotrzeć - Leia była wciąż pełna nadziei. - Czy możemy podejść bliżej? Dostać się na pokład?

- Może. - Han pomanipulował przy sterach i gwiazdy znów drgnęły. - Spróbuję. Może przez służy cumownicze...

Przysunął się do wrogiej formacji. Chewie przymierzył się z grzbietowej wieżyczki do imperialnego patrolowca. Przez czysty przypadek trafił w kondensatory. Jednostka eksplodowała i „Sokół” pomknął dalej niczym kometa wlokąca za sobą ogon niezliczonych szczątków. Po chwili dołączyła do niego reszta sił rebelianckich.

- Teraz schowajmy się za ten krążownik i „Dominator” już nas nie sięgnie.

- Dowódca Hultajów do „Sokoła” - odezwał się Wedge. - Jesteśmy gotowi do ataku na „Dominatora”.

- Poczekajcie! - krzyknęła Leia. - Zmuscie Thanasa do zmiany kursu, by nie mógł ostrzeliwać jednostki obcych. Nie niszczyć „Dominatora”. Przyda nam się imperialny krążownik.

- Takie trofeum wojenne? - zachichotał Wedge. - Zrobione. O ile się uda, oczywiście. Śmiem wątpić, czy Imperialni oddadzą nam go dobrowolnie.

- Właśnie - mruknął Han. - Pomysł świetny, ale to bydlę musi mieć wbudowany mechanizm autodestrukcji.

- Wedge, po prostu przekaz Thanasowi, że nie ma wyboru - nalegała Leia. - Nie będziemy przejmować się jego instrukcjami i taktyką.

Jajowaty krążownik był już bardzo blisko. Han lustrował mijaną burtę, szukając miejsca, gdzie mogliby zacumować.

Już idziemy, Luke - pomyślała Leia, wciąż nie mogąc odnaleźć brata.

ROZDZIAŁ 20

Gaeriela zamarła, gdy „Dominator” poraził krążownik obcych. Gubernator położył jej ciężką dłoń na ramieniu.

- Przecież wiesz, Gaerielo, że on nie miał prawa przeżyć. Gdyby wrócił na Bakurę, wybuchłaby zaraza. Zniszczenie planety przez Gwiazdę Śmierci byłoby miłym i estetycznym końcem cywilizacji w porównaniu z taką epidemią.

Odsunęła się i strąciła jego dłoń.

Wciąż promieniejąc zadowoleniem, zasiadł ponownie za kościanym biurkiem i wezwał czterech wartowników.

- Niedługo imperialny pokój zapanuje na Bakurze. Pozostaje tylko uporać się z jednym jeszcze wicherzycielem.

Gaeri zastanowiła się, czy nie o niej tu mowa, i czy nie skoczyć na gubernatora, ale ten uspokoił ją gestem dłoni.

- Przecenisz się. - Dotknął sensora na pulpicie. - Przyrowadzić premiera.

Wujka Yorga?

- Nie! – krzyknęła dziewczyna. - To dobry człowiek. Bakura go potrzebuje. Nie może pan...

- Stał się już już znaną postacią. Wzorem. Symbolem oporu. Próbowałem traktować was łagodnie, ale wzgardziliście moją dobrą wolą. Poddaję się zatem. Będę normalnym, imperialnym gubernatorem. Ludzie zaczną bać się Imperium. Chyba że... - Poglądził się po policzku. - Chyba że on, albo inny reprezentant rodziny Captisonów publicznie poprosi wszystkich mieszkańców planety o zaakceptowanie mojej osoby w roli następcy na najwyższym urzędzie. Możesz ocalić życie wujowi, Gaerielo. Masz trzy minuty na decyzję. Powiedz, co trzeba, a on będzie żyć.

Dziewczyna wpadła w pułapkę konfliktu sumienia. Nie mogła patrzeć beczynn timer, jak gubernator będzie dokonywał egzekucji na wujku Yeorgu. Ale jak powiedzieć Bakurianom coś takiego... Znów pomyślała, czy by nie skoczyć na tego... Dwóch strażników uniosło ciężkie blastery.

- Przeszli dobrą szkołę - uśmiechnął się Nereus. - Potrafią odgadywać ludzkie reakcje.

Gaeri rozejrzała się po biurze. Holo, kryształ, zęby, pasożyty... Co jeszcze ukrywał?

- Powiedział pan, że pozwoli mu żyć. Ale czy naprawdę? Czy też może potraktuje go pan jak Eppie Belden? To nie jest życie.

- Orn też tak sądził.

Wszedł jeszcze jeden strażnik. Lufą blastera pchnął skutego Captisona. Premier wyprostował się. Gaeriela ujrzała go w całym dostojeństwie, Nereus nie dorastał starszemu panu do pięt.

- Tylko jedna szansa i jedna minuta do namysłu, Captison - stwierdził gubernator.
- Staniesz przed kamerą holo, każesz swoim ludziom złożyć broń i podporządkować się władzy Imperium. Wyznaczysz mnie na swojego następcę. Albo umrzesz na oczach swej bratanicy.

Yeorg Captison nawet się nie zawahał.

- Przykro mi, Gaeri. Nie patrz. Wspominaj mnie dobrze.

- Gaerielo? - spytał gubernator, oblizując górną wargę. - Przemówisz do ludzi? Może mógłbym ci to jakoś wynagrodzić...

Nagle strażnik za premierem zachwiał się i upadł. Z hełmów pozostałych wojaków dobiegł rozdzierający uszy, elektroniczny pisk. Gaeri podskoczyła do najbliższego mundurowego, wyrwała mu broń i skierowała ją na gubernatora. Wyraźnie nie wiedział, co zrobić. Nie sięgnął nawet po swój ozdobny blaster.

Cała piątka strażników wiała się w bólach. Nawet z pewnej odległości pisk był przerażający. O co tu chodzi?

- Odrzuć broń, Nereus - powiedziała drżącym głosem. Cokolwiek się działo, otwierała się przed nią szansa.

- Nie wiesz nawet, jak stąd wyjść. Gdzie się potem ukryjesz? - odparł, ale położył posłusznie obie dłonie na blacie biurka.

Wujek Yeorg schwycił niezgrabnie blaster innego strażnika. Skute dłonie nie dawały wielkich szans na sprawne użycie broni, ale przynajmniej strażnik już jej nie miał.

Konsola na biurku zaświeciła intensywnie i po chwili całkiem wygasła. Drzwi się otworzyły i Eppie Belden wmaszerowała do środka krokiem tak dziarskim, jakiego nikt by nie oczekiwał po kobiecie w wieku stu trzydziestu dwóch lat. Za nią ukazała się pulchna pielęgniarzka. Starsza pani pewnie trzymała w dłoniach blaster.

- No proszę! - zakrzyknęła. - Mamy ich wszystkich. - Podeszła prosto do gubernatora i wyjęła jego blaster z kabury, potem rozbroiła pozostałych strażników. - Clis - rozkazała - weź wibronóż i uwolnij Yeorga z tych bransoletek.

Błada i najwyraźniej ciężko przerażona rozwojem wypadków Clis rzuciła się ku starszemu panu. Gaeri współczuła dziewczynie. Brawura starszej pani mogła zaskoczyć każdego.

- Ty, tam - rzuciła Eppie gubernatorowi. - Jeden ruch i po tobie. Rozumiesz?

- A ty kim jesteś, stara kobieto? Eppie roześmiała się.

- Zgaduj - zgadula, dzieciaku. Jestem zemstą Orna Beldena. Nereus powtórzył to nazwisko bezgłośnie, poruszając tylko wargami.

- To niemożliwe! Uszkodzenia kory mózgowej są nieodwracalne!

- Powiedz to komandorowi Skywalkerowi.

- Skywalker nie żyje! - krzyknął gubernator. - Zjedzony żywcem! Od wewnątrz...

Eppie wyraźnie się tym przejęła.

- Tchórz - wycedziła i uniosła blaster, każąc gubernatorowi zamilknąć.

Wciągnął głęboko powietrze, zaciskając i rozluźniając pięści. Jego życie wisiało na włosku, ale po paru chwilach Eppie opuściła lufę blastera.

- Przekażę cię rebeliantom - powiedziała. - Myślałam, żeby powołać na Bakurze trybunał rewolucyjny, ale jeśli naprawdę zabiłeś Jedi, to oni osądzą cię surowiej niż tubylcy.

Gaeri wolałaby, żeby Eppie zastrzeliła gubernatora na miejscu - na pewno ręka by jej nie drgnęła - ale starsza pani miała inne plany. Dziewczyna zerknęła w okno. Na alejce wśród zieleni leżał kolejny strażnik, inny zmagął się z hełmem, w końcu go zerwał, ukląkł otepiały, i przycisnął dłonie do uszu.

- Gdzie byłeś przez cały czas, Eppie?

- Blisko, w kompleksie - mruknęła starsza pani. - Czy to prawda, co powiedział o Skywalkerze?

- Niema pewności, że nie żyje, ale gubernator... zaraził go. Jak tego wszystkiego dokonałeś? - Gaeri wskazała na obezwładnionych szturmowców i ciało Nereusa.

- Dzięki garstce starych przyjaciół na odpowiednich stanowiskach. Potem wystarczyło znać kody dostępu - powiedziała Eppie. - Większość jego ludzi była nazbyt przejęta inwazją obcych, by obejrzeć się przez ramię. Mieliśmy też sprzymierzeńca. - Odwróciła głowę ku drzwiom. - No chodź tutaj.

Przez próg przejechał android Luke'a, R2 - D2.

- Gdy patrol zabrał Skywalkera z kantyny, android włamał się do sieci, odszukał mój komputer i wezwał pomoc. Wysłałam przyjaciela, by go przywiózł. Ta maszynka warta jest swojej wagi w paliwie rozszczepialnym.

- Zdjęliście mu ogranicznik? - wyjąkał Nereus.

- Trzeba coś z nim zrobić - szepnęła Gaeriela. - Traci panowanie nad sobą.

Eppie szczerknęła bezpiecznikiem broni.

- Nie mogę się doczekać, aż straci je do końca.

Skulony w ciemności Luke zastanawiał się gorączkowo, jak zażegnać groźbę. Oddychał powoli, starając się wczuć w sposób funkcjonowania prymitywnych organizmów, które buszowały po jego klatce piersiowej. Musnął jednego z pasożytów. Nic, prócz jeszcze szybszego wchłaniania. Dominującym odczuciem stworzenia był głód.

Dodatkowo musiał walczyć z ogarniającą go paniką, która odbierała wszelkie szansę skutecznego działania. Wyobraził sobie zapach świeżej krwi, jej ciepło, lekko metaliczny smak... Podsunął tą wizję jednemu z pasożytów.

Zaskoczyło! Narządy gębowe oderwały się od oskrzeli Luke'a i przednia część ciała obróciła się w poszukiwaniu nowego, bogatego źródła pokarmu. Niesamowicie trudno było jednocześnie podsuwać iluzję i obserwować skutki eksperymentu. Zajął się drugim stworzeniem.

Serce waliło mu jak młotem. Odsunął złudne źródło pokarmu o kilka milimetrów. Jeden z pasożytów natychmiast o wszystkim zapomniał. Trzeba było zacząć kusić go od nowa.

Nie mógł zapanować nad oboma równocześnie. Wciąż odczuwał potrzebę kaszlu, a miał już do dyspozycji tylko sekundy.

Ostrożnie wciągnął powietrze i eksplodował kaszlem. Coś wyleciało mu z ust.

To jeszcze nie wszystko. Krańcowo wyczerpany, podrażnił drugiego pasożyta. Udało mu się odwrócić na chwilę uwagę bestii od własnego ciała, ale zwierzę nadal wołało zajmować się tym, co było w pobliżu.

W końcu dało się je zwieść. Powoli wędrowało oskrzelem za przynętą. Wręcz emanowało odczuciem głodu. Luke pilnował, żeby nie zakrztusić się tym świństwem ani go nie połknąć. Powoli zaczerpnął powietrza. Płuca były pełne.

Potem przestał powstrzymywać kaszel. Intruz poleciał, ale zdołał jeszcze ucześcić się zębów. Wiercił się przy tym, piszcząc żałośnie. Luke wypluł go i poszukał na podłodze. Pasożyt zatrzęszczał mu pod butem. Drugiej bestii nie mógł znaleźć.

Położył się na pokładzie, zbyt zmęczony, chcąc odczuwać zadowolenie czy ulgę, odciął się od świata, chcąc doprowadzić swój umysł do ładu. Z wolna uspokajał się, znów pomyślał o Devie. Muszą opuścić „Shriviri”, zanim pozbawiony mocy statek rozpadnie się pod ogniem jednostek Imperium.

Ale jak... Chciało mu się spać, bezwzględnie potrzebował paru godzin uzdrawiającego transu Jedi. Oczy go piekły. Gdyby tak zamknąć je na kilka chwil...

Nagle zobaczył błysk na korytarzu. Początek halucynacji?

- Luke? - Usłyszał głos Lei. - Luke! Nie do wiary... Zerwał się z pokładu.

- Tutaj! - Gardło paliło go niemiłosiernie.

Promień kieszonkowej latarki omiótł mostek kładownika. Za nim pokazało się szczupłe ramię, a potem cała postać Lei, odziana w kombinezon, maskę do oddychania i buty z magnesami. Za nią nadbiegli Han i Chewie. Wątle światelko miłsze było Luke'owi niż tysiąc słońc.

- Jak dostałaś się na pokład?

- Zostawili otwarte zewnętrzne śluzy. Wszyscy odlecieli. Poza tobą nie ma nikogo na całym statku.

- A gdzie jest... - zaczął Luke, ale nagle sam spostrzegł Deva.

Chłopak leżał całkiem blisko, zaplątany w swoje długie szaty. Klatka piersiowa unosiła się z trudem. Wyładowanie zwęgliło mu prawie odsłonięte ręce i twarz. Oczy przypominały czarne, puste jamy.

Obok niego wilo się na pokładzie stworzenie wielkości palca. Wymachiwało rozpaczliwie króciutkimi odnóżami. Ciało miało pękate, wilgotne, było całe w czarno - zielone paski, które zbiegały się na ostrzejszym końcu. Leia rozdeptała je z obrzydzeniem.

- Dzięki - wyszeptał Luke.

- Już spokojnie, dzieciaku. - Han przykląkł obok i ujął Luke'a pod ramię.

- Weźcie też Deva.

- Żartujesz chyba... Leia!

Dziewczyna już próbowała podnieść chłopca. Chewie odsunął ją i wziął na ręce Deva jak dziecko.

- Idziemy - rozkazał Han.

Gdy wrócili bezpiecznie na pokład „Sokoła”, Leia przyklęła przy koi Luke'a i położyła mu głowę na ramieniu. Przyjął ten dar, ofiarę jej sił życiowych. Skapał się w

podarowanej mu uzdrawiającej energii, która była czysta, ciepła i znajoma. Gardło przestawało boleć, mógł oddychać spokojnie, bez kaszlu.

Gdzie u licha złapał te paskudne pasożyty?

- Odpocznę później - powiedział, siadając. - Tak naprawdę odpocznę.

- Kiepski pomysł - mruknęła Leia - ale faktycznie nie ma czasu do stracenia.

Musimy zająć się „Dominatorem”. Pewnie w wielkim pośpiechu latają teraz okręt.

- A co się z nim stało? - Luke aż zatrzęsł się na myśl o Thanasie. Czyżby skazał imperialnego oficera na niewolę?

- Krążownik znów stracił boczny ciąg. Nie może sterować. Na dodatek z Bakury dochodzą sygnały, że wybuchła tam rewolucja.

Luke stanął na nogi. Prawa wciąż bolała, ale już nie tak bardzo.

- Jestem gotowy - powiedział, musiał jednak wesprzeć się na ramieniu Lei. Powolnym krokiem dotarli do kabiny pilota i Leia pomogła bratu usiąść w fotelu.

- Cześć, młody - przywitał go Han. - Wyglądasz całkiem dobrze jak na umarlaka. - Chewbacca poparł go rykiem.

Luke spróbował odchrząknąć.

- Dzięki. - Wskazał na radio nadprzestrzenne. - Czy było coś na temat Gaerieli Captison?

- Może - odparł Han. - Jakaś grupa twierdzi, że aresztowała Wileka Nereusa. Zabarykadowali się w imperialnych biurach w kompleksie Bakur.

- Zdawało się, że „Dominator” przemyka pod „Sokołem”, choć w rzeczywistości było odwrotnie, to frachtowiec manewrował.

- Gdy byliśmy na pokładzie krążownika obcych, Threepio podkręcił do maksimum kondensatory. Chyba możemy już potraktować Thanasa tak, jak na to zasługuje. Potem będziemy się martwić o Nereusa.

- Spokojnie... - wtrąciła się Leia.

- Poczekaj - powiedział nieco głośniejszym głosem Luke.

Na miejscu komandora Thanasa nakazałby zniszczyć krążownik, byle tylko nie dostał się w ręce Sojuszu. Nigdzie nie było widać nawet pojedynczego myśliwca TIE. Pewnie rozproszyły się w obawie przed skutkami ewentualnej fali uderzeniowej. Eksplozja krążownika klasy Carrack to nie byle co. Jakby dla potwierdzenia domysłów Luke'a bełkotliwy głos na imperialnej fali oznajmił, że generatory tarcz na „Dominatorze” ostatecznie odmówiły posłuszeństwa. Wcale nie. To on je wyłączył, odgadł Skywalker.

- Tu go mamy! - Han zawrócił „Sokoła”, by zadać krążownikowi ostateczny cios.

- Poczekaj! - powtórzył Luke. - Potrzebny nam ten statek. Przyda się, nawet uszkodzony. Niecodziennie trafia się taka gratka. - Pochylił się do mikrofonu. - Do wszystkich. Mówi komandor Skywalker. Niezwłocznie przerwać ogień. Oczekuję potwierdzenia na tym kanale.

- Co? - spytał Han.

Trzej młodszy piloci też zaprotestowali.

Luke powtórzył rozkaz, potem raz jeszcze spróbował sięgnąć komandora Thanasa myślą. Nie udało się. Wprawdzie pozbył się pasożytów, ale wciąż był zbyt wyczerpany.

Jeśli Thanas zdecyduje zniszczyć „Dominatora”, Luke'owi nie pozostanie nic innego, jak tylko przyglądać się zagładzie krążownika.

Chyba że...

Luke uspokoił pole Mocy. Pokój... to wciąż jeszcze możliwe...

To była ostatnia szansa Thanasa.

Komandor Pter Thanas drgnął, usłyszawszy rozkaz Skywalkera. Podczas tej bitwy coś się w nim obudziło, coś cennego schowanego głęboko całe lata temu, jeszcze na Alzoc III.

Nereus nie wahałby się odesłać go tam ponownie. Thanas spojrzął na dźwignię opatrzoną czerwoną naklejką. Napis głosił: AUTODESTRUKCJA. Druga, identyczna, znajdowała się w połowie szerokości mostka. Pociągnięte równocześnie, spowodowałyby eksplozję głównego generatora krążownika, rozpylając jednostkę na atomy i zamieniając na proch wszystko, co znajdowało się w pobliżu.

Kariera komandora dobiegła końca.

Odwrócił się do swojego adiutanta, do obrzydliwej ambitnego i przestrzegającego regulaminu pięcioletniego ochotnika.

- Opuścić statek - rozkazał. - Wszyscy. Członkowie załogi zdążą zapewne uciec dość daleko, by

ocaleć, ale on nie miał wyboru. W służbie Imperium takie wybory były normalne, podobnie jak i to, że detonatory pozbawione były opóźniaczy. Eksplozja nastąpi zaraz po przesunięciu dźwigni.

Adiutant przestępował z nogi na nogę, oczekując rozkazów.

Thanas spojrzął na jego nieskazitelnie czyste, czarne buty lśniące tak samo jak pokład.

Kiedyś, na Alzoc III, dostał od przełożonego rozkaz, którego nie wykonał. A teraz ma poświęcić się dla Imperium. Imperium, które było obojętne na losy swych podwładnych... A wszystko w imię nie żyjącego już Imperatora.

Mógł też odmówić posłuszeństwa. Przyznać się wreszcie, że zmarnował życie.

Przypomniał sobie ostatnie rozkazy Nereusa przed odlotem. Wyprostował się i rozejrzał. Obecna na mostku załoga wpatrywała się w dowódcę, wyraźnie oczekując po nim owego ostatniego, heroicznego czynu.

- Łączność - warknął. - Połączyć mnie z komandorem Skywalkerem, gdziekolwiek jest.

- Na linii, komandorze.

Pter Thanas stanął przed modulem łączności i położył dłoń na kolbie blastera, na wypadek gdyby ktoś z załogi chciał mu się sprzeciwić.

- Komandorze Skywalker... - Do diabła z tym wszystkim! - pomyślał. - Muszę przed czymś pana ostrzec. Jest pan zagrożeniem dla wszystkich ludzi, z którymi się pan styka. Nereus rozkazał mi, bym się upewnił, że nie wróci pan na Bakurę. Stwierdził, że nosi pan w sobie zarazki mogące wywołać epidemię.

- Już się tym zajmuję - odparł Skywalker. - Nie zdążyły się rozprzestrzenić. Ostatecznie jestem Jedi.

Można było tego oczekiwać. Niemniej głos młodzieńca zdradzał spore wyczerpanie.

- To prawda? Czy tylko pan tak twierdzi?

- Przebywam na pokładzie „Sokola” w otoczeniu moich najbliższych przyjaciół. W razie jakichkolwiek wątpliwości na pewno bym ich nie naraził.

Thanas rozejrzał się po mostku.

- Dobrze zatem. Jeśli poddam „Dominatora”...

Kątem oka dostrzegł jakieś poruszenie. Ktoś z załogi podskoczył, słysząc te słowa i sięgnął po broń. Thanas zdążył go ogłuszyć. Bezpiecznik Imperium, zamaskowany na pokładzie. Ot tak, na wszelki wypadek...

- Komandorze Thanas? Jest pan tam?

- Drobne kłopoty. Jeśli poddam „Dominatora”, czy zagwarantuje pan wolność mojej załodze i wszystkim tym, którzy walczyli pod moimi rozkazami?

- Tak - odparł nieco chrapliwie Jedi. - Wszyscy zostaną odesłani do punktu tranzytowego na neutralnym gruncie, skąd będą mogli wrócić do domów... Chyba że ktoś zdecyduje inaczej. Musi pan zostawić im możliwość wyboru.

- Tego uczynić nie mogę.

- Ja się tym zajmę.

Thanas wsparł się na barierce biegnącej wzdłuż ściany. Kimże się stał, że oddaje własność Imperium w cudze ręce i jeszcze chce ocalić załogę? Czy to zdrada?

A czy zdradą jest próba spłacenia chociaż części długu, który i tak będzie ciążył na nim, nawet po jego śmierci? Długu zaciągniętego wobec niewolników w kopalniach na Alzoc III?

- Zgoda.. Oddaję się do dyspozycji Sojuszu. Skywalker westchnął ciężko.

- Przejmuję pański statek. Tymczasowo internuję też pana. Proszę przenieść się na pokład mojej... - zawahał się przez sekundę - ...jednostki flagowej. Proszę wziąć ze sobą lekarza. Dopilnuję, by nie spotkały go żadne sankcje.

- Jest pan chory?

- Już panu powiedziałem, że sam skutecznie zająłem się moją dolegliwością. Mam ciężko rannego na pokładzie. Może szybka pomoc zdoła go uratować.

- Och! - Thanas domyślił się, kim jest ów ranny. - Czy to Sibwarra?

- No... Tak.

- Za wiele pan żąda.

Kimże jest Skywalker, by wybaczać nawet takim wrogom? Komandor zrobił kilka kroków na mostku. Wkoło buczały tablice przyrządów.

- Dobrze, wyślę pomoc medyczną, ale chcę, by Sibwarra stanął przed sądem, imperialnym lub waszym, mniejsza o to, byle był to sąd ludzki. Zaraz zobaczę, kim dysponuję.

- Przyślę na „Dominatora” niezbędną obsadę.

- Ale dobrze radzę, by zjawił się pan tu bez broni - Han wtrącił się do rozmowy. - I w kapsule ratunkowej. Tylko wyjątkowo godzę się, by wszedł pan na pokład mojego statku.

- Rozumiem... generale. Głośnik umilkł.

Thanas wciągnął głęboko powietrze. Nie miał pojęcia, co się stanie dalej, ale przynajmniej nie wciągał załogi w żadną awanturę. Sam stawi czoło ewentualnej zemście rebeliantów, groźbie zarazy i tak dalej. No, prawie sam.

- Załoga mostku, do statków ratunkowych! Zostawić tylko jedną dwuosobową kapsułę.

- Tak jest, komandorze! - Jeden z oficerów wyprężył się na baczność i pobiegł wykonywać rozkazy.

- Niech ktoś go wyniesie. - Thanas wskazał na leżącego bezwładnie agenta służb bezpieczeństwa. - Weźcie go ze sobą. Kapitanie Jamer, przejmuje pan dowodzenie.

- Tak jest, komandorze! - Krępy mężczyzna odłączył od ostatniej grupy opuszczającej mostek.

Thanas potarł podbródek i połączył się z działem medycznym. Może Skywalker dał sobie ze wszystkim radę, ale komandor nie będzie czuł się bezpieczny w jego obecności, dopóki jakiś godny zaufania lekarz nie potwierdzi słów młodzieńca.

Luke obejrzał się na Hana, który sterował „Sokołem” w kierunku niewielkiego, okrągłego obiektu. Czujniki potwierdziły obecność dwóch osób wewnątrz kapsuły.

- Pewien jesteś, że chcesz go mieć na pokładzie? Luke westchnął, zmęczony całą sytuacją.

- Tak. Następne pytanie?

- Dlaczego?

- Wszyscy mamy już dosyć. To jedyne miejsce, gdzie możemy go umieścić. Musimy jak najszybciej sprawdzić plotki dobiegające z Salis D'aar.

- Nawet nieuzbrojony, nie będzie szwendał mi się po statku - Han był wyraźnie niezadowolony z takiego obrotu sprawy. Przykujemy go do Chewie'ego... nie, do Threepio i zamkniemy ich w luku ładunkowym. Threepio będzie bawił go rozmową.

- Starczy za kilka lat katorgi - uśmiechnął się Luke.

- Biedny Thanas - przytaknęła Leia.

Chewbacca zajął się ręczną obsługą słuzy. Kilka chwil później wszyscy czekali już przed głównym wejściem. Komandor Thanas pojawił się z rękami w górze.

- Jestem nieuzbrojony - powiedział. - Proszę mnie sprawdzić.

Leia przesunęła wzdłuż wyprężonej sylwetki czujnikiem uzbrojenia.

- Na to wygląda - stwierdziła.

Tymczasem niewysoki lekarz, który przybył wraz z Thanasem, skierował zestaw czujników medycznych na Luke'a, który cierpliwie zniósł te zabiegi. Wiedział, o co chodzi, i podziwiał wybór, jakiego dokonał Thanas. Medyk był uosobieniem niewinności i pogody ducha.

- Co jest w tych pojemnikach? - spytała ostro Leia.

- Wyposażenie medyczne. Zestaw do leczenia oparzeń. Komandor Skywalker prosił o...

- Tędy - Luke ruszył korytarzem. Medyk schował czujnik do kieszeni.

- Skywalker jest czysty, komandorze. Znalazłem kilka nadżerek w oskrzeliu. Ale to czysto mechaniczne obrażenia, żadnej infekcji.

Luke pewien był własnego rozpoznania, ale miło było usłyszeć opinię fachowca. 3PO siedział przed ekranem holo. Za nim, na wąskiej pryczy, leżał Dev. Android wstał.

- Witam panów - zaczął serdecznie. - Jestem...

- Cicho - szepnęła Leia. - Weź kajdanki i przykuj się do komandora Thanasa. Odprowadzisz go potem do luku ładunkowego. Będziesz go pilnował, dopóki się nie odezwiemy. Kajdanki sprawnie znalazły się na wskazanym miejscu.

- Dobrze, Wasza Wysokość. Proszę ze mną, komandorze. Jestem See-Threepio, android protokolarny...

Luke zaprowadził lekarza do Deva i ostrożnie odchylił prześcieradło zakrywające jego złożone ręce.

- Jest w uzdrawiającym transie Jedi - powiedział. - Nie czuje bólu. Chwilowo. Może pan coś dla niego zrobić?

- Spróbuję - mruknął lekarz. - Jednak szczerze mówiąc, już nie raz spotkałem się z takimi obrażeniami. Do tego dochodzi jeszcze szok po przyjęciu wyładowania... - Przesunął czujnikiem nad piersią Deva i potrząsnął głową. - Nic tu po mnie. Może wytrzyma jeszcze dzień, o ile będzie miał szczęście... Chociaż, jakie to szczęście. Jeśli odzyska przytomność, będzie cierpiał. Obrażenia wewnętrzne... W zasadzie nie wiadomo, jakim cudem jeszcze żyje.

- Proszę spróbować. To już nie jest ten sam człowiek, którego znaleźmy z transmisji.

Poza tym Dev był tak wrażliwy na Moc. Musi przeżyć.

- Hmm - mruknął medyk bez entuzjazmu, ale sięgnął po pojemniki.

Luke sam ledwo mógł się ruszać. Udało mu się jednak dokuśtykać do kabiny pilota.

- Zapraszamy nas na dół - powiedział Han. - Odezwała się pewna starsza pani imieniem Eppie Belden. Twierdzi, że cię zna. Jest w kompleksie Bakur, razem z twoją przyjaciółką, Gaerielą. Domyślam się, że chcą nam podrzucić pewne cuchnące jajeczko.

- Gubernatora Nereusa? - spytała Leia.

- Na to wygląda.

Ostatni raz widział Gaeri, gdy R2 wywlekał ją z kantyny. Nagle przypomniał sobie razem zjedzony posiłek. Ale wyglądało na to, że dziewczynie nic nie jest. I Eppie wyzdrowiała... Jak udało im się obezwładnić Nereusa?

- Czy możesz wylądować „Sokołem” na dachu?

- Gdyby zaistniała taka potrzeba, wylądowałby nawet na kostce lodu - roześmiała się Leia.

Luke rozejrzył się po kabinnie, licząc obecnych.

- Rozumiem, że wezwałeś już posiłki?

- Rozkazałem nowej załodze „Dominatora”, by miała na

oku imperialne koszary w stolicy. Gdyby wydarzyło się coś nieprzewidzianego mają strzelać. Potrwa chwilę, zanim będą gotowi, maszyny typu B holują ich właśnie

na pozycję. Na wszelki wypadek wzięłem też dwa myśliwce typu X w charakterze eskorty.

- Dobra robota, Han.

Luke też potwierdził swą reputację jako Jedi. Jeśli pozostanie nadal w takiej formie, Imperium będzie musiało mieć się na baczności. Mina gubernatora Nereusa, gdy ujrzy Skywalkera wysiadającego z „Sokoła”, warta będzie każde pieniądze.

- Ta twoja starsza pani powiedziała, że spotka się z nami na dachu. Zobaczymy.

- Idę się położyć - powiedział Luke i odkasznął, chyba po raz ostatni. - Obudźcie mnie tuż przed lądowaniem.

„Tysiącletni Sokół” przebił poszarpaną pokrywę chmur nad Salis D'aar. Miasto spowite było dymami, czarny pióropusz sięgał zachodniej rzeki. Zwolnili już wystarczająco i Han przeszedł na ręczne sterowanie. Zerkając między głowami Hana i Chewie'ego, Luke dojrzał grupkę ludzi skupioną za barykadą na dachu kompleksu. Wśród nich błysnął znajomy kształt.

- Artoo! - krzyknął.

Niebieska spódnica umykająca z lądowiska oznaczała, rzecz jasna, Gaerielę. W pobliżu stał też premier oraz Wilek Nereus. Bez kajdanek i wciąż arogancki, w imperialnym mundurze ze wszystkimi baretkami.

- Nie robi wrażenia więźnia - mruknęła Leia, wskazując przez iluminator. - Założę się, że gubernator nie podda koszar. Jeśli zechce, będzie mógł się tam bronić długie tygodnie.

Han sięgnął do kontrolki uzbrojenia.

- Ani mi się waź. - Leia potrząsnęła głową. - Łowy się skończyły, teraz znowu pora na dyplomację.

- Poza tym mamy komandora Thanasa - powiedział Luke. - On może poddać garnizon.

„Sokół” usiadł z pomrukiem silników i lekko dobił amortyzatorami podwozia.

- Zwłaszcza, gdy ty go o to poprosisz - odcięła się Leia. - Jak się czujesz? Czy mógłbyś...

- Lepiej nie. Teraz wasza pora.

- Słusznie - skrzywiła się dziewczyna. - Miałam już do czynienia z ruchem oporu i wiem, jak rzecz się skończy, jeśli czegoś zaniedbamy.

Han zerwał się z miejsca i połuźnił blaster w kaburze.

- Dobra, zlocisty - zawołał do mikrofonu. - Przyprowadź Thanasa na rampę.

Luke wstał o wiele wolniej. Leia ujrzała przez chwilę jego dwa oblicza: jeden obraz przedstawiał silnego i zwycięskiego zawadiakę i to był portret, który Luke usiłował narzucić innym. Drugi zaś przedstawiał człowieka zmęczonego, cierpiącego i zaniepokojonego. Był na tyle wyczerpany, by popełniać błędy.

- Chcesz zostać na pokładzie, aż wszystko się wyjaśni? - spytała.

- Tak... jasne. - Luke podrapał się po karku. - Nereus jest pewny, że mnie zabił.

Odsunął się od włazu i przyczaił z mieczem w dłoni pod ścianą. Dość blisko, by słyszeć wszystko, samemu nie będąc widzianym.

- Uważaj na siebie, Leia.

Zza zakrętu korytarza wychynął 3PO maszerujący równo z komandorem Thanasem.

- Wasz android zna wiele świetnych opowieści - powiedział komandor oficjalnym tonem. - Chociaż wciąż utrzymuje, że kiepski z niego gawędziarz.

- Zaczęliśmy edukację więźnia, Threepio? Komandor Thanas otrzymał zapewne całkiem sporą dawkę rebelianckiej propagandy.

Główny właz otworzył się z sykiem. Leia zeszła po rampie, aby przywitać oczekujących: Captison na czele, zaraz za nim gubernator, obie panie... i R2. Leia obejrzała się. Han nie zdejmował dłoni z kabury. 3PO wyszedł, wciąż skuty z Thanasem, Chewie zamykał pochód z kuszą w łapach. W powietrzu unosiła się nieprzyjemna woń spalenizny.

- Artoo! - krzyknął 3PO. - Nie masz pojęcia, przez co przeszedłem...

- Daruj sobie - warknął Han.

Komandor Thanas zignorował swą błaszaną eskortę i zszedł na dach niepewnie, niczym człowiek oczekujący brutalnej napaści. Wyprzedził Leię u stóp rampy i nim ktokolwiek zdołał go rozkuć, znalazł się w centrum powszechnej uwagi.

- Nie sądzę, by oczekiwał pan gratulacji. - Gubernator zbliżył się do niego z rękami założonymi z tyłu i zakołysał się na piętach. - Jeszcze kilka lat temu, kiedy ja dowodziłem krążownikiem, komandor poddający statek wrogowi zostałby po prostu ustawiony pod najbliższą ścianą i rozstrzelany.

Leia wysunęła się do przodu.

- Wzięliśmy go ze sobą, aby udowodnić, że jest naszym jeńcem. Nie twoim, gubernatorze. Jest nasz. Podobnie jak ty.

- Ciekaw jestem, jak niby zamierzacie nas pojmać.

- Straciliście wszystkie jednostki kosmiczne. Poddaj garnizon, a natychmiast puścimy wolno i ciebie, i twoich ludzi.

Patrol myśliwców typu X przemknął po zasnutym dymami niebie nad miastem.

Gubernator uśmiechnął się łagodnie do Lei.

- Zapomniała pani chyba, że wciąż dysponuję trzema tysiącami żołnierzy. Co więcej, ocalałe załogi lądują właśnie na Bakurze. Warn poddał się tylko jeden statek. To wszystko.

- Przesunęliśmy „Dominatora” na nową orbitę, gubernatorze. - Leia zerknęła z wdzięcznością na Hana. - Jest gotów do ostrzelania koszar w Salis D'aar. Wiem, że nie zaprojektowano go do rażenia celów naziemnych, ale i tak zdoła wyrządzić spore zniszczenia. Nawet gdybyśmy cię wypuścili, nie zdołasz utrzymać władzy na Bakurze wbrew woli jej mieszkańców.

- Nie? Zwykle Imperium dawało sobie z tym radę. W innych częściach galaktyki to działa. - Nereus pokazał wreszcie dłonie. Były puste. Widocznie blaster Hana wprowadzał go z równowagi bardziej, niż można by sądzić.

Gaeriela wsunęła się między Hana i gubernatora i stanęła dokładnie na linii ognia. Leia nie oglądała jej jeszcze nastawionej tak bojowo. Szal zawiązała wokół talii, pod pachą trzymała odbezpieczony blaster. Leia wreszcie zrozumiała, co Luke w niej widział.

- Gubernatorze - powiedziała Gaeriela. - Jeśli to już wszystko, co dla nas przygotowalesz, to pora na mój skromny gest. Składam rezygnację z imperialnych urzędów.

Nereus przycisnął dłonie do lampasów spodni.

- Nie możesz. Należysz do Imperium.

- Nie sądzę, Wasza Ekszelencjo - odparła spokojnie, ale Leia spostrzegła, że dziewczyna jest bliska płaczu. Jeśli z powodu Luke'a, to czekała ją niespodzianka.

- Księżniczko, proszę przyjąć moje gratulacje z okazji zwycięstwa.

Nagle Gaeriela poblądła i Leia obróciła się na pięcie, żeby zobaczyć, co tak poruszyło panią senator.

Na rampie „Sokoła” stał Luke. W dłoni trzymał wyłączony miecz. W cieniu wnętrza statku przypominał szare widmo, uśmiechał się jednak; musiało to mieć coś wspólnego z wytrzeszczonymi oczami i otwartymi ustami Gaerieli. Stojąca obok Lei starszka aż pojaśniała.

- Cześć, Jedi!

Cokolwiek chciał powiedzieć Wilek Nereus, nie utrwaliło się to dla potomności, gubernatora bowiem całkowicie zatkało.

- Nie! - wrzasnął w końcu. - Ciebie nie ma! Wracaj na pokład! Pozarazasz wszystkich! Nie masz pojęcia...

Gubernator odwrócił się do Gaerieli i ze zdumiewającą szybkością wyszarpnął jej blaster.

Luke opadł na kolano, Han sięgnął po broń, ale Nereus był szybszy. Wystrzelił dwukrotnie. Jeden ładunek zrykoszetował po burcie „Sokoła”, drugi był celny, ale Luke odparował go klingą miecza. Pocisk odbił się pod idealnie prostym kątem i wrócił do punktu wyjścia.

Wilek Nereus upadł z oczami zachodzącymi mgłą. Luke także stracił równowagę. Gaeriela westchnęła przerażona Leia zamarła. Wstawaj, Luke!

R2 potoczył się z maksymalną szybkością ku rampie, popiskując przy tym i pogwizdując. Luke podniósł się powoli. Miecz trzymał wciąż przed sobą, dziwny dźwięk wydawany przez broń niósł się po lądowisku, tłumiąc mocne bicie serc obecnych. Pokiwał małemu androidowi. Han, z blasterem w dłoni, pochylił się nad gubernatorem, ale Nereus już się nie poruszył.

Leia obeszła ciało, by podejść do premiera. Captison przyszedł już do siebie.

- Panie premierze - powiedziała - od tej chwili Bakura odzyskuje niepodległość. Jeśli jej mieszkańcy postanowią pozostać przy Imperium... - skinęła w kierunku komandora Thanasa - wówczas wycofamy się i damy wam pełną swobodę ruchów. Komandor Thanas może zająć się obroną przed Ssi-ruukami, gdyby wrócili przed wyznaczeniem przez Imperium nowego gubernatora. Możecie zaryzykować samotną obronę. Jeśli jednak wyberzecie Sojusz, wówczas możemy niezwłocznie zawrzeć

odpowiednie porozumienia dotyczące trwałego sojuszu. Captison zasalutował Lei, potem Luke'owi.

- Wasza Wysokość, komandorze, dziękujemy. Jednak nie sędzę, by garnizon poddał się tak łatwo.

Luke zszedł na dach. Leia miała nadzieję, że nikt nie spostrzegł, że za powolnym krokiem nie kryje się poczucie godności, tylko zwykłe przemęczenie.

- Przyjęliśmy kapitulację komandora Thanasa. A to oznacza poddanie zarówno „Dominatora”, jak i sił naziemnych, czyli całego garnizonu.

Leia wstrzymała oddech, czekając na protest Thanasa, ale ten nic nie powiedział. Szczupły oficer zmarszczył tylko brwi. Czy sam postanowił milczeć, czy też Luke go do tego skłonił?

- Komandorze, zwalniam pana z aresztu. Jeśli obywatele Bakury zażyczą sobie, aby imperialne oddziały opuściły planetę, pokieruje pan operacją wycofania sił.

Thanas skinął głową i uniósł rękę, nadal przykutą do nadgarstka 3PO.

- Zwolnij go, Threepio.

Android otworzył kajdanki stosownym chipem. Luke podszedł i spojrzał Thanasowi w oczy.

- Proszę zająć się swoimi ludźmi, komandorze. Nowa załoga „Dominatora” czeka na pana rozkazy.

Thanas otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale widocznie się rozmyślił. Patrol policji municypalnej zjawił się z noszami antigrav i pospieszył ku zwłokom gubernatora.

Komandor Thanas obrócił się na pięcie i ponownie przybrał wojskową postawę.

- Do szeregu! - warknął na eskortę Nereusa. - Od - maszerować!

Strażnicy posłusznie podążyli za nim do najbliższej windy.

- Zamierzasz mu zaufać? - wyszeptła Leia do Luke'a. - Czy wiesz, co robisz?

- Spokojnie. - Luke też odprowadzał komandora spojrzeniem. - Nie zapominaj, że „Dominator”, choć ma uszkodzony napęd i parę innych rzeczy, to wciąż dysponuje olbrzymią siłą ognia. To po pierwsze. Po drugie zaś, mam pewne przeczucia.

- Wybaczcie... - Premier uniósł krzaczaste, siwe brwi. - Muszę przygotować publiczne wystąpienie. Mogę chyba wam zagwarantować, że po transmisji mieszkańcy Bakury zgodzą się przystąpić do Sojuszu. Biorąc pod uwagę to, co się dzisiaj wydarzyło... Ale muszę ich spytać.

Leia też była niemal pewna, że sprawa skończy się właśnie w ten, a nie w żaden inny sposób. Z ulgą stwierdziła, że Luke zasalutował, nawet Han wykonał gest mogący przy odrobinie dobrej woli kojarzyć się z wojskowym pozdrowieniem. Captison odszedł do windy.

Czy wciąż mnie obserwujesz, ojcze? Leia obejrzała się przez ramię, ale ujrzała i wyczuwała jedynie zaniesione szarością niebo. Oto duch Dartha Vadera doznał jeszcze jednej porażki.

Jeśli jednak Anakin Skywalker rzucił okiem na scenę wydarzeń, to nawet dobrze się stało. Leia nie zamierzała się tym więcej martwić. Paradoksalnie, bitwa uspokoiła jej skolatanę nerwy.

Gaeriela podprowadziła starszą panią do Luke'a. To musi być Eppie Belden - odgadła Leia.

- Dobra robota, młody człowieku. - Drobna staruszka ujęła łokieć Luke'a, potem mocno uściskała jego dłoń. - Dziękuję. Gdyby Bakura mogła zrobić kiedykolwiek coś dla ciebie, zawsze możesz się do nas zwrócić.

Gaeriela odwróciła wzrok, w końcu jednak spojrzała na młodzieńca. - Żyjesz. Czy...

- Czy moglibyśmy porozmawiać później? Mój przyjaciel leży chory... jest na pokładzie. Ciężko poparzony.

Zapomnij o Devie Sibwarrze - chciała krzyknąć Leia. - On już nie żyje. Wreszcie masz tę dziewczynę. Nie pozwól jej odejść. Jeśli naprawdę jej pragniesz!

- Och! - Gaeri odstąpiła o krok. - Poczekam.

Leia obejrzała się za bratem i zmarszczyła brwi. Był już w połowie rampy. Szedł powoli, z nisko pochyloną głową.

- Nigdy nie spotkałam nikogo takiego, jak on, Wasza Wysokość - powiedziała Gaeri.

- I nigdy już nie spotkasz, jeśli zostawi cię tutaj - mruknęła Leia. - Przepraszam. - I pobiegła za Luke'em.

ROZDZIAŁ 21

Luke czekał na nią w śluzie.

- Jest wystarczająco silny, by go uczyć - powiedział. - I młody. Musimy go uratować.

- Zrobię, co będę mogła. Ale, Luke...

Lekarz komandora Thanasa założył Devowi maskę i podawał mu doustnie płyny. Obandażował też wypalone oczy.

- Aplikuję mu roztwór stabilizujący - powiedział z ożywieniem. - Pomoże lub nie. Tak czy inaczej, dostał środki uśmierzające ból.

Nagle Dev uniósł rękę. Luke pochylił się i spróbował przywołać na twarz pocieszający uśmiech.

- Dev? To ja, Luke. Chłopak wyciągnął rurkę z ust.

- Poczekaj! - zawołał lekarz.

Gęsta ciecz zaczęła skapywać na pokład. Słodkawa woń przypomniała Luke'owi kurację, którą przechodził na lodowatej planecie Hoth. Medyk złapał rurkę i zawiesił ją na stelażu.

- Nie pozwól mu mówić zbyt długo, jeśli naprawdę chcesz go uratować.

Luke przyklęknął przy koi.

- Dev, możesz zacząć trening, nim jeszcze wyzdrowiejesz. Przynajmniej będziesz miał zajęcie.

- Och, Luke... - Chłopak uśmiechnął się blade. - Nigdy nie będę Jedi. Moja pamięć skażona jest licznymi bliźnami. Byłem... - wciągnął głęboko powietrze i zadrżał - ... kontrolowany, manipulowany... Za długo to trwało. Dziękuję, że dajesz mi odejść w spokoju ducha.

Luke ujął poranioną dłoń Deva.

- Protetycy Sojuszu to prawdziwi cudotwórcy. Zajmą się tobą na Endorze.

- Protetycy? - Widać było, że oblicze stężało mu pod bandażami. - To kojarzy mi się z...

- Dość! - zaprotestował lekarz, odsuwając Luke'a i montując z powrotem całe urządzenie na twarzy chłopaka.

Skywalker podszedł do ściany i w myślach dodawał Devowi odwagi. Aura Sibwarry lśniła czysto i jasno. W transie Jedi chłopak powinien zająć się przede wszystkim swym umysłem, a ciało pozostawić lekarzom.

Jednak coś było nie tak. Aura słabła. Luke ponownie ukląkł przy koi i spróbował wesprzeć Deva swą siłą psychiczną, zakotwiczyć mocniej duszę w ciele. Dev odpowiedział uczuciem wdzięczności.

Nagle aura chłopca zajaśniała jak nigdy dotąd.

- Dev? - krzyknął zaniepokojony Luke.

Blask przycisnął. Umysł Deva Sibwarry rozplynął się w oceanie odległego światła.

- Straciliśmy go - jęknął lekarz, spoglądając na monitor czujników. - Przykro mi komandorze, ale szansę i tak były praktycznie równe zeru.

Luke miał ochotę się rozpłakać. Co to za sprawiedliwość? - wykrzyczałby najchętniej. On dopiero zaczynał. Dałby sobie jeszcze radę.

Naprawdę? Luke'owi zdało się, że widzi Yodę, który stoi na stole do gier, wsparty na lasce i kręci przecząco głową.

- Przykro mi - powiedział lekarz, zbierając sprzęt - zrobiłem, co mogłem przy pomocy tego wyposażenia.

- Nie wątpimy - szepnęła Leia. Luke zakrył oczy dłońmi i zakaszał.

- A pan powinien odpocząć, komandorze.

Głosy lekarza i Lei brzmiały coraz słabiej w uszach Skywalkera, który nie miał nawet sił podnieść się z kłęczek. Wciąż widział tego chłopaka, który cierpiał ponad ludzką miarę, a jednak uciekł. By umrzeć w dniu zwycięstwa.

Minęło sporo czasu, gdy nagle poczuł drobną dłoń na ramieniu.

- Leia? - spytał cicho. - Czy...

- Nie, Luke. Leia poszła wziąć udział w negocjacjach. To ja.

Głos należał do Gaerieli. Czyżby to Han poprosił ją na pokład? Luke spróbował się podnieść, ale lewa noga odmówiła mu posłuszeństwa.

- Pomóż mi - mruknął.

Gaeriela chwyciła go pod rękę. Ze zdumieniem patrzył, jak dziewczyna odwiązuje szal i przykrywa nim twarz Deva.

- Dziękuję. Nikt o tym nie pomyślał.

- To przez wzgląd na ciebie. Czy naprawdę stał się pod koniec zupełnie innym człowiekiem?

- Tak - odparł cicho Luke.

- Ale dlaczego? Dlaczego właśnie jego tak bardzo chciałeś uratować? Tylu innych zginęło w bitwie.

Unikając jej spojrzenia, Luke opuścił głowę i wbił oczy w pokład.

- Przez całe swe życie tylko cierpiał. Chciałem, by poznał coś więcej. By poznał swą prawdziwą siłę.

- Ale chyba nie tylko to mu pokazałeś. Odkryłeś też przed nim świat ludzkich uczuć.

Spokojnie. Tylko spokojnie. Najchętniej padłby jej w ramiona i zemdłał. Spróbował się uśmiechnąć.

- Nie - powiedziała, obejmując go. - Wyrzuc to z siebie. Wiem, że to boli. Teraz boli. Ale wszystko zawsze dąży do równowagi.

Tracąc panowanie nad sobą, Luke objął dziewczynę i zapłakał. Przyjęła to ze zrozumieniem. Chyba nareszcie uświadomiła sobie, że nawet Jedi nie przedkłada siebie ponad wszystko. Uspokoiwszy się nieco, poprowadziła go do kanapy przy stole z projektorem holo.

- Jak ty to zrobiłeś... - umilkła na chwilę. - Domyślam się, że zabiłeś larwy trójniaka?

- Tak to się nazywa? Skąd wiesz?

- Też dostała mi się jedna. Gubernator wezwał lekarza i w kwadrans było po wszystkim. Ale ty nie miałeś lekarza.

- Miałem Moc.

- Byłeś wspaniały w kantynie. Nigdy tego nie zapomnę.

- A cóż innego mogłem zrobić?

Spojrzała na niego. Podmuch klimatyzatorów burzył miodowe włosy.

- Świat jest piękny - mruknął Luke. - Cieszę się, że mogę go wciąż oglądać.

- Postanowiłam zostać na Bakurze. Na zawsze.

- Bakura będzie pewnie chciała mieć przedstawiciela w Radzie Sojuszu - powiedział Luke, czepiając się ostatniej nadziei. - Masz odpowiednie przygotowanie.

- Gdy przyjdzie na to pora, wyznaczę kogoś innego. Mam tu sporo do zrobienia. Eppie będzie mnie potrzebować, wujek Yeorg też. Należę do rodziny Captisonów i to o wszystkim przesądza.

- Rozumiem...

Rozczarowany, oparł ręce na stole i podkurczył nogi. Wciąż odczuwał ból, oddech drażnił gardło. Czas podróży powrotnej na Endor będzie musiał spędzić w transie uzdrawiającym. W przeciwnym razie 2 - 1B wpakuje go nieuchronnie do zbiornika. Zresztą, pewnie i tak to zrobi.

- Prowadzicie rekrutację wśród jeńców? - spytała cicho.

- Nie. Przyjęliśmy, że nie można zaufać do końca komuś, kto lekką ręką zmienia mundur. Poza tym każdy, kogo odeślemy do domu, opowie przynajmniej paru osobom, że Sojusz... No, że mógł zrobić z nim wszystko, a jednak uwolnił.

- Luke? - szepnęła, kładąc mu palce na ramieniu: - Przepraszam.

Poczuł, że opuszcza „zasłonę”, ale uczyniła to za późno. Otworzył się na Moc. Niech chociaż pod koniec...

- Za co? Zwyciężyliśmy. Zarumieniła się.

- Chcę być twoim sprzymierzeńcem, ale na dystans. Luke musiał opanowywać się przez chwilę. Starczy jeden wybuch płaczu. Przecież wcale nie zostało przesądzone, że zawsze będzie sam.

- Rozumiem. - Z wahaniem musnął jej twarz. - Ale chwilę możesz jeszcze poczekać.

Pocałowali się, rozkoszując się tą wspaniałą chwilą. Odsunął dziewczynę w stosownym momencie, aby pamięć wydarzenia została tym, czym zostać miała.

- Odprowadzę cię - mruknął. Starając się nie kuleć, ruszył ku wyjściu.

Lekarz zatrzymał go przy rampie.

- Mam wrażenie, że powinienem pana zbadać, komandorze. Zapewniam, że jestem całkowicie bezstronny.

- Do widzenia - powiedziała Gaeri.

Luke ścisnął jej dłoń. Moc będzie z tobą, Gaeri. Zawsze. Spoglądał za nią, aż zniknęła w windzie. Wiatr niósł drobiny sadzy i popiołu z licznych pożarów. Ostatni imperialny strażnik dawno już zniknął z dachu. Luke spojrzał na lekarza.

- Jestem do pana dyspozycji - powiedział, pocierając czoło.

Wracamy do codzienności - pomyślał.

- Właśnie, młody - wtrącił się Han. Stał w pobliżu, oparty o ścianę. - Zróbmy użytek z tego doktora, póki jest pod ręką.

Luke dał się poprowadzić do koi, położyć i przebadać.

Dobrze, że ani Thanas, ani nikt z Imperialnych nie mieli pojęcia, że „Dominator” nie był zdolny do żadnego ataku. Nowa załoga krążownika składała się wyłącznie z dwóch Calamarian. Jedynych, którzy nie dostali tego dnia przepustki.

Ponad tysiąc imperialnych żołnierzy, szereg za szeregiem, wmaszerował na pokład antycznego liniowca pasażerskiego należącego do Bakury. Pter Thanas nadzorował całą ewakuację. Bakura wyrzekła się Imperium. Wyniki referendum ogłoszono już w dwie godziny po śmierci Nereusa. Z osobistego personelu gubernatora pozostała mniej niż połowa. Część zginęła lub przepadła gdzieś w trakcie wydarzeń. Inni uciekli w nocy, obawiając się wpaść w ręce Sojuszu. I słusznie.

Wojskowi byli niemal w komplecie. Z otoczenia Thanasa brakowało jedynie dwóch lekarzy i oficera meteo. Materiały wojenne, od myśliwców po białe pancerze szturmowców, zostawały na Bakurze, by mieszkańcy planety nie musieli budować sił samoobrony od zera. Kilka jednostek ich przyszłej floty miało zasilić z czasem eskadry Sojuszu.

Zresztą, nie zostało tych myśliwców zbyt wiele. Ssi-ruukowie i rebelianci przetrzebili flotyllę Imperium.

Dwóch strażników bakuriańskich, jedynych uzbrojonych mężczyzn w polu widzenia, (choć nie, jeden z tych strażników był kobietą) stało za Luke'em. Czekali, aż ostatni obcy żołnierz wejdzie na pokład.

- Podnieść rampę - rozkazał Thanas.

Sam jednak stał wciąż na lądowisku. Spojrzenia Bakurian musiały chyba wypalać mu dziury w plecach. Widoczny w iluminatorze kabiny pilot spoglądał na dowódcę, a ten zasalutował, gestem nakazał start i wycofał się w bezpieczne miejsce.

Zajęczały silniki atmosferyczne. Strażnicy też się cofnęli. Statek uniósł się i rozpoczął powolny zwrot.

Odlatywali wolni... Może wolni. Pter Thanas sięgnął lewą dłonią do kieszeni. Zaciśnął palce na czymś niedużym, ale ciężkim. Jeden z Bakurian wycelował broń. Na wszelki wypadek.

Thanas wyciągnął swój scyzoryk. Ignorując strażnika, wysunął ostrze, odciął pagony od munduru i schował kawałki tkaniny do kieszeni.

Potem odwrócił się do wciąż mierzącego z blastera strażnika.

- Proszę o zaprowadzenie mnie do premiera Captisona. Jeśli chcecie przywrócić krążownik do służby, przyda wam się doświadczony doradca. Znam świetnie jednostki klasy Carrack.

Bakurianin opuścił imperialny blaster.

- Pod banderą Sojuszu, komandorze? Thanas przytaknął.

- Właśnie, żołnierzu. Pod banderą Sojuszu. Przyznaję się do porażki.

- Proszę za mną, komandorze. Żwawym krokiem poszli razem do ślizgacza.

Jeden myśliwiec typu TIE przypadł Sojuszowi w charakterze reparacji wojennych. Komandor Luke Skywalker skompletował dla niego załogę i za zgodą lekarza wybrał się na krótki patrol.

Podszedł do dawnego krążownika Ssi-ruuvi, obecnie remontowanego i przechrzczonego na „Sibwarre” (choć nieliczna rebeliancka załoga i tak przezwiała okręt „Fleciak”, i Luke miał wszelkie powody się obawiać, że nazwa przylgnie). Sięgnął do sterów dłońmi odzianymi w grube rękawice próżniowego kombinezonu - w porównaniu z myśliwcem typu X, TIE był wręcz prymitywny. Przyspieszał nierówno, chwiał się przy każdym manewrze.

Ale nie tylko pragnienie wypróbowania zdobycznego sprzętu pchnęło Luke'a do lotu. Chciał czym prędzej rzucić ponownie okiem na mostek krążownika. Wciąż miał wrażenie, że mrok tego miejsca czai się gdzieś za plecami. Ile jeszcze razy będzie musiał zmagać się z ciemnością? Czy pokusy będą nachodzić go tym częściej, im wyżej będzie wyrastał?

Ostrożnie wprowadził myśliwiec do pokładowego hangaru, niemal w tym samym miejscu, w którym Han zacumował nie tak dawno „Sokoła”. Tymczasowa załoga złożona z Bakurian bez oporów podporządkowała się pilotowi Sojuszu. Potrzebowali pojemnego środka transportu, jako że ich własny krążownik, nosiciel myśliwców, został zniszczony. Szykowało się ustanowienie regularnych połączeń między Bakurą a planetami Sojuszu. Zdobyczny TIE przyda się może admirałowi Ackbarowi do jakiejś tajnej operacji, chociaż Luke najchętniej wykorzystałby go jako cel ćwiczebny podczas ostrego strzelania.

Pospiesznie skierował się na mostek, gdzie przystanął na chwilę obok włazu, przyglądając się ciężko pracującym technikom.

Wnętrze nadal wyglądało obco, ale nie czuło się już w nim aury wrogości. Ot, zwykły metal i plastik. Jednak gdzieś tam w zakamarkach statku czały się jeszcze ponure wspomnienia, obraz udręki Deva i tych wszystkich dusz, które Luke ostatecznie uwolnił.

Właściwie nic się nie zmieniło. Codziennie będzie musiał wybierać między światłem i ciemnością.

Zwiedził krążownik od dziobu po rufę, zajrzał do każdego kąta. Gdy skończył obchód trzy godziny później, z czystym sumieniem opuścił jednostkę. Wszystkie obwody były martwe, nikogo nie pominął.

Han przycisnął palec do ucha i skinął na Luke'a, by usiadł za Chewbacą.

- Nie obchodzi mnie, co robisz - warknął do Chewie'ego - rejestratory mają być cały czas włączone.

Chewie uderzył jakimś przypominającym klucz narzędziem w blachę przepierzenia. Widocznie „Sokół” znów pokazywał swoje humory.

- Co jest? - spytał Luke, który nie zdążył nawet usiąść.

- Zakodowany przekaz od Ackbara. Wiadomość byłaby już gotowa do odczytania, ale ten futrzak wyłączył automatyczny...

- Od Ackbara? - Leia położyła dłoń na ramieniu Luke'a. Przykrył ją palcami, wdzięczny za wsparcie.

- Właśnie. Jest tam coś o imperialnym zgrupowaniu bojowym. Odczytałem też słowa „małe” i „jak szybko tylko możecie”.

- Przecież zdziesiątkowaliśmy ich nad Endorem - powiedziała Leia. - Pewnie zwiadowcy trafili na jakichś niedobitków i Ackbar chce, byśmy się nimi zajęli. Cóż, Imperium to rozległy i silny twór. Ale gdy zaczniesz się wreszcie rozpadać, żadna siła nie powstrzyma tego procesu.

- Tak czy inaczej - stwierdził Luke - musimy wracać. Ale przedtem... - Spojrzał pytająco na Hana.

- Oczywiście, młody - ryknął Han. - Możesz już siadać, Leia. Luke ma jeszcze coś do załatwienia. To potrwa tylko chwilę.

- A ja skorzystam z okazji, by opowiedzieć wam, jak przybyłem na pokład „Sokoła” przebrany za szturmowca... - odezwał się w słuchawkach głos 3PO, który wraz z R2 siedział przy stole do gier.

Luke poszedł do głównej śluzy, gdzie Chewbacca przeniósł wcześniej ciało Deva. Wookie omotał głowę i ramiona chłopaka szaleni Gaerieli, resztę zawinął w stary koc. Luke z żalem musnął palcami delikatną, niebieską materię. Stracił oboje. Gaerielę i Deva... Jednak czegoś się dzięki nim nauczył. Pozostaną na zawsze w jego pamięci.

- Dziękuję - wyszeptał.

- Gotowy, Luke? - spytała Leia przez interkom.

Luke cofnął się za próg śluzy. Drzwi syknęły, zamykając się za nim.

- Poczekajcie chwilę. - Pospiesznie wrócił do kabiny pilota i spojrzał w iluminatory.

Leia ujęła jego dłoń. Han otworzył zewnętrzny właz śluzy i włączył na sekundę boczne dysze. „Sokół” odsunął się, zostawiając wiszące w przestrzeni ciało Deva. Najpierw powoli, potem coraz szybciej zaczęło spadać ku planecie. W końcu zapłonęło czystym i jasnym płomieniem w górnych warstwach atmosfery.

Luke spojrzał na ognisty ślad, ulotne piękno...

Ulotne jak życie. Mgnienie wobec oceanu czasu. Wieczność wobec Mocy.